

Zola Emil

Początek Fortuny Rougonów

Na południe od Plassans, za Bramę Rzymską, na prawo od szosy prowadzącej do Nicei, rozciąga się pusty i nie uprawiany teren, znany w okolicy pod nazwą placu Świętego Mittry.

Plac Świętego Mittry ma kształt długiego prostokąta, równoległego do szosy i oddzielonego od niej wąskim pasem zdeptanej trawy. Z prawej strony ogranicza go szeregiem zniszczonych domów ślepa uliczka, na krańcach z lewej i w głębi wznoszą się porośnięte mchem resztki muru; ponad nimi widać wysoko gałęzie drzew "morwowych z majątku Jas-Meiffren, do którego wjazd znajduje się dalej. Żadna droga nie przecina zamkniętego z trzech stron placu, uczęszczanego wyłącznie przez spacerowiczów.

Dawniej był tam cmentarz pod wezwaniem świętego Mittry (jest to święty prowansalski, otaczany szczególną czcią w tej okolicy). Starzy ludzie z Plassans przypominali sobie w roku 1851, że widzieli kiedyś całe mury cmentarza, zresztą już w czasach ich młodości od dawna nie używanego: * chłonąc trupy przez sto lat z górą okazał się on wreszcie tak przesycony śmiercią, że trzeba było znaleźć na drugim krańcu miasta nowe miejsce do grzebania zmarłych. Opuszczony cmentarz odświeżał się z każdą wiosną, porastając bujną i soczystą zielenią. Ziemia, której nie można już było tknąć łopatą nie wydobywając na powierzchnię szczątków ludzkich, stała się bardzo żyzna. Po deszczach majowych i po czerwcowych upałach przechodzący szosą widzieli wysoką trawę, która sięgała ponad mur. Na całej przestrzeni falowało morze ciemnej zieleni, przetykane wielkimi kwiatami o jaskrawych barwach. Od spodu tego cienistego gąszczu wznosił się oddech wilgotnej- gleby, ■ przelewającej życiodajne soki w korzenie roślin. Jedną z osobliwości placu stanowiły wielkie grusze O monstrualnie powykęcanych konarach; ich olbrzymich owoców nie odważyłaby się zerwać żadna gospodyni z Plassans. W mieście mówiono o nich z grymasem obrzydzenia, lecz chłopcy z przedmieścia nie mieli żadnych skrupułów i całymi gromadami przechodzili o zmierzchu na drugą stronę muru, aby kraść gruszki, nim jeszcze zdążyły dojrzeć.

Potężny żywioł traw i drzew szybko wchłonął śmierć na dawnym cmentarzu Świętego Mittry — kwiaty strawiły resztki ludzkie i przechodząc obok czuło, się teraz już tylko przejmujący zapach dzikich lewkonii. Wystarczyło na to kilka lat.

W tym czasie miasto postanowiło wykorzystać leżącą odłogiem posesję. Zburzono więc mury od strony szosy i ślepej uliczki, wykopano trawę, ścięto grusze; następnie przeniesiono cmentarz. Przekopano cały teren i zebrano w jedno miejsce kości, które ziemia zwróciła. Przez dłuższy czas chłopcy nie mogli odżalować gruszek, a czaszek używali do zabawy w piłkę, pewnej zaś nocy jacyś dowcipnisie przywiązali piszczele ludzkie do dzwonek przy domach w całym mieście. Zgorszenie, które do dziś wspomina Plassans, ustało dopiero wtedy, gdy postanowiono zrzucić zebrane kości do dołu wykopanego na nowym cmentarzu. Ale na prowincji wszelkie prace dokonują się z rozważną powolnością i mieszkańcy miasta widzieli przez cały tydzień jedne jedyne taczki przewożące resztę kr ludzkie jak gruz. Co gorsze, taczki musiały za każdym razem przejeżdżać przez café Plassans, a nierówny bruk ulic sprawiał, że podskakiwały bezustannie, przy czym wysypywały się kości i garście tłustej ziemi. Żadna ceremon/a religijna nie uświęciła tych brutalnych przenosin i całe miasto jak nigdy dotąd wzdrzgało się z obrzydzenia.

Jeszcze przez wiele lat teren dawnego cmentarza Świętego Mittry budził grozę. Otwarty dla wszystkich, leżący tuż przy szosie, pozostał nadal pusty i wydany na lup chwastów. Miasto, które pragnęło go sprzedać, licząc na to, że powstaną na nim domy, nie znalazło widocznie nabywcy; może odstręczało ludzi wspomnienie stosii kości i taczek jeżdżących ulicami z koszmarnym uporem, a może należy raczej tłumaczyć ten fakt lenistwem prowincji, ogarniającym ją zawsze, kiedy trzeba coś zburzyć albo odbudować. W każdym razie teren należał wciąż do miasta, które* wreszcie zapomniało o zamiarze sprzedania go. Nie był nawet otoczony płotem — mógł tam wejść każdy, kto chciał. Powoli, z biegiem lat, przyzwyczajono się do tego pustego zakątka; siadano na obrzeżając go murawie, spacerowano — pole zaludniło się. Gdy stopy spacerujących wydeptały trawę, ziemia stała się szara i twarda, dawny cmentarz wyglądał jak źle zrównany plac publiczny. Aby jeszcze dokładniej zatrzeć, odrażające wspomnienia, mieszkańcy Plassans przywykli niepostrzeżenie do zmiany nazwy — zadowolano się samym imieniem świętego, nazywając nim też ślepa uliczkę stanowiącą jedną z kra- wędzi placu: mówiło się więc o placu i o uliczce Świętego Mittry.

To wszystko dotyczy czasów dawno minionych, od przeszło trzydziestu lat plac Świętego Mittry nabrał bowiem innego wyglądu. Miasto, zbyt sennie i niedbałe, aby należycie wykorzystać teren dawnego cmentarza, wydzierżawiło go wreszcie za niską cenę podmiejskim cieślom, którzy urządzili tam skład drzewa. Po dzień dzisiejszy ęły plac zawałony jest potężnymi priami długości od dziesięciu do piętnastu metrów, które leżą w wielicki sto

sach, podobne do przewróconych na ziemię smukłych kolumn lub masztów okrętowych.

Te zwały pni, zajmujące cały plac, są źródłem nieustannej radości dla chłopców z okolicy. Ponieważ część drzewa obsunęła się ze stosów, ziemia pokryta jest w wielu miejscach jakby posadzką o nierównej powierzchni. Cho- dzenie po balach wymaga zdolności ekwilibrystycznych? i tabuny dzieci co dzień oddają się tej zabawie. Skaczą przez najgrubsze pnie, maszerują gęsiego wzdłuż naj-? cieńszych, jeżdżą na nich okrakiem, a wszystkie te igraszki kończą się zazwyczaj bijatyką i płaczem; czasem kilkunastu malców przytulonych mocno do siebie siada na węższym końcu pnia, sterczącym nad ziemią, i tak huśtają się całymi godzinami. Plac Świętego Mittry stał się w ten sposób miejscem rozrywek dla dzieci przedmieścia, które baraszkują tu od przeszło ćwierćwiecza.

Plac nabrał poza tym szczególnie osobliwego charakteru jako tradycyjne obozowisko band cygańskich. Ilekroć pojawia się w Plassans jeden z tych domków na kołach, zamieszkałych przez całe plemiona Cyganów, zatrzymuje się on zawsze na placu Świętego Mittry. Toteż plac nigdy nie jest pusty „t^ - zawsze biwakuje tam jakaś banda tych dziwnych ludzi, mężczyzn o ciemnej cerze i niesamowicie chudych kobiet, wśród których mrowią się na ziemi niezwykle piękne dzieci. Przybysze żyją sobie swobodnie pod gołym niebem, na oczach wszystkich: gotują w kociołkach jakieś nieznanne potrawy, rozkładają dziurawe lachmaoy, jedzą, śpią, biją się i całują, rozszczypając odór nędzy i brudu.

Teren, gdzie dawniej tylko trzmiele brzęczały w południowej spiekocie dokoła bujnych kwiatów, nabrał więc z czasem życia, rozbrzmiewał kłótniami Cyganów i krzykami rozbawionych chłopców.

Wysokim tonom kłótni i zabaw akompaniuje zgrzytli- wy bas piły tnącej pnie na deski, gdyż na placu jest czynny prymitywny tartak. Dwa wysokie kozły podtrzymują leżący- poziomo pień, na którym siedzi robotnik; drugi, oślepiiony

przez spadające trociny, stoi na ziemi i obaj po kolei jednostajnym ruchem ciągną ku sobie wielką piłę. Z regularnością maszyny pochylają się i prostują automatycznie przez cały dzień, podobni do drewnianych pajaców. Gotowe deski układa się starannie pod murem, w regularne, sześciennie stopy wysokość/ dwóch, trzech metrów. Te stopy, nie ruszane czasem przez wiele miesięcy i obrośnięte u dołu trawą, stanowią jeden z uroków placu Świętego Mittry, ponieważ powstały między nimi tajemnicze. wąskie korytarze. prowadzące do szerokiej alei między sześcianami - desek a murem. Na tym pasie zieleni, z którego widać tylko skrawek nieba, panuje zupełna pustka. Obie ściany, drewniana i kamienna, porośnięte są mchem, a ziemię pokrywa gruby kobierzec trawy. Króluje tu jeszcze potężna roślinność i przejmująca dreszczem cisza dawnego cmentarza. W po- i wietrze kołysze się mdłe tchnienie śmierci, jakie wydzielają stare groby silnie ogrzane przez słońce. W Plassans i w całej okolicy nie ma drugiego miejsca tak nastrojowego, tak dyszącego ciepłem, samotnością i uczuciem — miejsca równie odpowiedniego dla zakochanych. Jest to Ustronie stworzone dla miłości. Widocznie podczas likwidacji cmentarza złożono kości w tym samym kącie, gdyż dziś jeszcze grzebiąc butem w mokrej trawie można łatwo wydobyć na wierzch kawałek czaszki ludzkiej.

Nikł zresztą nie myśli już o zmarłych, którzy spoczywali pod tą trawą. W ciągu dnia tylko dzieci bawiące się w chowanego docierają do tej alei. która poza tyń jest zupełnie nie uczęszczana i zapomniana. Od strony szosy widać jedynie szare od kurzu stopy drzewa. Rano i po południu, kiedy słońce przygrzewa, cały teren rozbrzmiewa gwarem, a ponad dziećmi bawiącymi się pośród belek i Cyganami. gotującymi strawę w kociołkach, odcina się na tle nieba kanciasta sylwetka tracza pochylającego się i pro? stującego miarowym ruchem wahadła, jakby chciał w ten sposób nadać rytm nowemu, bujnemu życiu, które wzrosło na dawnym miejscu wiecznego spoczynku. Jedynie

starzy ludzie, którzy siedząc na belkach grzeją się w promieniach zachodzącego słońca, wspominają jeszcze czasem o kościach przewożonych przez ulice Plassans w legendarnych laczkach, które widzieli na własne oczy.

Kiedy zapada noc, plac Świętego Mitry pustoszeje i przypomina czarny lej, w głębi którego widać tylko słaby blask cygańskiego ogniska. Czasem jakieś postaci znikają bezszelestnie w gęstych ciemnościach. Zwłaszcza zimą

miejsce to nabiera złowrogiego wyglądu.

f

Pewnej niedzieli wieczorem, około siódmej, jakiś młody człowiek wymknął się chyłkiem z uliczki Świętego Mitry. Przesuwając się pod ścianami dotarł do placu i zniknął pośród belek. Działo się to w pierwszych dniach grudnia 1851 roku. Zimno było przejmujące. Księżyc w pełni świecił ostrym blaskiem. Plac nie pograżył się w ponurą ciemność, jak to bywało w noc deszczowe, lecz pokreślony szerokimi smugami światła rozpościarał się melancholijnie, zastygł w mroźnym milczeniu.

Doszedłszy do placu młodzieniec zatrzymał się na chwilę i spojrzał przed siebie nieufnie. Pod kurtką ukrywał długą strzelbę, której lufa, skierowana ku ziemi, połyskiwała w promieniach księżyca. Przyciskając broń do piersi sondował wzrokiem kwadraty ciemności, które stopy desek rzucały w głąb placu. Utworzyła się tam jakby czarnobiała szachownica światła i cienia o wyraźnie zarysowanych polach. Pośrodku placu, na szarym i nagim kawałku ziemi, rysowały się kozły traczy, podłużne, wąskie, dziwaczne, podobne do jakiejś olbrzymiej figury geometrycznej nakreślonej atramentem na papierze. Reszta placu, pokryta nierówną posadzką z belek, zalana była senną światłością, poprzecinaną tu i ówdzie wąskimi pasmami cienia rzucanego przez wielkie tarcice. W lodowatym blasku księżyca leżące pokotem drewniane bale, nieruchome, i jakby czcziwbiałe we śnie, przypominały zmarłych z dawnego cmentarza. Młody człowiek przebiegł wzrokiem

H

tę pustą przestrzeń; arii żywej duszy, żadnego niebezpieczeństwa. Bardziej niepokoiły go mroczne miejsca w głębi. Jednak po krótkim namyśle szybko przeszedł przez plac. 4 Kiedy znalazł się pod osłoną ciemności, zwolnił kroku.

Szedł teraz zieloną aleją, wzdłuż muru, za stosami desek. Nie słyszał nawet odgłosu własnych kroków, czasem zaskrzypiała tylko pod jego stopami zmarznięta trawa. Musiał lubić to miejsce, nie obawiał się tu widać żadnego niebezpieczeństwa i oczekiwał, że spotka go tu coś miłego. Wyjął strzelbę spod kurtki, jakby nie potrzebował jej już ukrywać. Aleja wydłużała się jak smuga cienia; tu i ówdzie, prześlizgując się między stertami desek, księżyc kładł się na trawie świetlistą kreską. Światła i cienie, wszystko naokół spało snem głębokim, łagodnym i smutnym. Z niczym nie dałoby się porównać spokoju tego zakątka. Młodzieniec doszedł aż do końca alei, do miejsca, w którym biegnący wzdłuż niej mur, otaczający majątek Jas-Meiffren, załamuje się pod kątem prostym, i zatrzymał się nasłuchując,

I czy nie dochodzi stamtąd żaden szmer. Następnie pochylił się, odsunął jakąś deskę i ukrył strzelbę w stosie drzewa. ■ W samym rogu pod murem leżała kamienna płyta —

dawny nagrobek, zostawiony tu od czasów przenosin cmentarza. Ustawiona ukośnie, tworzyła jakby wysoką ławkę. Deszcz zmył jej brzegi, mech wgrzyzał się w nią zwolna. W świetle księżyca można jednak było dojrzeć jeszcze fragment epitafium wrytego od strony, która częściowo zanurzała się w ziemię: Tu spoczywa... Maria... zmarła... Resztę zatarł czas.

Ukrywszy strzelbę, młody człowiek znów przytknął ucho do muru, a nie słysząc postanowił zajrzeć na drugą stronę i wszedł na płytę. Mur był niski; łokciami oparł na okrywającym go spadzistym daszku. Lecz za ciągnącym się wzdłuż ogrodzenia rzędem morw ujrzał jedynie szeroką równinę, zalaną światłem; nagie pola majątku Jas-Meiffren. bez drzew, rozpościarały się w świetle księżyca jak olbrzymia sztuka szarego płótna; w odległości ja-

l jMwC

Kichś stu metrów dom mieszkalny i czworaki odcinały się jaskrawymi plamami bieli. Młody człowiek spoglądał z niepokojem w tamtą stronę, gdy nagle usłyszał powolne i pełne powagi uderzenia miejskiego zegara. Policzył je, a kiedy zorientował się, że wybiła siódma, zszedł z płyty z wyrazem zdziwienia i ulgi.

Usiadł na ławce, jak człowiek, który pogodził się z tym, że będzie musiał długo czekać. Zdawał się nie czuć zimna. Przez pół godziny trwał nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w ciemności, zamyślony. Kiedy siadał, ławka znajdowała się w cieniu, lecz wschodzący księżyc dotarł do niej zwolna i oświetlił jego głowę.

Wyglądał na zucha, a miękki zarys ust i delikatna cera zdradzały jego młodość. Mógł mieć około siedemnastu lat. Było w nim jakieś swoiste piękno.

Jego twarz, szczupła i pociągła, zdawała się być wyrzeźbiona ręką potężnego artysty: wypukłe czoło, orli nos, szeroka broda, wystające kości policzkowe, wszystko to cyliło ją niezmiernie wyrazistą. Można było przewidzieć, że z biegiem lat twarz ta stanie się zbyt koścista i chuda. Lecz na razie ostre jej rysy łagodziła dziecinna miękkość wyrazu i pełne uroku spojrzenie piwnych oczu. Nie w każdej kobiecie potrafiłby on tchnęła takim entuzjazmem i siłą, że dziewczęta z jego stron, smagłe dziewczęta Południa, na pewno marzyły o nim, kiedy w jakiś upalny wieczór lipcowy przechodził koło drzwi ich domu.

Pogrążony w zadumie siedział dalej na kamiennej płycie nie czując, że sływa po nim struga światła. Był średniego wzrostu, barczysty -r sprawiał wrażenie krępego. Ręce miał stwardniałe od pracy, a jego duże stopy, obute w sznurowane trzewiki, wydawały się prawie kwadratowe. Zgrubiałe w stawach kończyny i pewna ociężałość całej postaci wskazywały na to, że pochodził z ludu; lecz w sposobie, w jaki trzymał głowę, i w błysku jego myślących oczu był

jakby głuchy bunt przeciwko otepiałemu wysiłkowi fizycznemu, który zaczynał już przyginać go ku ziemi. Musiała to być jedna z owych inteligentnych, subtelnych jednostek, jedna z owych delikatnych natur, przytłoczonych ciężarem swego pochodzenia, uwięzionych w ciele prostaka i cierpiących nad tym, że nie może wyzwolić się spod tego grubego pancerza i zabłysnąć. Toteż mimo swej siły wydawał się nieśmiały, pełen niepokoju i wstydu z powodu swych braków, z których zdawał sobie sprawę nie wiedząc jednak, w jaki sposób je uzupełnić/Dziecko, które nie pojmując wielu rzeczy tym bardziej skłonne było do entuzjazmu, mężczyzna rozumujący jak mały chłopiec, uległy jak kobieta i odważny jak bohater. Tego wieczoru miał na sobie zielonkawą ubranie z welwetu. Kapelusz z miękkiego filcu, zsunięty nieco na tył głowy, ocieniał mu czoło. | Kiedy na pobliskim zegarze wybiło wpół do ósmej, młodzieniec ocknął się z zamyślenia. Widząc, że znalazł się w kręgu światła, rozejrzał się z niepokojem wokoło i cofnął gwałtownie w cień. Wątek jego marzeń zerwał się i nie potrafił go już podjąć. Poczuł, że zmarzły mu ręce i nogi — i ogarnięty na nowo zniecierpliwieniem po raz drugi wszedł na płytę i zajrzał na drugą stronę muru. Jas? Meiffren w dalszym ciągu było milczące i puste. Nie wiedząc, czym zabić czas, zszedł, wyjął strzelbę ze stosu desek, gdzie schował ją przedtem, i zaczął się nią bawić. Był to długi i ciężki karabin, który z pewnością należał kiedyś do jakiegoś przemysłowca; po grubości kolby i potężnym zamku łatwo można było poznać dawną broń skałkową, którą miejscowy rusznikarz przerobił na pistolet. Takie strzelby widuje się czasem na wsi zawieszane nad kominkiem. Młody człowiek pogłaskał czule swą broń; ze dwadzieścia razy odwodził i spuszczał kurek, wsunął mały palec do lufy i uważnie obejrzał kolbę. Ogarniał go entuzjazm, mający w sobie coś dziecinnego. Przyłożył karabin do twarzy, mierząc w próżnię, jaft rekrut na ćwiczeniach.

Zbliżała się ósma. Młodzieniec trzymał przez chwilę broń jakby gotową do strzału. Nagłe od strony Jas-Aleiffren dobiegi go czyjs zdyszany głos i usłyszał ciche pytanie: — Czy jesteś tu, Sylweryuszu?

Rzucił strzelbę, zerwał się i w mgnieniu oka znalazł się na kamiennej płycie.

— Jestem, jestem — oclpar/ szeptem. — Zaczekaj, po- mogę ci przejść.

Nim jednak zdążył wyciągnąć rękę, nad murem ukazała s/ę głowa młodej dziewczyny. -Chwyając się gałęzi morwy wdrapała się na ogrodzenie zręcznie jak kotka. Pewność i swoboda jej ruchów świadczyły o tym, że ta niezwykła droga dobrze jej była znana. Kiedy znalazła się na daszku okrywającym mur, Sylweryusz chwycił ją w ramiona i postaw/7 na ławce. Lecz ona wrywała mu się.

— Da/ze spokój — mówiła śmiejąc się przy tym jak rozbaw/one dziecko — dajże spokój... Potrafię doskonale zejść sama.

A potem zapytała:

— Długo na mnie czekałeś?... Tak biegłam; że aż się ż dysza lam.

Sylweryusz milczał.. Nie uśmiechnął się nawet, patrzył na dziewczynę smutnym wzrokiem. Wreszcie usiadł obok niej i powiedział:

— Chciałem zobaczyć się z tobą, Mietto. Czekałbym na ciebie choćby i do rana.,. Jutro o świcie ruszam...

Mietta zobaczyła strzelbę leżącą na trawie. Spowaźniała nagle i szepnęła:

— Ach!... więc to już postanowione... a to twoja strzelba...

Zapadło milczenie.

— Tak — odparł wreszcie Sylweryusz lekko drżącym głosem — to moja strzelba... Wolałem wynieść ją z domu diii wieczorem, bo jutro rano ciotka Di da mogłaby zooa- czyć, że ją biorę, i zaniepokoiłaby się... Schowani W i przyjdę po nią, kiedy będę ruszał w drogę.

II

m

A widząc, że Mietta nie może oderwać oczu od broni, którą niepotrzebnie zostawił na trawie, wstał i wsunął ją na dawne miejsce, pomiędzy deski.

— Dowiedzieliśmy się dziś rano — rzekł siadając z powrotem — że powstańcy z la Palud i z Saint-Martin-de-Vaulx już wyruszyli. Ubiegłej nocy byli w Alboise. Marny się z nimi połączyć. Dziś po południu część robotników opuściła Plassans, a ci, którzy jeszcze pozostali, jutro przyłączą się do swych braci.

Słowo „bracia" wymówił z młodzieńczą emfazą i ożywiając się dodał z przejęciem:

— Walka jest nieunikniona, Iccz przyniesie nam ona zwycięstwo, ponieważ bronimy słusznej sprawy!

Mietta słuchała go patrząc przed siebie niewidzącymi oczami. Kiedy zamilkł, rzekła po prostu:

— To dobrze.

A po chwili dorzuciła:

— Uprzedzałeś mnie, że to nastąpi... ale mimo to miałam jeszcze nadzieję... No cóż, trudno.

Nie znajdowali innych słów. Opustoszały ką płacu i zielona a leja nabrały z powrotem melancholijnego uroku i tylko wędrujący księżyc.przesuwał po trawie cienie desek ułożonych w stosy. W jego bladym świetle milcząca para zastygła w bezruchu na kamiennym nagrobku. Sylweryusz obejmował Miettę ramieniem, a ona tuliła się do niego. Nie wyniicniali pocałunków, iclf uścisk pełen był niewinnej tkliwości i czułości braterskiej-

Mietta miała na sobie brązowy pelerynę z kapturem, która sięgała jej aż do stóp i okrywała ją całą. Widać" było tylko jej głowę i ręce. W Prowansji kobiety z luciu, chłopki i robotnice, noszą jeszcze owe szerokie peleryny, których moda sięga bardzo dawnych czasów. Siadając, Mietta zsunęła kaptur do tyłu. Przyzwyczajona do przebywania stale na powietrzu nie odczuwała zimna i me nosiła nigdy czepka. Jej obnażona głowa rysowała się wyraźnie na tle muru, pojaśniałego w księżycowym świetle. Było to jeszcze dziec-

21

■ko, lecz dziecko, które przemienia się w kobietę. Przeżywała ten pełen uroku, prawie nieuchwytny okres, kiedy w małej < dziewczynce rodzi się młoda panna. Każda dziewczyna ma r w sobie wtedy subtelny wdzięk rozkwitającego pąka, czaru- jącą płynność nie uformowanych jeszcze kształtów: w szczu- | płym i niewinnym ciele dziecka zarysowują się już nieśmiało przysze krągłe linie dojrzałej kobiety, która budzi się teraz pełna młodzieńczego zawstydzenia. Dla niektórych dziew- cząt nie jest to okres korzystny: nagle śmigają w górę, brzydą, mizerniej i żółkną, jak przedwcześnie wybująe rośliny. Dla Mietty — podobnie jak i dla wszystkich dziewcząt przebywających stale na świeżym powietrzu i silnych — była tóniepowrotna chwila rozkwitu. Mietta miała trzynaście lat i mimo że jak na swój wiek była rosła, nikt nie dałby jej więcej, wystarczyło bowiem spojrzeć na jej twarz, którą rozjaśniał chwilami uślięch jasny i naiwny, żeby się przekonać, że to jeszcze dziecko- Klimat i ciężkie warunki życia sprawiły jednak, że szybko dojrzała fizycznie. Była pr&wie tego wzrostu co Sylweryusz, pulchna i pełna życia. Tak samo jak u młodego człowieka, jej uroda miała specyficzny charakter. Nie można było nazwać jej brzydką/ lecz wielu pięknym młodzieńcom musiała wydawać się co najmniej dziwna. Miała wspaniałe włosy: wznosiły się bujną falą od czoła i spływały ku tyłowi, podobne do wzburzonego morza, czarne jak atrament. Były tak gęste, że nie umiała sobie z nimi poradzić. Przeszkadzały jej. Skręcała je najmocniej, jak tylko mogła, w pasma grubości dziecinnej piąstki i upinała w tyle głowy. Nie miała czasu myśleć o swej fryzurze, ale mimo to olbrzymi węzeł, splatany naprędcie, feez lustra, nabierał pod jej palcami szczególnego uroku. Dość było spojrzeć na ten żywy kask, na te niesforne kosmyki wijące się ha jej skroniach i szyi, aby zrozumieć, dlaczego chodziła z gołą głową, nie obawiając się deszczu ani. mrozu. Pod czarną smugą włosów, czoło bardzo niskie miało kształt i barwę księżycy na nowiu. Oczy duże, wypukłe, nos krótki, o szerokich nozdrzach, zadarty; wargi za pełne i za czer

22

wone — każdy z tych szczegółów brany z osobna mógł wydawać się brzydki. Lecz w uroczej knjgłości twarzy drgającej życiem tworzyły one całość urzekającą i niepospolitą. Kiedy szła, z głową odrzuconą do tyłu i przechyloną lekko na prawe ramię, piersią wezbraną dźwięcznym weselem, policzkami okrągłymi jak u dziecka, zęgamy połyskującymi bielą, splotami kręconych włosów, obejmujących jej głowę ruchliwym wieńcem podobnym do korony z liści winogrodu, Mietta przypominała antyczną bachantkę. Chcąc odnaleźć w niej niewinną trzynastolatkę, trzeba było posłuchać, jak dziewiczo brzmiał jej śmiech, a przede wszystkim przyjrzeć się delikatnemu zarysowi brody i skroni. Jej twarz, ogorzała od słońca, nabierała chwilami, gdy padło na nią światło, złotawej barwy bursztynu. Górną wargę ocieniał lekki czarny meszek. Na jej małych, krótkich rękach, które — pozostając beczynne— mogły być stać się pulchniutkimi" rączkami mieszczy, znać już było ślady pracy.

Mietta t Sylweryusz długo siedzieli w milczeniu. Zdawało się, że czytają nawzajem swe myśli, pełne popłochu. I czym głębiej pograżali się w lęku i niepewności jutra, tym mocniejszy stawał się ich uścisk. Rozumieli się aż do dna i oboje wyczuwali bezsens i okrucieństwo głośnych skarg. Dziewczyna nie mogła jednak powstrzymać się dłużej i w jednym zdaniu wyraziła dławiający ich niepokój.

— Wrócisz, prawda? — szepnęła tuląc się do Sylwe- rfusza.

Tamten, nic nie mówiąc, z gardłem ściśniętym i bojąc się, że rozplacze się jak ona, pocałował ją w policzek jak brat, który nie umie znaleźć innej j>ociechy. Po chwili odsunęli się od siebie i znów pograżyli w milczeniu.

Nacie Miettą wstrząsnął dreszcz. Nie opierała się już o ranfię Sylweryusza i poczuła, że przenika ją lodowaty chłód. J<^zce wczoraj nie drżałaby w ten sposób, siedząc w głębi tej pustej alei, na kamiennej płycie, gdzie zaznali tyle słodczy, pośród zmarłych śpiących spokojnie.

23

— Zimno mi — powiedziała naciągając na głowę • kaptur.

— Może przejdziemy się trochę? — zapytał chłopiec. — , Nie ma jeszcze dziewiątej, możemy pójść kawałek szosą.

Mietta myślała o tym, że teraz na długo może pozbawiona zostanie tych wieczornych spotkań i rozmów, które stano- , wiły radosną treść jej dni.

— Dobrze, przejdźmy się — odparła żywo — chodźmy aż do młyna. Zostałabym z tobą na całą noc, gdybyś chciał.

Zostali więc i ukryli się w cieniu desek. Mietta odchyliła pelerynę, pikowaną w drobne romby i podszytą jaskrawo- czerwona podszewką, i jedną połę tego ciepłego, szerokiego płaszcza zarzuciła na ramiona Sylweryusza, otulając go całego, tak że znalazł się tuż obok niej, pod tym samym okryciem. Objęli się w pół, tworząc w ten sposób jedną . postać, której kształty gubiły się w fałdach peleryny, i ruszyli drobnym krokiem w stronę szosy, bez obawy przechodząc przez pusty plac, srebrny od księżyGa. Mietta otuliła Sylweryusza, a on przyjął to jak rzecz zupełnie naturalną, jak gdyby jej peleryna każdego wieczoru oddawała im podobną przysługę.

Biegająca środkiem przedmieścia szosa, która prowadzi do Nicei, była w roku 1851, wysadzana stuletnimi wiązami. Przypominały one potężnych starców, imponujące ruiny, pełne jeszcze mocy. Przed kilkoma laty zapobiegliwe władze miejskie zastąpiły je wątłymi platanami. Kiedy Sylweryusz i Mietta znaleźli się pod drzewami, których monstualne cienie padały na drogę, -spotkali kilkakrotnie ciemne postacie przesuujące się w milczeniu wzdłuż domów. Były to pary zakochanych, którzy, tak jak oni szczelnie otuleni jednym okryciem, spacerowali wymieniając w mroku dy^retne uściski.

Wśród kochanków miast południowych przyjął się ten rodzaj spaceru. Chłopcy i dziewczęta, którzy zamierzają się pobrać, a mają ochotę wycalaować się trochę przedtem, nie wiedzą, gdzie się schronić, żeby nie stać się przedmiotem plótek. Mimo że rodzice zostawiają im zupełną swobodę, nie mogą wynajść pokoju w mieście i spotykać się tam sam na sam, gdyż zaraz następnego dnia wytykano by ich palcami, nie mają zaś tyle czasu, żeby móc każdego wieczoru szukać samotności za miastem, wśród pól. Obrali więc sposób pośredni: spacerują po przedmieściach, pustych placach, zadrzewionych drogach, słowem: wybierają miejsca, gdzie bywa mało przechodniów, a wiele ciemnych zakamarków, a nie chcąc, żeby ich poznano, kryją się w fałdach peleryn, tak obszernych, że mogłyby pomieścić całą rodzinę. Rodzice tolerują te nocne wyprawy, prowincjonalna moralność nie , wydaje się nimi zaalarmowana, zakłada bowiem z góry, że kochankowie nie zatrzymują się w ciemnych zakątkach ani też nie siadają we wgłębieniach terenu, i to wystarcza, aby uspokoić wstydlive paniusie, skłonne do obaw o cudzą cnotę. Chodząc, można się pizecież tylko całować. Czasem jednak którejs z dziewcząt zdarzy się nieszcześnie: widocznie usiadła.

. Trudno o coś bardziej wdzięcznego od tych miłosnych . przechadzek. Pieszczotliwa i bogata w pomysły wyobrażenia ludzi Południa znajduje w nich swój pełny wyraz^ Są to prawdziwe maskarady, obfitujące w przyjemności dostępne nawet dla najbiedniejszych. Wystarczy, by dziewczyna rozchyliła poły peleryny, a jej chłopiec ma już gdzie się schronić; ukrywa go na sercu, pod ciepłą opończą, podobnie jak małe mieszczki ukrywają swych kochanków pod łóżkiem lub w szafie. Zakazany owoc nabiera tu specjalnej słodyczy: zjada się go bowiem pod gołym niebem, na drogach, pośród obcych. Szczególnego smaku pocałunkom dodaje świadomość, że można zamieniać je bezkarnie wobec wsiystkich, że można tulić się . do siebie cały wieczór, nie narażając się na obmowę i skandal. Każda z par jest tylko brunatną sylwetką, podobną do innych. Dla spóźnionego przechodnia te

mijające go niekształtne postacie są po prostu obrazem miłości; miłości bezimiennej, której można domyślać się tylko, nie znając jednak jej twarzy. Kochankowie wiedzą, że są bezpieczni w swej kryjówce, rozmawiają przyciszonym głosem, czują się jak u siebie; najczęściej jednak milczą spacerując całymi godzinami, szczęśliwi, że mogą się tulić pod jednym okryciem. Jest w tym coś bardzo zmysłowego i bardzo dziewiczego zarazem. Klimat jest tu największym winowajcą, on to bowiem sprawił, że kochankowie zaczęli poszukiwać cichych ustroni na przedmieściach. Przechodząc w jakąś piękną noc letnią przez Plassans, spotyka się co krok zakapturzone pary kryjące się w cieniu murów; niektóre % miejsca, jak na przykład plac Świętego Mittry, roją się od tych postaci przypominających domina z maskarady; ocierają się one o siebie bezszelstnie pośród ciepłych tchnień pogodnej nocy, niby uczestnicy tajemniczego balu wydanego przez gwiazdy dla ubogich kochanków. Kiedy jest zbyt gorąco i dziewczęta nie noszą peleryn, zadowolają się zarzuceniem na głowę wierzchniej spódnicy. W zimie — najbardziej zakochani drwią sobie z mrozu. Mietla i Sylweryusz, idąc szosą prowadzącą do Nicei, nie myśleli uskarżać się na zimno grudniowej nocy.

Minęli uśpione przedmieście nie mówiąc do siebie ani słowa.*W milczeniu rozkoszowali się ciepłem łączącego ich uścisku. Serca ich były pełne smutku, szczęście, którego do- | znawali tuląc się do siebie, tniało bolesny posmak rozstania i wydawało im się, że nigdy nie zgłębią do dna gorzkiej słodyczy tej ciszy towarzyszącej ich krokom. Szeregi domów przerzedziły się wkrótce; zbliżali się do krańców przedmieścia. Znajdowała się tam brama wjazdowa majątku Jas- Meiffren: dwa duże filary połączone kratą, przez którą widać 1 było długą aleję drzew morwowych. Przechodząc tamtędy Sylweryusz i Mietta mimo woli rzucili okiem na tę po- [j; siadł ość.

Za Jas-Meiffren szosa opada łagodnie ku dolinie, którą płynie Viorna — strumyk w lecie, a rwący potok zimą. Dwa

rzędy wiązków, rosnących po obu stronach drogi, przemieniały ją we wspaniałą aleję, przecinającą zбочe poroście zbożem i wątłymi krzewami winorośli szeroką wstęgą olbrzymich drzew. Owej grudniowej nocy świeżo zorane pola, ciągnące się wzdłuż szosy, podobne były w jasnym i chłodnym świetle księżycy do płatów szarawej waty, która głużyła wszelkie dźwięki. Jedyne dobiegający z oddali głuchy szum Viorny maćił panującą ciszę.

Kiedy zaczęli schodzić w dół szeroką aleją, myśli Mietty zawróciły ku Jas-Meiffren, które dopiero co minęły.

— Bardzo mi było trudno wymknąć się dziś wieczór — powiedziała, -r- Wuj co chwila dawał mi jakąś nową robotę. Zamknął się w piwnicy — pewnie zakopywał tam pieniądze, bo ostatnie wiadomości dziś rano ogromnie go przeraziły.

Sylweryusz uściskał ją czule.

>— Bądź dzielna — odparł. — Nadejdzie czas, kiedy będziemy spędzać ze sobą całe dni. Nie martw się tylko niczym,

— Och tt- odrzekła dziewczyna potrząsając głową — ty nigdy nie tracisz nadziei, ale ja... Bywają dni, kiedy jest mi bardzo smutno; to nie ciężka praca mnie gnębi, przeciwnie, nieraz jestem szczęśliwa, że wuj jest taki twardy dla mnie i tyle ode mnie wymaga. Miał rację, że zrobił ze mnie chłopkę, bo kto wie, co by ze mnie wyrosło... Widzisz, Sylweryu- szu, chwilami wydaje mi się, że jestem przekłeta... Pragnę wtedy umrzeć... Wiesz, o kim myślę wówczas...

Głos jej się załamał. Sylweryusz przerwał jej tonem prawie szorstkim.

— Przestań — powiedział. — Obiecywałaś mi, że nie będziesz tyle o tym myśleć. To nie ty popełniłaś tę zbrodnię.

Poczynam dorzucił łagodniej:

— Kochamy się oboje, prawda? Jak się pobierzemy, to nie będziesz już miewała takich złych chwil.

— Ja wiem — szepnęła Mietta — ty jesteś dobry, ty jeden wyciągasz do mnie rękę... Ale cóż ja na to poradzę, że się boję, że buntuję się czasem. Wydaje mi się nieraz, ie

słała mi się krzywda, i pali mnie gniew. Przyznaję ci się szczerze do wszystkiego. Ilekroć ludzie ciskają mi w twarz nazwisko mego ojca, doznaję takiego uczucia, jakby ktoś smagnął mnie biczem. Kiedy idę drogą, chłopcy wołają na mój widok: „Patrzenie, mała Chantegreil!” Tracę wtedy panowanie nad sobą. Miałabym chęć dostać icie w swoje ręce i bić.

A po chwili chmurnego milczenia dodała:

— Zazdroścę ci, że jesteś mężczyzną i że będziesz strzelał...

Sylweryusz pozwolił jej się wypowiedzieć. Uszli jeszcze parę kroków, wtedy odezwał się smutnie:

— Nie masz racji, Mietto, i niedobry jest twój gniew. Nie trzeba buntować się przeciwko sprawiedliwości. Ja będę się bił o nasze wspólne prawa, a nie po to, żeby zaspokoić pragnienie osobistej zemsty.

— Wszystko jedno — ciągnęła dziewczyna — chciałabym być mężczyzną i strzelać. Wydaje mi się, że przyniosłoby mi to ulgę.

Sylweryusz patrzył na nią w milczeniu, zrozumiała więc, że jest z niej niezadowolony. Uspokoiła się natychmiast.

— Nie gniewaj się na mnie—szepnęła błagalnie.— Jestem zgnębiona tym, że muszę się z tobą rozstać, i dlatego przychodzą mi do głowy takie myśli. Wiem dobrze, że masz rację i że nie powinnam się buntować... Zaczęła płakać. Sylweryusz, wzruszony, ujął jej ręce i ucałował je.

— Jesteś jak małe dziecko — powiedział z czułością. — To się złościsz, to znów płaczesz. Postaraj się być troszkę bardziej rozsądna. Nie gniewam się na ciebie wcale. Chciałbym tylko, żebyś była szczęśliwsza, a to w dużej mierze zależy od ciebie samej.

Przez parę minut pograżeni byli w smutku, jaki ogarnął ich na wspomnienie dramatu, o którym napomknęła Mietta. Szli z opuszczonymi głowami, przygnębieni.

— Czy myślisz, że ja jestem szczęśliwszy od ciebie? — zapytał po chwili Sylweryusz, mimo woli wracając do przerwanej rozmowy. — Gdyby nie babka, która zabrała mnie do siebie na wychowanie, cóż by się ze mną stało? Oprócz wuja Antoniego, który tak jak ja jest robotnikiem i nauczył mnie kochać Republikę, wszyscy moi krewni boją się, że mógłbym ich zabrudzić, gdybym się do nich zbliżył!

W miarę jak mówił, ogarniało go podniecenie; przysłała! na środku drogi.

Bóg mi świadkiem — ciągnął — że nie zazdroścę nikomu ani czuję do nikogo nienawiści. Ale jeżeli zwyciężymy, powiem tym wszystkim eteganckim panom, co o nich myślę. Wuj Antoni wie o nich niejedno! Zobaczysz, jak się wszystko zmieni, kiedy tu wrócimy. Będziemy wolni i szczęśliwi.

Mietta pociągnęła go łagodnie i ruszyli dalej.

Widzę, że bardzo kochasz tę swoją Republikę — powiedziała dziewczyna usiłując żartować. — Bardziej pewno niż mnie.

Śmiała się, lecz w śmiechu jej dźwięczała gorycz. Myślała pewnie, że Sylweryuszowi łatwo przychodzi się z nią rozstać, gdyż pociąga go szeroki świat. Młody człowiek odparł poważnie:

— Ty jesteś moja i tobie oddałem całe serce. Kocham Republikę dlatego, że kocham ciebie. Chcę, żebyśmy byli szczęśliwi, jak się pobierzemy, i o tę przypadającą nam część szczęścia będę walczył... Nie będziesz mi chyba radziła, żebym został w domu?

— O, nie! — zawołała Mietta żywo. — Mężczyzna powinien być odważny. Odwaga to piękną rzecz! Wybacz mi, że byłam zazdrosna. Chciałabym być laka dzielna jak ty. Kochałbyś mnie wtedy jeszcze bardziej, prawda?

Milczała chwilę, a potem dorzuciła z czarujący naiwnością:

— Ach, jakże ja cię ucałuję, kiedy wrócisz!

Ten okrzyk, dobywający się z głębi kochającego serca, głęboko wzruszył Sylweryusza. Chwyił Miettę w ramiona i kilkakrotnie ucałował w policzki. Dziewczyna broniła się ze śmiechem. Oczy miała pełne łez.

Naokół nich wszystko pogrążone było we śnie, w wielkiej, mroźnej ciszy. Doszli do połowy zbocza. Po lewej stronie wznosił się pagórek, na szczycie którego widniały białe w świetle księżyca ruiny wiatraka. Nie miał skrzydeł, a część jego była zburzona. Był to cel ich przechadzki. Szli dotąd przed siebie, nie patrząc na pola, które mijali, i dopiero Sylweryusz, kiedy pocałował Miettę i podniósł głowę — dostrzegł wiatrak.

— Ależ daleko za szliśmy! — zawołał. — Spójrz, jesteśmy koło wiatraka! Na pewno jest już po dziewiątej, trzeba wracać

Mietta zrobiła niezadowoloną minę.

—• Chodźmy jeszcze kawałeczek —• prosiła — jeszcze parę kroków, aż do dróżki... Tylko do dróżki, naprawdę!

Sylweryusz uśmiechnął się i ponownie objął ją ramieniem. Ruszyli dalej szosą w dół. Nie; potrzebowali już obawiać się ciekawych spojrzeń przechodniów, od chwili bowiem kiedy zostawili za sobą ostatnie domy, nie spotkali żywej duszy. W dalszym ciągu jednak szli ukryci pod obszerną peleryną. Ow strój, ogólnie przyjęty, stał się schronieniem ich miłości. Korzystali z niego przez tyle szczęśliwych wieczorów! Każde z nich, idąc osobno, czułoby się samotne i małe wobec bezmiarów pól. Świadomość, że stanowią jedno, dodawała im pewności i odwagi. Spoglądali na pola ciągnące się po obu stronach szosy, lecz nie przytłaczała ich obojętność rozległego krajobrazu. Zdawało im się, że zabrali ze sobą swój dom, i rozkoszowali się otaczającym ich widokiem, odnosząc wrażenie, że przyglądają mu się z okna swego pokoju. Lubili spokojną samotność nocy, senne światło księżyca, niewyraźne zarysy drzew i krzewów, rozpościerającą się przed nimi dolinę, której piękno nie było jednak w stanie ich rozdzielić.

Coraz częściej zapadało między nimi milczenie. Przestali mówić o drugich i o sobie samych nawet; rozmarzeni ciepłem swych ciał chłonęli chciwie mijającą chwilę, wymieniali od czasu do czasu uścisk dłoni, wydawali okrzyki na widok jakiegoś zakątka krajobrazu, wypowiadali z rzadka jakieś pojedyncze zdania, których sens nie bardzo do nich docierał. Sylweryusz zapomniał o entuzjazmie dla Republiki, a Mietta nie myślała o tym, że za godzinę jej ukochany opuści ją na długo, może na zawsze. Tak jak w inne wieczory, kiedy widmo rozłąki nie zakłócało spokoju ich spotkań, poddawali się urokowi swej miłości.

Szli ciągle naprzód. Wkrótce doszli do dróżki, o której mówiła Mietta, wiodącej do wsi położonej nad Viorną. Nie zatrzymali się jednak, udając, że nie widzą tej ścieżki, od tego miejsca bowiem postanowili zawrócić. Dopiero w chwilę później Sylweryusz szepnął:

— Musi być już bardzo późno. Zmęczysz się. r— Daję ci słowo, wcale nie jestem zmęczona — odparła dziewczyna. — Mogłabym iść tak jeszcze nie wiem dokąd.

— Chodźmy aż do łąk Świętej Klary, dobrze? — dodała prosząco. Tam już naprawdę zakończymy nasz spacer i wrócimy tą samą drogą.

Sylweryusz, ukołysany rytmicznym krokiem dziewczyny, drzemał z otwartymi oczami. Zgodził się na propozycję Mietty i z powrotem pogrążyli się w ekstazie. Posuwali się wolno, chcąc jak najdalej odsunąć tę chwilę, kiedy będą musieli zawrócić, póki bowiem szli ku łąkom, mogli jeszcze. poddawać się złudzeniu, że ich uścisk trwać będzie wiecznie: powrót ku miastu oznaczał rozłąkę, okrutne rozstanie.

Pochyłość zbocza stawała się coraz łagodniejsza. Przed nimi w dolinie rozpościerały się łąki, które ciągnęły się do Viorny, i dalej, po drugiej jej stronie, aż do linii niskich pagórków. Łąki te, żywopłotem oddzielone od szosy, ochrzczono imieniem Świętej Klary.

— Wiesz — zawołał z kolei Sylweryusz dostrzegając pierwsze kępy traw — dojdziemy do mostu

Mietta wybuchnęła radosnym śmiechem. Złapała chłopca i za szyję i ucałowała go głośno.

W miejscu, gdzie zaczyna się żywopłot, rosną dwa olbrzymie wiąz, kolosy większe jeszcze od innych. Dalej, aż do wierzb i brzoź rosnących nad rzeką, łąki ściągają się szerokim pasem wełnistej zieleni. Od ostatnich wiązków aż do mostu było najwyżej trzysta metrów. Zakochani przebyli tę przestrzeń nie prędzej niż w kwadrans. Wreszcie jednak, mimo zwolnionego kroku, znaleźli się na moście: Przystanęli.

Przed nimi, po przeciwnym zboczu kotliny, pięła się szosa prowadząca do Nicei; widzieli jednak tylko mały jej skrawek, gdyż w odległości pół kilometra od mostu skręca ona gwałtownie i ginie wśród zalesionych pagórków. Odwracając się ujrzeli ten jej odcinek, który przebyli, biegnący w prostej linii z Plassans do Yionny. W mroźnym świetle księżyca przypominał on długą, srebrzystą wstęgę o meta-licznym połysku, obrzeżoną po obu stronach ciemną pustką wiązków. Ciągące się wzdłuż niej zorane pola przywodziły na myśl szeroko rozlane szarawe wody. Na szczycie wzgórza nieliczne oświetlone jeszcze o tej porze okna na przedmieściu iskrzyły się w ciemności. Mietta i Sylweryusz zdążyli znacznie oddalić się od miasta, spoglądali teraz na drogę, którą przyszli, i ogarniał ich niemy zachwyt na widok wznoszącego się ku niebu olbrzymiego amfiteatru, o ścianach zalanych falami niebieskawego światła. Ten fantastyczny krajobraz, podobny do jakiejś dziwacznej dekoracji, zamarł w milczącym bezruchu. Nie mogło być nic bardziej olśniewającego w swej wielkości.

Młodzi, wsparci o poręcz mostu, spojrzeli w dół, na rzekę. Viorna, wezbrana deszczem, szumiała głucho. Mimo ciemności dostrzegali czarne, sylwetki drzew rosnących na jej brzegach. Tu i ówdzie ślizgały się po powierzchni wody promienie księżyca, podobne do strużek roztopionej cyny. Te migotliwe smugi, płynące pośród niewyraźnych zarysów listowia, miały jakiś tajemniczy urok i zamieniały to miejsce w zaczarowane królestwo światła i cieni.

Kochankowie znali dobrze ów zakątek; przychodzili tutaj nieraz w parne noce lipcowe szukając ochłody i spędzali długie godziny ukryci w cieniu wierzb na prawym brzegu, tam gdzie łąki Świętej Klary rozciągają swój zielony kobierzec aż po samą rzekę. Pamiętali każdą nierówność terenu, każdy kamień, po których przechodziło się przez Viornę, na pół wyschniętą o tej porze roku, każde zarosłe trawą wgłębienie, które służyło im za posłanie. Z wysokości mostu Mietta spoglądała teraz łakomie ku prawemu brzegowi.

— Och, gdyby tak było cieplej, moglibyśmy zejść tam na chwilę* i odpocząć, zanim ruszymy z powrotem: westchnęła.

A po chwili milczenia dodała nie przestając wpatrywać się w rzekę:

— Spójrz, Sylweryuszu, widzisz tę ciemną plamę niedaleko tamy... Pamiętasz? To zarośla, w których siedzieliśmy w dniu święta Bożego Ciała.

— Tak, to te zarośla — odparł cicho Sylweryusz.

Tam po raz pierwszy pocałowali się w policzki. To wspomnienie, wywołane słowami dziewczyny, przeniknęło ich rozkosznym uczuciem, w którym radość dnia wczorajszego mieszała się z nadzieją jutra. Jakby w świetle błyskawicy ujrzeli nagle dobre wieczory, jakie spędzili razem, zwłaszcza zaś ów wieczór Bożego Ciała. Przypomnieli sobie ze wszystkimi szczegółami: rozpięte nad nimi ciepłe niebo, chłodny cień-wierzby nad Yionną, własne ich słowa, pełne miłości. Poddali się słodczy wspomnień, a jednocześnie wydało im się, że rozsuwa się przed nimi zasłona zakrywająca przyszłość i że widzą siebie idących przez życie ramię przy ramieniu, tak jak niedawno szli drogą, ciepło okryci wspólną peleryną. I zapatrzeni w siebie, uśmiechnięci, zagubieni pośród milczącej jasności, popadli w zachwycenie.

Nagle Sylweryusz podniósł głowę. Zstąpił na plecy pelerynę i zaczął nasłuchiwać. Mietta, zdziwiona, poszła za

jego przykładem nie rozumiejąc, dlaczego odsunął się od niej tak gwałtownie.

Od paru chwil .spoza wzgórz, między którymi ginie szosa prowadząca do Nicei, dochodziły jakieś niewyraźne odgłosy,, jakby turkot. Pomruki Viorny tłumili zresztą te odległe; dźwięki. Powoli jednak stały się one bardziej wyraźne i przypominały odgłos kroków maszerujących żołnierzy. Po pewnym czasie można już było rozróżnić w tym nieprzerwanym,, wciąż wzrastającym szumie zmieszane głosy ludzkie, niby rytmiczny oddech huraganu, uderzenia piorunów, którymi zbliżająca się burza mąciła senny spokój 'wokół*.nich.. Sylweryusz łowił chciwie ten daleki gwar. Nagle na zakręcie drogi ukazała się zwarta, czarna masa i wybuchnęła- Marsylianka, śpiewana z mściwą furją.

— To oni! — zawołał Sylweryusz w radosnym uniesieniu.

Puścił się biegiem pod górę, pociągając za sobą Miette. Na lewo od szosy wznosiło się porośnięte młodymi dębami zbocze pagórka. Schronili się tam przed rozśpiewaną falą, która mogłaby ich zagarnąć.

Kiedy znaleźli się pośród krzewów, dziewczyna pobladła nieco, popatrzyła ze smutkiem na ludzi, których pieśń wystarczyła, by wyrwać Sylweryusza z jej objęć. Wydało się jej, że cały ten tłum stanął nagle między nimi. Jeszcze przed chwilą byli tacy szczęśliwi, bliscy sobie, sami i zagubieni w wielkiej ciszy i dyskretnym świetle księżyca. A teraz Sylweryusz zdawał się zapominać o jej obecności, wpatrzony w nieznanym, których nazywał braćmi.

Niepowstrzymana siła parła ich przed siebie. Trudno wyobrazić sobie coś wspanialszego niż to wtargnięcie parotysięcznego tłumu w martwy spokój krajobrazu. Droga piny- nęły nie kończące się fale ludzi; coraz to nowe ich szeregi ukazywały się spoza zakrętu, a kiedy pojawiły się ostatnie bataliony, Marsylianka trysnęła w niebo z taką mocą, jakby metaliczne jej dźwięki wydobywały się z potężnych trąb, docierając do każdego zakątka doliny. Pograżone we śnie pola ocknęły się nagle; ziemia zdrząła jak powierzchnia bębna, kiedy dobosz uderzy w nią pałeczkami, a echo podjęło płomienną melodię hymnu narodowego. Śpiewał ją teraz nie tylko maszerujący oddział; z krańców horyzontu, z odległych skał, zoranych pól, łąk, kęp drzew, krzewów zdawały się wydobywać głosy ludzkie, jakby jakiś niezliczony tłum, wiwatujący na cześć powstańców, zapełnił olbrzymi amfiteatr, wznoszący się od rzeki ku Plassans i tonący w niebieskawym świetle księżyca. Miało się wrażenie, że ukryci' w ciemnych zakamarkach nad Viorną ludzie powtarzają gniewnie słowa pieśni. Rozedrgane nią powietrze i ziemia domagały się zemsty i wolności. Nawet kamienie przydrożne zdawały się wstrząśnięte tym wołaniem.

Sylweryusz, pobladły z wrażenia, patrzył i słuchał. Pierwsze szeregi powstańców, za którymi płynęła ledwo dostrzegalna w ciemności dźwięczna rzeka ludzka, zbliżały się szybkim krokiem do mostu.

— Mówiłeś mi, że nie będziecie przechodzić przez Plassans -r- szepnęła Miette.

Widocznie plany uległy zmianie — odparł Sylweryusz — bo mieliśmy iść szosą na Tulon, skręcając na lewo od Plassans i Orcheres. Wyszli pewnie dziś po południu z Alboise, a wieczorem byli w Tulettes. Czoło kolumny doszło do miejsca, gdzie ukryli się Sylweryusz i Miette. W tej małej armii panował większy porządek, niż można się tego było spodziewać po zbiorowisku niezdyscyplinowanych cywilów. Mieszkańcy poszczególnych miast i miasteczek tworzyli osobne bataliony, idące w pewnej odległości jeden od drugiego. Każdy z nich miał swego dowódcę. Razem stanowili oni zwartą, potężną masę, dążącą naprzód z niezwykłą siłą. Liczyła ona chyba około trzech tysięcy ludzi, których unosił ten sam wichur gniewu. Cień,, rzucany na szosę przez wzgórze, zacierał jednak jej zarysy. Lecz w odległości kilkuset pięciu czy sześciu metrów od krzaków, w których schronili się Miette i Sylweryusz, padał na drogę szeroki snop światła, gdyż wznoszący się z lewej strony pagórek obniżał się

w tym miejscu; biegła tam ścieżka prowadząca wzdłuż Vior-ny. Kiedy idący na przedzie powstańcy znaleźli się w tej smudze jasności, padł na nich ostry blask, uwydatniając każdy, najdrobniejszy nawet szczegół ich twarzy i ubiorów. Coraz to nowe ich szeregi wynurzały się teraz w ciemności | naprzeciw Sylweryusza i Mietty.

Na widok pierwszych mężczyzn, którzy ukazali się w oświetlonej przestrzeni, Mietta przytuliła się instynktownie do Sylweryusza, mimo że czuła się bezpieczna, osłonięta przed cudzym wzrokiem. Objęła za szyję swego towarzysza i oparła głowę na jego ramieniu. Stała błada; z oczyma utkwionymi w prostokąt jasności, w którym ukazywały się dziwne twarze, rozgorzałe entuzjazmem, o czarnych otworach ust, z których dobywał się mściwy krzyk Marsylianki.

Sylweryusz czując, że Mietta drży, nachylił się do jej ucha i począł wymieniać nazwy poszczególnych oddziałów, w miarę jak ich mijały.

Maszerowali ósemkami. Na początku szli rośli mężczyźni o kanciastych twarzach. Wyglądali na olbrzymów o siłach Herkulesa i naiwności dziecka. Republika miała w nich znaleźć nieustraszonych, ślepo jej oddanych obrońców. Każdy z nich niósł na ramieniu wielką siekiere, której stal, świeżo wyostrzona, lśniła w blasku księżyca.

— To drwale z Seille — powiedział Sylweryusz. — Utworzono z nich kompanię saperów. Na rozkaz swego dowódcy ci ludzie ruszyliby nawet na Paryż, ciosami tóprlF obalając bramy miast, tak jak obalają stare dęby rosnące* w górach.

W głosie jego, kiedy mówił o potężnych pięściach swych towarzyszy, brzmiała duma. Ujrawszy idącą za drwałami grupę ogorzałych mężczyzn o dawno nie golonym zarostcie, objaśnił:

— To ludzie z la Palud. Oni pierwsi dali sygnał do powstania. Ci, którzy ubrani są w bluzy, to robotnicy pracujący przy obróbce dębów, a tamci, w welwetowych kurtkach, to pewno strzelcy i smolarze, z doliny Seille... Ci strzelcy

znali twego ojca, Mietto. Mają dobrą broń, którą doskonale umieją się posługiwać. ?Ach, gdyby wszyscy byli tak uzbrojeni jak oni! Brak nam jest strzelb. Spójrz, robotnicy mają tylko kije. .

Mietta patrzyła i słuchała w milczeniu. Kiedy Sylweryusz wspomniiał o jej ojcu, zaczerwieniła się gwałtownie. Z płonąca twarzą przyglądała się strzelcom, z wyrazem gniewu i sympatii jednocześnie. Od tej chwili uniesienie, jakie biło z pieśni powstańców, udzieliło się również i dziewczynie.

Kolumna, która na nowo podjęła melodię Marsylianki, szła dalej, jakby smagana porywistym wiatrem północnym. Za ludźmi z la Palud ukazała się następna grupa robotników, wśród których widać było sporo mieszczan ubranych w płaszcze.

— To mieszkańcy Saint-Martin-de-Vaux — powiedział Sylweryusz. — Przystąpili do powstania prawie równocześnie z mieszkańcami la Palud- pracodawcy poszli razem z robotnikami. Są między nimi bogaci ludzie. Mietto, tacy, którzy mogliby pędzić spokojne życie, a jednak ryzykują je w obronie wolności. Takich bogaczy trzeba kochać... Ten oddział również ma za mało broni, cóż to znaczy kilka dubeltówek... Widzisz tych ludzi z czerwonymi opaskami na lewym ramieniu? To dowódcy.

Sylweryusz nie mógł nadążyć z objaśnieniami. Tempo marszu było szybsze od jego słów. Mówił jeszcze o ludziach z Saint-Martin-de-Vaulx, a tymczasem następne oddziały przekroczyły już smugę światła bielejącą na szosie.

— Widziałas? — zapytał. — Przeszli powstańcy z Al-boise i z Tulettes. Poznałem kowala Burgata. Dzisiaj właśnie przyłączyli się dą^nas. Ależ pędzą!

Mietta pochyliła się teraz do przodu, odprowadzając wzrokiem grupy, które wskazywał jej chłopiec. Przenikał ją dreszcz, gardło miała ściśnięte. W pewnej chwili ukazał się oddział liczniejszy i bardziej zdyscyplinowany od innych. Prawie wszyscy wchodzący w jego skład powstańcy ubrani byli w niebieskie bluzy i przepasani czerwonymi pasami,

tak że wyglądali jak umundurowani. Obok nich jechał na koniu jakiś mężczyzna, z szablą u boku. Większa część tych ~ zaimprovizowanych żołnierzy miała strzelby, karabiny lub staroświeckie muszkiety gwardii narodowej.

— Tych nie znam — powiedział Sylweryusz. — Ten co jedzie na koniu to pewno dowódca, o którym mi mówiono.. Przeprowadził grupę z Fa verolles i z sąsiednich miasteczek. Szkoda, że wszyscy nie są uzbrojeni tak jak oni.

— O, teraz idą wsie! — zawołał, ledwo zdążywszy zaczerpnąć powietrza.

Za ludźmi z Faverolles posuwały się oddziały liczące najwyżej po dziesięć do dwudziestu osób. Wszyscy ubrani, byli w krótkie kurtki, jakie noszą chłopcy na Południu. Śpiewając potrzęsali kosami i widłami; niektórzy mieli tylko łopaty. Każda wioska przysłała co najsilniejszych mieszkańców.

Sylweryusz, który poznawał oddziały po ich dowódcach, wyliczał gorączkowo:

— Chavanoz! Tylko ośmiu ludzi, ale same zuchy; wuj Antoni ich zna... Nazere! Poujols! Są wszyscy, nie zabrakło ani jednego!... Valqueyras! Oho, nawet ksiądz proboszcz idzie z nami; opowiadano mi o nim; to dobry republikanin.

Widok maszerujących odurzał go. Teraz, kiedy poszczególne grupy liczyły zaledwie po kilku powstańców, wymieniał ich nazwy jednym tchem i ów pośpiech nadawał mu wygląd szaleńca.

— Ach, Mietto — mówił — cóż to za wspaniała defila-! da! Rozan! Vernoux! Corbierel! Zobaczysz, Jo jeszcze nie koniec... Ci mają tylko kosy, ale to nic nie szkodzi, hędą nimi kosić wroga, jak trawę na łąkach... Saint-Eutrope! Mazet! Gardes! Marsanne! Cały północny brzeg Seille! I my mielibyśmy nie zwyciężyć! Cały kraj jest z nami! Spójrz na ręce tych ludzi, czarne i twarde jak żelazo... Idą wciąż! Pruinas! Roches-Noires! Ci ostatni to przemysłowcy; mają karabiny... I znów widły i kosy, znów oddziały wiejskie... Castel-le-Vieux! Sainte-Anne! Graillle! Estourmel! Murda- ran!

Głosem zdławionym przez wzruszenie kończył wyliczać bataliony,, które jakiś potężny podmuch zdawał unosić przed ich oczu.

Wyprostowany, z płonąca twarzą, Sylweryusz nerwowym ruchem wskazywał je Mietcie, która szła wzrokiem za jego wyciągniętą ręką. Biegąca dołem szosa przyciągała ją jak głębi przepaści. Zeby nie zsunąć się ze zbocza, dziewczyna obejmowała za szyję swego towarzysza- Widok tych ludzi pijanych śpiewem, odwagą i wiarą przyprawiał ją o zawrót głowy. Te postaci, jawiące się na chwilę w świetle księżyca, młodzieńcy, dojrzały mężczyźni i starcy, wymachujący dziwną bronią, ubrani w najróżnorodniejsze stroje, od bluz robotycznych począwszy a na marynarkach skończywszy, te niezliczone szeregi twarzy o niezapomnianym wyrazie energii i fantastycznego uniesienia, wszystko, to przemieniało się z wolna w jej oczach w jakiś rwący potok. Chwilami wydawało jej się, że oddziały, na które patrzy, nie maszerują, lecz unosi je śpiewana ochrypłymi głosami dźwięczna, potężna Marsyjanka. Nie rozróżniała słów, do uszu jej dochodził tylko • nieustający szum, tony najpierw niskie, a potem coraz wyższe, przenikliwe, ostrzem swym wbijające się w jej ciało. Ten krzyk buntu, to wezwanie do walki na śmierć i życie, pełne gniewu i żarliwego pragnienia wolności, brutalnej żądzy odwetu i wzniosłych porywów, przejmowało ją rozkosznym łękiem męczennicy prostującej się z uśmiechem pod razami bicia. Unoszony dźwięcznymi falami pieśni tłum płynął nieprzerwanie. Sylweryuszowi i Mietcie wydawało się, że ta defilada, która w rzeczywistości trwała zaledwie kilka minut, nigdy się nie skończy.

Mietta była jeszcze dzieckiem. W pierwszej chwili na widok zbliżającej się gromady pobladła i zaczęła płakać z żalu za utraconym szczęściem; było to jednak dziecko odważne, natura gorąca, skłonna do entuzjazmu. Toteż wkrótce ogarnęło ją uniesienie. Miała ochotę chwycić za broń.

I przyłączyć się do powstańców jak mężczyzna. W miarę jak przesuwały się przed nią strzelby i kosy, jej białe zęby stawały- się jakby dłuższe i bardziej ostre, podobne do kłów wilka, który chce gryźć. I kiedy usłyszała/jak Sylweryusz coraz prędzej wymienia nazwy oddziałów, wydała jej się, że spieszny rytm jego słów zwiększa tempo marszu. To nie były już szeregi ludzkie, a kurzawa gnana wichrem. Wszystko wokół niej zawirowało. Spuściła powieki. Wielkie, gorące Izy spływały jej po policzkach.

Sylweryusz również miał Izy w oczach. I^r" Nie widzę jakoś tych, co wyszli z Plassans dziś po południu — szepnął.

Usiłował dojrzeć koniec kolumny-pograżony w cieniu. Wreszcie wykrzyknął z radosnym triumfem;

— Idą! Idą! ... Niosą sztandar, spójrz, powierzono im sztandar!

Chciał zeskoczyć ze zbocza i połączyć się z towarzyszami, lecz powstańcy zatrzymali się właśnie.

Zabrzmiały rozkazy. Marsylianka ucichła i słycać. było tylko szmer głosów w tłumie, rozedrganym jeszcze pieśnią. Sylweryusz nasłuchując rozkazów, które jeden oddział -podawał drugiemu, dowiedział-się, że grupa z Plassans ma przejść, na czoło kolumny. Bataliony usuwa ty się na bok, robiąc miejsce oddziałowi ze sztandarem; Wtedy chłopiec, pociągając za sobą Miette, zaczął wspinać się po zboczu.

— Chodźmy — powiedział — to prędzej niż oni będziemy za mostem.

Kiedy znaleźli się na górze, pośród zoranych, pół, zaczęli biec w stronę młyna. Zbudowana koło niego śluza przegradzała rzekę. Przeszli na drugą stronę Viorny po kładce ułożonej przez młynarza. Następnie przebiegli na ukos łąki Świętej Klary, trzymając się w milczeniu za ręce. Na szosie rysowała się ciemna smuga maszerującej kolumny- Szli równolegle do niej po przeciwnej stronie żywopłotu. Tu i ówdzie, pomiędzy krzakami głogu, znajdowały się

40

wąskie przesmyki. Przez jeden z nich wydostali się na szosę.

Mimo że nadłożyli drogi, zrównali się z oddziałem z Plassans. Sylweryusz uściśnął dłoń towarzyszom; sądzili, że chłopiec powiedział się o zmianie marszruty f wyszedł im na spotkanie. Spoglądali z zaciekawieniem na Miette, której twarz zakrywał częściowo kaptur.

— To mała Chantegreil — powiedział jakiś człowiek z przedmieścia -- siostrzenica JRebufata," dzierżawcy Jas- Mei ffren. - m . -

\ A ty skąd się tu wzięłaś, hultajko? U zawołał jakiś głos.:- | ; • r. ;;' . .

Sylweryusz, pijany entuzjazmem, nie pomyślał o niechybnych drwinach, na jakie narażona była jego ukochana ze strony robotników z Plassans. Mietta, zmieszana, spoglądała na niego, jakby prosząc o pomoc i o ratunek. Ale nim jeszcze zdążył otworzyć usta, jakiś inny głos krzyknął brutalnie:

Jej ojciec został skazany na ciężkie roboty! Nie trzeba nam tutaj córki złodzieja i mordercy.

Mietta zbladła straszliwie.

— To kłamstwo ^szepnęła. Mój ojciec może być winny Zabójstwa, ale nigdy kradzieży. — A widząc, że Sylweryusz zaciska pięści, bledszy i bardziej drżący od niej samej, powiedziała:
; Daj spokój, to moja sprawa.

I zwracając się do całego oddziału powtórzyła namiętnie:

.!•— To kłamstwo! To kłamstwo! Mój ojciec nie wzięł nikomu ani grosza! Wiedzie o tym dobrzet Dlaczego więc rzucacie na niego obelgi w jego nieobecności?

Wyprostowała się, wspaniała w swym gniewie, .Jej gorąca, półdzika natura zdawała się przyjmować spokojnie zarzut zabójstwa, lecz buntowała się przeciwko oskarżeniu - o kradzież. Wiedziano o tym i często dokuczano jej w Łeii sposób przez głupią złośliwość. .

H

Człowiek, który nazwał jej ojca złodziejem, powtórzył tylko to, co sam słyszał od lat. Gwałtowny protest dziewczyny wywołał śmiech. Sylweryusz w dalszym ciągu zaciskał pięści. Sprawa przybierała niemiły obrót, gdy nagle pewien strzelec z Seille, który siedział na stosie kamieni przy drodze, oczekując hasła do dalszego marszu, przyszedł dziewczynie z pomocą.

— Ta mała ma rację — powiedział. — Znałem Ckante- greila. To był jeden z naszych ludzi. Jego sprawa nigdy nie została naprawdę wyjaśniona. Według mnie, to, co mówił przed sądem, było prawdą. Żandarm, którego zabił, musiał celować do niego, wtedy Chantegreil strzelił. Cóż chcecie, każdy broni się, jak może! Ale Chantegreil był uczciwym człowiekiem i nigdy nic nie ukradł.

Jak to często bywa w podobnych sytuacjach, wystąpienie kłusownika wystarczyło, aby Mietta znalazła nowych obrońców. Kilku robotników przyznało się do znajomości z Chantegreilem.

— Tak, tak, to prawda — mówili — Chantegreil nie był złodziejem. Wielu jest takich w Plassans, których należałoby skazać zamiast niego... Chantegreil był naszym bratem... No, no, uspokój się, mała.

Mietta nigdy nie słyszała nic dobrego o swoim ojcu. Zazwyczaj nazywano go w jej obecności łajdakiem i zbrodniarzem, a oto nagle spotkała ludzi, którzy znaleźli dla niego słowa przebaczenia i twierdzili, że był uczciwym człowiekiem. Rozpląkała się, czując, że ogarnia ją to samo wzruszenie, jakiego doznawała słuchając Marsylianki, i zapragnęła w jakiś sposób wyrazić tym ludziom swoją wdzięczność. Przyszło jej na myśl, żeby uściskać im rękę jak mężczyzna. Lecz serce podsunęło jej lepszy pomysł. Obok niej stał powstaniec, który niósł przedtem sztandar. Dotknęła jego drzewca i za całe podziękowanie rzekła błagalnie.

— Dajcie mi go, ja go poniosę.

Robotnicy, ludzie prości, zrozumieli to naiwne i wzniosłe podziękowanie.

— Racja! zawołali. — Mała Chantegreil poniesie sztandar.

•Jakiś drwał zauważył, że dziewczyna zmęczy się prędko i ustanie w drodze.

O, ja jestem silna — odparła dumnie, zawijając rękawy i pokazując ramiona krągłe i mocne jak u dorosłej kobiety.

Kiedy podawano jej sztandar, zawołała:

— Poczekajcie!

Zdjęła szybko pelerynę, odwróciła czerwoną podszewką na wierzch i narzuciła z powrotem. W białym blasku księżyca ukazała się ich oczom udrapowana w szeroki purpurowy płaszcz sięgający jej aż do stóp. Odrzucony na tył głowy kaptur przypominał czapkę frygijską. Chwyliła sztandar, przycisnęła jego drzewce do piersi i stała wyprostowana, tonąc w fałdach krwawego proporca, który powiewał wokół niej. "Jej dziecinna twarz, pełna zapału, okolona kręconymi włosami, o wielkich wilgotnych oczach i ustach rozchylonych' w uśmiechu, wznosiła się ku niebu z wyrazem energii i dumy. Była w tej chwili uosobieniem dziewiczej wolności.

Powstańcy zaczęli klaskać. Nie darmo byli ludźmi Południa o dużej pobudliwości i żywej wyobraźni: nagle pojawienie się tej spowitej w czerwień dziewczyny, która z takim przejęciem przyciskała do piersi ich sztandar, wywołało w nich entuzjizm. Rozległy się okrzyki:

—'Brawo, mała Chantegreil! Niech żyje! Zostanie z nami i przyniesie nam szczęście!

Długo jeszcze wiwatowano by na jej cześć, lecz nadszedł rozkaz marszu. Kiedy kolumna ruszała, Mietta uścisnęła dłoń Sylweryusza, który stanął obok niej, i szepnęła mu do ucha:

— Zostanę z tobą, słyszysz? Zgadzasz się?

Sylweryusz odpowiedział jej milczącym uściskiem.

Zgadzał się. Udzielił mu się entuzjizm towarzyszy! Mietta wydawała mu się przed chwilą tak piękna, wielka, święta! Maszerując teraz miał ją cały czas przed oczyma, pro-

Plassans jest siedzibą podprefektury i liczy około dziesięć tysięcy mieszkańców. Położone na wzniesieniu nad Viorną, jakby w głębi ślepej uliczki, graniczy od północy ze wzgórzami Garrigues, jednym z odgałęzień Alp. W roku 1851 łączyły je z okolicą dwie szosy, szosa do Nicei, prowadząca na zachód, i szosa do Lyonu, "prowadząca na wschód, przy czym jedna z nich była jakby przedłużeniem drugiej. Na południe od miasta zbudowano później linię kolejową, która biegnie u stóp wzgórza, uwieńczonych dawnymi wałami obronnymi i stromym zboczem opadającym ku rzece. Dzisiaj wychodząc z dworca, położonego na prawym brzegu małego potoku, można podnosząc głowę zobaczyć pierwsze domy Plassans, otoczone grodami zstępującymi w dół po zboczu. Domy/te oddalone są od stacji o jakieś piętnaście minut drogi.

mieniejącą w purpurowej glorii. Utożsamiał ją w myślach z drugą swą Ukochaną: Republiką. Spieszno mu było znaleźć się w mieście i wyjąć z ukrycia strzelbę. Lecz powstańcy szli wolno. Wydano rozkaz, żeby posuwać się możliwie jak najciszej. Kolumna maszerowała między dwoma rzędami wiązków, podobna*do olbrzymiego węża, o drżących dziwnie pierścieniach. Lodowata noc grudniowa znów pogrążyła się w milczeniu i tylko Viorna zdawała się/szumieć głośnie.

Kiedy dochodzili do przedmieścia, Sylweryusz pobiegł naprzód po strzelbę schowaną na placu Świętego Mittry. Znalazł ją jakby uśpioną w świetle księżyca. Gdy wrócił do szeregu, powstańcy zblizali się już do Bramy Rzymskiej: Mietta pochyliła się ku niemu i powiedziała z dziecinnym uśmiechem:

Mam wrażenie, że jestem na procesji Bożego Ciata i-niosę chorągiew z wizerunkiem Najświętszej Marii Panny.

Do roku pięćdziesiątego, zapewne na skutek braku komunikacji, Plassans w znacznie silniejszym stopniu niż którekolwiek z innych miast Południa zachowało nabożny i arystokratyczny charakter dawnych grodów prowansalskich. Do dziś dnia zresztą istnieje tam dzielnica prywatnych rezydencji, wzniesionych za czasów Ludwika XIV i Ludwika XV, kilkanaście kościołów, sporo posiadłości jezuitów i kapucynów i wiele klasztorów. Podział na klasy przez długi czas pokrywał się w Plassans z podziałem na dzielnice. „Jest ich trzy, a każda z nich tworzy jakby osobną całość, ma własne kościoły, miejsca przechadzek, obyczaje i widoki.

Arystokratyczna dzielnica Świętego Marka, nosząca nazwę jednej ze swych parafii, mały Wersal - prostych ulicach, porośniętych gdzieś trawą, i szerokich domach, za którymi kryją się rozległe ogrody, leży w południowej części miasta, na skraju płaskowzgórza; z tarasów pobudowanych tam rezydencji rozpościera się słynny na całą okolicę wspaniały widok na dolinę Viomy. Od północo-zachodu spiętrza swe wąskie i błotniste uliczki, obrzeżone wałami się ruderami, najstarsza część miasta: tu znajduje się merostwo, sąd, rynek i komenda żandarmerii; najgęściej zaludniona, dzielnica ta skupia w sobie robotników i sklepikarzy, drobny lud ek ruchliwy i ubogi. Na północo-wschodzie wreszcie rozpościera się najnowsza część miasta, w kształcie prostokąta; w równo uszeregowanych domach, pomalowanych na kolor jasnożółty, mieszkają mieszczanie, ci, którzy składając grosz do grosza dorobili się majątku, i przedstawiciele wolnych zawodów. Dzielnica ta, której ozdobą jest podprefektura, brzydki, otynkowany na biało budynek przybrany rozetami, liczyła w roku 1851 zaledwie pięć czy sześć ulic; powstała niedawno, lecz zwłaszcza od czasu wybudowania linii kolejowej — ona jedna tylko się rozrasta.

Trzy szerokie arterie dzielą trzy niezależne od siebie, odrębne dzielnice Plassans. Bulwar Sauvaire i ulica Rzymska, będąca jakby węższym nieco jego przedłużeniem, biegną ze wschodu na zachód, od Wielkiej Bramy aż do Bratny

Rzymskiej, przecinając miasto na dwie części i oddzielając dzielnicę arystokratyczną od dwóch pozostałych, pomiędzy którymi ciągnie się ulica de la Banne: piękna ta ulica styka się z wylotem bulwaru Sauvaire i wznosi się ku północy, mając po lewej stronie ciemne domostwa starej dzielnicy, po prawej zaś jasnożółte domy nowej. Mniej więcej w połowie ulicy znajduje się placyk wysadzony mizernymi drzewkami; w jego to głębi wznosi się ginach podprefektury, budowla stanowiąca dumę mieszczan z Plassans.

Jakby dla większej jeszcze izolacji i szczelniejszego zamknięcia się w sobie, miasto ujęte jest pierścieniem dawnych, wałów obronnych, które dziś zwiększają tylko jego ciasnotę i mroki. Wystarczyłaby salwa z karabinów, aby zburzyć te śmieszne fortyfikacje, nie wyższe i nie grubsze niż mury otaczające klasztory, a przeżarte bluszczem i porośnięte na szczycie dzikimi lewkoniami. Znajduje się w nich kilka przejść, z których dwa główne, Brama Rzymska i Wielka Brama, wychodzą pierwsza na szosę prowadzącą do Nicei, a druga na przeciwnym krańcu — na szosę prowadzącą do Lyonu. Aż do roku 1853 stały tam olbrzymie drewniane bramy, zakończone w górze półokrągło i wzmocnione żelaznymi okuciami. O jedenastej wieczorem w lecie, a o dziesiątej w zimie zamykano je na dwa spusty. Zasuńawszy, jak bojaźliwe dziewczątko, zasuwę, miasto spało spokojnie. Strażnik, mieszkający w budce przy bramie, miał obowiązek otwierać spóźnionym. Lecz zanim, to zrobił, trzeba z nim było długo pertraktować. Najpierw oświetlał przybysza latarkę i przypatrywał mu się dokładnie przez judasza: wystarczyło, że mu się ktoś nie spodobał, aby kazał mu spać na dworze. W tym zamykaniu się co wieczór przejawiał się charakter miasta, jego tchórzostwo, egoizm, skostniałość, nienawiść do wszystkiego, co przychodzi z zewnątrz, i pobożne pragnienie klasztornej trybny życia. Zasuńawszy dobrze rygle, Plassans myślało: „No, teraz jestem u siebie” z satysfakcją mieszczucha, który spokojny o swą kiesę i pewny, że nic nie zamąci jego snu — kłęka do pacierza, a potem z rozkoszą wchodzi do łóżka. Wydaje mi się, że nie ma drugiego miasta, które równie długo obstawało przy tym, aby zamykać się jak mniszka.

Ludność Plassans dzieli się na trzy grupy: ile dzielnic, tyle osobnych świątków. Z* podziału tego wyłączyć trzeba urzędników, podprefekta, poborcę podatków, pisarza hipotecznego i naczelnika poczty, gdyż są to przybysze żyjący własnym życiem, nic lubiani na ogół i wzbudzający wielką zazdrość w pozostałych mieszkańcach. Natomiast prawdziwi synowie Plassans, ci, którzy się tam urodzili, wychowali i którzy zdecydowani są tam umrzeć, zbyt głęboko zakorzenieni mają szacunek dla przyjętych obyczajów i wytyczonych granic, aby nie uznać się samorzutnie za członków jednej z tych trzech grup.

Arystokracja żyje w hermetycznym odosobnieniu. Od czasu upadku Karola X mieszkańcy dzielnicy Świętego Marka nie wychodzą prawie na ulicę/a jeżeli się na niej pokażą, to przemykają chyłkiem, jakby znajdowali się w nieprzyjacielskim kraju, i co prędzej wracają do swych wielkich milczących rezydencji. Nie utrzymują z nikim stosunków, nie odwiedzają się nawet między sobą. Salony ich otwarte są jedynie dla kilku księży. Latem wyjeżdżają do swoich po* siadłości podmiejskich; zimy spędzają przy kominku. Są to znudzeni życiem umarli. Toteż ich dzielnica ma w sobie ociążały spokój cmentarza. Szczelnie zamknięte drzwi i okna przywodzą na myśl klasztorne odcięcie od świata. Od czasu do czasu można spotkać tam przechodzących księży, których dyskretne ruchy pogłębiają jeszcze ciszę ulic i którzy znikają po chwili jak cienie w lekko uchylonych drzwiach.

Burżuazja, rentierzy, adwokaci, notariusze, cały ów zamożny i ambitny światek zamieszkujący nową dzielnicę miasta, usiłuje wnieść nieco życia do Plassans. Ludzie ci chodzą na przyjęcia wydawane przez podprefekta i marzą, żeby móc urządzać podobne. Starają się zdobyć popularność, zwracają się do robotników: „mój dobry człowieku”, rozmawiają z chłopami o zbiorach, czytają gazety, a w niedzielę

wychodzą z małżonkami na spacer. Są to najbardziej światłe j umysły w mieście, jedyni ludzie, którzy pozwalają sobie na drwiny z dawnych fortyfikacji i kilkakrotnie domagali się na - -ą wet od „budowniczych miasta” zburzenia tych starych mu- -J rów, „śladów minionych stuleci”⁴. Jednak nawet najwięksi J sceptycy spośród nich doznają gwałtownej radości, ilekroć jakiś markiz czy hrabia zechce zaszczycić ich lekkim skinie- niem głowy. Każdy z tych mieszczan marzyco tym,, żeby | otworzyły się przed nim drzwi któregoś z salonów w dzielni- '3 cy Świętego Alarka, a wiedząc, że jest >to marzenie niezi- » szcwalne, pozuje na wolnomyśliciela wolnomyśliciela w słowach tylko, żyjącego w wielkiej zgodzie z każdą władzą i chroniącego się pod jej skrzydła za najmniejszym pomrukiem tłumu.

Trzecia grupa, której miejscem zamieszkania i pracy jest | najstarsza dzielnica miasta, nie ma charakteru równie jed- ; nolitego jak dwie poprzednie. Przeważają w niej robotnicy,^ lecz należą do niej również drobni kupcy, a nawet kilku J hurtowników. Plassans nie jest miastem handlowym; jego rynek zasilają jedynie miejscowe płody: oliwa, wino, migdały. Jeżeli chodzi o- przemysł, to reprezentują go trzy czy cztery garbarnie, zatrujące powietrze w starej dzielnicy, fabryka kapeluszy filcowych i fabryka mydła, wciśnięta w kąć przedmieścia. Nieliczni przedstawiciele przemysłu bhąndlu w Plassans, jeżeli nawet odwiedzają niekiedy, z okazji jakichś uroczystych wydarzeń, mieszkańców nowej dzielnicy, to jednak współżyją przede wszystkim z robotniczą ludnością starego miasta. Wspólne interesy łączą hurtowników, drobnych sprzedawców i rzemieślników w jedną rodzinę. I tylko w^ niedzielę pracodawcy myją ręce i odosabniają się od reszty. Robotnicy, którzy stanowią zaledwie jedną piątą całości, giną zresztą wobec otaczającej ich masy próżniaków.

Wiosną i latem wszystkie trzy dzielnice Plassans mają raz na tydzień okazję spotkać się ze sobą twarzą w twarz. W każdą niedzielę, po niesporach, całe miasto — | arysto kracją włącznie — wylega na bulwar Saulzaire. Na szerokim gościńcu, obrzeżonym z dwóch stron alejami platanów, tworzą się trzy wyraźne prądy. Mieszkańcy nowej dzielnicy mijają go tylkOi kierując się w stronę Wielkiej Bramy, po czym skręcają na prawo, w aleje du Mail, gdzie spacerują aż do zmierzchu, zostawiając bulwar SAivaire arystokracji i robotnikom, Od stu lat z górą arystokracji przypada w udziale aleja biegnąca od południa, przy której wznosi się szereg pałacyków i z której najwcześniej znika słońce. Robotnicy muszą zadowalać się aleją biegnącą od północy, gdzie znajdują się cukiernie, hotele i sklepy tytoniowe. Przez całe popołudnie jedni i drudzy przechadzają się po swych alejach, ale żadnemu z nich nie przyszło dotąd do głowy, że mógłby przejść na drugą stronę bulwaru; Dzieli ich przestrzeń szerokości siedmiu czy ośmiu metrów, lecz w istocie odlegli są od siebie o tysiące mil, przestrzegając skrupulatnie dwóch równoległych tras, jakby nigdy nie mieli się spotkać na tym padole. Nawet w czasach rewolucji pozostają wierni raz obranym alejom. Uświęcony tradycją spacer niedzielny i cowieczorne zamykanie bram wyrastają z tego samego podłoża i wystarczą, aby wyrobić sobie zdanie o dziesięciu tysiącach mieszkańców Plassans.

W tym osobliwym środowisku wegetowała aż do roku 1848 pewna mało szanowana i biedna rodzina, której założyciel, Piotr Rougon, odegrał później, dzięki specjalnemu zbiegowi okoliczności, ważną rolę.

Piotr Rougon był synem chłopca. Rodzina jego matki, Fouque'owie, posiadała z końcem ubiegłego stulecia spory kawałek ziemi na przedmieściu, za dawnym cmentarzem Świętego Mitry; teren ten został później włączony do majątku Jas-Meiffren. Fouque'owie byli najbogatszymi ogrodnikami w okolicy; okazała część Plassans zaopatrywała się u nich w warzywa. Rodzina ta wygasła na kilka lat przed rewolucją. Została tylko jedna córka, Adelajda, urodzona w roku 1768, która osierociła mając lat osiemnaś cie. Ojciec jej umarł obłąkany. Była to wysoka, chuda i bla

da dziewczynka o nieprzytomnym wzroku i dziwacz*ny* zachowaniu, które — dopóki była mała -- można było brać za objaw jej dzikości. W miarę jednak jak dorastała, stawała się coraz bardziej dziwna; nawet najmądrzejsi ludzie, na piziedmieściu nie potrafili wytłumaczyć niektórych jej po-! stępków i rozeszli się pogłoska, że jest ona niespełna rozumu, tak samo jak jej ojciec. W pół roku zaledwie po jego, śmierci, która uczyniła Adelajdę godną pożądania spadko-^ bierczynią majątku, dowiedziano się o jej małżeństwie z pomocnikiem ojca, prostym chłopem z Niskich Alp, nazwiskiem Rougon. Ow Rougon po śmierci ostatniego Fou- que'a, który przyjął go do pracy na jeden. Sezon, pozostałJ w służbie u córki zmarłego i miejsce płatnego najemnika zamienił nieoczekiwanie na budzące zazdrość stanowisko męża. Małżeństwo to'zaskoczyło opinię publiczną; nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego Adelajda wolała tego ociężałego prostaka, ledwo umiającego mówić po francusku, od starających ; się o jej względy'chłopców, synów bogatych gospodarzy z okolicy. A ponieważ w prowincji nic nie może pozostać bez wyjaśnienia, dopatrywano się w tym jakiejś tajemnicy;« niektórzy utrzymywali nawet, że widocznie młodzi musie-- i i się pobrać. Lecz fakty zaprzeczyły złośliwym pogłoskom.;; Adelajda urodziła syna dopiero po upływie pełnych dwu-ż nastu miesięcy. Mieszkańcy przedmieścia poczuli się dotknięci; niemiło im było przyznawać się do omyłki. Miejscowe kumoszki zaczęły szpiegować Rougonów. Wkrótce ' uzyskały temat do plotek. W piętnaście miesięcy po ślubie Rougon umarł prawie nagle, na skutek porażenia słonecz* nego, jakiego si\$ nabawił pewnego popołudnia pieląc grzędę marchewki. W niespełna rok później młoda wdowa stała się przedmiotem niesłychanego skandalu: wzięła 'sobie kochanka. Była to Wiadomość .zupełnie pewna. Adelajda nie| zdawała się zresztą kryć z tym nawet; niektórzy twierdzili,. || słyszeli na własne uszy, jak zwracała się po imieniu do następcy biednego Rougona. W niecały rok po jego śmierci! Takie lekceważenie przyjętych obyczajów wydało się

50

wszystkim czymś niesłychanym, sprzecznym ze zdrowym rozsądkiem. Skandal stał się tym głośniejszy, że Adelajda dokonała znów dziwnego wyboru.

W głębi zaułku Świętego Mittry, w ruderze, której tylna yściana wychodziła na posiadłość Fouque'ów, mieszkał w owym czasie pewien człowiek o złej sławie, o którym mawiano zazwyczaj: „ten łajdak Macquart". Znikał on na całe tygodnie, a później zjawiał się znowu i pewnego wieczora spoitykano go nagle, jak szedł nie spiesząc się, z rękami w kieszeni i pogwizdywał, jakby wracał z niedalekiego spaceru. Kobiety siedzące na progach domów mówiły na jego widok: „Spójrz, idzie ten łajdak Macquart, pewnie schował swoje worki i strzelbę w jakimś wykrocie nad Viorną". W czasie swych krótkich pobytów w mieście, Mac- quart, który nie miał żadnych stałych dochodów, odwiedzał co dzień szynk, jedząc i pijąc beztróska. Upijał się uparcie każdego wieczora: siadał sam przy stole i wpatrywał się tępo w kieliszek nie zwracając uwagi na to, co działo się kolo niego. Kiedy zamykano zakład, wychodził pewnym krokiem, z podniesioną głową, jakby pijaństwo pomagało mu się wyprostować- „Oho, Macquart musi być pijany jak bela" — mówiono wtedy na jego widok. Zazwyczaj bowiem, kiedy był trzeźwy, chodził pochylony, unikając ciekawych spojrzeń. Od śmierci ojca, robotnika garbarskiego;' który zostawił mu w spadku jedynie ruderę w zaułku Świętego Mittry, został sam. Nie miał krewnych ani przyjaciół; Bliskość granic i sąsiedztwo lasów Seille zrobiły z leniwego i dziwnego chłopca kłusownika i przemytnika zarazem, jedną z tych podejrzanych postaci, o których przechodnie mówią: „Nie chciałbym spotkać tego człowieka nocą w ciemnej ulicy". Wysoki, chudy, brodaty, Macquart był postrachem kumoszek z przedmieścia; oskarżały go, że zjada małe dzieci. Nic miał więcej niż trzydzieści lat, a wyglądał na pięćdziesiąt. Gęsty zarost i kosmyki włosów, podobne do kępek króliczej sierści, zakrywały mu twarz, w której widać było tylko oczy, ciemne i połyskliwe, o niepewnym

51

i smutnym spojrzeniu włóczęgi, którego alkohol-i nędza uczyniły złym. Chociaż nie udowodniono mu żadnego prze- /j stępstwa, za każdym razem, gdy w okolicy dokonano ja- . kiejś kradzieży lub zabójstwa, podejrzenie padało najpierw .4 na niego. I . właśnie tego rzezimieszka, tego łajdaka Mac*^ quarta wybrała sobie Adelajda! W ciągu dwudziestu miesięcy narodziło się dwoje dzieci: chłopiec i dziewczynka.,; Tymczasem ich rodzice wcale nie-myśleli o małżeństwie. Przedmieście po raz pierwszy było świadkiem równie zu- ; chwałej rozpusty. Zdumienie było tak wielkie, a myśl, że V\acuart mógł znaleźć młodą i bogatą kochankę, wydawała się kumoszkom do tego stopnia niezrozumiała, że wy- . ażały się o Adelajdzie niemal ze współczuciem. ; — Zwariowała do reszty, biedaczka — mówiły. — Gdyby miała jakąś rodzinę, dawno byłaby już w szpitalu! — A ponieważ nikt nie znał historii tej dziwnej miłości, oskarżano tę kanalię Macquarta, że wykorzystuje słabość umysłu Adelajdy, aby wyłudzać od. niej pieniądze.

Prawowity syn. Piotr Rougon, chował się razem z nieślubnymi dziećmi swej matki. Adelajda traktowała całą trójkę jednakowo, nie okazując Antoniemu i Urszuli, „wilczętom”, jak nazywano ich w okolicy, ani mniej, ani więcej miłości niż synowi z pierwszego łoża. Nie zdawała sobie sprawy z pozycji życiowej dwojga młodszych. Dla niej nie było żadnej.różnicy między nimi a jej pierworodnym; czasem wychodziła na ulicę trzymając jedną ręką Piotra, a drugą Antoniego i nie dostrzegała, że ludzie innym okiem spoglądali na jednego, a innymi na drugiego.

Dziwna to była rodzina.

Przez blisko dwadzieścia lat zarówno matka, jak i dzieci żyły tak, jak im było wygodnie, zachowując całkowitą swobodę. Adelajda pozostała tą sarną dziwną, zbyt wyrośniętą dziewczyną, która mając lat piętnaście uchodziła za dzikuskę; nie była wprawdzie obłąkana, jak utrzymywali mieszkańcy przedmieścia, lecz dawał się w niej. odczuć jlkiś brak równowagi, jakiś wewnętrzny zamęt, który sprawał, że żyła inaczej niż wszyscy. Postępowała zapewne zgodnie z własnym poczuciem logiki, lecz w oczach sąsiadów logika ta miała wszystkie znamiona szaleństwa. W naiwności ducha posłusznie szła za głosem krwi, sprawiając przy tym lakie wrażenie, jakby afiszowała się naumyślnie i świadomie staczała na dno.

Od czasu pierwszego połogu miewała ataki nerwowe, które objawiały się straszliwymi drgawkami. Ataki te powtarzały się regularnie co dwa lub trzy miesiące. Lekarze, orzekli, że nie ma na to lekarstwa i że wiek uśmierzy te. dolegliwości. Kazali jej jeść krwiste mięso i pić wino chinowe. Te powracające wstrząsy do reszty zamały jej umysł. Żyła z dnia na dzień jak dziecko, "jak spragnione pieszczoł zwierzę, posłuszne swemu instynktowi. Kiedy Macquarta nie było, spędzała dni w leniwym zamyśleniu. Jej opieka nad dziećmi polegała nci tym, że całowała je.bawiła sięznimi czasem. Z chwilą powrotu kóchanka— znikala z domu.

Za ruderą A\acuartów znajdowało się małe podwórze, oddzielone murem od posiadłości Fouque'ów. Pewnego ranka sąsiedzi zdziwili się bardzo, widząc w tym murze furtkę, której poprzedniego wieczora jeszcze nie było. W ciągu godziny wszyscy mieszkańcy przedmieścia obejrzel ją kolejno z okien sąsiednich domów. Kochankowie musieli pracować całą noc, aby przebić mur i wstawić furtkę. Teraz mogli już swobodnie odwiedzać się wzajemnie Zgorszenie zaczęło się od nowa; od tej chwili opinia publiczna jeszcze bezwzględniej występowała przeciw Adelajdzie, tej prawdziwej zakale przedmieścia; z powodp furtki uznanej za otwarte i cyniczne przyznanie się da wspólnego życia z l'iacquartem, potępiono ją gwałtownio^ niż z powodu dwojga nieślubnych dzieci. „Trzeba przynajmniej zachowywać pozory" W. mówiły nawet najbardziej tolerancyjne kobiety. Adelajda nie wiedziała, co to jest „za chowywanie pozorów"; była bardzo szczęśliwa i dumna ze swojej furtki; pomagała'Maequartowi wrywać cegły z muru, a nawet mieszała wapno, żeby robota szła prędzej; toteż

<

następnego dnia przybiegła z dziecinną radością obejrzeć swe dzieło w pełnym świetle — to już był szczyt bezwstydu, zdaniem trzech kumoszek, które dostrzegły ją zapatrzoną w świeżo otynkowany mur. Odtąd za każdym razem, gdy zjawiał się Macquarl i nie widziano Adelajdy* wszyscy -uważali, że młoda kobieta przynosi się do rudery w zaułku Świętego Mittry.

Przemytnik pojawiał się bardzo; nieregularnie, prawie zawsze niespodziewanie. Nigdy nie dowiedziano się dokładnie, jak właściwie wyglądało pożycie kochanków w ciągu- tych dwu lub trzech dni, które od czasu do czasu spędzał w mieście. Dom był tak szczelnie zamknięty, że wydawał się niezamieszkały. Ponieważ całe przedmieście orzekło, iż Macquart uwiódł Adelajdę wyłącznie dla- jej pieniędzy, z biegiem czasu sąsiedzi zaczęli się dziwić, że żył jak dawniej, włócząc się nieustannie po górach i łąkach, ubrany równie nędźnie jak przedtem. Może młoda kobieta kochała go. tym bardziej, im rzadziej ją odwiedzał, a może oparł się jej błaganiom, czując nieprzewidywalną potrzebę życia awanturniczego. Wymyślano tysiące bajek, ale żadna z nich nie mogła wytłumaczyć rozsądnie tego związku, który powstał i trwał tak przez cały utarty utarty utarty utarty. Rudera w zaułku Świętego Mittry była nadal zamknięta i strzegła swoich tajemnic. Domyślano się, jednak, że Macquart bił Adelajdę, choć nigdy żaden odgłos kłótni nie dochodził z domku. Kilkakrotnie bowiem widziano ją z posiniaczoną twarzą i powyrywanymi włosami. Zresztą nie okazywała żadnych oznak cierpienia ani smutku, nie starała się też ukrywać swoich siniaków. Uśmiechała się zawsze i wyglądała na szczęśliwą. Widocznie znosiła jego brutalność bez protestu. Ten stan rzeczy trwał przeszło piętnaście lat.

Gdy Adelajda powracała do siebie, zastawała w domu straszliwy nieład. Ale nie przejmowała się tym. Była całkowicie pozbawiona zmysłu praktycznego, nie wiedziała, że rzeczy mogą mieć jakąś wartość, że porządek jest konieczny w gospodarstwie.

Dzieciom swoim pozwalała rosnąć jak drzewom zasadzonym przy drodze, zdany na łaskę słońca i deszczu. Wydawały, więc naturalne owoce, jak dziczki, którym noż ogrodnika nie przycina pędów ani ich nie szczepi. Nigdy natura nie była mniej „kępowana, nigdy rozpuszczone dzieci nie rozwijały się tak swobodnie, kierując się tylko instynktem. Spędzały całe dni pod gołym niebem, niszczyły grządki jarzyn, bawiły się i biły jak najgorsi ulicznicy. Okradały spizarnię, łamały nieliczne drzewa owocowe, a pod nieobecność Adelajdy urządzały takie hałasy i dokuczały sąsiadom w sposób -tak nieznośny, że ci grozili im biciem. Matki nie bały się zresztą wcale i jeżeli kiedy była w domu, mniej dawały się we znaki sąsiadom, to dlatego, że z niej robiły swą ofiarę. Opuszczały naukę regularnie pięć albo sześć razy w tygodniu, robiąc, co tylko mogły, żeby zasłużyć na baty i mieć okazję do krzyków. Lecz Adelajda nigdy ich nie uderzyła; nie uniosła się nawet; spokojna, zamyślona, uległa, doskonale się czuła pośród ich hałasów. Z biegiem czasu stały się jej one nawet potrzebne, gdyż wypełniały pustkę w jej umyśle. Uśmiechała się łagodnie, słysząc, jak mówiono: „Własne dzieci będą ją biły i będą miały rację”. Z zupełną obojętnością zdawała się odpowiadać na wszystko: „Co mnie to obchodzi?”. Majątkiem zajmowała się jeszcze mniej „niż dziećmi. W ciągu długich lat tej dziwnej gospodarki posiadłość Fouque'ów stałaby się ugorem, gdyby nie to, że — szczęśliwym trafem — Adelajda powierzyła ją dobremu ogrodnikowi. Miał on dzielić się z nią dochodami, a tymczasem okradał ją w bezwstydnym sposobie, z czego zresztą nigdy nie zdała sobie sprawy. Dobrą stroną umowy było to, że chcąc ciągnąć jak największe zyski, ogrodnik starannie uprawiał ziemię i prawie podwoił jej wartość.

Czy to wiedziony instynktem, czy też zdając sobie sprawę z odmiennego sposobu, w jaki odnosili się do niego ludzie. Piotr, prawowity syn Adelajdy, od najmłodszych lat przewodził siostrze i bratu. W czasie kłótni, mimo że był znacznie słabszy od Antoniego, zawsze brał nad nim górę. Co

I do Urszuli, istotki wątłej i bladej, to obaj pastwili się naci nią jednakowo. Zresztą, do piętnastego czy szesnastego roku życia dzieci bity się między sobą jak każde rodzeństwo, nie uświadamiając sobie uczucia wzajemnej nienawiści i nie rozumiejąc, jak bardzo są sobie obce. Dopiero w tym wieku osobowość ich ukształtowała się na tyle, że stanęły twarzą w twarz, świadome samych siebie.

Mając szesnaście lat Antoni był roslym łobuziakiem, w którym wady Macquarla i Adelajdy stopiły się" w jedno. Przeważały w nim jednak cechy Macquarta: jego zamiłowanie do włości i do pijaństwa, jego wybuchowość. W połączeniu jednak z odziedziczonymi po Adelajdzie zaburzeniami w systemie nerwowym, cechy te, które u ojca występowały z pewnego rodzaju brutalną szczerością, u syna nabrały charakteru tchórzliwej skrytości i hipokryzji. Antoni wdał się w matkę przez swój całkowity brak woli i godności oraz egoizm; tę zmysłową kobietę rzucił on w ramiona pierwszego lepszego mężczyzny, który potrafił" dać jej rozkosz. O Antonim ludzie mówili: „To zbój! A nie ma nawet tej odwagi, co Macquart, żeby otwarcie przyznać się do swych łajdactw! Jeżeli kiedy kogoś zabije, to pewnie szpilką". Fizycznie przypominał Adelajdę jedynie mięsistymi wargami, poza tym podobny był do przemytnika, z tą różnicą, że rysy -miał mniej wyraziste i twarz bardziej ruchliwą.

Urszula za to, zarówno fizycznie jak i duchowo, była przede wszystkim odbiciem matki. Urodzona później niż Antoni, kiedy namiętność Macquarta zaczęła już słabnąć, odziedziczyła pleć Adelajdy wraz z jej usposobieniem. Pewne cechy ojca nie zespoliły się w niej z cechami matki, lecz im się przeciwstawiły. Nierówna, kapryśna, ulegała nagłym napadom smutku, rozdrażnienia lub gniewu, lecz najczęściej popadała w bezmyślną zadumę lub śmiała się nerwowo jak obłąkana. Jej oczy, o nieprzytomnym spojrzeniu Adelajdy, miały krystaliczną przejrzystość oczu chorego kota. |

56

Piotr różnił się na pozór całkowicie od swego przyrodniego rodzeństwa. Był on jakby średnią matematyczną natur obojga rodziców: prostaka Rougona i nerwowej Adelajdy. Cechy odziedziczone po matce wysubtelniły w nim te, które odziedziczył po ojcu. Stanowił on pierwszy etap splatania się ze sobą temperamentów, ukrytej przyczyny rozkwitu lub upadku rodów. Piotr był też tylko chłopem, jak jego ojciec, lecz chłopem nie tak gruboskórnym, o rysach bardziej miękkich, inteligencji żywszej i bardziej chłonnej. Poszczególne właściwości charakteru irodziców uzupełniały się w nim i łagodziły nawzajem. Delikatniejsza, przez swą nadmierną pobudliwość nerwową, natura Adelajdy zwalczała w nim tępą ociężałość Rougona, którego równowaga ratowała dziecko od duchowego rozprężenia matki. Piotrowi obce były wybuchy gniewu i chorobliwe marzycielstwo wilczą Macquarta. Niegrzeczny i hałaśliwy, jak wszystkie dzieci, którym zostawiono całkowitą swobodę, posiadał jednak pewien wrodzony rozsądek, który powstrzymywał go zawsze od bezsensownych wybryków. Jego lenistwo i chęć użycia nie przypominały w niczym ślepych odruchów Anto-' niego; potrafił dawać im upust świadomie i otwarcie. W jego niewielkiej, otyłej postaci i długiej, bladej twarzy, która przypominała twarz ojca, lecz miała pewną subtelność rysów Adelajdy, można było wyczytać skrytą ambicję i chytryść, nienasyconą żądzą posiadania, oschłość serca i pełną nienawiści zazdrość chłopskiego syna, który stał się mieszczańskim dziedziczącym majątek i nerwowość maiki. §pf

Kiedy Piotr, mając lat siedemnaście, zdał sobie sprawę z posłepowania matki i z dwuznacznego położenia Antoniego i Urszuli, nie był tyin zasmucony ani zgorszony, lecz zaczął się po prostu zastanawiać, jakie stanowisko powinien zająć z uwagi na własne interesy. Z trojga dzieci on jeden uczęszczał dość pilnie do szkoły. Chłop, który pojął konieczność nauki, staje się najczęściej człowiekiem nieubłaganie wyrachowanym. Właśnie w szkołę koledzy, wyśmiewając*

57

się z jego brata f traktując go obelżywie, nasunęli mu pierwsze podejrzenia. Domyślił się, co miały znaczyć pewne spojrzenia i aluzje, i zrozumiał sytuację, jaka panowała w jego domu. okradanym przez intruzów. Od tej pory traktował Antoniego i Urszulę jak bezwstydnego pasożyty, pożerające jego dobro. i\|a matkę spojrzal tymi samymi oczami co całe przedmieście: uznał ją za kobietę niepoczytalną, która gotowa jest roztrwonić cały majątek, jeżeli on temu nie zapobiegnie. Najboleśniej jednak dotknęła go złodziejska gospodarka ogrodnika. Wydorosła nagle i z hałaśliwego chłopca przemienił się w skąpego egoistę, który ze ściśniętym sercem patr>yl,'jak inni trwonią to, co uważał za swą własność. To jego były te jarzyny, z których sprzedaży ogrodnik ciągnął ogromne zyski; to jego było wino pite przez nieślubne dzieci matki i zjadany przez nie chleb. Cały dom, cały majątek były jego. Chłopska logika mówiła mu, że jedynie on, jako ślubny syn, ma prawo dziedziczyć. A ponieważ uważał, że majątek ubożeje, postanowił pozbyć się tych wszystkich ludzi, którzy nadwerżali jego przyszłą fortunę: matki, brata, siostry, służących, i stać się od razu jedynym właścicielem prawowitym. Walka była okrutna. Chłopak rozumiał, że musi zacząć od matki. Z upartą cierpliwością, krok za krokiem przeprowadza! plan, którego każdy szczegół dokładnie przedtem rozważył. Taktyka jego polegała na tym, że stawał przed Adelajdą jak żywy wyrzut sumienia; nie unosił się ani nie czynił jej gorzkich wymówek z powodu jej złego prowadzenia się — patrzył na nią tylko bez słowa w taki sposób, że drętwiała z przerażenia. Ilekroć wracała do domu po krótkim pobycie w ruderze Macquarta, nie śmiała podnieść oczu na syna. Czula na sobie jego spojrzenia, zimne i ostre, które przeszywały ją na wskroś. Surowość i milczenie Piotra, syna mężczyzny, o którym tak prędko zapomniała, wywoływały w jej biednym chorym mózgu dziwne zamieszanie. Wydawało jej się, że to Rougon zmartwychwstał, żeby ukarać ją za jej wybryki. Co tydzień miewała teraz ataki, które całkowicie ją wyczerpywały; nikt nie okazywał jej pomocy; kiedy przychodziła do siebie, doprowadzała do ładu suknie i snuła się po domu, coraz słabsza. W nocy płakała często, zaciskając dłonie na czole, przekonana, że to jakiś mściwy bóg znęca się nad nią w osobie Piotra. Czasem znów miała wrażenie, że to nie jest jej syn; nie poznawała swego dziecka w tym ocieżałym chłopcu, którego spokój mroził ją tak boleśnie. Wołałaby tysiąc razy, żeby ją bił, niż żeby spoglądał jej prosto w twarz. Ten bezlitosny wzrok, który ściagał ją wszędzie, stawał się dla niej nie do zniesienia. Kilkakrotnie postanawiała nie widywać więcej kochanka, lecz z chwilą powrotu Macquarta zapominała o danym sobie przyrzeczeniu i biegła do niego. Kiedy wracała, walka .zaczynała się od nowa, jeszcze bardziej milcząca i jeszcze straszliwsza. Po upływie kilku miesięcy Adelajda znajdowała się całkowicie w ręku syna. Czula się wobec niego jak mała dziewczynka, która nigdy nie jest pewna, czy nie zasłużyła przypadkiem na klapsy. Nie otwierając ust, nie wdając się w żadne przykre rozmowy z matką, Piotr potrafił omotać ją zręcznie i uczynić z niej swoją pokorną sługę. Kiedy poczuł, że matka poddała się i że może traktować ją jak niewolnicę, zaczął wykorzystywać jej brak równowagi umysłowej i straszliwy lęk, jaki w niej wzbudzał. Oddalił ogrodnika i zastąpił go oddanym sobie człowiekiem. Objął władzę nad gospodarstwem, decydował o sprzedaży i kupnie i zagarnął w ten sposób kasę. Nie usiłował zresztą wpływać na zmianę postępowania Adelajdy ani walczyć z lenistwem Antoniego i Urszuli. Nie zwracał na to uwagi licząc, że pozbędzie się ich wszystkich przy pierwszej okazji. Ograniczył się do wydzielania im pożywienia. Następnie, mając już cały majątek w swym ręku, czekał na jakieś wydarzenie, które by pozwoliło mu rozporządzić nim według własnej woli.

Okoliczności dziwnie mu sprzyjały. Jako najstarszy syn wdowy, zwolniony został ze służby w wojsku, a w dwa lata

J później p(wołano Antoniego, który nie przejął się tym zbytnio, liczył bowiem że matka go wykupi. Adelajda miała istotnie (en zamiar, lecz Piotr, który dysponował pieniędzmi, udawał, że niczego się nie domyśla. Wyjazd brata był mu zbyt na rękę, aby miał chronić go od niego wbrew swym interesom. Toteż kiedy matka poruszyła ten temat, spojrzal . na nią w laki sposób, że urwała w połowie zdania. Wzrok jego mówił: „Więc chcesz zrujnować mnie dla twego bękartu?” Zostawiła zatem Antoniego swemu losowi, byle tylko uratować własny spokój. Piotr, który nie lubił gwałtownych -środków i cieszył się, że będzie mógł pozbyć się .brata bez kłótni, udał rozpacz: urodzaje nie dopisały, w domu brakowało pieniędzy, trzeba by chyba sprzedać . kawał ziemi, a to byłby początek ruiny. Dał Antoniemu słowo, że wykupi go na przyszły rok, wiedzą^ dobrze, że tego nie zrobi. Antoni wyjechał prawie zadowolony, nie zdając sobie sprawy, że został oszukany.

Siostry pozbył się Piotr w sposób jeszcze bardziej nieoczekiwany. Pewien młody robotnik z fabryki kapeluszy, Móreł, zakochał się w Urszuli, która wydawała mu się równie wiotka i błada jak panienki z dzielnicy Świętego"- Marka. Ożenił się z nią. Było to z jego strony małżeństwo z miłości, nie kierowało nim żadne wyrachowanie. Jeżeli chodzi o Urszulę, to zgodziła się na-nie, żeby wyostać się z domu, w którym starszy brat zatruwał jej życie. Matka, pochłonięta namiętnością, zobojętniała powoli na wszystko, resztki energii zużywając na obronę przed synem; ucieszyła się nawe:, że Urszula opuszcza dom. Spodziewała się, że Piotr, /lir mając już teraz powodów do niezadowolenia, zostawi ją w spokoju. Zaraz po ślubie Mourel zrozumiął, że jeżeli nie clice wysłuchiwać co dzień obelżywych słów pod adresem żony i teściowej, musi wyjechać z Plassans. Przeniósł się więc z Urszulą do Marsylii, gdzie dalej pracował w swoim fachu. Żeniąc się, nie wspomniął zresztą ani słowem o posagu. Kiedy Piolr, zdziwiony jego bezinteresownością, usiłował mu coś tłumaczyć, Mouret zamknął mu usta mówiąc, że woli sam zarabiać na utrzymanie żony. Rougon, nieodrodny syn chłopa, poczuł się zaniepokojony tym oświadczeniem; węszył w nim jakiś podstęp.

Pozostała jeszcze Adelajda. Piolr dość już miał mieszkania razem z nią. Kompromitowała go. Gdyby mógł, jej byłby się pozbył pierwszej. Znajdował się jednak w kłopotliwej sytuacji: miał do wyboru albo zatrzymać matkę, narażając się na to, że nadal okrywać go będzie wslydem i zagradzać mu drogę, jaką wytyczyła przed nim ambicja, albo też wypędzić ją z domu, ale wówczas wytykano by go palcami ja ko wyrodnego syna, a zależało mu na zachowaniu opinii dobrego człowieka. Czując, że będą mu polr«ebni, pragnął . zdobyć popularność wśród mieszkańców Plassans. Jedynym wyjściem, jakie mu pozostało, było zmusić Adelajdę, aby wyniosła się sama. Nie zaniedbał niczego, żeby osiągnąć ten cel.. Uważał, że postępowanie matki usprawiedliwiała jego brutalność- Karał ją tak, jak karze się małe dzieci. Odwróciły się role. Biedna kobieta kuliła się pod różgą stale wzniesioną do uderzenia. Miała zaledwie czterdzieści dwa lata, a wyglądała jak dziedzinniała staruszka. Wiecznie przerażona, bełkotała coś niezrozumiale. Syn torturował ją w dalszym ciągu surowymi spojrzeniami, w nadziei, że nie mogąc już tego dłużej znieść, ucieknie pewnego dnia sama. Nieszczęsna ofiara cierpiała męki pożądania, obawy i wstydu, wołała jednak znosić cierpliwie ciosy niż wyrzec się spotkań z Alacquarłem. gotowa umrzeć raczej niż ustąpić. Zdarzały się noce, kiedy miała ochotę rzucić się do Vioruy, i byłaby to zrobiła, gdyby nie straszliwy lęk przed śmiercią, paraliżujący jej słabe ciało kobiety nerwowej. Czasem marzyła o ucieczce do kochanka nad granicę. Tym, co zatrzymywało ją w domu, wydając na łup pogardliwego milczenia i ukrytej brutalności syna, była świadomość, że nie ma się gd^ie podziać. Piotr czuł, że opuściłaby go od dawna, gdyby miała jakieś schronienie. Czekał na odpowiednią chwilę, żeby wynająć jej jakiś ką, kiedy nieprzewidziany zbieg okoliczności przyszedł mu znów z pomocą. Po przed-

mfeściu rozeszła się wieść, że Macquart został zabity przez celnika, w momencie kiedy przekraczał granicę francuską z ładunkiem genewskich zegarków. Historia okazała się prawdziwa. Nikt jednak nie zajął się sprowadzeniem ciała przemytnika. Pochowano je na wiejskim cmentarzu w górach. Bolesć Adelajdy przejawiała się zupełnym ośpieniem. Syn, który obserwował ją z ciekawością, nie zauważył, żeby choć raz zapłakała. Macquart uczynił ją swoją spadkobierczynią. Odziedziczyła po nim ruderę w zaułku Świętego < Mittry i karabin, który jego towarzysz odniósł jej lojalnie. Zaraz następnego dnia przeniosła się do domku Macquarta, karabin zawiesiła nad kominkiem — i odtąd żyła z dala od świata, samotna i milcząca.

Piotr Rougon poczuł się nareszcie jedynym panem domu. W jego ręce dostały się teraz faktycznie -t- jeżeli nawet nie legalnie — ziemie Fouque'ów. Nigdy nie miał zamiaru osiąść na nich na stałe. Było to zbyt wąskie pole działania dla jego ambicji. Uprawa warzyw wydawała mu się zajęciem prostackim, niewspółmiernym z jego możliwościami. Pragnął jak najprędzej zatrzeć swoje chłopskie pochodzenie." Jego natura, na której nerwowość matki pozostawiła pewne wysiiblelniające piętno, rwała się do uciech mieszczan- . skich. Sprzedaż posiadłości Fouque'ów uważał zawsze za jedyne rozwiązanie, które pozwoli mu urzeczywistnić swe plany. Uzyskana z niej suma miała mu umożliwić małżeństwo z córką jakiegoś kupca, który by przyjął go za współni-ka. W owym czasie wojny przeredziły znacznie szeregi młodych ludzi, toteż rodzice, mający córki na wydaniu, nie stawiali przyszłym zięciom zbyt wielkich wymagań. Piotr liczył na to, że jego majątek wystarczy, aby zatrzeć plotki obiegające przedmieście; potrafił zresztą przybrać pozory ofiary cierpiącej za grzechy rodziców, choć nie dotyczą go one bezpośrednio, dzielnego chłopca, który ubolewa nad nimi, a jednocześnie potępia je. Już od paru miesięcy uwaga jego skierowana była na córkę pewnego handlarza oliwą, Felicję Puech: Interesy Spółki Puech i Lacamp. które' magazyny mieściły się w jednej z najciemniejszych uliczek starego miasta, nie były w dobrym stanie. Przebakiwano nawet o grożącym jej upadku i odmawiano kredytów. Tym śmie lej skierował Rougon swój atak w tę stronę. Żaden dobrze sytuowany kupiec nie oddałby mu swej córki za żonę. Piotr postanowił wystąpić na widownię w chwili, gdy stary Puech znajdzie się w sytuacji bez .wyjścia, kupić od niego Felicję, a następnie podźwignąć przedsiębiorstwo własną inteligencją i energią. Był to zręczny sposób szybkiego podniesienia się wzwyż na drabinie społecznej. Rougon pragnął przede wszystkim wydostać się z tego okropnego przedmieścia, gdzie obgadywano jego rodzinę, zmusić wszystkich, aby zapomnieli o tych sprawach, zatrzeć za sobą ślady.

Cuchnące uliczki starego miasta wydawały mu się rajem. Tam miał rozpocząć nowe życie.

Wkrótce nadeszła wyczekiwana przez niego chwila. Spółka Puech i Lacamp dogorywała. Młodzieniec wysunął się wówczas ostrożnie i podjął zręczny targ o Felicję. Został przyjęty, jeżeli nie jako zbawca, to w każdym razie jako współnik bardzo pożądany. Kiedy małżeństwo zostało postanowione, Rougon zajął się sprzedażą swej posiadłości. Graniczyła ona z majątkom Jas-Meiffren, którego właściciel, chcąc zaokrąglić swe dobra, kilkakrotnie proponował mu, że ją od niego kupi. Piotr dotąd spekulował na pragnieniach sąsiada, człowieka bardzo bogatego, aż ten, aby zaspokoić swój kaprys, zaoferował mu pięćdziesiąt tysięcy franków. Stanowiło to dwukrotną wartość ziemi Fouque'ów. Piotr naumyślnie kazał się prosić, twierdził z chłopską chy- trością, że ani myśli wyzbywać się posiadłości, że matka jego nigdy nie rozstałaby się z ziemią, która będąc od prawie dwustu lat własnością rodziny Fou^ue^w, przechodziła | ojca na syna. Udawał wahanf&, a jednocześnie przygotowywał się do aktu sprzedaży. Nasunęły mu się pewne wątpliwości. Kierując się brutalną logiką uważał, że posiadłość jest jego własnością. Przekonany był, że ma prawo rozpo-

ffządzać nią według swojej woli, nie był jednak pewien, czy nie popadnie przy tej okazji w kolizję z kodeksem prawnym. Zdecydował się więc zasięgnąć rady pewnego woźnego z są- iu, mieszkającego na przedmieściu.

Dowiedział się niewesołych rzeczy. Zdaniem woźnego, miał związane ręce. Tak, jak się tego obawiał, jedynie matka mogła sprzedać ziemię. Ale to nie było jeszcze wszystko. - Jak obuchem rażony został niespodziewanym odkryciem; że Urszula i Antoni, nieślubne dzieci, wilczęta, również miały prawo do dziedziczenia. Jak to! Te kanalie znów miałyby go okradać, uszczuplać jego dobro, jego, prawego dziedzica fortuny? Wyjaśnienia woźnego były jasne i dokładne: Adelajda i Rougon pobrali się pod rządą jedności majątkowej, lecz ponieważ majątek stanowiła ziemia, Adelajda, zgodnie z prawem, stała się po śmierci męża z powrotem jedyną jej właścicielką; z drugiej zaś strony, ponieważ Macquarf i Adelajda uznali swoje dzieci, miały one prawo do dziedziczenia po matce. Na pociechę dowiedział się jedynie, że Kodeks ograniczał część przypadającą dzieciom nieślubnym na korzyść dzieci z legalnego związku. Nie uradowało go to wcale. On chciał mieć wszystko. Nie ustąpiłby Urszuli i Antoniemu ani piędzi ziemi. To zetknięcie się z komplikacjami natury prawnej odsłoniło przed nim nieznane dotąd horyzonty; sojldował je myślą z wyrazem głębokiej zadumy na twarzy. Prędko zrozumiał, że sztuka polega na tym, aby -mieć; prawo po swojej stronie. I oto na jaki wpadł pomysł, sam, nie radząc się nikogo, nawet woźnego, gdyż bał się wzbudzić w nim podejrzenia: wiedział, że matką może rozporządzać jak rzeczą. Pewnego ranka zabrał ją więc do notariusza | kazał jej podpisać akt sprzedaży. Byleby tylko zostawiono jej ruderę w zaułku Świętego Mittry, Adelajda gotowa -była. sprzedać całe Plassans. Piotr zapewnił jej zresztą roczną rentę w wysokości sześciuset franków i przysięgał jej na wszystkie świętości, że zaopiekuje się bratem i siostrą. Adelajda w prostocie ducha zadowolili się tą przysięgą. Wyrecytowała przed notariuszem jak wyuczoną lekcję to, co syn

jej podsunął, aby powiedziała. Następnego dnia młodzieniec dał jej do podpisania kwit, potwierdzający odbiór pięćdziesięciu tysięcy franków za sprzedaną ziemię. Na tym łotrów- skitn posunięciu opierał Piotr swój getiaalny plan. Matkę, zdziwioną, że ma podpisać kwit, chociaż nie dostała ani grosza, zbył powiedzeniem, że jest to prosta formalność bez znaczenia. Wsuwając papier do kieszeni pomyślał: „No, wilczęta mogą teraz dochodzić swych praw. Powiem im, że stara wszystko przejadła. Nie ośmielią się nigdy wytoczyć mi procesu”. W tydzień później zburzono mur graniczny, zaorano grzędy warzyw; ziemię Fouque'ów, zgodnie z życzeniem młodego Rougona, miały stać się tylko legendą. W kilka miesięcy potem właściciel Jas-Meiffren kazał rozebrać dawny dom ogrodnika, chylący się ku ruinie.

Zagarnąwszy pięćdziesiąt tysięcy franków Piotra- najprędzej, jak tylko się dało o ożenił się z Felicją Piiech. Felicja była drobną brunetką, jakie często widuje się w Prowansji. Przywoziliła na myśl konika polnego, ciemnego, suchego, o ostrym głosie i gwałtownych ruchach. Chuda, O płaskiej piersi i spiczastych ramionach, z twarzą podobną do pyszczka łasicy, o rysach dziwnie ostrych, nie miała określonego wieku: można jej było równie dobrze dać lat piętnaście, jak trzydzieści; w rzeczywistości miała ich dziewiętnaście. o cztery mniej niż mąż. W jej czarnych oczach, przypominających wąskie szpary, czaiła się kocia chytrłość. Czoło niskie i wypukłe, nos lekko spłaszczony u nasady, o nozdrzach szerokich i ruchliwych, jakby nieustannie coś węszących, wąska, czerwona linia warg, wystający podbródek. zapadłe policzki, cała ta twarz sprytniej karlicy była jakby żywą maską intrygi i zawistnej, nigdy nic gasnącej ambicji. Mimo swej brzydoty Felicja miała jednak pewien swoisty wdzięk, który sprawiał, że wydawała się mimo wszystko pociągająca. Mówiono o niej, że umie być brzydka lub ładna — jak chce. Zależało to od sposobu, w jaki upinała swe piękne włosy, a w jeszcze większym stopniu od triumfu-

jącego uśmiechu, który rozjaśniał jej smagłą twarz. Ilekroć wydawało się jej, że odnosi nad kimś zwycięstwo. Urodzona pod złą gwiazdą, miała stale pretensje do losu i najczęściej pozostawała w roli kopciuszka. Obiecywała sobie jednak, że kiedyś jeszcze olśni i zadziwi całe miasto niesłychanym powodzeniem i przepychem, i nie przestawała o to walczyć. Gdyby dane jej było szersze pole do działania niż to, na którym rozgrywało się jej życie, z pewnością prędko zrealizowałaby swe marzenia, gdyż przewyższała znacznie inteligencją dziewczęta ze swojej sfery. Złe języki utrzymywały, że matkę jej, zmarłą w kilka lat po jej urodzeniu, łą- | czyła w pierwszych latach małżeństwa intymna przyjaźń z markizem de Carnavant, młodym arystokratą z dzielnicy Świętego Marka. I rzeczywiście, patrząc na dłonie i stopy Felicji, można ją było wziąć za markizę, a nie za dziewczynę* nę z ludu.

Mieszkańcy starego miasta długo nie mogli otrząsnąć się ze zdumienia, że wychodzi ona za mąż za Piotra Rougona, prostaka z przedmieścia, którego rodzina nie cieszyła się bynajmniej dobrą opinią. Felicja nie zwracała uwagi na plotki i z dziwnym uśmiechem przyjmowała wymuszone życzenia przyjaciółek. Dobrze wiedziała, czego chce: brała Rougona za męża tak, jak złoczyńca bierze sobie współnika. Ojciec jej, przyjmując młodego człowieka za zięcia, widział tylko pięćdziesiąt tysięcy franków, które miał uratować go od bankructwa^ Lecz Felicja miała lepszy wzrok. Spoglądała daleko w przyszłość i czuła, że do urzeczywistnienia jej planów potrzebny jej będzie taki właśnie zdrowy, z gruba ciosany mężczyzna, którym będzie mogła kierować. Nienawidziła wiotkich paniczyków, wyblakłych urzędników notarialnych i przyszłych adwokatów, ogrzewających się jedynie nadzieją, że kiedyś zdobędą klientelę. Nie mając widoków na poślubienie syna jakiegoś bogatego kupca, gdyż nie wniosłaby mu posagu, stokroć wołała wyjść za mąż za chłopca, licząc na to, że uczyni go posłusznym narzędziem w swych rękach, niż za jakiegoś cherlaka z wyższym wykształceniem, którym by ją przytłaczał skazując jednocześnie — w pogoni za rzeczami bez wartości — na wcegetację. Uważała, że kobieta powinna rządzić mężczyzną. Jeśli o nią chodziło, to czuła się na siłach przemienić pastucha w ministra. YV Ro u gonie pociągała ją szeroko sklepiona pierś i swoista elegancja jego barczystej postaci. Tak zbudowany mężczyzna nadawał się do tego, żeby bez trudu dźwigać ciężar intryg, jaki zamierzała złożyć na jego ramiona. Doceniając należycie zdrowie i siłę swojego męża, uiniła również domyślić się, że nie był on bynajmniej głupcem; od razu wyczuła spryt utajony pod tą ociążałą powłoką. Wychodząc za Rougona nie znała go jednak jeszcze całkowicie i miała go za mniej przebiegłego, niż był nim w istocie. W kilka dni po ślubie, szukając czegoś w szufladzie sekretarzyka, natknęła się przypadkiem na podpisany przez Adelajdę kwit, potwierdzający odbiór pięćdziesięciu tysięcy franków. Zrozumiała i przeraziła się: jak każdy przeciętnie uczciwy człowiek wzdygała się przed tego rodzaju sposobami. Lecz w jej przerażeniu krył się pewien podziw. Rougon urósł w jej oczach.

Młode małżeństwo ruszyło dzielnie na podbój fortuny. Sytuacja Spółki Puech i Lacamp była lepsza, niż Piotr przypuszczał. Długi nie wynosiły zbyt wiele, brakowało jedynie płynnej gotówki. Prowincjonalni kupcy należą do ludzi ostrożnych, co ratuje ich od wielkich katastrof. Puech i Lacamp byli najrozsważniejsi z rozsważnych; niechętnie ryzykowali najdrobniejsze nawet sumy, toteż przedsiębiorstwo ich nigdy nie miało wielkiego znaczenia. Wniesione przez Piotra pięćdziesiąt tysięcy franków wystarczyło na spłacenie długów i rozszerzenie działalności handlowej. Puczątek okazał się szczęśliwy. Przez trzy lata pod rząd oliwki rodziły obficie. W nagłym przystępie odwagi, który przeraził zarówno Piotra jak i starego Puecha, Felicja poraniła mu, żeby joiptiii i zamagazynowali większą ilość oliwy. W ciągu następnych dwóch lat, tak jak przewidywała młoda kobieta,

zbiory nie dopisały. Cena oliwy skoczyła w górę, co pozwoliło im zagarnąć duże zyski ze sprzedaży posiadanych zapasów.

Niedługo po tym zręcznym posunięciu Puch i Lacamp wycofali się ze spółki, zadowoleni, że udało im się zarobić, i trawieni ambicją spędzenia reszty życia jako rentierzy.

Młode małżeństwo objawszy w posiadanie przedsiębiorstwo sądziło, że udało mu się wreszcie ustalić swój byt-

— Zwyciężyłeś moją złą gwiazdę — mówiła czasem Felicja do męża.

Jedną z nielicznych słabych stron tej energicznej natury było przekonanie, że los zawział się, aby ją prześladować. Utrzymywała, że dotąd mimo leli wysiłków ani jej, ani ojcu nic się nie wiodło. Przesądna jak wszyscy ludzie Południa, szykowała się do walki z przeznaczeniem, jakby to była czyhająca na jej zgubę istota z krwi i kości.

Dziwnym zbiegiem wydarzeń obawy jej zyskały niedługo potwierdzenie. Zawzięty los znów sobie o niej przypomniał. Coraz to nowe nieszczęścia- spadały na przedsiębiorstwo Rougonów: najpierw bankructwo jednego z dłużników naraziło ich na stratę kilku tysięcy franków; innym razem, na skutek wręcz niewiarogodnych okoliczności ich przewidywania co do zbiorów Okazały się fałszywe; nawet najbardziej prawne posunięcia zawodziły. Była to nieustanna walka na śmierć i życie.

— Masz możliwość przekonać się o mojej złej gwiazdzie — mówiła z goryczą Felicja.

Zacinała się w gniewie nie pojmując, dlaczego skoro udało jej się raz tak dobrze przewidzieć sytuację, teraz daje mężowi same tylko złe rady.

Piotr, przybity niepowodzeniami i nieMak uparty jak żona. dawno już byłby zlikwidował przedsiębiorstwo, gdyby nie jej zawzięta, nieustępliwa postawa. Felicja chciała być bo!ta. Zdawała sobie sprawę, że tylko na bogactwie może opierać swe ambitne plany. Mając kilkaset Tysięcy franków staliby się panami Plassans; potrafiłaby wysunąć wówczas męża na jakieś wysokie stanowisko i rządziłaby miastem. Osiągnięcie szczytów nie wydawało jej s<** rzeczą trudną; do (ej walki czuła się jak najlepiej uzbrojona. Lecz wobec konieczności zdobycia pieniędzy opadały jej ręce. Nie bała się ludzi — była pewna, że umiałaby postępować z nimi tak, aby dopiąć celu — ale zimne, martwa, białe krążki pięciofrankowe, wymykające się spod władzy intryg, budziły w niej bezsilną wściekłość.

Walka trwała przeszło trzydzieści lat. Śmierć Puecha była dla nich nowym ciosem. Felicja liczyła, że odziedziczy} po ojcu około czterdziestu tysięcy franków, tymczasem okazało -się, że stary egoista pragnąc dokonać życia w do statku i wygodach umieścił cały majątek w rencie doży- wolniej. Jego córka odchorowała to. Zgorzkniała powoli, wyschła, głos jej stał się jeszcze bardziej ostry. Od rana do wieczora kręciła się pomiędzy dzbankami z oliwą, jakby , pragnąc ożywić sprzedaż tym swoim niespokojnym krążeniem. Za to jej mąż stawał się coraz bardziej ociężały; niepowodzenia odbierały mu energię. Roztył się i zobojeźniał. W ciągu tych trzydziestu lat walki nie dorobili się wprawdzie fortuny, ale ich sytuacja majątkowa nie pogorszyła się. Straty, poniesione w jednym sezonie, nadrabiali w następnym, tak że zawsze udało iih się jakoś związać koniec z końcem. Ale to życie z dnia na dzień doprowadzało Felicję do rozpacz. Wolałaby .już była całkowite bankructwo, bo wtedy mogliby może zacząć wszystko od nowa, zamiast upierać się przy tej nędznej wegetacji, zamiast zamęczać się po to jedynie, żeby zaspokoić najkonieczniejsze potrzeby. W ciągu jednej trzeciej stulecia nie odłożyli nawet pięćdziesięciu tysięcy franków.

Trzeba dodać, że urodziło im się kilkoro dzieci, co z biegiem czasu stało się dla nich znacznym ciężarem. Felicja, jak niektóre kobiety drobnej budowy, okazała się. wbrew pozorom, niezwykle płodna. W ciągu pięciu lat, od roku 1811 do 1815, urodziła w dwuletnich odstępach trzech chłopców. Przez następne cztery lata powiła jeszcze dwie

dziewczynki. Nic tak nie sprzyja powiększaniu się rodziny, jak spokojny, zwierzęcy tryb życia na prowincji. Małżonkowie zmartwili się bardzo przyjsciem na świat córek; z dziewczętami, kiedy nie ma ich czym wyposażyć, bywa ogromny, kłopot. Rougon zaręczał każdemu, kto chciał go słuchać, że więcej dzieci mieć nie będą, już on to bierze na siebie. I rzeczywiście Felicja przestała zachodzić w ciążę. Ale kto wie, ile dzieci miałyby jeszcze, gdyby, to od niej zależało. Młoda kobieta nie uważała zresztą wcale, żeby miały się one przyczynić do ich ruiny. Przeciwnie, na synach właśnie budowała przyszłość widząc, że osiągnięcie upragnionego celu wymyka się jej, własnym rękami: Byli jeszcze zupełnie mali, kiedy marzyła już o czekającej ich karierze. Nie wierzyła, aby jej samej mogło się jeszcze powieść w życiu, i całą nadzieję na przewyciężenie zawziętego losu pokładała w synach. Mieli oni zaspokoić jej próżność, zapewnić jej upragnioną od dawna pozycję i bogactwo. Nie przestając więc walczyć o powodzenie przedsiębiorstwa, zaczęła stosować inną jeszcze taktykę w swym dążeniu do zaspokojenia głodu władzy. Nie wyobrażała sobie, aby któryś spośród jej trzech synów nie miał okazać się w przyszłości człowiekiem wyższego pokroju, który wzbogaci ich wszystkich. Przeczucie mówiło jej, że tak się stanie. Toż troszczyła się o malców z gorliwością, w której macierzyńska surowość mieszała się z czułością lichwiarza. Dbała o nich jak o kapitał, który miał przynieść jej później olbrzymie procenty.

■— Co ty robisz! — krzyczał na nią Piotr. — Wszystkie dzieci są niewdzięcznikami. Psujesz je tylko, a nas rujnujesz,

Kiedy Felicja wspomniała o tym, żeby posłać chłopców do gimnazjum, wpadł w gniew. Łacina to zbyt cenny luksus; wystarczy, jak skończą szkołę powszechną. Ale młoda kobieta uparła się; za bardzo zależało jej na tym, by móc chwalić się, że ma wykształconych synów, a poza tym czuła, że jeśli mają dojść do czegoś w życiu, to nie mogą poprze-

70

stać na tym, że nauczą się czytać i pisać, jak jej mąż'. W marzeniach widziała ich wszystkich trzech w Paryżu na jakichś nie określonych bliżej wysokich stanowiskach. Nigdy jeszcze nie doznała Felicja równie rozkosznego uczucia jak w dniu, kiedy Rougon ustąpił i chłopców posłano do szkoły. Z zachwytem przysłuchiwała się później ich rozmowom o profesorach i nauce, a słysząc kiedyś, jak jeden z nich odmieniał pó łacinie „róża”, miała wrażenie, że słucha jakiejś cudownej muzyki. Trzeba dodać na jej pochwałę, że dnia tego radość jej wolna była od jakiegokolwiek wyrachowania. Również i Rougon spoglądał teraz na synów z rosnącym zadowoleniem człowieka prostego, który widzi, że dzieci górują nad nim wykształceniem, a oboje małżonków upajała myśl, że kolegami ich dzieci są dęccy największych znakomitości w mieście. Chłopcy mówili po imieniu synowi mera. synowi podprefekta, a nawet dwóm czy trzem młodym arystokratom z dzielnicy Świętego Marka, których rodzice raczyli umieścić w gimnazjum w Plassans. Wobec takiego zaszczytu żadna cena nie wydawała się Felicji zbyt wysoka. Nauka chłopców mocno zachwiała budżetem Rougonów.

Dopóki synowie nie ukończyli gimnazjum, do którego posyłano ich kosztem największych ofiar, małżonkowie żyli nadzieją ich przyszłego powodzenia. Kiedy chłopcy zdali maturę, Felicja postanowiła doprowadzić swe dzieło do końca i namówiła męża, aby wysłał ich wszystkich trzech do Paryża. Dwóch zapisało się na prawo, a trzeci na medycynę. Kiedy ukończyli studia, które do reszty wyczerpały zasoby finansowe przedsiębiorstwa Rougonów, dorośli i stanęli wobec konieczności powrotu na prowincję, rozpoczął się dla biednych rodziców okres rozczarowań. Prowincja wchłonęła chciwie swą zdobycz. Młodym ludziom udzieliła się jej senna martwota. Cała gorycz prześladowających ją niepowodzeń podeszła Felicji do gardła. Synowie sprawili jej zawód, nic przynieśli jej zysków, jakich się po nich spodziewała. Cios ten był dla niej tym dotkliwszy, że godził jednocześnie w jej ambicję, jak i w jej dumę macierzyńską. Rougon powtarzał

_Tvcu.iz: „A co, nie mówiłem?”, czym ostatecznie wyprowadzał ją z równowagi.

Kiedy pewnego dnia wymawiała gorzko najstarszemu synowi sumy, jakie kosztowała jego nauka, leń odpowiedział jej z niemniejszą goryczą:

— Zwrócę wam wszystko, jeżeli będę mógł. Nie trzeba nas jednak było kształcić, skoro nie mieliście pieniędzy. Teraz jesteśmy zdeklasowani i cierpimy bardziej od was.

Felicja zdała sobie sprawę ze słuszności fycli słów. Przesiała odląd oskarżać synów i cały swój gniew obróciła przeciw losowi, który ją uparcie prześladował. Od nowa zaczęła biadać i uskarżać się na brak pieniędzy, uniemożliwiający jej dobiec do portu. A kiedy Rougon mówił do niej: „Twoi synowie to leniuchy, wykorzystują, nas tylko!” odpowiadała cierpko: „Dałby Bóg, żebym mogła im jeszcze poinóel Jeżeli marnują się tutaj, biedne dzieci, to dlatego właśnie, że nie mają ani grosza”.

Z początkiem roku 1848, w przededniu rewolucji lutowej, młodzi Rougonowie wegetowali na podrzędnych stanowiskach w Plassans. Stanowili oni ciekawe, mimo łączącego ich pokrewieństwa całkowicie od siebie różne typy. Na ogół biorąc osiągnęli wyższy szczebel rozwoju wewnętrznego niż rodzice. To stopniowe wznoszenie się zawdzięczali Rougonowie kobietom. Adelajda uczyniła Piotra człowiekiem

0 przeciętnym umyśle i małych ambicjach. Synowie Felicji odziedziczyli po niej większą inteligencję i rozmach zarówno w złym jak i w dobrym.

Najstarszy z nich, Eugeniusz, miał wtedy lat blisko czterdzieści. Był to średniego wzrostu. łysiejący mężczyzna ze skłonnością do tycia. Twarz miał ojca: podłużną, o grubych rysach; nagromadzony pod skórą tłuszcz zacierał je

1 nadawał jego cerze żółtawą bladeść wosku. Kanciasty masyw głowy miał w sobie jeszcze coś chłopskiego, lecz cała twarz zmieniała się, rozjaśniała od wewnątrz, kiedy wzrok jego ożywał się, a oczy otwierały szerzej. Ocieężałość ojca u syna stała się powagą. Ten tęgi mężczyzna robił zazwyczaj wrażenie pogrążonego we śnie; niekřorc jego gesty, szerokie i znużone, przywoziły na myśl ruchy olbrzyma przeciągającego się przed podjęciem jakiegoś gigantycznego dzieła. O ile fizycznie Eugeniusz przypominał Piotra, o tyle umysłowość odziedziczył po Felicjimogłoby to wydawać się kaprysem natury, lecz w tych pozornych jej kapryсах nauka zaczyna już odkrywać pewne stałe prawa. Eugeniusz stanowił ciekawy przypadek: w ocieężałym cieiele ojca krył umysł i usposobienie matki. Miał wielkie ambicje, władcze instynkty i dziwną pogardę dla wszystkiego, co nie wykazywało rozmachu. Był dowodem, że mieszkańcy Plassans nie mylili się podejrzewając Felicję o domieszko błękitnej krwi. Żądza użycia, z taką siłą rozwijająca się u Rougonów i stanowiąca charakterystyczną cechę ich rodziny, u niego występowała w postaci wysublimowanej: jako < ażenie do władzy i do pełni przeżyć intelektualnych. Taki człowiek nie nadawał się do życia na prowincji. Spędził nt niej piętnaście lat, z oczyma zwróconymi w stronę Paryża, czyhając na okazję, żeby się tani wyrwać. Po skończeniu studiów, nie chcąc być na utrzymaniu rodziców, zaczął praktykować jako adwokat. Klientów miał niewiele i z trudem zarabiał na życie, w niczym nie wybijając się ponad uczciwą przeciętność. Mieszkańcy Plassans uważali, że głos ma monotonny, a gesty ocieężałe. Rzadko udawało* mu się wygrać sprawę; najczęściej odbiegał od tematu — bredził, jak powiadali miejscowi znawcy. Pewnego dnia, wygłaszając mowę obrończą o odszkodowanie, zapomniał się rwtiał w rozważania natury politycznej, tak że przewodniczący odebrał nm głos. Eugeniusz usiadł uśmiechając się dziwnie. Sąd wydał wyrok niekorzystny dla klienta, lecz jego obrońca nie zdawał się żałować z tego powodu swych dygresji. Odnosiło się wrażenie, że traktuje 011 swoje przemówienia w sądzie jako rodzaj ćwiczeń, które przydadzą mu się później. Felicja rozpaczała z tego powodu, nie mogąc /rozumieć jego postępowania; jej pragnieniem było, aby Eugeniusz rządził trybunałem w Plassans. Z biegiem czasu wyrobiła

T3

sobie bardzo niepochlebna opinię swoim najstarszym synu; trudno było, jej zdaniem, spodziewać się po tym sennym mężczyźnie, aby stał się kiedyś wielkim człowiekiem: Za to Piotr żywił do niego całkowite zaufanie. Nie-dowodziło to, aby odznaczał się większą niż Felicja przenikliwością, przeciwnie — wystarczały ni' u pokory. Ponieważ Eugeniusz był jego żywym portretem, więc uważając go za niezwykle uzdolnionego pochlebiał samemu sobie. Na miesiąc przed wydarzeniami lutowymi Eugeniusza ogarnęło podniecenie; obdarzony szczególnym węchem, wyczuwał nadchodzące przesilenie. Błąkał się po ulicach jak człowiek; którego dręczy niepokój. Nagłe powziął decyzję: wyjechał do Paryża: Nie miał wtedy przy sobie nawet pięciuset franków. Najmłodszy z synów, Arystydes, stanowił całkowite, przeciwieństwo Eugeniusza. Wyglądem zewnętrznym i chciwością przypominał matkę, a skrytością i upodobaniem do intryg — ojca. Natura odczuwa często potrzebę symetrii. Mały, z chytrą twarzą, przypominającą gałkę laski zakończoną głową poliszynela, Arystydes potrafił wcisnąć się wszędzie, bez skrępowań, gnany żądzą użycia. Kochał pieniądze, tak jak brat jego kochał władzę. Podczas gdy Eugeniusz śnił o tym, aby cały naród poddał się jego woli, i upajał się wizją swej przyszłej wszechwładzy, Arystydes widział siebie w marzeniach jako milionera, zajmującego z księżącym przepychem urządzone apartamenty, dogadzającego swemu podniebieniu i wszystkimi zmysłami chłonnego rozkosze życia. Najbardziej rwał się do bogactwa. Budował w wyobraźni zamki na lodzie; wyrastały one jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej: w przeciągu jednej nocy stawał się posiadaczem wórow złota — takie szybkie zdobycze i jej — ciły jego leniwa naturę, skłonna przy tym do nieprzebierania w środkach. Właściwa Rougonom chciwość i zwierzęca żądza użycia rozpleniły się w nim bujnie, tyńi bardziej nienasycone i groźne, że stały się świadome, a powierzchowne wykształcenie wzmogło je jeszcze. Ze wszystkich swych synów tego Felicja lubiła najbardziej, nie uświadamiając sobie, mimo swej kobiecej intuicji — że Eugeniusza wiązało z nią o wiele większe pokrewieństwo duchowe. Wybacziała najmłodszemu jego potknięcia i lenistwo, kładąc je na karb jego niezwykłości; to on miał stać się w przyszłości chlubą rodziny, a takie wybitne jednostki mogą pozwalać sobie na wybryki, aż dopóki nie obudzi się drzemiąca w nich siła i wielkość. Arystydes wystawiał jej wyrozumiałość na ciężkie próby. W Paryżu próżnował i zabawiał się, jak mógł; był jednym z tych studentów uczęszczających na wykłady do piwiarni w Quartier Latin. W stolicy przebywał zresztą tylko dwa lata; przerażony ojciec widząc, że przez cały ten czas nie zdał ani jednego egzaminu, zabrał go z powrotem do Plassans i zaczął szukać, dla niego żony, w nadziei, że życie rodzinne uczyni go — człowiekiem statecznym. Arystydes pozwolił się ożenić. Nie zdawał sobie wtedy jasno sprawy ze swych ambicji; życie w rodzinnym mieście, gdzie czas upływał mu na bezcelowej włóczędce, jedzeniu i spaniu, całkowicie mu odpowiadało. Ulegając gorącym namowom Felicji Piotr zgodził się dać mieszkanie i utrzymanie młodej parze, pod warunkiem, że syn zajmie się przedsiębiorstwem. Od tej chwili rozpoczął się dla Arystydesa okres rozkosznego próżnowania: wymykał się z ojcowskiego kantorku jak uczeń i całe dnie, a często także i noce spędzał w klubie, przegrywając w karty pieniądze, jakie cichaczem wsuwała mu do ręki matka. Trzeba znać z własnego doświadczenia ogół — piałającą atmosferę prowincji, żeby móc wyobrazić sobie, jak upływały młodemu Rougonowi cztery lata, które spędził tam beczynn timer. W każdym małym mieście wegetuje na łasce rodziców pewna ilość młodych ludzi, którzy udają czasem, że pracują, lecz w rzeczywistości hodują jedynie nabożnie własne lenistwo. Arystydes stał się jednym z tych niepoprawnych próżniaków, poddających się z rozkoszą sennemu bezwładowi prowincji. Przez cztery lata głównym jego zajęciem była gra w ecurle. Podczas gdy on spędzał dni w klubie, jego żona, spokojna blondynka bez wyrazu, rujnowała teściów swym upodobaniem do jaskrawych strojów i ogrom-

nyty apetytem, o który nikt by nie posądził istoty tak wiotkiej jak ona. Aniela uwielbiała niebieskie wstążki i pieczeń wołową. Była córką kapitana rezerwy, którego nazywana majorem Sicardot. Pocziwiec ten dał jej w posagu wszystkie swoje oszczędności: dziesięć tysięcy franków. Toteż Piotr, który nie miał wysokiego wyobrażenia o synu, uważał, że _żeniąc go z Anielą robi doskonały interes. Lecz te dziesięć tysięcy, które wpłynęły na jego decyzję, stały się później kamieniem młyńskim u jego szyi. Arystydes okazał się szcwaną sztuką; oddał ojcu posag żony, przystępując do przedsiębiorstwa jako współnik. Nie chciał zatrzymać dla siebie ani grosza, udając wielkie przywiązanie do rodziny.

Po cóż nam te pieniądze? — mówił. — Rodzice dadzą nam utrzymanie, a liczyć będziemy się później.

Piotr zgodził się, zażenowany i zaniepokojony nieco bez-* interesownością Arystydesa. Ten zaś liczył na to, że ojciec nieprędko będzie mógł mu zwrócić jego udział i rozwiązać spółkę, a- do tej pory on z żoną będzie żył dostatnio na jego koszt. Była to doskonała lokata tych paru tysięcy franków. Kiedy Rougon pojął wreszcie, jak go Oszukano, za późno już było, żeby się wycofać; posag Anieli ugrzązł w niepomyślnych spekulacjach. Musiał więc utrzymywać mlode "małżeństwo, zrozpaczony i przerażony ogromnym apetytem synowej i lenistwem syna. Gdyby miał możliwość zwrócić im ich pieniądze, dawno już byłby się pozbył z domu tych pijawek, które wysysały jego krew, jak to dosadnie określał. Felicja za to, choć nie okazywała tego otwarcie, trzymała jednak stronę młodych. Arystydes, który przejrzał jej ambitne marzenia, roztaczał przed nią co wieczór wspaniałe plany zdobycia fortuny, łudząc ją, że niedługo uda mu się je urzeczywistnić. Wbrew tradycji również i z synową łączyły Felicję jak najlepsze stosunki; Aniela była istotą całkowicie pozbawioną woli — można nią było rozporządzać jak sprzętem. Kiedy żona opowiadała mu o przyszłych sukcesach Arystydesa, Piotr unosił się i oskarżał syna, że doprowadzi on kiedyś przedsiębiorstwo do upadku. Przez cztery lata pobytu młodych pod jego dachem wyładowywał w tych nagłych wybuchach i sprzeczkach swój bezsilny gniew; nic jednak nie było w stanie wyprowadzić Anieli i Arystydesa z równowagi. Jak kamienie zaryte w mulaste dno rzeki nie zdolni byli poruszyć się z miejsca. Wreszcie, korzystając z jakiejś pomyślnej transakcji Piotr oddał im ich udział. Kiedy przyszło do rozliczenia, Arystydes potrafił znaleźć takie wykręty, że w końcu udało mu się wynieść od ojca nie zwróciwszy mu ani grosza za wikt i mieszkanie. AUode małżeństwo przeniosło się na plac Świętego Ludwika, położony o parę kroków od domu rodziców. Zapas gotówki prędko się wyczerpał. Trzeba było pomyśleć o jakimś zajęciu. Dopóki zresztą byty pieniądze, Arystydes w niczym nie zmieniał dawnego trybu życia. Z chwilą kiedy wyciągnął ostatni banknot stufran- kowy, ogarnął go niepokój. Błąkał się po mieście z niewyraźną miną, przestał pijać „pól czarnej" w klubie i przestał grywać, przyglądając się jedynie gorączkowo grze innych. Bieda uczyniła go jeszcze gorszym, niż był. Długo upierał się przy swojej .bezczywności. Jego syn, mały Maksym, urodzony w roku 1840, chował się w internacie, gdzie umieściła go babka, płacąc za niego w tajemnicy przed mężem. Ary stydes miał więc o jedną osobę mniej na utrzymaniu, lecz biedna Aniela przymierała głodem i musiał w końcu poszukać jakiegoś zajęcia. Udało mu się. dostać do pod prefektury. Pracował tam przez blisko dziesięć lat i doszedł zaledwie da tysiąca ośmiuset franków pensji rocznej. Pełen nienawiści i goryczy rwał się do uciech, których byt pozbawiony. Jego podrzędne stanowisko doprowadzało go do rozpacz, nędzne sto pięćdziesiąt franków, które otrzymywał co miesiąc, wydawały mu się ironią losu. Trawiły go niezaspokojone żądze. Felicja, której zwierzał się ze swych cierpień, z zadowoleniem przyjmowała je do wiadomości; miała nadzieję, że nędza wyleczy go z lenistwa. A on nastawiał ucha i rozglądał się dokoła jak złodziej, który czyha na okazję. Z początkiem roku 1848, kiedy brat jego wyjechał do Paryża, miał przez chwilę zamiar pójść w jego ślady. Lecz Euge-

musz być kawalerem, a jakże on mógłby zabrać ze sobą żonę, nie mając dostatecznej-ilości pieniędzy? Cekał więc dalej, węsząc katastrofę, gotów rzucić się na pierwszą ofiarę, jaka pojawi się na jego drodze.

Średni syn Rougonów, Pascal, zdawał się nie należeć do rodziny i zadawać kłam prawom dziedziczności, Przykłady tego rodzaju często spotykamy w naturze, wyposażającej niektóre jednostki z własnych zasobów twórczych. Ani fizycznie, ani duchowo Pascal w niczym nie przypominał Rougonów. Wysoki, o twarzy spokojnej i surowej, odznaczał się prawością charakteru, zamiłowaniem do nauki, - skromnością, które dziwnie kontrastowały z gorączkową ambicją i pozbawionym skrupułów postępowaniem jego braci. Ukończywszy w Paryżu studia medyczne z doskonałym wynikiem, dobrowolnie wrócił do Plassans, mimo propozycji, jakie robili mu jego profesorowie. Lubił spokój prowincji i twierdził, że bardziej sprzyja on pracy naukowej niż rozgwar Paryża, W Plassans nie zabiegał o to, by zdobyć jak najwięcej pacjentów; Skromnych wymagań, pogardzał gromadzeniem pieniędzy i zadowalał się nielicznymi chorymi, których zsyłał mu przypadek. Jedynym luksusem w jego życiu był mały, jasny domek w nowej dzielnicy miasta. Zamykał się w nim jak pustelnik, oddając się z zamiłowaniem studiom przyrodniczym, Najbardziej pasjonowała go fizjologia. Wiedziano o tym, że często kupował trupy od szpitalnego grabarza, co sprawiło, że delikatne damy i bojaźliwi panowie mówili o nim z przerażeniem i ze wstrętem. Nie posunięto się na szczęście tak daleko, żeby uważać go za czarownika, lecz z biegiem czasu liczba jego pacjentów zmniejszyła się, a on zyskał sobie opinię dziwaka, z którego porad nie powinny korzystać osoby z dobrego towarzystwa, o ile nie chcą narazić się na kompromitację. Żona mera oświadczyła pewnego dnia:

H Wolałabym umrzeć niż leczyć się u tego pana. Czuć go trupem.

Był to ostateczny wyrok. Pascal zdawał się cieszyć z tego, że wzbudza lęk. Im mniej miał bowiem pacjentów, tym swobodniej mógł się oddawać swym ukochanym pracom. Ponieważ zaś pobierał za porady bardzo niskie opłaty, uboga ludność pozostała mu wierna. Zarabiał tyle, ile niu było potrzeba na utrzymanie, i żył w całkowitym odosobnieniu, pogrążony w niczym nie skażonej radości odkryć i dociekań naukowych. Od czasu do czasu przysyłał wyniki swoich badań Akademii Naukowej w Paryżu. Mieszkańcy Plassans nie wiedzieli wcale, że ów dziwak, ów „pan, którego czuć trupem”, był w świecie naukowym bardzo znanym i bardzo cenionym człowiekiem. Co niedzielę widywano go wędrującego na wzgórze Garrigues, z blaszanką botanika zawieszoną na szyi i młotkiem geologa w ręce. Wzruszano wtedy ramionami i przeciwstawiano inu innych doktorów w mieście, zawsze eleganckich; uprzejmym dla dam i pachnących fiołkami. Również i rodzice nie rozumieli Pascala. Jego dziwne obyczaje i obojętność dla pieniędzy wywołały w Felicji zdumienie. Zaczęła robić mu wymówki, że zawiódł jej nadzieje. Ona, która tolerowała lenistwo Arystydesa, wierząc, że okaże się ono płodne, nie mogła patrzeć bez gniewu na sUromny tryb życia Pascala, jego zamiłowanie do samot-^vności i uparte trzymanie się na uboczu. Nie mogła liczyć na to, aby urzeczywistnił on kiedyś jej ambitne marzenia.

— Czyj ty jesteś? — pytała się go czasem. — Bo przecież nie nasz. Spójrz na swoich braci, oni przynajmniej dążą do czegoś, starają się wyciągnąć korzyści z wykształcenia, które im daliśmy^ A ty robisz same głupstwa. Tak się odwzięczasz za to, że rujnowaliśmy się, aby cię wychować? Nie, ty nie jesteś nasz.

Pascal, który wolał roześmiać się, niż wybuchnąć gniewem, odpowiadał jej wesoło, z subtelną ironią:

— Niech rodzice lak na mnie nie narzekają, postaram się jakoś odwzięczyć: będę leczył za darmo całą rodzinę.

Rzadko zresztą widywał się z Rougonami: nie okazywał im niechęci, lecz posłuszny był własnemu powołaniu. Zanim

Arystydes dostał się do pódprefektury, kilkakrotnie korzystał z pomocy brata.

Pascal pozostał kawalerem. Pochłonięty pracą nie przeczuwał nadchodzących, wydarzeń. Od paru lat zajmował go . problem dziedziczości: porównywał objawy jej u zwierząt i u ludzi, pasjonując się otrzymywanymi wynikami. Obserwacje, które poczynił na samym sobie i na reszcie rodziny, stanowiły punkt wyjściowy jego badań.... Ludzie p>śd - zdawali sobie dzięki swej intuicji Sprawę, do jakiego stopnia różnił się od całej rodziny, i nazywali go po prostu „panem Pascalem”, nie dodając nigdy nazwiska.

Ka trzy lata przed rewolucją 1848 roku Piotr i Felicja" | zlikwidowali przedsiębiorstwo. Oboje przekroczyli już pięćdziesiątkę, czuli, że się starzeją, zmęczeni byli walką z prze- > . ciwnościami.

Prześladujące ich niepowodzenia napełniały ich lękiem co do przyszłości i woleli w porę zwinąć sklep,, żeby później nie znaleźć się na bruku. Zawód, jaki sprawili im synowie, do-\ reszty podkopał w nich wiarę w możliwość sukcesu i wzbogacenia się. Pragnęli już tylko zabezpieczyć sobie | ^ka wałek chleba na stare lata. Wycofali/się więc z interesów z czterdziestoma tysiącami franków — nie więcej. Suma ta zapewniała im rentę w wysokości dwóch tysięcy franków rocznie, co z trudem wystarczało na zaspokojenie skromnych potrzeb codziennego życia na prowincji. Byli na szczęście sami, gdyż udało im się wydać za mąż dwie córki, Sydonię i Martę. Pierwsza z nich osiedliła się w Paryżu, a druga w Marsylii.-

, Likwidując przedsiębiorstwo, pragnęli bardzo zamieszkać w nowej dzielnicy miasta, dzielnicy rentierów, lecz nie mieli na to odwagi. Renta ich była zbyt mata; obawiali się, że będą tam na nich patrzył z ukosa. Poszli więc na pewnego rodzaju kompromis, wynajmując mieszkanie przy ulicy de la Banne, która dzieli starą dzielnicę od nowej. Dom, do którego się przeprowadzili, wznosił się po stronie stykającej. się ze starą dzielnicą, nie udało im się więc wydostać z krę-

gu biedoty, lecz tuż-przed nimi — o parę kroków zaledwie — rozpościerała się będąca we władaniu bogaczy ziemia obiecana. którą mogli oglądać przez okno.

Mieszkanie ich znajdowało się na drugim piętrze i składało.z trzech dużych pokoi: jadalni, salonu i sypialni. Na pierwszym piętrze mieszkał właściciel domu, sprzedawca łasek i parasoli, którego sklep mieścił się na parterze. Ciasny i niski dom miał tylko dwa piętra. Felicja wprowadziła się doń ze ściśniętym sercem.

Mieszkanie u obcych jest na prowincji równoznaczne z przyznaniem się do ubóstwa. Każda dobrze sytuowana rodzina posiada w Plassans swój własny dom, gdyż nieruchomości można tam nabyć po bardzo niskiej cenie. Lecz Piotr mocno zaciskał kiesę; nie chciał również słyszeć o żadnych upiększeniach: te same stare', zniszczone, - wyblakłe meble służyły imr więc dalej, a Rougon nie zgodził się nawet na to, żeby je wyreperować. Felicja rozumiała zresztą doskonale skąpstwo męża i starała się, jak mogła, własnymi silan' odświeżyć te szczątki i przydać im nowego blasku: uzupełniała brakujące części i cerowała przetarty aksamit obić.

Pokój jadalny, położony tak jak kuchnia w głębi mieszkania, był prawie pusty: stół i dwanaście, krzesel ginęło w tym wielkim pomieszczeniu, którego okno wychodziło na szarą ścianę sąsiedniej kamienicy. W sypialni, ponieważ nikt tam me wchodził, Felicja zrobiła skład nie używanych mebli: oprócz szafy, łózka, sekretarzyka i toalety, stały tam wjęc jeszcze dwie kołyski, ustawione jedna na drugiej, kre? dens, któremu brakowało drzwi, i pusta biblioteka — szacowne szczątki, z którymi nie potrafiła się rozstać. Specjalną pieczę otoczyła. Felicja salon i prawie że udało jej się urządzić go jak prawdziwy pokój mieszkalny.-Stał. w nim |||| Jur mebli obitych żółtawym aksamitem w błyszczące kwiaty. Na środku znajdował się gerydon z marmurowym blatem, 1 zaś pod dwiema przeciwległymi ścianami wznosiły się dwie konsole. Na podłodze leżał nieduży dywanik, a z sufitu zwie

szał się świecznik, okryty białym muślinem, upstrzonym przez muchy. Na ścianach wisiało sześć litografii przedstawiających bitwy Napoleona. Umeblowanie pochodziło z pierwszych lat Cesarstwa. Jedynym ustępstwem, do jakiego udało się Felicji nakłonić męża, były nowe tapety do tego pokoju: wybrała pomarańczowe w wielkie liście. Cały pokój napenił się dziwnym, żółtym światłem; meble, tupety i firanki były żółte, nawet dywan, marmur gerydonu i konsole wpadały w żółty odcień. Kiedy firanki były zaciągnięte, tworzyło to dość harmonijną i niemal że przyjemną całość. Lecz nie o takich apartamentach marzyła Felicja. Z trudem maskowane ubóstwo ich mieszkania napeniało ją niemałą rozpaczą. Najchętniej przesiadywała w salonie, gdyż był to najładniejszy ze wszystkich pokoi. Jedną z jej najmilszych, a zarazem najboleśniejzych rozrywek stanowiło wyglądanie z jego okien, które wychodziły na ulicę de la Banne. Po przeciwnej stronie, nieco z boku, widziała plac podprefektury. W jej oczach był to eden. Ten mały, pusty plac, czysty i otoczony jasnymi domami, wydawał jej się rajeni. Za jedną z takich posiadłości oddałaby dziesięć lat życia. Najbardziej kusił ją dom poborczy podatków, wznoszący się po lewej stronie, w rogu. Wpatrując się weń doznawała uczuć kobiety ciężarnej, która ma na coś chęć, a nie może jej zaspokoić. Czasami, kiedy okna tam były otwarte, dostrzegała fragmenty bogato urządzonego wnętrza i na widok ten ogarniało ją wzburzenie.

Oboje Rougonowie bardziej niż kiedykolwiek tęsknili teraz do zaszczytów i bogactwa. Gorycz doznanych zawodów do reszty tłumiła w nich nieliczne dobre odruchy, na jakie było ich stać. Pozowali na ofiary prześladowającego ich niepowodzenia, lecz w rzeczywistości w niczym nie rezygnowali ze swych ambicji, pragnąc za wszelką cenę doczekać przed śmiercią ich urzeczywistnienia. Nadchodząca starość nie potrafiła zabić w nich nadziei. Felicja twierdziła, iż przecucie inowłosej jej, że umrze bogata. Każdy dzień ubóstwa coraz bardziej iin ciężył. Kiedy rekapitulowali w myśli wszystkie

82

p

bezużyteczne wysiłki, trzydzieści lat walki, jakie mieli z; > sobą, zawód, jaki sprawił im synowie, i kiedy uprzytamniał! sobie, że zamiast tego, o czym marzyli, przypadł im w udziale jedynie żółty salon, którego brzydotę trzeba było tuszować zaciągając firanki, ogarniał ich głuchy gniew. Na pocieszenie układali od nowa plany zdobycia ogromnej fortuny, zastanawiali się nad sposobami, które pomogłyby im osiągnąć ten Cel; Felicja śniła, że wygra główny los na loterii — 100 000 franków, a Piotr wyobrażał sobie, że uda mu się wpaść na pomysł jakiejś niezwykle korzystnej transakcji. Żyli teraz jedną myślą: wzbogacić się, wzbogacić się jak najprędzej, od razu, w parę godzin i móc potem używać życia, którego tak niewiele im już pozostało. Cała ich natura rwała się do tego z niepowstrzymaną siłą. Wbrew wszystkiemu liczyli jeszcze w niejasny sposób na synów, z egoizmem rodziców, którzy nie mogą pogodzić się z myślą, że pieniądze, jakie wydali na ich naukę, miałyby nie pr/ynieść żadnych procentów.

Felicja nie zestarzała się prawie wcale; była wciąż tą samą drobną, ruchliwą brunetką o przenikliwym głosie konika polnego. Ktoś idący za nią ulicą mógł wziąć ją za piętnastoletnią dziewczynkę, tak była szczupła i lekko stapała. Na twarzy również zmieniła się niewiele: wyschła jakby i rysy się jej zaostrzyły, co jeszcze bardziej podkreślało jej podobieństwo do łasicy.

Piotr Rougon natomiast roztył się i upodobnił do promieniującego godnością mieszczanina, któremu do pełni mieszczańskiego blasku brakowało jedynie wysokiej renty. Jego blada, nalana twarz o sennym wyrazie i ociężałe ruchy nadawały mu wygląd człowieka dobrze sytuowanego. Pewnego dnia usłyszał, jak jakiś chłop, który go nie znał, mówił o nim: „Ten przynajmniej nie musi się martwić: co ma włożyć do garnka! Od razu widać, że to bogacz!” Słowa te ugodziły go w samo serce. Dopatrywał się szczególnej złości wości losu w tym, że. pozostał ubogi, nabierając jednocze-

I snie tuszy i powagimilionera. Gołąc się co niedzielę przed małym lusterkiem, zawieszonym na ramie okiennej, nie mógł oprzeć się myśli, że — we fraku i białym krawacie — na pewno zaćmiłby niejednego z urzędników bywających: u pana podprefekta. I rzeczywiście, ten chłopski syn, który utył i wyblakł biedząc za kontuarem, a swą zawistną chciwość' pokrywał zewnętrznym, spókojem, przypominał bezmyślnym wyglądem i uroczystą postawą pozbawione wyrazu sylwetki, jakie widuje się na oficjalnych przyjęciach. Utrzymywano; że słucha we wszystkim żony, lecz przypuszczenia te były mylne. Z prostackim uporem przeciwstawiał się cudzej woli,' gotów do brutalnych wystąpień przeciw każdemu, kto usiłowałby mu ją narzucić. Lecz Felicja była zbryt. przebiegła, aby narażać się na jego gniew; otwarte atakowanie przeszkód nie leżało w naturze tej ruchliwej karliczki. Jeżeli chciała uzyskać coś od męża lub skierować go na drogę, którą w danej chwili uważała za najlepszą, prowadziła woj? nę podjazdową i poty męczyła go swym owadźim brzęczeniem, aż wreszcie ustępował, sani-nie zdając sobie z lego sprawy. Czuł zresztą, że żona jest inteligentniejsza od niego, i znosił jej wskazówki stosunkowo cierpliwie. Wbrew zwyczajom, małżonkowie nigdy prawie niewyrzucali sobie nawzajem swych niepowodzeń. Jedyne problem wykształcenia dzieci rozpętywał czasem domowe burze..

Revolucja 1848 roku zastała rodzinę Rougonów w stanie wewnętrznego napięcia; doprowadzeni do ostateczności prześladowającymi ich niepowodzeniami, gołowi byli chwycić' los za gardło i obrabować. Przyczajeni jak bandyci, czyhali tylko na okazję. Eugeniusz strzegł Paryża; Arystydes marzył o tym, żeby zdławić Plassans; Piotr i Felicja — najbardziej chciwi — układali plany na własną rękę, licząc, że oprócz tego uda się jin zagarnąć część tego. co zdobędą synowie.

1 tylko PascaJ, obcy tym wszystkim knowaniom, wiódł w swym jasnym domku w nowej dzielnicy ciche życie człowieka sercem oddanego nauce.

84

W Plassans, tym odciętym od .świata mieście, gdzie podział na klasy był w roku 1848 tak wyraźny, wydarzenia polityczne odbijały się ledwo dostrzegalnym echem. Nawet dzisiaj lud nie może tu przyjsć do głosu; gdyż cała mądrość burżuazji, rozpaczliwy upór arystokracji i wyrafinowana przebiegłość" kleru wysilają się, aby go zagłuszyć. Niech - sobie królowie wrywają troriy, niech się przewracają republiki — niewiele to obchodzi miasto. Kiedy paryżanie biją się, w Plassans wszyscy śpią. -^Ale pod pozornie spokojną i obojętną powierzchnią wrą siły, których obserwowanie jest niezmiernie interesujące. Chociaż bowiem na ulicach rzadko słyhać wystrzały, w salonach nowej części miasta i w dzielnicy Świętego Marka aż kipi od intryg. Lud do roku 1830 w ogóle nie był brany pod uwagę i dzisiaj jeszcze postępuje się tak, jakby ~go nie było. Wszystko dzieje się w sferach duchownych, arystokratycznych i mieszczańskich. Bardzo liczni księża nadają ton miejscowej polityce; ich działalność to miny podziemne f ciosy zadawane z ukrycia — ta~ktyka rozsądna i tchórzliwa zarazem, dzięki której można zrobić najwyżej jeden krok w tył albo naprzód, raz na dziesięć lat. Te ukryte walki ludzi, pragnących przede wszystkim uniknąć rozgłosu, wymagają postępowania szczególnie subtelnego, zamiłowania do drobiazgów.i cierpliwego umysłu, który opanował wszelkie namiętności. Ślamazarna, tak chętnie wyśmiewana w Paryzli prowincja kryje w swoim " na pozór spokojnym życiu zdrady, podstępne morderstwa, utajone zwycięstwa i klęski. Ci ociążali poczciwcy potrafią, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi ich ihłeresy, zabijać przeciwników w ich własnych domach przy pomocy drobnych ukłuc, tak jak my zabijamy publicznie, strzelając kulami i prochem.

W historii politycznej Plassans, jak zresztą i wszystkich innych miasteczek Prowansji, jest moment dosyć osobliwy. Mieszkańcy tego miasta byli aż do roku 1830 praktykującymi katolikami i zażartymi rojalistami: lud wierzył tylko

<<5

Iw Boga i-legalnie panujących monarchów. Później zaszła nagła i dziwna zmiana: wiara znikła, a robotnicza i inie* szczańska ludność miasta, porzucając sztandar legitymizmu, przyłączyła się do wielkiego ruchu demokratycznego naszej epoki. Z chwilą wybuchu rewolucji roku 1848 jedynie duchowieństwo i arystokracja walczyły o triumf Henryka V. Przez długi czas uważały one powołanie dynastii orleańskiej na tron za śmieszny próbę, która prędzej czy później zakończy się-powrotem Burbonów, i mimo że nadzieja ta została sromotnie zawiedziona, uparcie prowadziły walkę, zgorszzone dezercją swoich dawnych adherentów, usiłując nawrócić ich wszelkimi siłami. Dzielnica Świętego Alarka, wspomagana przez wszystkie parafie, zabrała się do roboty. Bezpośrednio po dniach rewolucji lutowej entuzjazm ogarnął mieszczaństwo, a zwłaszcza lud: ci początkujący republikanie pragnęli-jak najszybciej dać wyraz gorączce-rewolucyjnej, która ich ogarnęła. Ale piękny zapał renlierów z nowej dzielnicy miasta okazał się wkrótce słomianym ogniem. Drobnu posiadacze, byli właściciele sklepików, słowem, ci wszyscy, którzy wiedli syte, spokojne życie i nieźle zaokrąglili swoje majątki za czasów monarchii, bardzo szybko dali się ogarnąć panice; od chwili gdy nastąpiła republika i towarzyszące jej wstrząsy, drżeli o swe pieniądze i spokojny żywot. Toteż gdy w roku 1849 podniosła głowę reakcja klerykalna, prawie całe mieszczaństwo Plassans przeszło do stronnictwa konserwatystów. Przyjęto je tam z otwartymi rękami. Nigdy dotąd nowa dzielnica miasta nie żyła tak blisko z dzielnicą Świętego Marka: arystokraci posuwali się nawet niekiedy do podawania ręki komornikom sądowym i byłym hahdłarżpin oliwą. Ta niespodziana zażyłość zwiększyła jeszcze entuzjazm nowej dzielnicy, która odtąd wypowiedziała rządowi Republiki zażartą walkę. Aby doprowadzić do takiego zbliżenia, duchowieństwo poświęcało wszystkie zasoby swojej cierpliwości i zręczności. W istocie bowiem arystokracja miasta Plassans znajdowała się, jak człowiek konający, w stanie nieprzewycięzonej prostracji: zachowując dawną wiarę trwała jakby w głębokim śnie i wołała nic nie przedsięwziąć pozostawiając inicjatywę niebu; najchętniej protestowałaby jedynie milczeniem, ntoże przeczuwając niewyraźnie, że jej bogowie umarli, a jej samej nie pozostaje już nic innego, jak pójść w ich ślady. Nawet w okresie przewrotu, kiedy katastrofa roku 1848 pozwałała jej przez chwilę spodziewać się powrotu Burbonów, pozostała nadal obojętna i skostniała, rozprawiając wprawdzie o wmieszaniu się w bieg wypadków, lecz jedynie z żalem opuszczając swój wygodny kącik przy kominku. Duchowieństwo zwalczało nieustannie bierność i rezygnację arystokratów. Robiło to z pewnego rodzaju pasją. Ksiądz, który traci nadzieję, walczy tym zacieklej; cała polityka Kościoła polega na tym, aby iść prosto przed siebie, wbrew trudnościom, odkładając w razie potrzeby urzeczywistnienie projektów na kilka wieków, lecz nie zaprzestając wysiłków ani na godzinę i posuwając się ciągle naprzód. Duchowieństwo kierowało więc reakcją w Plassans. Arystokracja użyczała mu tylko swego imienia, niczego więcej: księża kryli się za jej plecami, strofowali ją, kierowali nią i zdołali nawet tchnąć w nią pozory życia. Kiedy osiągnęli wreszcie, że arystokraci przewyciężyli swe uprzedzenia tak dalece, iż zgodzili się wystąpić razem z mieszczaństwem, księża mieli już pewność zwycięstwa. Grunt był zresztą doskonale przygotowany: to miasto o tradycjach rojalistycznych, zamieszkałe przez spokojnych mieszcuchów i bojaźliwych sklepikarzy, musiało prędzej czy później opowiedzieć się za starym porządkiem. Duchowieństwo przyśpieszało tylko nawrócenie swoją mądrą taktyką. Pozyskawszy posiadaczy z nowej dzielnicy, zdołało przekonać nawet małych deta- listów ze starej. Od tej chwili reakcja opanowała miasto. Skupiała ona ludzi o najróżniejszych przekonaniach: nigdy nie widziano podobnej mieszanki zgorzkniałych liberalów, legitymistów, orleanistów, bonapartystów i klerykałów. Ale wtedy nie miało to znaczenia —najważniejszą sprawą było zabić Republikę. A Republika konała. Na dziesięć tysięcy

[mieszkańców miasta najwyżej tysiąc robotników składało jeszcze ukłon przechodząc obok drzewa Wolności, które zasadzono na środku placu przed podprefekturą.

Najbardziej przewidujący politycy Plassans, którzy kierowali stronnictwem reakcyjnym, przeculi Cesarstwo bardzo późno. Popularność księcia Ludwika Napoleona wydawała im się przesadnym entuzjazmem tłumu, łatwym do zlikwidowania. Sama osoba księcia nie pociągała ich. Uważali go za człowieka bez indywidualności, fantastę, który nie potrafi zdobyć Francji, a zwłaszcza nie zdoła utrzymać się przy władzy. Był dla nich tylko instrumentem, który miał przygotować teren i zostać wyrzucony za drzwi w chwili, kiedy ukaże się właściwy pretendent do tronu. Tymczasem upływały miesiące i wreszcie poczuli się zaniepokojeni. Wtedy dopiero zaczęli sobie niewyraźnie zdawać sprawę, że ich oszukiwano. Ale nie mieli już czasu na decyzję: zamach stanu wybuchł nad ich głowami i musieli go oklaskiwać. Znienawidzona Republika została zamordowana. Był to więc mimo wszystko triumf. Duchowieństwo i arystokracja przyjęły te wypadki z rezygnacją, odkładając realizację swych nadziei na później i mszcząc się za swoją omyłkę przystąpieniem do bonapartystów, aby zmiażdżyć ostatnich republikanów.[^]

Wypadki te ugruntowały fortunę Rougonów. Zamieszani w różne fazy kryzysu, wyrosli na ruinach wolności. Jak zazajeni bandyci rzucili się na Republikę, gdy padła zamordowana, i pomagali ją rabować.

W przeddzień wydarzeń lutowych Felicja, odznaczająca się największym sprytem w rodzinie, zrozumiała, że wreszcie znaleźli się na dobrej drodze. Zaczęła kręcić się koło męża, chcąc nakłonić go do działania. Pierwsze odgłosy rewolucji przeraziły Piotra. Lecz szybko dał przekonać się żonie, która wytłumaczyła mu, że do stracenia mieli niewiele, a wiele za to mogli zyskać przy przewrocie.

— Nie wiem, co trzeba zrobić — powtarzała Felicja — ale wiem, że coś robić trzeba. Pamiętaj, jak pan de Carnav-
88

vant powiedział na ni kiedyś, że będzie bogaty, jeżeli Henryk V powróci do Francji, i że król ten wynagrodzi wspaniale wszystkich tych, którzy umożliwią mu objęcie tronu. Może na tej drodze powinniśmy szukać szczęścia? Czas już byłby, żeby się do nas uśmiechnęło.

Markiz de Carnavant, arystokrata, o którym szeptano w mieście, że był niegdyś przyjacielem matki Felicji, odwiedzał od czasu do czasu Rougonów. Złe języki utrzymywały, że pani Rougon przypominała go z wyglądu. Był to niski, chudy mężczyzna, o żywych ruchach. Liczył wówczas siedemdziesiąt pięć lat. Felicja, siarząc się, rzeczywiście stawała się do niego podobna, zarówno z rysów, jak i z postawy. Opowiadano, że kobiety pochłonęły resztki jego majątku, mocno już nadwężonego przez jego ojca podczas emigracji. Markiz przyznawał się zreszła do swego ubóstwa zupełnie szczerze. Przygarnięty przez jednego z krewnych, hrabiego de Valqueyras, pozostawał na jego utrzymaniu i mieszkał w jego domu, gdzie zajmował wąski pokój na poddaszu.

— Jeżeli Henryk V uczyni mnie kiedyś bogatym — powtarzał często, klepiąc Felicję po policzku — odziedziczysz po mnie majątek, moja mała.

Felicja miała już pięćdziesiąt lat, a on ciągle jeszcze nazywał ją „małą”. Właśnie o tych poufanych poklepywaniach i częstych obietnicach spadku myślała pani Rougon popychając męża ku polityce. Pan de Carnavant niejednokrotnie wspominał z goryczą, że nie może jej przyjść z pomocą. Toteż nie wątpiła, że z chwilą kiedy miałby po temu środki, zachowałby się wobec niej jak ojciec. Piotr, któremu wyjaśniała półsłówkami sytuację, zgodził się słuchać udzielanych mu wskazówek.

Szczególna pozycja markiza uczyniła go od pierwszych dni rządów Republiki aktywnym agentem reakcyjnego ruchu w Plassans. Ten mały, ruchliwy mężczyzna, w którego interesie leżał powrót Burbonów na tron, wszystkimi siłami starał się utorować im drogę. Kiedy bogata arystokracja

z dzielnicy Świętego Marka trwała w niemej rozpacz, obawiając się może kompromitacji i ponownego skazania na wygnanie, on dwoił się i troił, zajmował propagandą i pozyskiwał sprzymierzeńców. Stał się bronią, której rękojeść się dzierżyła jakaś niewidzialna dłoń; Codziennie zjawiał się teraz-u Rougonów. Potrzebny był mu jakrs punkt oparcia. ■ Jego krewny, hrabia de Valqueyras, zabronił mu urządzania zebrań w swym domu, wybrał więc na ten cel żółty-salon Felicji. Wkrótce zresztą znalazł w Piotrze cennego pomocnika. On . sam nie mógł głosić haseł legitymizmu pośród małych detalistów i robotników starej dzielnicy, gdyż nie chcieliby go słuchać; Natomiast Piotr, który żył wśród tych

- ludzi długie lata, mówił ich językiem i znał ich potrzeby, wiedział, jak trzeba ich nakłonić, aby weszli na właściwą drogę. Stał się więc niezbędny dla markiza. "W ciągu-nier.
- spełnia dwóch tygodni Rougonowie przemienili się w zagorzałych rojalistów. Markiz, widząc zapalę Piotra, sprytnie ukrył się za nim. Po cóż miał narażać swoją osobę, skoro można było zepchnąć na czyjeś mocne barki ciężar mylnych posunięć stronnictwa?

: Pozwolił więc Piotrowi wysunąć się na pierwsze miejsce, upając się własną powagą i znaczeniem, a sam zadawała się kierowaniem jego krokami. Toteż były handlarz oliwą stał się wkrótce ważną osobistością.

Wieczorem, kiedy zostawali sami, Felicja mówiła do niego;:-

— Nic się nie bój. Jesteśmy na dobrej drodze. Jeżeli tak - dalej pójdzie, to będziemy bogaci, urządzimy sobie taki salon, jak ma poborca, i będziemy mogli wydawać przyjęcia.

i U Rougonów zbierała się teraz co wieczór grupa konserwatystów, którzy spotykali się w żółtym salonie, aby szkalować Republikę.

Było między nimi trzech czy czterech rentierów, którzy drżeli o swoje dochody i wzdychali do rządów silnej i rozważnej ręki. Eks-sprzedawca migdałów, członek rady miejskiej, pan. Izydor Granoux, stał na czele tej grupy. Jego głęboko rozcięta zajęcza warga, okrągłe oczka i zadowolony, a jednocześnie trochę nieprzytomny wyraz twarzy czyniły go podobnym do tłustej gęsi, która — w zbawiennym lęku przed kucharzem — trawi powoli to, co połknęła. Sam mówił mało, nie mając daru słowa, a innych słuchał tylko wtedy, gdy oskarżali republikanów o chęć rabowania domów bogaczy: stawał się wówczas purpurowy, jakby za chwilę miał dostać ataku apopleksji, - i mruczał jakieś niewyraźne wyzwiska, Wśród których powtarzały się słowa: „nieroby, zbójce, mordercy, złodzieje”.

Nie wszystkich jednak bywalców żółtego salonu cechował ten sam ociężały spokój. Pewien bogaty posiadacz nieruchomości, pulchny i przebiegły pan Roudier, potrafił dyskutować całymi godzinami, z pasją zwolennika Orleanów, któremu upadek Ludwika Filipa przekreślił wszystkie plany. Był to fabrykant pończoch z Paryża, dawny dostawca dworu, który przeniósł się do Plassans, a swego syna zrobił urzędnikiem licząc, że Orleanowie umożliwią chłopcu osiągnięcie wyższych godności. Ponieważ rewolucja zabiła jego nadzieje, rzucił się z rozpaczą w objęcia reakcji. Jego majątek, dawny kontakt handlowy z Tuilieriami, któremu potrafił nadawać wobec innych pozory zażyłej przyjaźni, oraz prestiż, jakim cieszą się w małych miastach ludzie, którzy dorobili, się w Paryżu, a później raczyli wycofać się na prowincję, sprawiły, że zdobył wielki wpływ w okolicy; słuchano go jak wyroczni.

Lecz do najcięższych głów żółtego salonu należał niewątpliwie major Sicardot, teść Arystydesa. Zbudowany jak Herkules, o twarzy czerwonej, porosłej kępami siwych włosów, był on jednym z okrytych chwałą durniów,, którzy słu- ; żyli niegdyś w Wielkiej Armii. W wydarzeniach lutowych oburzały go jedynie walki uliczne; ciągle powracał do tego tematu, twierdząc z gniewem, że to wstyd bić się w ten sposób, i wspominając z dumą czasy Napoleona.

Przychodził również do Rougonów pewien osobnik o chytrym wzroku i wilgotnych rękach, niejaki pan Vuillet, księgarz, który dostarczał różańców i świętych obrazków

■wszystkim dewotkom w mieście. Vuillet zajmował się sprzedażą dzieł klasyków oraz książek religijnych; będąc praktykującym katolikiem, miał zapewnioną klientelę — zaopatrywały się u niego klasztory i liczne plebanie. Wpadł on przy tym na genialną myśl wydawania pisma pod, nazwą Gazeta Plassans. Wychodziło ono dwa razy na tydzień i poświęcone było całkowicie obronie interesów kleru. Pismo to kosztowało go rocznie około tysiąca franków, lecz zawdzięczał mu opinię ryercza Kościoła i szybki zbył dewocjonaliów. Ow człowiek, który z trudem radził sobie z ortografią, sam redagował artykuły do Gazety, odpowiednią dozą pokory i żółci wyrównując brak talentu. Toteż organizując kampanię markiz wziął pod uwagę korzyści, jakie mógł przynieść mu ten zakryty o płaskiej twarzy i jego nie wyrobione jeszcze, sprzedajne pióro.-Od lutego coraz rzadziej zdarzały się błędy w artykułach Gazety; przeglądał je markiz.

Można wyobrazić sobie teraz dziwny widok, jaki przedstawiał każdego wieczoru żółty salon Rougonów. Spotykali się tam ludzie o różnych przekonaniach, zgodnym chórem występując przeciwko Republice. Nienawiść ułatwiła im porozumienie. Markiz nie opuszczał zresztą ani jednego z zebrań, samą swoją obecnością łagodząc drobne nieporozumienia, jakie zachodziły czasem pomiędzy majorem a resztą zgromadzonych. Tym mieszczanom pochlebiał skrycie fakt, że pan de Carnav<mt. wita się z nimi i żegna uściskiem dłoni. I tylko Roudier — wolnomyśliciel z uicv. Saint-Honore, mówił głośno o tym, że markiz rtie ma ani .grosza i że on kpi sobie z markiza. Ten ostatni potrafił zawsze zachować uprzejmy uśmiech arystokraty; do tych ludzi, z których ani jeden nie posiadał herbu, zniżał się bez pogardy, jaką czuli się w obowiązku okazywać im inni mieszkańcy dzielnicy Świętego Marka. Żyjąc jak pasożyt, nauczył się przystosowywać do warunków. Był duszą zebrań. Wydawał polecenia w imieniu nieznanymi osobistosci, których nazwisk nie wymieniał. „Oni życzą sobie tego, a nie życzą tamtego”, mówił. Tymi ukrytymi bogami, czuwającymi z wysoka nad przeznaczeniem Plassans, lecz nie mieszającymi się bezpośrednio do wydarzeń, byli zapewne miejscowi księża, zajmujący się po cichu polityką. Kiedy markiz wymawiał owo tajemnicze „oni”, które napępniało całe zgromadzenie głębokim szacunkiem, Vuillet przybierając minę świętoszka dawał do zrozumienia, że zna „ich” doskonale.

Najszcześliwsza była jednak Felicja. Nareszcie zaczęto bywać w jej salonie. Wstydziła się. wprawdzie trochę starych mebli, obitych żółtym aksamitem, lecz pocieszała się myślą, że gdy dobra sprawa, o którą walczyli, zwycięży, będzie mogła kupić sobie ładniejsze. Z biegiem czasu Rougonowie sami uwierzyli w swój rojalizm. Kiedy nie było Roudiera, Felicja odważyła się nawet twierdzić, iż całą winę za to, że nie udało im się zrobić majątku na handlu oliwą, ponosi monarchia lipcowa. W ten sposób nadawała im biedzie zabarwienie polityczne. Dla każdego z gości potrafiła znaleźć jakieś miłe słówko, nawet dla Granoux. obmyślając codziennie inny sposób grzecznego budzenia go z drzemki, kiedy zebranie miało się ku końcowi.

Żółty salon, ośrodek konserwatystów należących do różnych partii, nabierał coraz większego znaczenia. Dzięki różnorodności zapatrywań swych członków, a zwłaszcza dzięki ukrytemu kierownictwu kleru, stał się on centrum reakcji, promieniującym na całe Plassans. Markiz, sam ustępując w cień. wysunął na jej czoło Rougona. Fakt, że u niego "właśnie odbywały się zebrania, wystarczył, aby zwrócić nań oczy ogółu i wyrobić mu pośród nie odznaczających się przenikliwością mieszkańców Plassans opinię przywódcy. Jemu przypisywano całą robotę, w przekonaniu, że to on jest główną sprężyną ruchu, który powoli pozyskiwał konserwatystom coraz więcej republikanów — entuzjastów dnia wczorajszego. Istnieją sytuacje, z których korzystać potrafią tylko ludzie pod każdym względem

mierni. Ugruntowują oni fortunę tam, gdzie inni, wyżej postawieni lub bardziej wpływowi, nigdy nie odważyliby się ryzykować swojej. Roudier, Granoux i im podobni, bogaci i cieszący się szacunkiem ludzie, o wiele bardziej nadawali się do roli czynnych przywódców partii konserwatywnej. Lecz żaden z nich nie zgodziłby się zamienić swego salonu w ośrodek polityczny, przekonania ich bowiem nie były na tyle głębokie, aby mieli się dla nich kompromitować. Byli to tylko krzykacze, prowincjonalne kumoszki, które lubiły obgadywać Republikę z sąsiadami, ale pod warunkiem, że ci brali za to odpowiedzialność na siebie. Gra wydawała się ryzykowna. Spośród mieszczańskiej ludności Plassans jedynie Rougonowie — gotowi na wszystko, byle tylko zaspokoić swe apetyty — nadawali się, aby ją rozegrać.

W kwietniu 1848 roku Eugeniusz wyjechał nagle z Paryża i spędził dwa tygodnie u ojca. Nigdy nie dowiedziano się dokładnie, co było celem tej wizyty. Należy przypuszczać, że Eugeniusz pragnął zbadać sytuację w rodzinnym mieście i przekonać się, czy poparto by tutaj jego kandydaturę do Zgromadzenia Ustawodawczego, które niebawem zastąpić miało Konstytuante. Był zbyt sprytny, aby ryzykować porażkę. Opinia publiczna wydała mu się widocznie za mało przychylna, gdyż wstrzymał się od wszelkich prób. Nikt w Plassans nie wiedział zresztą, jakie stanowisko zajmował on obecnie i co robił w Paryżu. Stwierdzono tylko, że schudł i ożywił się. Usiłowano wydobyć z niego jakieś wiadomości. On jednak udawał, że nic nie wie, z niczym się nie zdradzał, a za to sondował innych. Ludzie bardziej przenikliwi dostrzegaliby zapewne ukryte u niego pod maską obojętności żywe zainteresowanie politycznym obliczem miasta. Zdawał się przeprowadzać inspekcję terenu nie tyle na własną rękę, ile z ramienia jakiejś partii.

Mimo że zrezygnował z urzeczywistnienia tu swych nadziei; pozostał w Plassans aż do końca miesiąca, uczęszczając pilnie na zebrania w żółtym salonie. Z chwilą gdy tylko zjawiali się pierwsi uczestnicy, zajmował

miej-

94

sce w niszy okiennej, jak najdalej od lampy. Nie ruszał się stamtąd przez cały wieczór, siedząc z twarzą wspartą na dłoni i nabożnie przysłuchując się rozmowom. Nawet najbardziej niemądre wypowiedzi przyjmował ze spokojem. Przytakiwał wszystkiemu, nawet pomrukowi Granoux. Kiedy pytano go o zdanie, powtarzał grzecznie opinię większości zgromadzonych. Nic nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi — ani mrzonki markiza, który mówił o Burboifich, tak jakby to był rok 1815, ani gadatliwość Roudiera, który rozczulał się wspominając, ile to par skarpet dostarczył niegdyś królowi mieszczań; przeciwnie, zdawał się czuć bardzo dobrze w tej wieży Babel. Chwilami, kiedy te groteskowe postacie zaczynały atakować Republikę, w oczach jego błyskał śmiech, lecz usta nie traciły wyrazu półtygi. Skupiony wygląd i niezmienna uprzejmość zjednały mu ogólną sympatię. Uważano go za człowieka pozbawionego indywidualności, ale poczciwego w gruncie rzeczy. Kiedy jakiś były handlarz migdałami lub oliwą nie mógł wśród powszechnego zgiełku dojść do głosu, żeby oznajmić, w jaki sposób zbawiłby Francję, gdyby władza znalazła się w jego rękach, przysuwał się do Eugeniusza i wykrzykiwał mu do ucha swoje cudowne plany. Eugeniusz przytakiwał mu lekko głową, z wyrazem podziwu na twarzy. Jedynie Vuillet spoglądał na niego nieufnie. Ten półksięgarz a półdziemikarz, o mentalności zakrystiana, mówił mniej niż inni, lecz odznaczał się bystrzejszym wzrokiem. Zauważył, że adwokat rozmawiał czasem po kątach z majorem Sicardot. Postanowił pilnować ich, lecz nigdy nie mógł usłyszeć, o czym mówią. Ilekroć bowiem się do nich zbliżał, Eugeniusz przymrużał oka dając znak majorowi i ten milkł natychmiast. Od czasu pobytu Eugeniusza Sicardot nie irtówił o Napoleonach inaczej jak z tajemniczym uśmiechem.

Na dwa dni przed wyjazdem do Paryża Eugeniusz spotkał na bulwarze Sauvaire Arystydesa, który odprowadził go kawałek i zdawał się szukać u niego rady. Arystydesem targaly wątpliwości. Od chwili ogłoszenia Republiki okazy-

HaP

iwa! nowej władzy żywy entuzjazm: Ewuletui pobyl w Paryżu rozszerzył jego horyzonty i pozwalał mu obecnie trafniej oceniać sytuację, niż to robili jego tępi kompatrioci: wyczuwał bezsilność i legitymizm, i orleanistów, ale nie potrafił domyślić się, kto będzie tym trzecim złodziejem, który okradnie Republikę. Na wszelki wypadek stanął więc po stronie tymczasowych zwycięzców. Z ojcem zerwał wszelkie stosunki i nazywał go publicznie starym idiotą, przekupionym pochlebstwami arystokracji.

— A przecież moja matka jest kobietą inteligentną — dodawał. — Nigdy nie posądziłbym jej o to, że popchnie swego męża do partii, której nadzieje nie mają żadnych widoków urzeczywistnienia. Skutek będzie taki, że na starość oboje znajdą się na bruku. Ale kobiety nie znają się na polityce.

On sam chciał sprzedać się możliwie najdrożej. Dlatego też starał się zawsze zorientować, skąd wieje wiatr, żeby móc stanąć po stronie tych, którzy, kiedy wybije godzina triumfu, będą mogli wynagrodzić go hojną ręką. Niestety, pozbawiony czyichkolwiek wskazówek, pozostawiony sam sobie, posuwał się po omacku i czuł, że się błąka. Czekając, aż bieg wypadków wytyczy mu drogę, przybrał na razie pozę rozentuzjazzmowanego republikanina, dzięki czemu pozostał w podprefekturze, a nawet podwyższono mu pensję. Ulegając pragnieniu odegrania jakiejś roli, namówił pewnego księgarza, konkurenta Yuilleta, do założenia demokratycznego dziennika, którego został jednym z najbardziej cierpkich w tonie redaktorów. Niezależny, zgodnie z jego wskazówkami, wypowiedział nieubłaganą wojnę reakcji. Lecz prąd ten uniósł go wbrew jego woli dalej, niż to leżało w jego zamiarach; zaczął wkrótce pisać artykuły tak rewolucyjne, że kiedy je czytał, przechodziły go dreszcze. Mieszkańcy Plassans zwrócili szczególną uwagę na ataki syna przeciwko osobom, przyjmowanym co wieczór przez jego ojca w słynnym żółtym salonie. Bogactwo Roudiera i Granou* do tego stopnia wyprowadziły Arystydesa z rów

nowagi, że zapomniał o przeczności. Rozgoryczony i zazdrosny, uczynił sobie z mieszczaństwa nieprzejednanego wroga. Przyjazd Eugeniusza i jego zachowanie się w Plassans wywołały w nim konsternację. Uważał brata za człowieka zręcznego i przebiegłego. Jego zdaniem, ten tęgi, opasły mężczyzna był równie czujny jak kot na czatach. A oto tymczasem Eugeniusz spędzał całe wieczory w żółtym salonie i słuchał cierpliwie, co mówią te groteskowe, bezlitośnie przez niego wyszydzane postacie. Kiedy dowiedział się, że jego brat ściska dłoń Granoux i markiza, poczuł się ostatecznie zdezorientowany. Czyżby aż tak dalece pomylił się w swych rachubach? Czyżby legitymiści i zwolennicy Orleanów mieli jakieś widoki powodzenia? Myśl o tym przejęła go zgrozą. Czuł, że traci grunt pod nogami, i — jak to często bywa w podobnych wypadkach — z tym większą furią rzucił się na konserwatystów, aby zemścić się na nich za swą omyłkę.

W przeddzień spotkania z Eugeniuszem na bulwarze Sauvaire opublikował w Niezależnym niemilosierny artykuł o knowaniach kleru, w odpowiedzi na wzmiankę Yuilleta o tym, że republikanie zamierzają burzyć kościoły. Arystydes nie znosił Yuilleta. Nie było tygodnia, żeby ci dwaj dziennikarze nie obrzucili się nawzajem najgorszymi obelgami. Lecz na prowincji inwektywy ubiera się jeszcze w piękne szaty przenośni: Arystydes nazywał swego przeciwnika „bratem Judaszem” lub „sługą świętego Antoniego”, a Vuillet — let odwdzięczał mu się eleganckimi epitetami, mianując go „potworem opitym krwią spływającą spod noża gilotyny”.

Arystydes nie chciał zdradzić się ze swym niepokojem, toteż pragnąc wybać brata spytał go tylko: * — Czytałeś mój wczorajszy artykuł? Co o nim myślisz?

Eugeniusz wrzucił lekko ramionami.

— Myślę, że jesteś niemądr — odparł po prostu.

— Więc przyznajesz rację Vuilletowi? — wykrzyknął dziennikarz błędąc. — Wierysz w triumf Yuilleta?

— Ja!... Vuillet...

Miał już powiedzieć: „Vuillet jest takim samym głupcem jak ty”, lecz kiedy dostrzegł grymas lęku na wyciągniętej ku niemu twarzy brata, ogarnęła go nagła nieufność.

— Vuillet ma swoje dobre strony — dokończył spokojnie.

Rozstając się z brałem Arystydes czuł się jeszcze bardziej zdezorientowany niż przedtem. Eugeniusz musiał zażartować sobie z niego, bo trudno o drugą taką marną kreaturę jak Yuillet. Postanowił zachować ostrożność i nie zacieśniać już bardziej więzów łączących go z republikanami, aby mieć wolne ręce na wypadek, gdyby przyszło mu pomagać jakiejś innej partii w dławienia Republiki.

W dniu swego wyjazdu, na godzinę przed odejściem dyliżansu, Eugeniusz poprosił ojca do sypialni i odbył z nim długą rozmowę. Felicja, która została w salonie, na próżno nasłuchiwała przez ścianę. Obaj mężczyźni mówili .tale cicho, jakby zależało im na tym, aby żadne z ich słów nie dotarło do obcych uszu. Kiedy wyszli wreszcie z pokoju, wydawali się obaj mocno poruszeni. Ucałowawszy ojca i matkę Eugeniusz powiedział z niezwykłym jak na niego ożywieniem:

— Czy ojciec dobrze mnie zrozumiał? Tylko ta droga może zapewnić nam powodzenie. Musimy wyteńczyć w tym kierunku wszystkie nasze sity. - Nie zawiedziemy się, za to ręczę.

— Będę ściśle przestrzegał twych wskazówek — odparł Rougon. — Ale nie zapomnij, o co cię prosiłem, w nagrodę za moje wysiłki.

r— Jeżeli uda nam się urzeczywistnić nasze plany, to przysięgam, że życzeniom ojca stanie się zadość. Zresztą, zgodnie | biegiem wypadków, będę udzielał ojcu listownych instrukcji. Tylko proszę pamiętać: bez paniki i bez uniesień, ślepe posłuszeństwo moim wskazaniom.

— Cóż to za spisek knujecie? — zapyłała z ciekawością Felicja.

i/ * ?kmm
- ii.lkIA-l S -% ^*K. -T- * i?-'- *t.""HT""-- «V : <• sl

— Droga mamó — odparł Eugeniusz z uśmiechem — nigdy nie liczyła się mama ze mną, więc trudno mi dziś zwierzać się mamie z moich nadziei, opartych chwilowo jedynie na rachunku prawdopodobieństwa. Aby mnie zrozumieć, nfusiałaby mama wierzyć w to, w co ja wierzę. Zresztą, kiedy nadejdzie chwila, ojciec wyjaśni mamie wszystko.

A widząc urażoną minę Felicji, szepnął jej do ucha, całując ją raz jeszcze:

— Podobny jestem do ciebie, chociaż zawsze się mnie wypierałaś. Nadmiar inteligencji mógłby w tej chwili zaszkodzić naszej sprawie. Ale kiedy nadejdzie moment krytyczny, tobie ją powierzę.

Wyszedł, lecz wrócił się jeszcze i powiedział rozkazującym tonem:

— Pamiętajcie strzec się Arysfydesa, bo gotów popsuć nam szyki. Znam go dobrze i wiem, że on zawsze da sobie radę. Więc nie litujcie się nad nim; jeżeli uda nam się zdobyć majątek, już on sam będzie umiał upomnieć się o swoją część. -

Po wyjeździe Eugeniusza, Felicja starała się odkryć jego tajemnicę. Znając męża nie pytała go o nic wprost, gdyż wiedziała, iż odpowiedziałby jej z gniewem, że ją to nic nie obchodzi. Lecz mądra taktyka, jaką zastosowała, również okazała się bezskuteczna. Eugeniusz umiał znaleźć sobie powiernika, jaki potrzebny mu był w tej fazie wydarzeń, kiedy całkowita dyskrecja stanowiła warunek ich .pomyślnego rozwoju. Piotr, któremu pochlebiali zaufanie syna, aż do przesady podkreślał teraz swą ociężałą, pełną powagi bierność, która chroniła go jak tarcza. Zrozumiawszy, że nic się od niego nie dowie, Felicja dała mu wreszcie spokój. Jedno tylko nie przestawało jej dręczyć: Piotr przypominał Eugeniuszowi o jakiejś nagrodzie, którą sobie zastrzegł. Co to mogła być za nagroda? Stanowiło to główny ^^przedsmiot jej zainteresowania, gdyż sama polityka była jej* ■ zupełnie obojętna. Nie wątpiła, że mąż musiał zażądać

wysokiej ceny, lecz pałała chęcią poznania samej natury tej transakcji. Pewnego wieczoru, kiedy leżeli już w łóżku, skończyła z dobrego humoru Piotra i naprowadziła rozmowę na temat dręczącego ich niedostatku.

Najwyższy czas, żeby się to już skończyło* — powiedziała. — Od kiedy ci panowie przychodzą do nas, rujnujemy się na drzewo i oliwę. Kto zwróci nam te wydatki? Nikt.

Piotr dal się złapać w zastawioną pułapkę: Uśmiechnął się z wyrozumiałą wyższością. — Cierpliwości — odparł.

A później dorzucił z przebiegłą-miną; patrząc żonie prosto w oczy.

— A co byś tak powiedziała, gdyby twój mąż został poborcą podatków?

Twarz Felicji oblała gorący rumieniec radości. Poderwała się, zaczęła klaskać w dłonie jak dziecko.

— Naprawdę? — wyjąkała. — Tu, w Plassans?

Piotr skinął potakująco głową nic nie mówiąc. Rozkoszował się zdziwieniem żorty. Ją zaś dławilo wzruszenie.

— Ale to przecież wymaga olbrzymiej kaucji — podjęła wreszcie. — Mówiono mi kiedyś, że pan Peirotte musiał złożyć osiemdziesiąt tysięcy franków.

— Ech >T- odparł były handlarz oliwą'— to już nie moja sprawa. Eugeniusz obiecał zająć się wszystkim. Potrzeby na sumę pożyczę dla mnie od jakiegoś paryskiego bankiera... Widzisz, chciałem wybrać sobie stanowisko, które przynosi, duże zyski. Eugeniusz krzywił się z początku. Mówił, że takie stanowiska przeznaczone są dla ludzi bogatych i wpływowych. Ale ja się uparłem i wtedy ustąpił. Na to, żeby być poborcą, nie trzeba znać łaciny ani greki; będę miał, tak jak pan Peirotte, pełnomocnika, który zrobi za mnie wszystko.

Felicja słuchała go z zachwytem. .

— Domyśliłem się — ciągnął dalej — co niepokoi Eugeniusza w tej sprawie. Nie jesteśmy tutaj lubiani.

Ludzie

wiedzą, że nie mamy pieniędzy, mogliby zacząć wygadywać jakieś głupstwa. Ale co tam! W chwilach przełomowych nie takie fortuny się zdobywa! Eugeniusz chciał uzyskać dla mnie nominację do innego miasta. Odmówiłem; chcę zostać w Plassans.

— Tak, tak — powiedziała żywo Felicja. — Tutaj cierpieliśmy, więc tutaj powinniśmy doczekać się chwili triumfu. Ach! Już ja odpłacę pięknym za nadobne tym wszystkim elegantkom z ulicy, du Mail, które z taką pogardą patrzą teraz na moje skromne suknie!... Nie myślałam dotąd o stanowisku poborcy; sądziłam raczej, że chciałbyś zostać merem.

— Merem? Cóż za pomysł!.. Przecież za to się nie bierze pieniędzy!.. Eugeniusz też mi to proponował. Wiesz, co mu odpowiedziałem? „Zgoda, ale pod warunkiem, że zapewnisz mi piętnaście tysięcy franków renty!” Felicja drżała z rozkosznego podniecenia słysząc, jak w rozmowie padają tak wysokie sumy. Olśniewały ją one jak rakiety rozbłyskujące na niebie. Wreszcie, uspokoiwszy się trochę, powiedziała przybierając nabożny wyraz twarzy: . — Zaczekaj, policzymy, ile ty będziesz zarabiał.

— No Jfg odparł Piotr —. pensja wynosi, zdaje się, trzy tysiące franków.

— ■ Trzy tysiące — liczyła Felicja.

— Do tego dochodzą jeszcze procenty od wpływów, co w Plassans może dać jakieś dwanaście tysięcy.

~ — To razem piętnaście.

— Tak. około piętnastu tysięcy franków. Tyle zarabia. Peirotte. Ale to jeszcze nie wszystko. Peirotte pożyczę na własny rachunek pieniądze na procent. To jest dozwolone. Może i ja odważę się na to, jak czuję, że szczęście mi sprzyja.

— Więc powiedzmy, dwadzieścia tysięcy... Dwadzieścia tysięcy franków renty! — powtórzyła Felicja z osłupieniem.

— Tak, ale trzeba "będzie spłacać pożyczkę — zwrócił jej uwagę Piotr.

— To nic nie szkodzi — odparła — i tak będziemy bogatsi od wielu z tych panów... A czy markiz i reszta też ma

- coś skorzystać przy tej okazji?

— Nre, tylko my sami.

Lecz kiedy zaczęła domagać się bliższych wyjaśnień, . Piotrowi wydało się, że chce mu wydrzeć jego tajemnicę. Zmarszczył brwi.

— Dostyc tego gadania — powiedział nagłe. — Późno już. czas spać. Lepiej nie obliczać nic naprzód, bo jeszcze nam to przyniesie nieszczęście. Jeszcze nie jestem poborcę.. I pamiętaj, nie mów o tym nikomu.

Zgasili światło, ale Felicja nie mogła zasnąć. Leżała z zamkniętymi oczyma i marzyła. Przed nią w ciemności wirowało w jakimś diabelskim tańcu dwadzieścia tysięcy franków. Ona sama zajmowała wspaniały apartament w nowej dzielnicy miasta, urządzonej z takim samym przepychem jak mieszkanie pana Peirotte'a, wydawała przyjęcia i olśniewała blaskiem swojej .fortuny całe miasto. Najmilej jednak lechtała jej próżność myśli o stanowisku, jakie miał objąć jej mąż. To on właśnie będzie wypłacał renty panom Granoux, Roudier i wszystkim innym, którzy przychodzą dzisiaj do jej salonu jak do kawiarni, żeby móc się wygadać i zorientować w, najświeższych wydarzeniach. Ich arogancki sposób bycia nie uszedł jej uwagi; patrzyła na nich teraz z niechęcią. Nawet markiz, ze swą ironiczną uprzejmością, zaczynał ją drażnić. Toteż syciła się wizją przyszłego, niepodzielnego triumfu i zemsty, jaką wyrzuci wówczas na tych prostakach. Z pokornie odkrytą głową zjawiać się oni będą u pana poborcy Rougona. a ona zmiażdży ich swą pogardą. Cają noc spędziła na rozmyślaniach. Rano, kiedy odsunęła firanki, pierwsze jej spojrzenie pobiegło na drugą stronę ulicy, ku oknom-pana Peirotte; z uśmiechem przyjrzała się wiszącym w nich grubym zasłonom.

Chciwość Felicji wzmożła się jeszcze, od kiedy jej nadzieje przybrały inne zabarwienie. Jak wszystkie kobiety, lubiła ona pewną tajemniczość. Ukryły cel, do którego dążył jej mąż, pasjonował ją bardziej jeszcze niż legitymi- styczne knowania pana de Carnavant. Ponieważ Piotr twierdził, że ma możliwość uzyskać intratne stanowisko bez pomocy markiza, bez żalu wyrzekła się planów opartych na jego przewidywanych zwycięstwach. -Umiała zresztą zachować godną podziwu ostrożność i dyskrecję.

Dreczęła ją jednak ciekawość, pełna ukrytego niepokoju; nie spuszczała oka z męża, usiłowała domyślić się, na czym polega jego gra. A jeżeli obrał błędną drogę? Jeżeli okaże się, że ^VE u gen i usz wplątał go w jakieś karkołomne przedsięwzięcie, z którego w rezultacie wyjdą jeszcze biedniejsi, niż byli? Powoli jednak nabierała zaufania do Eugeniusza. Jego pewność siebie wzbudzała wiarę w powodzenie sprawy, której był rzecznikiem. Pociągało ją również ukryte w niej nieznanne. Pi.otr wspominał jej czasem z tajemniczą miną o jakichś wysoko postawionych osobistościach w Paryżu, u których bywał ich najstarszy syn; ona sama nie wiedziała, co on tam robi. Nie mogła za to nie wiedzieć o skandalicznych wybrykach Arystydesa w Plassans. Bywalcy złotego salonu, nie krepując się obecnością gospodyni, jak najostrzej potępiali demokratycznego dziennikarza. Granoux, zaciskając usta, nazywał go rozbójnikiem, a Roudier powtarzał Felicjii dwa lub trzy razy na tydzień.

— Śliczne rzeczy wypisuje ten pan syn! Nie dalej jak wczoraj zaatakował znowu z oburzającym cynizmem naszego przyjaciela Vuilleta.

Cały salon zgodnym chórem występował przeciwko Ary- stydesowi. Major Sicardot odgrażał się, że spoliczkuje zięcia. Piotr wyraźnie wypierał się syna. Biedna inalka pochylała głowę, łykając łzy. Chwilami miała chęć wybuchnąć i krzyknąć w twarz Roudierowi. że mimo swych wad Arystydes więcej jest wart-niż oni wszyscy razem. Nic mogła

Bj-icnd szwank pozycji, którą z takim trudem udało im się zdobyć. Widząc, że całe miasto zwraca się przeciw Ary- stydesowi, uświadomiła sobie z rozpaczą, że jej syn sani się gubi. Dwukrotnie rozmawiała z nim po kryjomu, zaklinając go, żeby powrócił do nich i nie drażnił już więcej żółtego salonu. Odpowiedział jej, że nie orientuje się w sytuacji i że to ona popełnia błąd namawiając męża do posłuszeństwa markizowi. Musiała więc dać za wygraną, obiecując sobie jednak, że jeżeli Eugeniusz zwycięży, zmusi go, aby podzielił się łupem z tym biednym chłopcem, który w dalszym ciągu był jej uluhieńcem.

Po wyjeździe najstarszego syna Piotr Rougon występował nadal jako zdecydowany reakcjonista. Żółty salon zdawał się pozostawać wierny swym przekonaniom. Co wieczór schodzili się w nim ci sami ludzie, aby uprawiać tę samą propagandę na rzecz monarchii, zaś pan domu przytakiwał im i pomagał równie gorliwie jak dawniej. Eugeniusz wyjechał z Plassans pierwszego maja. W kilka dni później żółty salon przeżył chwilę radosnego uniesienia. Komentowano w nim list prezydenta Republiki do generała Oudinot, w którym rozstrzygnięta została sprawa oblężenia Rzymu. List ten uważano za wspaniałe zwycięstwo odniesione dzięki zdecydowanej postawie partii reakcyjnej. Od roku 1848 Izby dyskutowały nad kwestią rzymską; ale dopiero członkowi rodu Bonaparte przypadło w udziale powzięcie decyzji, którą Francja wolna nigdy nie byłaby się splamiła: zdławienia młodziutkiej republiki rzymskiej. Markiz oświadczył, że nie można było lepiej przysłużyć się sprawie legitymizmu. Vuillet napisał wspaniały artykuł. Entuzjazm doszedł do szczytu, kiedy w miesiąc później major Sicardot wszedł pewnego wieczoru do salonu Rougonów i oznajmił zebranym, że armia francuska bije się pod murami Rzymu, Wiadomość tę przyjęło głośnymi okrzykami. Sicardot podszedł do Piotra i znacząco ucisnął mu

104

rękę, po czym usiadł i wygłosił mowę na cześć prezydenta Republiki, który jego zdaniem był jedynym człowiekiem mogącym uratować Francję od anarchii.

— No, to niechże ją uratuje jak najprędzej — przerwał markiz — i niech zrozumie, że obowiązkiem jego jest oddać ją następnie w ręce prawowitych władców.

Twarz Piotra, kiedy słuchał tej pięknej wypowiedzi, wyrażała całkowitą aprobatę. Podkreśliwszy w ten sposób swe stanowisko rojalisty, ośmielił się dodać, iż w tej sprawie cała jego sympatia jest po stronie księcia Ludwika Bonaparte, a następnie wdał się w rozmowę z majorem. To, co mówili, robiło wrażenie z góry wyuczonej lekcji, której treścią była pochwała wzniosłych intencji prezydenta. Po raz pierwszy Bonaparte wkroczył otwarcie do żółtego salonu. Zresztą, od czasu wyborów w dniu 10 grudnia, osobę księcia traktowano w nim z pewną łagodnością. Reakcja zgodnie oddała na niego swe głosy, gdyż każdy wołał go po stokroć od Cavaignaca. Mimo to jednak uważano go raczej za narzuconego okolicznościami współnika niż za przyjaciela. Wspólnik ten nie cieszył się zaufaniem, zaczęto go nawet oskarżać, że chciałby przywłaszczyć sobie wszystkie wyciągnięte z ognia kasztany. Tego wieczoru jednak, dzięki wyprawie na Rzym, wysłuchano przychylnie mów pochwalnych Piotra i majora.

Grupa Granoux i Roudiera domagała się, aby prezydent kazał rozstrzelać wszystkich republikanów. Markiz, oparty o kominek, patrzył w zamyśleniu na dywan. Kiedy wreszcie podniósł głowę, Piotr, który śledził spod oka, jakie wrażenie robią na panu de Carnavant jego słowa, zamilkł nagle. Markiz uśmiechnął się tylko: z przebiegłym wyrazem twarzy spojrzął na Felicję. Żaden z gości znajdujących się w salonie nie zauważył tego nawet. Vuillet powiedział kwaśno:

— Wolałbym widzieć Bonapartego w Londynie niż w Paryżu. Nasze sprawy szybciej posuwałyby się wtedy naprzód.

105

Były handlarz oliwą pobladł z lekka, zaniepokojony, czy nie posunął się za daleko.

— Wcale się nie upieram przy „moim” Bonaparte — rzekł dość stanowczo. — Sami wiecie, gdziebym go posłał, gdyby władza znajdowała się w moich rękach; twierdzą tylko, że wyprawa na Rzym jest rzeczą dobrą.

Felicja przysłuchiwała się rozmowie z pełnym ciekawości zdziwieniem. Nie zwróciła się jednak później do męża z prośbą o wyjaśnienia, co dowodziło, że scena ta stała się dla niej impulsem dla własnych dociekań. Uśmiech markiza, którego właściwego znaczenia nie mogła odgadnąć, dał jej wiele do myślenia.

Począwszy od tego dnia, Rougon, ilekroć nadarzała się okazja, wtrącał jakieś pochlebne słówko na rzecz prezy-: tenta Republiki. W owym czasie major Sicardot występował w roli usłużnego partnera pana domu. W żółtym salonie królowały zresztą jeszcze niepodzielnie sympatie klerykalne. W rok później zbierająca się w nim grupa reakcjonistów zyskała sobie w mieście wpływ decydujący, dzięki wstecznym kierunkom biorącym górę w Paryżu. Antyliberalne posunięcia, które nazwano wewnętrzną wyprawą na Rzym, zadecydowały o triumfie partii Rougona w Plassans. Ostatni spośród mieszczan zwolennicy Republiki, widząc jej agonię, pośpiesznie przyłączyli się do-konserwatystów. Godzina Rougonów nadeszła. W dniu, kiedy ścięto rosnące na placu przed podprefekturą drzewo Wolności, mieszkańcy nowej dzielnicy urządzili im niemal że owację. Drzewo to, młoda topola, przesadzone znad Viorny, usychało powoli, ku wielkiej rozpaczce robotników republikańców, którzy co niedziela stwierdzali postępy zła, lecz nie mogli zrozumieć przyczyn- tej powolnej śmierci. Któregoś dnia terminator od kape- lusznika oświadczył, że widział na własne oczy, jak z domu Rougonów wyszła jakaś kobieta i wylała u słóp drzewa kubel dziwnego płynu. Okazało się, że to Felicja we własnej osobie wstawiała co noc, żeby podlewać wiotkim białym

LOG

topole. Kiedy drzewo uschło, rada miejska orzekła, że godność Republiki nakazuje usunąć je. Ponieważ jednak obawiano się odruchów niezadowolenia ludności robotniczej, zrobiono to późnym wieczorem. Rentierzy z nowej dzielnicy dowiedzieli się o tej uroczystości i cała konserwatywna ludność zebrała się na placu przed podprefekturą, żeby asystować przy ścinaniu drzewa Wolności. Goście zgromadzeni w żółtym salonie podeszli do okien- Kiedy topola zatrzeszczała głucho i upadła w mrok z tragicznym bezwładem ugodzonego śmiertelnie bohatera, Felicja uznała za stosowne powiać białą chusteczką. W tłumie rozległy się oklaski; zebrani na placu odpowiedzieli na jej pozdrowienie, sami również machając chusteczkami. Grupa ich podeszła nawet pod okno krzycząc:

— Pogrzebiemy ją, pogrzebiemy ją!

Mieli na myśli Republikę. Felicja omal nie zemdląła ze wzruszenia- Był to piękny wieczór dla bywalców żółtego salonu.

Tymczasem markiz w dalszym ciągu uśmiechał się tajemniczo, ilekroć spojrział na Felicję. Ten drobny staruszek był zbyt sprytny, żeby nie ^zorientować się, ku czemu zmierzała Francja. Jeden z pierwszych przeczuł on Cesarstwo. Widząc, że członkowie Zgromadzenia Prawodawczego tracą czas na próżne spory, a legitymiści i zwolennicy Orleanów godzą się skrycie z myślą o zamachu stanu, markiz zrozumiał, że pozycja, której bronił, jest stracona. On jeden zresztą uświadamiał sobie to jasno. Vuillet czuł wprawdzie, że sprawa Henryka V, której oddane było jego pismo, stawała się coraz bardziej niepopularna, ale dla niego nit miało to znaczenia; wystarczyło mu, że otoczony jest opieką kleru i że jego różańce i święte Obrazki cieszą się dużym popytem. Roudier i Granoux były to ślepe, wystraszone pionki, pozbawione własnego zdania: ich aspiracje polityczne ograniczały się do chęci zapewnienia sobie spokoju

I dostatku. Mimo że musiał rozstać się ze swymi nadziejami, markiz w dalszym ciągu regularnie odwiedzał Rougonów. Towarzystwo zbierające się w żółtym salonie bawiło go. Wpadał w dobry humor obserwując ścieranie się poszczególnych ambicji, panoszenie się mieszczańskiej głupoty. Drżał przy tym na samą myśl, że miałby spędzać wieczory zamknięty w małym pokoiku, który zawdzięczał lasce hrabiego de Valqueyras. Ze złośliwą radością ukrywał swą pewność, że sprawa Burbonów jest przegrana. Udawał zaślepienie, pozostał gorliwym sługą legitymizmu i nadal podporządkowywał się rozkazom kleru i arystokracji. Od razu jednak zorientował się w nowej taktyce Piotra i myślał, że Felicja jest jego współpracowniczką.

Pewnego wieczoru przyszedł pierwszy i zastał ją sarną w salonie.

— No, mała — zapytał z uśmiechniętą poufałością — jak tam idą wasze sprawy?... Dlaczego, u diaska, kryjesz się z nimi przede mną?

— Ależ ja się z niczym nie kryję — odparła Felicja, zaintrygowana.

— Patrzcie państwo, jej się wydaje, że wywiedzie w pole takiego starego lisa jak ja! Drogie dziecko, nie zapominaj, że jestem twoim przyjacielem, i bądź ze mną szczerą. Wierz mi, że gotów jestem pomóc wam po cichu...

Felicja w lot przejrzała sytuację. Ona sama nie miała nic do powiedzenia, lecz zrozumiała, że będzie mogła dowiedzieć się wiele, jeżeli zachowa się umiejętnie. Milczała.

— Uśmiechasz się? — podjął pan de Carnavant. — To już początek wyznania. Nie myliłem się przypuszczając, że (o ty kierujesz krokami rzeź! Piotr nie jest na tyle lotny, by ino! wpaść na pomysł tej ślicznej zdrady, jaką przygotowujecie... Doprawdy całym sercem pragnę, aby Bonapartowie dali wam wszystko to, *o eo prosiłbym dla ciebie Burbonów.

To proste zdanie utwierdziło Felicję w przekonaniu, że podejrzenia, jakie nasuwały jej się od pewnego czasu, są słuszne.

— Księżę Ludwik ma wszystkie szanse zwycięstwa, prawda? — zapytała żywo.

— Nie zdradzisz mnie, jeżeli ci powiem, że takie jest właśnie moje zdanie — odparł śmiejąc się markiz. — Przebolełem już to, moja mała. Jestem starym człowiekiem, moje życie już się skończyło. O ciebie zresztą chodziło mi, a nie o mnie, i dlatego, chociaż twoje zwycięstwo oznacza moją klęskę, szczęśliwy jestem widząc, że potrafiłaś obrać właściwą drogę. Ale nie kryj się już przede mną ze swymi planami i gdybyś miała jakieś kłopoty, przyjdź do mnie.

A po chwili dorzucił ze sceptycznym uśmiechem zdeklasowanego arystokraty:

. — Dlaczegoż nie miałbym i ja przyłożyć ręki do tej zdrady?

W tej chwili zjawił się klan byłych handlarzy oliwą i migdałami.

— Ach, nasi kochani reakcyjniści — szepnął pan de Carnavant. — Widzisz, moja mała, w polityce cała sztuka polega na tym, żeby mieć dobre oczy i umieć wykorzystać ślepotę innych. Masz w tej chwili wszystkie atuty w swoim ręku.

Następnego dnia Felicja, podniecona rozmową z markizem, chciała upewnić się, że domysły jej są słuszne. Były to pierwsze dni 1851 roku. Od przeszło osiemnastu miesięcy Rougon otrzymywał regularnie co dwa tygodnie listy od Eugeniusza. Żeby je przeczytać, zamykał się w sypialni, a następnie chował je do starego sekretarzyka, od którego klucz nosił w kieszonce kamizelki. Na pytania żony odpowiadał tylko: „Eugeniusz pisze mi, że czuje się dobrze”. Felicja od dawna już marzyła o tym, żeby dostać się do tych listów. Tego więc dnia rano, kiedy Piotr spał jeszcze, wstała i ostrożnie zamieniła klucze, biorąc z kieszonki od kamizelki klucz od sekretarzyka, a wkładając na jego miejsce tej samej wielkości klucz od komody. Następnie, skoro tylko mąż

wyszedł, zamknęła się w sypialni, wyjęła listy z szuflady i zaczęła -odczytywać je z gorączkową ciekawością.

Pan de Camavant nie mylił się, a jej własne podejrzenie również zyskało potwierdzenie. Na podstawie czterdziestu paru listów Eugeniusza Felicja mogła odtworzyć sobie dokładnie rozwój wielkiego ruchu bonapartystycznego, który miał zakończyć się zamachem stanu. Listy te były pewnego rodzaju pamiętnikiem, w którym Eugeniusz omawiał wydarzenia, w miarę jak się one dokonywały, i wyciągał z każdego z nich odpowiednie wnioski praktyczne. Eugeniusz był pełen wiary. O księciu Ludwiku Bonaparte wyrażał się jako o człowieku opatrnościowym, zesłanym -po to, aby rozwikłać sytuację, której nikt rozwikłać nie potrafił. Okazało się, że wierzył w niego jeszcze przed jego powrotem do Francji, kiedy bonapartyzm uważano za śmieszny mrzonkę. Felicja zrozumiała, iż jej syn był od roku 1848 tajnym agentem - jawnym, bardzo czynnym. Chociaż nie wyjaśniał on w swych listach dokładnie, czym właściwie zajmuje się w Paryżu, jasne było, że pracował dla cesarstwa pod rozkazami osobistości, o których wyrażał się dość poufale. Donosił stale o pomyślnym rozwoju wypadków i przewidywał bliski triumf. Kończył zazwyczaj wskazówkami co do tego, jaką linię postępowania powinien obrać Piotr w Plassans, Felicja pojęła teraz sens pewnych niejasnych dla niej dotąd wystąpień. Piotr ślepo słuchał syna i stosował się do jego poleceń.

Skończywszy czytać, Felicja wiedziała już, co ma myśleć. Przejrzała zamierzenia syna. Eugeniusz liczył na to, że w chwili przewrotu politycznego uda mu się zrobić karierę, a jednocześnie zapłacić rodzicom za otrzymane wykształcenie, rzucając im jakiś ochłap przy podziale łupów. Ponieważ ojciec pomagał mu i siara się przysłużyć sprawie cesarstwa, uzyskanie dla niego w odpowiednim momencie stanowiska poborcy nie wydawało się Eugeniuszowi trudne. Wiedział, że nie może spotkać się z odmową; nie

110

na darmo wykonywał najtajniejsze zlecenia. Swymi listami pragnął zabezpieczyć Rougonów przed jakimiś nieostrożnymi posunięciami. Felicja poczuła za to dla niego żywą wdzięczność. Odczytała powtórnie niektóre fragmenty listów, w których Eugeniusz wspominał coś niejasno o zbliżającym się przesileniu. Przesilenie to, kłóskiego charakteru ani doniosłości nie była w stanie się domyślić, wyobrażała sobie na podobieństwo końca świata: Bóg postawi wybranych po prawej, potępionych zaś po lewej stronie, a ona znajdzie się wśród wybranych.

Kiedy udało się jej następnego nocy wsunąć kufeczek do kieszonki kamizelki, postanowiła nadal postępować w ten sposób, aby móc czytać każdy nadchodzący list. Postanowiła również udawać, że o niczym nie wie. Obrona przez nią taktyka okazała się doskonała. Zaczęła pomagać mężowi tym skuteczniej, że w dalszym ciągu zachowywała pozory całkowitej nieświadomości. Piotrowi wydawało się, że on sam prowadzi grę, a tymczasem to ona właśnie skierowywała rozmowę na pożądane tematy i kapotała współwyznawców. Nieufność Eugeniusza bolała ją. Chciała móc powiedzieć mu po zwycięstwie: „Wiedziałam o wszystkich nie tylko nie zepsułam niczego, ale przyczyniłam się do odniesienia triumfu”. Trudno było o partnera równie użytecznego i równie dyskretnego jak ona. Markiz, którego obrała sobie za powiernika, był nią zachwycony.

Niepokoił ją jednak nieustannie los jej ukochanego Arystydesa. Od kiedy zaczęła wyznawać wiarę swego najstarszego syna, zięjąc wściekłością artykuły Niezależnego narodziła się coraz większą zgrozą. Gorąco pragnęła nawrócić nieszczęsnego republikanina na ideę napoleońską, lecz nie wiedziała, w jaki sposób się do tego zabrać. Zdawała sobie sprawę, że musi być ostrożna, i pamiętała, z jakim naciskiem Eugeniusz nakazywał im wystrzegać się Arystydesa. Zapytała o zdanie markiza. Poparł on całkowicie stanowisko Eugeniusza.

— Moja mała — rzeki jej — w polityce trzeba umieć być egoistą. Gdybyś nawróciła swego syna i Niezależny zacząłby nagle bronić bonapartyzmu, byłby to ciężki cios dla partii. Sprawa Niezależnego jest już i tak przesądzona, sam jego tytuł wystarczy, żeby doprowadzić do pasji mieszczan Plassans. Pozwól, niech len kochany Arystydes sam się z tego wygrzebie. Takie historie kształcą młodych ludzi. Nie wydaje mi się on zresztą stworzony do roli męczennika i na pewno da sobie radę.

W zapale nawracania swoich bliskich na dobrą drogę, teraz, gdy zdawało się jej, że posiadała prawdę, Felicja zapragnęła pouczyć o niej również i Pascala. Lekarz, pogrążony w swoich badaniach z egoizmem uczonego, bardzo- mało zajmował się polityką. Kiedy przeprowadzał jakieś doświadczenia, mogły walić się trony — on i tak nie odwróciłby głowy. W końcu jednak ustąpił wobec nalegań matki, która bardziej niż kiedykolwiek wytykała mu teraz jego odludny tryb życia.

— Gdybyś bywał w towarzystwie — mówiła mu — miałbyś pacjentów spośród wysoko postawionych osobistości. Przychodź przynajmniej wieczorami do naszego salonu. Poznasz tam panów Roudier, Granoux, Sicardot — ludzi dobrze sytuowanych, którzy będą mogli płacić ci za wizytę po cztery i po pięć franków. Na biednych się nie wzbogacisz.

Pragnienie, aby cała jej rodzina wzbogaciła się, przeszło u Felicji w manię, toteż Pascal, nie chcąc sprawiać jej przykrości, spędził kilka wieczorów w żółtym salonie. Nudził się tam mniej, niż się obawiał. Za pierwszym razem zdumiał go stopień głupoty, do jakiego może dojść normalny, zdrowy człowiek. Eks-handlarze oliwą i migdałami, a nawet major i markiz wydali mu się ciekawymi okazami zwierząt, których nie miał dotąd okazji obserwować. Z zainteresowaniem przyrodnika przyglądał się ich twarzom naznaczonym piętnem chciwości, przysłuchiwał się ich pustej

1J2

gadaninie, jakby to było miauczenie koła lub szczekanie psa. W tym okresie zajmował się akurat biologią porównawczą, stosując do rasy ludzkiej obserwacje, które udało mu się przeprowadzić nad dziedzicznością u zwierząt. W żółtym salonie czuł się jak w menażerii i bawiło go to. Ustalał podobieństwa między każdą z tych groteskowych postaci a jakimś znanym sobie zwierzęciem. Markiz szczupłością postaci i małą, przebiegłą twarzą przypominał mu szarańczę. Yuillet, blady i lepki, wydał mu się podobny do ropuchy. Roudier zrobił na nim wrażenie tłustego barana, a major starego, bezzębnego doga. Niezwykły Granoux za każdym razem budził w nim uczucie zdziwienia. Spędził kiedyś cały wieczór na mierzeniu jego kąta twarzowego. Ilekroć słyszał go mruczącego pod nosem niewyraźne przekleństwa pod adresem „tych krwiopijców republikanów”, oczekiwał, że zarzyczy nagle jak wół, a ilekroć widział go wstającego z krzesła, przygotowany był, że Granoux wyjdzie z salonu na czworakach.

— Bądźże trochę bardziej rozmowny — szeptała mu matka. — Staraj się zdobyć sobie klientelę wśród tych panów.

■ —" Nie jestem weterynarzem — odparł wreszcie, doprowadzony do ostateczności.

Pewnego wieczoru Felicja zaciągnęła go do kąta i usiłowała go nawrócić. Była szczęśliwa widząc, że przychodzi do niej dość regularnie. Zdawało jej się, że odzyskała go dla świata, nie przypuszczała bowiem ani przez chwilę, że znajdował przyjemność w odkrywaniu śmieszności ludzi bogatych. Projektowała skrycie, że zrobi go modnym lekarzem w Plassans. Wystarczyłoby, żeby zaczęli lansować go tacy ludzie jak Granoux i Roudier. Przede wszystkim zaś pragnęła przepoić go zapatrywaniami politycznymi rodziny, w przekonaniu, że gdyby stanął po stronie formującej się władzy, otworzyłby sobie drogę do kariery.

f 13

— Mój drogi — rzekła — ponieważ wreszcie okazałeś trochę rozsądku, czas byłoby pomyśleć o przyszłości. Zarzucają ci poglądy republikańskie, ponieważ jesteś na tyle niemądry, że leczysz za darmo biedotę miejską. Ale mnie możesz powiedzieć szczerze: jakie są twoje - prawdziwe przekonania?

? Pascal spojrział jja matkę z naiwnym zdziwieniem, a potem odparł z uśmiechem: ■

-• Moje prawdziwe przekonania? Sam nie wiem... - Powiada mama, że oskarżają mnie o - republikanizm? Cóż, wcale się nie czuję tym-dotknięty... Jestem republikaninem, jeżeli przez to rozumie się człowieka, który pragnie, aby wszyscy byli szczęśliwi. -V-:

W ten sposób do niczego nie dojdiesz: r— przerwała mu żywo Felicja. — Każdy będzie erę wyzyskiwał. A spójrz tylko na swoich braci, jakjimmiej zakrzęlnąć się koło swych spraw.

Pascal pojął, że nie jest zagrożony w swym egoizmie uczonego. Matka miała iiiiu pó prpstu za złe, że nie spekulował na sytuacji politycznej; Zaśmiał się smutno i; zmienił temat rozmowy. Felicji nie udało się wciągnąć go w rozgrywki partii politycznych ani też nakłonić, aby stanął po stronie tej, która wodzenia. Mimo to w dalszym ciągu odwiedzał od czasu do czasu żółty salon. Granoux interesował go jak jakiś przedpotopowy okaz.

.< Tymczasem wypadki toczyły się naprzód. Rok 1851 był dla polityków Plassans rokiem obaw i zamętu, co wyszło; na korzyść sprawie popieranej tajemnie przez Rougonów^ Z Paryża dochodziły najbardziej sprzeczne: wiadomości; to zwycięstwo przechylało się na stronę republikanów, to znów konserwatyści miażdżyli i Republikę. - Echo sporów, rozdzierających Zgromadzenie Prawodawcze dochodziło na pro-\ wincję bądź to wzmocnione, bądź też osłabione, tak że nawet najbardziej otwarte umysły nie potrafiły zorientto- wać się w sytuacji. Wszyscy jednak byli zdania, że mo rment decydujący się zbliża.

Niemożność przewidzenia wyników tej rozgrywki przejęła niepokojem całe to gniazdo tchórzliwych mieszczan Pragnęli oni jak najprędzej skończyć z tym stanem na pięć. Chorzy z niepewności, gotowi byli rzucić się w ra mi on a choćby i sułtana tureckiego, gdyby sułtan tureck- raczy! zbawić Francję od anarchii.

Markiz uśmiechał się Coraz bardziej zjadliwie. Wieczorem w żółtym salonie, kiedy pod wpływem strachu bełkoi Granoux stawał się już zupełnie niezrozumiały, markiz zbliżał się do Felicji i mówił jej do ucha:

— No, riiała, owoc dojrzał...-Trzeba być gotowym dc usług.

Felicja w dalszym Ciągu czytała listy Eugeniusza, wiedziała, że decydująca chwila mogła nadejść lada dzień, i zrozumiała konieczność owych „usług”, zastanawiała się tylko, na czym mają one polegać. Wreszcie zapytała o to markiza.

11 Wszystko zależy od tego, jak się potoczą wypadki — odparł staruszek. — Jeżeli w departamencie nie dojdzie do żadnych rozruchów, jeżeli żadne zamieszki nie zakłócą spokoju Plassans, to trudno wam będzie wysunąć się na pierwszy, plan i przysłużyć nowemu rządowi. W takim wypadku radziłbym wam siedzieć spokojnie w domu i czekać pj owoce działań Eugeniusza. Lecz jeżeli lud powstanie, a nasi dzielni •mieszczanie będą się czuli zagrożeni, można będzie odegrać piękną rolę... Twój mąż jest wprawdzie nieco ocię- zały^A-f

— O — rzekła Felicja — już ja potrafię go rozruszać... Sądzi pan, że departament się zbuntuje?

— Moim zdaniem, tak. Samo Plassans nie ruszy się może, zbyt jest bowiem opanowane przez reakcję. Lecz w sąsiednich miastach, osiedlach, a zwłaszcza wioskach od dawna istnieją tajne stowarzyszenia o charakterze skraj-

. nic republikańskim. Niech tylko nastąpi zamach stanu, i posłyszemy alarm w całej okolicy, od lasów Seille aż po wzgórze Sainte-Roure.

Felicja zastanowiła się chwilę.

— Więc pan myśli — podjęła — że powstanie jest konieczne dla ugruntowania naszej przyszłej pozycji?

— Takie jest moje zdanie — odparł pan de Carnavant.

I dodał z lekko ironicznym uśmiechem:

— Nowe dynastie powstają zawsze w walce. A krew to dobry nawóz. Pięknie to będzie, jeśli ród Rougonów, jak niektóre inne sławne rody, będzie się wywodził z jakiegoś dokonanego przez siebie pogromu.

Słyszając te słowa, którym towarzyszył starczy chichot, Felicja poczuła, że p<7~płecach przebiega jej zimny dreszcz. Była jednak kobietą rozsądną, a widok pięknych firanek pana Peirrotte, którym przyglądała się z nabożeństwem każdego ranka, podtrzymywał w niej odwagę. Kiedy czuła, że słabnie, stawała w oknie i wpatrywała się w dom poborcy. To były jej Tuilerie. Gotowa była popełnić najstraszliwsze czyny, byle wejść wreszcie do tej nowej dzielnicy, do tej ziemi obiecanej, na progu której spalała się w pragnieniach od tylu lat.

Rozmowa z markizem dostatecznie wyjaśniła jej sytuację. W kilka dni później udało jej się przeczytać list Eugeniusza, w którym ten przyszły współuczestnik zamachu stanu również wyrażał nadzieję, że wybuch powstania umożliwi ojcu odegranie pewnej roli w Plassans. Eugeniusz znalazł swój departament. Wszystkie jego dotychczasowe rady miały na celu zapewnienie reakcjonistom z żółtego salonu jak największych wpływów, aby w krytycznej chwili Rougonowie mieli Plassans w swym ręku. Tak jak sobie tego życzył, żółty salon okazał się w roku 1851 panem miasta. Roudier reprezentował bogate mieszczaństwo i można było liczyć na to, że w decydującym momencie wszyscy mieszkańcy nowej dzielnicy pójną za jego przykładem.

116

I stanowiąc jeszcze cenniejszą zdobycz, miał bowiem za sobą całą radę miejską, której był najbardziej wpływowym członkiem, co daje pewne wyobrażenie o pozostałych. Wreszcie dzięki osobie majora Sicardot, dla którego udało się markizowi uzyskać nominację na dowódcę gwardii narodowej, żółty salon rozporządzał siłą zbrojną. Tak więc Rougonom, biedakom o fatalnej opinii, udało się zgromadzić wokół siebie narzędzia ich przyszłej fortuny. Każdy z bywalców żółtego salonu miał bądź to z głupoty; bądź też ze strachu — słuchać ich w przyszłości ślepo i przyczynić się do ich triumfu. Jedynym, czego się obawiali, były obce wpływy, które zmierzając do tego samego celu, mogłyby umniejszyć ich udział w zwycięstwie. Lękali się tego bardzo, gdyż pragnęli sami odegrać rolę zbawców. Wiedzieli, że duchowieństwo i arystokracja będą im raczej pomocą niż przeszkodą. Lecz gdyby podprefekt, mer i inni urzędnicy okazali inicjatywę i natychmiast stłumili powstanie, pokrzyżowałoby to całkowicie ich plany: nie mieliby wtedy ani czasu, ani możliwości zasłużyć się. Marzyli więc o całkowitej dezorientacji i panice wśród urzędników. Bezradność dotychczasowej władzy pozwoliłaby im zawładnąć losami Plassans i ugruntowałyby ich pozycję. Szczęściem dla nich, nikt spośród urzędników nie był na tyle przekonany o powodzeniu Sprawy ani na tyle biedny, żeby ryzykować. Podprefekt był liberałem, którego władza wykonawcza tolerowała jakoś, mimo jego przekonań, zapewne dzięki dobrej opinii, jaką cieszyło się Plassans; nieśmiały z natury, niezdolny do nadużycia, władzy, w chwili wybuchu powstania okazałby z pewnością wielkie zakłopotanie. Rougonowie ciekawi byli nawet, jak się zachowa; znając jego demokratyczne zapatrywania nie bali się, że ich ubiegnie. Zarząd miasta również nie nasuwał im większych, obaw. Mer, pan Garçonnet, był legitymistą, którego kandydaturę udało się przeforsować mieszkańcom dzielnicy Świętego Marka w 1849 roku; nienawidził republikanów i traktował ich z wielką pogardą, zbyt bliskie stosunki łączyły go jednak z niektóry-

117

rym! przedstawiciela mi kleru, aby mógł przyłożyć rękę do bonapartystycznego zamachu stanu. Reszta urzędników znajdowała się w tej samej sytuacji. Sędziowie pokoju, naczelnik poczty, nauczyciel oraz poborca Peirotte zawdzięczali swe stanowiska partii klerikalnej i nie mogli wobec tego zdradzić się z sympatiami dla Cesarstwa. Rougonowie nie wiedzieli jeszcze dokładnie, w jaki sposób pozbędą się tych ludzi, aby na siebie zwrócić całą uwagę, wiele jednak obiecywali sobie po przyszłości widząc, że nie ma nikogo, kto chciałby podzielić się z nimi rolą zbawców.

Zbliżała się chwila decydująca. W ostatnich dniach listopada, kiedy rozeszły się pogłoski o zamachu stanu i kiedy zaczęto oskarżać księcia prezydenta, że chce mianować się cesarzem, Granoux wykrzyknął:

— Mianujemy go, czym tylko będzie chciał, pod warunkiem, że zrobi porządek z tymi łajdakami republikanami?

Okrzyk sennego zawsze Granoux wywołał wielkie poruszenie. Markiz udał, że go nie słyszy, za to mieszczanie ruchem głowy przytaknęli byłemu sprzedawcy migdałów. Roudier, który nie obawiał się przyklasnąć mu głośno, ponieważ był bogaty, oświadczył nawet, zerkając przy tym na pana de Carnavant, że obecna sytuacja nie może trwać dłużej i że Francją musi jak najprędzej pokierować czyjaś silna ręka.

•Markiz nadal zachował milczenie, wyrażając w ten sposób — w opinii zebranych — swoją zgodę. Klan konserwatystów, opuszczając szeregi legitymizmu, ośmielił się tedy sformułować swoje życzenia wobec Cesarstwa.

— Przyjaciele — rzekł podnosząc się ze swego miejsca major Sicardot — jedynie Napoleon może dzisiaj osłonić zagrożone osoby i majątki... Nie bójcie się, poczyniłem wszelkie kroki, aby zabezpieczyć Plassans przed zakłóceniem spokoju.

Istotnie, w porozumieniu z Rougonem major ukrył w pewnej starej stajni, niedaleko murów obronnych, zapas

118

naboi i dość pokaźną ilość broni palnej; jednocześnie zaś zapewnił sobie pomoc gwardii narodowej, na którą zdawało mu się, że może liczyć. Słowa jego zrobiły bardzo dobre wrażenie. Rozstając się tego wieczoru, spokojni bywalcy żółtego salonu mówili o zmasakrowani u „czerwonych”, jeśli tylko odważą się ruszyć.

Pierwszego grudnia Piotr Rougon otrzymał list od Eugeniusza i zgodnie ze swym zwyczajem udał się do sypialni, żeby go przeczytać. Felicja zauważyła, że wyszedł stamtąd bardzo podniecony. Cały dzień krążyła koło sekretarzyka, aż wreszcie z nadejściem nocy nie miała już cierpliwości czekać dłużej. Skoro tylko mąż zasnął, wstała cichutko, wyciągnęła kłuczek z kieszonki kamizelki i dorwała się do listu. Eugeniusz w paru słowach uprzedzał ojca o mającym nastąpić przesileniu i radził mu wtajemniczyć we wszystko matkę. Nadeszła godzina, kiedy należało dopuścić ją do tajemnicy; rady jej mogły być przydatne.

Nazajutrz Felicja oczekiwała zwierzeń, które nie nastąpiły. Nie śmiała przyznać się mężowi, że czytała listy Eugeniusza, i w dalszym ciągu udawała, że o niczym nie wie, zzymając się w duchu na głupotę Piotra, który uważał widać, że jest słaba i gadatliwa jak wszystkie kobiety. Z właściwą mężom zarozumiałością Rougon wyobrażał sobie, iż rządzi teraz domem, i doszedł do przekonania, że to Felicja ponosi odpowiedzialność za wszystkie niepowodzenia, jakie spotykały ich niegdyś, i że od kiedy on ujął ster w swe ręce, wszystko szło pomyślnie.

Wbrew zleceniom syna postanowił więc nie zwierzać się z niczym żonie i nie zasięgać jej rady.

Felicja poczuła się tym tak dotknięta, iż chętnie zaczęłaby rzucać mu kamienie pod nogi, gdyby nie to, że pragnęła triumfu równie gorąco jak Piotr. Pracowała więc dalej dla dobra sprawy, lecz jednocześnie obmyślała zemstę.

sts

— Ach, żeby lak udało mi się napędzić mu porządnego stracha — myślała. — Żeby zrobił jakieś głupstwo!... Już ja bym mu wtedy dała nauczkę!

Niepokoili ją myśl, że zwyciężywszy bez jej pomocy Piotr zacznie pozować na pana i władcę. Wybierając tego chłopskiego syna na męża obiecywała sobie, że będzie mogła kierować nim jak pajacem, którego pociąga się za sznurek. I oto nagle w decydującej chwili ten ocieężał i ślepy pajac zapragnął poruszać się sam! Wrodzona przebiegłość i gorączkowa potrzeba działania Felicji buntowały się przeciw temu. Wiedziała, że Piotr zdolny jest do brutalnych decyzji, czego dowodem było nakłonienie matki do pokwitowania odbioru pięćdziesięciu tysięcy franków, których nie dostała; narzędzie było zatem dobre, wolne od skrupułów, lecz Felicję paliła potrzeba posługiwania się nim wedle woli, zwłaszcza w okolicznościach, które — jak na przykład udział w przewrocie politycznym — wymagały wielkiej zręczności.

Oli :jalna wiadomość o zamachu stanu dotarła do Plassans ('opiero trzeciego grudnia, w czwartek po południu. Punkt ałnie o siódmej żółty salon zapełnił się stałymi gośćmi. Chociaż wszyscy gorąco pragnęli przesilenia, na twar? ch większości obecnych malował się pewien niepokój. W nie kończących się rozmowach komentowano zaszłe wypadki. Piotr, pobladły nieco jak i reszta zebranych, uważał przez nadmiar ostrożności za swój obowiązek usprawiedliwiać przed otaczającymi go legitymistami i zwolennikami Orleanów posunięcia księcia Ludwika. :

— Mówi się o jakiejś Odezwie do narodu — powiedział. — Naród będzie mógł swobodnie wybrać rząd, jaki zechce... Prezydent jest człowiekiem tego typu, że ustąpi z pewnością wobec prawowitej władzy.

Jedynie markiz, który zachował zimną krew arystokraty, przyjął te słowa uśmiechem. Pozostali, ogarnięci gorączką chwili, nie zastanawiali się nad tym, co nastąpi później. Byli zdezorientowani. Roudier, zapominając o swych wspomnieniach byłego dostawcy Orleanów, gwałtownie przerwał Rougonowi. Wszyscy zaczęli wołać:

— Dostyc mędrkowania! Zastanówmy się raczej, jak utrzymać ład w mieście.

Ci dzielni ludzie straszliwie bali się republikanów. Tymczasem miasto nie okazało na wieść o wypadkach paryskich zbyt wielkiego podniecenia. Przed plakatami rozlepionymi na drzwiach podprefektury gromadziły się grupki ludzi; rozeszła się pogłoska, że kilkuset robotników porzuciło pracę, aby zorganizować opór. To było wszystko. Nie zanosilo się na żadne poważniejsze wydarzenia. O wiele większy niepokój mogło budzić pytanie, jak zachowają się sąsiednie wsie i miasta, lecz nie wiedziano jeszcze, w jaki sposób przyjęły one wiadomość o zamachu stanu.

Okolo dziewiętej pojawił się zadyszany Granoux; wracał prosto z nadzwyczajnego posiedzenia Rady Miejskiej. Głosem zdławionym przez wzruszenie oznajmił, że mer, pan Garęonnet, dając do zrozumienia zebrany, że jest to wbrew jego przekonaniom, obiecał jednak utrzymać porządek w mieście, choćby nawet przy pomocy jak najbardziej energicznych środków. Nowiną, która wywołała największe poruszenie w żółtym salonie, była wieść o dymisji podpre- fekta; odmówił on stanowczo ogłaszania mieszkańcom Plassans treści depesz nadchodzących z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych; podobno opuścił miasto, a depesze podano do wiadomości publicznej dzięki staraniom mera. By) to jedyny może podprefekt we Francji, który nie bał się dać wyrazu swym przekonaniom .demokratycznym.

Zdecydowana postawa pana Garęonnet zaniepokoiła Rougonów, toteż starali się pominąć ją milczeniem, skierowując rozmowę na temat ucieczki podprefekta, który pozostawiał im wolne pole do działania. Tego pamiętnego wieczoru postanowiono, że bywalcy żółtego salonu akceptują zamach stanu i otwarcie deklarują się po stronie faktów dokonanych. Vuilletowi polecono zredagować natycł*-

miast w tym duchu artykuł, który miał ukazać się naza- : jutrz w Gazecie. Zarówno Vuillet jak i markiz nie zgłosili żadnego sprzeciwu. Otrzymali zapewne odpowiednie instrukcje od swych tajemniczych rozkazodawców. Kler i arystokracja zdecydowały się więc udzielić pomocy zwycięzcom, aby razem z nimi zmiażdżyćwspólnego wroga, Republikę.

Tego wieczora, kiedy w żółtym salonie toczyły się obrady, Arystydes drżał z przerażenia. Żaden gracz stawiający ostatniego ludwika nie odczuwał podobnego lęku. DymisjJt, jakiej udzielono jego przełożonemu, dała mu wiele do myślenia. Słyszał niejednokrotnie, jak tamten.twierdził, że zamach stanu musi zakończyć się-klęską. On sam wie*" rzyt w ostateczny triumf demokracji, nie był jednak na tyle uczciwy i nie miał dość odwagi, aby walczyć o ten triumf. Chcąc zasięgnąć dokładnych informacji, podsłuchiwał zażwyezaj pod drzwiami podprefektUry; czuł, że błąka się po omacku, i dlatego chwycił się kurczowo .Wiadomo-¹ ści, jakie udało mu się wykraść władzom administracyjnym. Zdanie podprefekta miało dla niego dużą wagę, lecz mimo to Wahał się. Dłaczego wobec tego wyjechał stąd — myślał — jeżeli jest pewny przegranej księcia prezydenta? Niemniej jednak zmuszony powziął decyzję, postanowił pozostać w opozycji. Napisał ostry artykuł-o zamaclfu stanu i sam zaniósł go/wieczorem do redakcji, aby wydrukowano go w następnym numerze Niezależnego. Po zrobieniu ko- rekly wracał prawie że spokojny do domu, kiedy przecho- dząc ulicą de la Banne machinalnie podniósł głowę i spojrział w okna salonu Rougonów. Okna te były rzęsiście oświetlone.

— Co oni tam knują na górze? — pomyślał z niespo- kojną ciekawością i a.

|| Ogarnęła go nagle szalona chęć dowiedzieć się, Co sądzą o ostatnich wydarzeniach bywalcy żółtego salonu. Nie posądzał ich o zbytnią inteligencję, lecz czując, że na nowo ogarniają go wątpliwości, gotów był pytać o zdanie nawet

czteroletnie dziecko. Po kampanii, jaką stoczył niegdyś przeciwko Granoux i reszcie towarzystwa, nie mógł poka^ zać się teraz w domu ojca. Wszedł jednak na schody myśląc o tym, w jak dziwnym położeniu się znajduje, jeśli go tutaj ktoś zaskoczy. Doszedłszy do drzwi Rougonów usłyszał jedynie zmieszany gwar głosów.

— Dzieciak ze mnie — pomyślał. — Głupiej^ ze strachu.

Miał już zejść, kiedy usłyszał głos matki, która odprowadzała kogoś do wyjścia. Ledwo zdążył uskoczyć na pograżone w mroku schodki, prowadzące na strych. Drzwi otworzyły się i ukazał się w nich markiz, a za nim Felicja. Pan de Carnavant wychodził zazwyczaj wcześniej niż ren- tierzy z nowej dzielnicy, zapewne dlatego, aby nie być zmuszonym ścisnąć im dłonie na ulicy,

— Ech, mała — rzekł już na schodach, ścisząc głos — ci ludzie są jeszcze większymi tchórzami, niż przypuszczałem. Z takimi ludźmi Francja będzie zawsze należeć do tego, kto odważy się ją wziąć.

I dodał z goryczą, jakby mówiąc do siebie:

—Monarchia jest zdecydowanie zbyt uczciwą formą rządów na obecne czasy. Jej okres już się skończył.

— Eugeniusz uprzedził ojca o przewrocie — powiedziała Felicja. — Triumf księcia Ludwika wydaje mu się pewny.

• — Och, możecie teraz iść śmiało — odparł markiz schodząc z pierwszych stopni. — Za dwa lub trzy dni cały kraj będzie już w pętach. No, do jutra, mała.

Felicja, zamknęła drzwi. Ukryty w ciemnościach Arystydes doznał nagiego olśnienia. Nie czekając, aż markiz zejdzie na dół, zbiegł po cztery stopnie ze schodów, wypadł na ulicę jak wariat i puścił się pędem do drukarni. Nawał myśli rozsadał mu czaszkę. Był wściekły; oskarżał rodzinę, że go oszukała. Jak to! Więc Eugeniusz informował rodziców o sytuacji, a matka nigdy nie dała mu do przeczytania listów najstarszego;brata, którego rad słuchałby przecież ślepo! I dopiero teraz dowiadywał się przypadkiem, że ów najstarszy brat przekonany był o powodzeniu zamachu

(stanu.' Potwierdziło to zresztą jego własne przeczucia, w których zachwał go wyjazd tego idioty podprefekta. Zły był zwłaszcza na ojca, o którym myślał dotąd, że jest na tyle głupi, aby łączyć się z legitymistami, a który tymczasem okazał się — w odpowiedniej chwili — bonapartystą.

— To mnie dopiero wpakowali tym swoim milczeniem — mruzczał biegnąc; — Ładnie teraz wyglądam! Jak ja się mogłem tak mylić! Grarioux jest silniejszy ode mnie.

Wpadł jak burza do redakcji Niezależnego i zduszonym głosem zażądał swego artykułu. Był on już złożony. Kazał wyjąć kasztę i nie uspokoił się, dopóki osobiście nie zniszczył całego składu, z furią mieszając czcionki, jakby to były kości do gry w domino. Wydawca patrzył na niego ze zdumieniem, zadowolony w głębi duszy, gdyż artykuł wydawał mu się niebezpieczny. Brakowało mu jednak materiału,

— Da mi pan coś innego? — zapytał.

— Oczywiście — odparł Arystydes.

Usiadł przy stole i zaczął pisać płomienny panegiryk na cześć zamachu stanu. Zaraz w pierwszych jego słowach obwieścił, że książę Ludwik ocalił Republikę. Po napisaniu paru wierszy zatrzymał się jednak, jakby szukając w myśli dalszego ciągu. Jego podobna do pyszczka łasicy twarz wyrażała niepokój.

— Muszę iść do domu — rzekł wreszcie. — Zaraz panu to przyślę, W najgorszym razie numer wyjdzie z małym opóźnieniem.

Szedł wolno, pogrążony w rozmyślności. Znowu ogarniało go wahanie. Po co miałby się od razu deklarować? Eugeniusz jest inteligentnym chłopcem, ale matka mogła wyolbrzymić znaczenie jego słów. Lepiej zachować ostrożność.

W godzinę później zjawiła się w redakcji Aniela z miną bardzo przejętą.

— Mąż okropnie się skaleczył —■ rzekła. — Przyciął sobie cztery palce w drzwiach. Mimo straszliwych cierpień po

dyktował mi tę oto małą notatkę i prosi o wydrukowanie Jej w jutrzejszym numerze.

Nazajutrz Niezależny. złożony prawie całkowicie z drobnych wiadomości lokalnych, umieścił na pierwszej stronie te kilka wierszy:

Pożałowania godny wypadek, jakiemu uległ nasz znakomity współpracownik, pan Arystydes Rougon, pozbawi nas na przeciąg pewnego czasu jego artykułów. W obecnej sytuacji to przymusowe milczenie jest dla niego szczególnie bolesne. Ma on jednak nadzieję, że nasi czytelnicy zdają sobie sprawę, czego pragnąłby dla szczęścia Francji jego patriotyzm.

Ta wieloznaczna notatka stanowiła owoc długich rozmyślań. Ostatnie jej zdanie mogło być tłumaczone zgodnie z programem każdej bez wyjątku partii politycznej i Zapewniało mu w ten sposób możliwość przywitania zwycięzcy triumfalnym panegirkiem i wstąpienia w jego szeregi. Następnego dnia ukazał się na mieście z ręką na temblaku. Skoro przybiegła matka, przerażona notatką, nie chciał pokazać jej skaleczonej ręki i rozmawiał z nią z taką goryczą, że Felicja wszystkiego się domyśliła.

— Nic ci nie będzie — rzekła na odchodnym z lekką drwiną w głosie. — Potrzebujesz tylko odpoczynku.

Dzięki rzekomemu wypadkowi oraz dzięki wyjazdowi podprefekta Niezależny nie doznał żadnych przykrości, tak jak większość innych dzienników demokratycznych w departamencie.

Dzień czwartego grudnia minął w Plassans względnie spokojnie. Wieczorem ludność urządziła manifestację, ale wystarczył sam widok żandarmów, aby wszyscy się rozpierzchli. Grupa robotników przysłała do pana Gan;onnet, domagając się ujawnienia treści depeesz, które otrzymał z Paryża; wobec wyniosłej odmowy mera robotnicy wycofali się wznosząc okrzyki: „Niech żyje Republika! Niech żyje konstytucja!" Po czym wszystko wróciło do zwykłego porządku. Te niewinne zajścia stały się tematem długich roz-

mów w żółtym salonie, który doszedł do wniosku, że sytuacja układa się jak najpomyślniej.

Lecz następnego dnia piątego i szóstego grudnia, okazały się bardziej niepokojące. Dowiedziano się o powstaniu, które wybuchło w sąsiednich miasteczkach: cała południowa część departamentu chwyciła za broń. Pierwsze powstały La Palud i Saint-Martin-de-Vaulx, pociągając za sobą wsie: Chavanoz, - Nazere, Poujols, Valqueyras i Vernoux. Żółty salon zaczęła ogarniać panika. Trwożyło go przede wszystkim to, że Plassans znajdowało się zupełnie osamotnione w samym środku rewolty. Grupy powstańców krążyły podobno po okolicy i przerwały wszelką komunikację. Granou* powtarzał z przerażoną miną, że mer nie otrzymuje żadnych wiadomości. Rozeszły się pogłoski, że w Marsylii leje się krew i że w Paryżu wybuchła rewolucja. Major Sicardot, wściekły na tchórzostwo mieszczuchów, zapowiadał, że zginie na czele swych ludzi:

W niedzielę siódmego grudnia przerażenie doszło do szczytu. Od szóstej wieczór żółty salon, w którym urzędował rodzaj komitetu reakcyjnego, zapełnił się bladymi i drżącymi ludźmi, którzy rozmawiali szeptem, jak w pokoju, zmarłego. W ciągu dnia rozeszła się wiadomość, że w Alboise wiosce oddalonej od Plassans najwyżej o trzy mile, znajduje się oddział powstańców w sile około trzech tysięcy ludzi. Utrzymywano wprawdzie, że oddział ten miał skierować się do głównego miasta departamentu mijając Plassans, lecz plan kampanii mógł ulec zmianie, a poza tym tchórzliwym rentierom wystarczała sama świadomość, że powstańcy znajdują się w odległości kilku kilometrów, aby wyobrazić sobie, że twarde ręce robotników chwytają ich już za gardło. Tego ranka mieli przedsmak rewolucji: nieliczni republikanie Plassans widząc, że w mieście nie uda im się niczego dokonać, postanowili połączyć się ze współtowarzyszami z La Palud i z Saint-Martin-de-Vautry; pierwsza grupa wyszła około jedenastej przez Bramę Rzymską, śpiewając Marsylianę i rozbijając po drodze kilka szub,

między innymi również i w mieszkaniu Granou*. Opowiadał o tym, bełkocąc z przerażenia.

Żółty salon drżał z niepokoju. Major wysłał służącego, aby dowiedział się dokładnie, jaka była marszruta powstańców; oczekiwano jego powrotu, gubiąc się w domysłach. Pośród zebranych nie brakowało nikogo, Roudier i Granoux, zagłębieni bezwładnie w fotelach, rzucali sobie żalostne spojrzenia, a za nimi pojękiwało kilku przerażonych rentierów. Vuillet, zachowując pozorny spokój, obmyślał środki ostrożności dla zabezpieczenia swej osoby i swego sklepu; zastanawiał się, czy ukryje się na strychu, czy też w piwnicy i skłaniał się raczej ku tej drugiej koncepcji. Piotr i major chodzili wzdłuż i wszerz po pokoju, wymieniając od czasu do czasu jakieś słówko. Były handlarz oliwą chwycił się kurczowo Sicardota, chcąc zaczerpnąć od niego nieco odwagi. On, który od tak dawna oczekiwał tego kryzysu, usiłował teraz zapanować nad sobą i nie zdradzić dławiącej go trwogi. Markiz, jeszcze bardziej ożywiony i uśmiechnięty niż zazwyczaj, rozmawiał w kącie z Felicją, która wydawała się bardzo wesoła.

Wreszcie rozległ się dzwonek. Panowie wzdrygnęli się, jakby usłyszeli wystrzał karabinowy. W salonie zapanowała śmiertelna cisza. Felicja skierowała się ku drzwiom, w stronę których zwrócone były wszystkie twarze, poblądłe z żęku. Na progu ukazał się służący majora, zdyszany.

— Proszę pana, powstańcy będą tutaj za godzinę — zawołał.

H słowa te spadły na zebranych jak grom. Porwali się z krzykiem na nogi, wznosząc ręce do nieba. Przez kilka minut panował zupełny zamęt. Otoczono gońca i zasypywano go pytaniami.

— Do piórunaf — krzyknął wreszcie major. — Przystaniecie hałasować czy nie? Spokój albo nie odpowiadam za nic!

Opadli na fotele, wdychając ciężko. Major zaczął wypytywać gońca o szczegóły. Służący natknął się na powstańców koło Tulettes i pośpiesznie wrócił do miasta.

— Jest-ich przynajmniej irzy tysiące — powiedział. — Maszerują oddziałami, jak żołnierze. Zdaje się, że prowadzą ze sobą jeńców.

— Jeńców? — krzyknęli przerażeni mieszczenie.

— Bez wątpienia! — przerwał markiz cienkim głosiikiem. — Mówiono mi, że powstańcy zatrzymują osoby znane z konserwatywnych przekonań.

Ta nowiny wywołała 'w żółtym salonie ostateczną konsternację. Kilka osób wstało i wysłiznęło się cichaczem, chcąc poszukać sobie w porę bezpiecznego schronienia.

Wiadomość' o aresztowaniach przeprowadzanych przez republikańców poruszyła Felicję. Odciągnęła na bok markiza i zapytała go:

— A co robią z tymi, których aresztują?

— Zabierają ich ze sobą jako zakładników — odrzekł pan de Carnavant.

Ig Ach tak! — odparła Felicja dziwnym głosem.

W zamyśleniu przyglądała się rozgorączkowanym twa-j rzom. Salon opróżniał się powoli; zostali w nim tylko Yuihiet; i Roudier, w których bliskość niebezpieczeństwa wykrzesala odrobinę odwagi. Co do Granoux — to również pozostał w swoim kącie, gdyż nogi odmówily mu posłuszeństwa.

— Słowo daję, wolę, że tak się stało — powiedział Sicardot widząc ucieczkę towarzyszy, — Ci tchórze doprowadzali mnie do rozpacz. Od przeszło dwóch lat gadają o rozstrzeliwaniu wszystkich republikańców w okolicy, a jak przyszło co do czego, to nie odważyliby się nawet strzelić do nich z dziecinnej pukawki.

Chwycił kapelusz i skierował się ku drzwiom.

— Czas nagli... — dorzucił. — Chodźmy, Rougon.

Felicja jakby tylko czekała na tę chwilę. Rzuciła się w stronę męża, który zresztą bynajmniej nie okazywał chęci pójścia za straszliwym Sicardotem.

— Ja nie chcę, żebyś ty wychodził! — krzyknęła udając nagłą rozpacz. — Nie pozwolę ci odejść ode mnie! Te łajdaki mogłyby cię zabić!

Major zatrzymał się zdziwiony.

— Do stu diabłów ~ burknął — jeszcze tylko babskich płaczów nam brakowało... No, chodźmy, Rougon!

— Nie, nie — podjęła Felicja udając rosnące przerażenie — on z panem nie pójdzie! Będę się czepiać jego ubrania, nie puszcę go!

Markiz, zaskoczony tą Sceną, patrzył z zaciekawieniem na Felicję. Czyżby to była ta sama kobieta, która jeszcze przed chwilą rozmawiała tak wesoło? Co za komedię grała? Tymczasem Piotr, z chwilą gdy żona zaczęła go zatrzymywać, udawał, że za wszelką cenę chce wyjść.

— Mówię ci, że nie wyjdiesz — powtarzała Felicja, uczepiona jego ramienia.

I odwracając się do majora dodała jeszcze:

— Jakże możecie marzyć o stawianiu oporu? Przecież Ich jest trzy tysiące, a wy nie zbierzecie nawet i stu odważnych ludzi. Pójdziecie tylko na rzeź, i po co?

— To jest nasz obowiązek — rzucił zniecierpliwiony Sicardot.

Felicja wybuchnęła płaczem.

— Jeżeli mi go nie zabiją, to go wezmą do niewoli — mówiła wpatrując się w męża. — Mój Boże, cóż ja pocznę sarna, w opuszczonym mieście?

— A czy pani myśli, że jeżeli pozwolimy powstańcom wtargnąć bez walki do naszych domów, to ominie nas aresztowanie? — zawołał major. — Ręczę pani, że w przeciągu godziny mer i wszyscy urzędnicy zostaną uwięzieni, nie licząc męża pani i wszystkich bywalców tego salonu.

Markizowi zdawało się, że dostrzegł cień uśmiechu na wargach Felicji, kiedy spytała przerażonym głosem:

— Tak pan sądzi?

— Na Boga!—podjął Sicardot — przecież ci republikanie nie są tacy głupi, żeby pozostawiać wrogów na tyłach. Jutro Plassans wymiecione będzie z urzędników i z dobrych obywateli.

Na te słowa, które udało jej się sprowokować, Felicja

puściła ramię męża. Piotr nie udawał już, że chce wyjść. - W jego głowie zarysował się pewien plan i nie przypuszczał wcale, że to żona podsunęła mu go umiejętnie. ' - — Powinniśmy się dobrze zastanowić, zanim poweźmie-/ my decyzję — rzekł do majora. — Żona moja ma może rację zarzucając nam, że zapominamy o naszych obowiązkach; względem rodziny. - '^yFH^l

— Tak, tak, pani Rougon ma rację! — zawołał Gra no u w którym przerażone okrzyki Felicji wzbudziły zachwyty.— Major wcisnął energicznym ruchem kapelusz na głowę i rzekł dobitnie:

— Ma rację czy nie ma racji — to dla miiiiie w tej chwili, obojętne. Jestem dowódcą gwardii narodowej i powinienem być już w reerostwie. Przyznajcie, że się boicie i że zosta-, wiacie mnie samego. A więc — do widzenia. jj

Brał już za kłamkę, kiedy Rougon zatrzymał go żywo: . Niech pan posłucha, Sicardot — powiedział. W I widząc, że Vuillet nastawia swoje szerokie uszy, zaciągnął go do przeciwległego kąta. Tam wytłumaczył mu szeptem, że byłoby dobrym posunięciem zostawić na tyłach powstańców kilku energicznych ludzi, którzy potrafiliby, potem przywrócić porządek w mieście. A ponieważ nastroszony major upierał się, że nie może opuścić posterunku, Rougon zaofiarował, się stanąć na czele korpusy rezerwy.

: — Niech mi pan da — rzekł — klucz od szopy, gdzie się znajduje broń i amunicja, i niech pan każe. uprzedzić około pięćdziesięciu naszych ludzi, żeby nie robili nic bez mego rozkazu.

Sicardot przystał wreszcie na te rozsądne plany. Oddał mu klucz od szopy, zdając sobie sprawę z bezcelowości stawiania oporu powstańcom, tęż pragnąc w dalszyfi ciągu odegrać rolę bohatera.

W czasie tej rozmowy markiz z przebiegłą miną szepnął kilka słów do ucha Felicji. Zapewne wieszował jej udanej sceny. Felicja nie mogła powstrzymać lekkiego uśmiechu. Ponieważ zaś Sicardot ścisnął właśnie dłoń Rougona i za

bierał się do wyjścia, zapytała go. przybierając znowu zrozpaczony minę:

— Więc naprawdę pan nas opuszcza?

— Dawny żołnierz Napoleona — odparł — r nigdy nie stchórzy przed motłochem.

Był już na schodach, kiedy Granoux pośpieszył! za nim, wołając:

— Jeżeli pan idzie do merosłwa, to niech pan zakomunikuje merowi najnowsze wiadomości. Ja biegnę do domu uspokoić żonę.

Teraz Felicja nachyliła się do ucha markiza i szepnęła z dyskretną radością:

i—JDaję słowo, rada jestem, że ten postrzelony major zostanie aresztowany. Okazuje nadmiar gorliwości.

Tymczasem Rougon sprowadził Granoux z powrotem do salonu. Rondier, który ze swego kąta śledził w milczeniu całą scenę, przytakując jedynie energicznie rozsądnym planom, przyłączył się do nich. Kiedy markiz i Vuillet podnieśli się również. Piotr rzekł:

Teraz, kiedy zostaliśmy w ścisłym gronie ludzi, którzy nie uznają niepotrzebnej brawury, proponuję, by każdy z nas ukrył się gdzieś, aby uniknąć niechybnego aresztowania i aby zapewnić sobie swobodę działania w chwili, kiedy siła będzie znów po naszej stronie.

Granoux omal go "nie ucałował; Roudier i Vuillet odetchnęli swobodniej.

: — Niedługo będę was potrzebował, panowie — ciągnął /dalej z ważną miną były handlarz oliwą. — To n a m przypadnie w udziale zaszczyt przywrócenia porządku / w Plassans.

V — Może pan .liczyć na nas! — zakrzyknął Vuillet z entuzjazmem, który zaniepokoił Felicję.

, Czas naglił. Osobliwi obrońcy Plassans^ którzy chowali się, aby bronić miasta, rozbiegli się pośpiesznie w poszukiwaniu bezpiecznych kryjówek. Pozostawszy sam na sam z żoną Piotr polecił jej, aby nie barykadowała przypadkiem |

drzwi i żeby powiedziała w razie czego, że mąż jej udał się w podróż. Ponieważ nadal udawała, że nic nie rozumie, i pytała go z wyrazem przestachu, co się z nimi stanie, odpowiedział jej ostro:

— Już ty się o to nie martw. Słuchaj innie tylko, a na pewno dobrze na tym wyjdziemy.

W kilka minut później przemykał pod murami kamienic ulicy de la Banne. Gdy dotarł do bulwaru Sauvair, ujrzał wychodzącą ze starej dzielnicy grupę-uzbrojonych robotników, którzy śpiewali Marsylianę.

— Do diaska! — pomyślał. — Ledwo zdążyłem. W mieście Wybuca powstanie.

Przyśpieszył kroku kierując się w stronę Bramy Rzym- •kiej. Powolne ruchy otwierającego mu strażnika doprowadziły go do rozpacz. Znalazłszy się na drodze dojrzał na przeciwległym krańcu przedmieścia oddział powstańców, których karabiny połyskiwały w świetle księżyca. Biegiem wpadł w zaułek Świętego Mittry i dotarł do domu matki, w którym nie był już od długich lat.

J

IV

Antoni Macąart powrócił do Plassarts po upadku Napoleona, Sprzyjało mu wyjątkowe szczęście: nie brał udziału w żadnej z ostatnich krwawych kampanii Cesarstwa. Przerzucano go z jednego garnizonu do drugiego i tkwił w ogłupiającym żołnierskim życiu.. Rozwinęło ono jeszcze jego wrodzone złe skłonności. Stał się niepoprawnie leniwy i zaczął pić, hołdując pijaństwu jako religii, chociaż kosztowało go ono wiele kar. Lecz najbardziej rozpleniła się w nim pogarda dla biedaków, którzy w pocie czoła pracują na chleb.

V*— Ja tam jestem majętny-mówił często kolegom — jak odsłużę wojsko, będę mógł żyć jak burżuj.

To przekonanie i beznadziejna głupota nie pozwoliły mu dojść nawet do stopnia kaprała.

Od chwili wyjazdu nie spędził ani jednego dnia urlopu w Plassans; jego brat potrafił zawsze znaleźć jakiś pretekst, aby mu w tym przeszkodzić. Toteż nie wiedział nic o tym, w jak zręczny sposób Piotr przywłaszczył sobie majątek ich matki. Adelajda, zobojętniała na wszystko, napisała do niego zaledwie parę razy, donosząc mu jedynie, że czuje się dobrze. Milczenie, które było najczęstszą odpowiedzią na jego liczne prośby o pieniądze, nie wzbudzało w nim żadnych podejrzeń; tłumaczył je sobie skapstwem Piotra. Zwiększyło to w nim jeszcze urazę do brata, który

pozwalal mit marnowac mlodosc w wojsku, mimo ze obiecal go wykupic. Totez wracajac do domu poprzyasiagl sqll" bie, ze nie bedzie juz posluszny jak malý chlopczyk i ze upomni sie twardo o nalezná mu czesc majatku, by moc wreszcie urzadzic sobie zycie wedlug wlasnych upodobañ. Jadac dylizansem marzyl o czekajacych go rozkoszach lenistwa. Chwila, w ktorej runely wszystkie te zamki na lodzie, byla straszna. Kiedy znalazl sie na przedmieściu i nie zastal tam juz posiadlosci Fouque'ów, oslupial. Alu-^ sial dowiadywac sie o nowy adres matki. Rozegrála sie tam straszliwa scena. Adelajda spokojnie oznajmila mu o sprzedazy majatku. Antoni uniosl sie, chcial ja uderzyc, j Biedna kobieta powtarzala w kólko:

— Twój brat zabral wszystko, ale on sie toba zajmie, J tak bylo postanowione.

Wyszedl wiec od matki i pobiegl do Piotra, ktorego 3 uprzedzil 0 swoim powrocie. Tamten zdazyl wiec p rzyga- | tować sie na jego przyjecie i postanowil, ze Za pierwszym ordynarnym slowem pozbedzie sie intruza.

— Niech mnie pan nie wyprowadza z rownowagi — ; powiedzial handlarz oliwa, zaznaczajac w ten sposob, ze nie ma ochoty mowic da brata po imieniu po wyrzuceniu j pana za drzwi. Jesteśmy sobie zupełnie obcy. Nie nosimy i nawet tego samego nazwiska. Dosyc cierpialem z tego powodu, ze matka moja zle sie prowadzila, i nie mam teraz zamiaru znosić obelg ze strony jej bekartów. Chcialem panu pomoc, ale poniewaz zachowuje sie pan bezczelnie, nie zrobię dla pana nic, absolutnie nic.

Antoniego dlawila wscieklosc.

— ■ A moje pieniadze! — wrzasnal. — Oddasz mi je, zlodzieju jeden, czy tez bede sie musial z toba procesowac?

Piotr wzruszyl ramionami.

— Nie mam pana pieniedzy — odparl, coraz bardziej spokojny. — Matka moja rozporzadzila swoim majatkiem, jak chciala. Ja nie wtykam nosa w jej sprawy. Dobrowolni?

i
ff
11

zrzeklem sie spadku. Pana brudne oskarzenia nie mogá mnie dotknac.

A kiedy Antoni zaczal cos belkotać, do reszty zdezorientowany i wyprowadzony z rownowagi jego zimná krwia, podsunal mu kwil podpisany przez Adelajde. Kwit ten ostatecznie przybil Antoniego.

Dobrze — rzeki prawie spokojnym glósem. — Wiem, jak mam teraz postapic.

W rzeczywistosci nie wiedzial wcale. Swiadomosc, ze nie moze odebrac natychmiast swej czesci i zemscic sie na bracie, podsycala jeszcze jego gniew. Wrocił do matki i poddal ja upokarzajacemu przesluchaniu. Nieszczesna kobieta, nie potrafila mu nic wytumaczyc i odsylala go do Piotra.

— Cóz sobie matka myśli — krzyknal bezczelnie — ze ja bede chodzil tam i z powrotem? Juz ja sie dowiem, ktore z was schowalo pieniadze! A moze juz je przejadlas, co?...

l robiac aluzje do jej dawnego prowadzenia sie, zapytal, czy nie miala jakiego draba, ktoremu oddawala ostatnie grosze. Nie oszczedzil nawet wlasnego ojca, „tego opo- ja Macquarta", jak go nazwal, ktory na pewno wyzyskiwal ja az do smierci, a dzieci zostawi! na bruku. Biedna kobieta sluchala go w oslupieniu. Wielkie lzy splywaly jej po policzkach. Bronila sie z dziecinnym przerazeniem, odpowiadajac na pytania syna, jakby to byl sędzia, przysiegajac, ze prowadzila sie dobrze, i powtarzajac, ze nie ma ani grosza, bo Piotr zabral wszystko. Antoni uwierzyl jej w koncu. .

— A to lotr! — mruknal. — To dlatego~mnie nie wykupywal. ^

Musial spac u matki, na sienniku rzuconym w kat izby. Wrocił z wojska z pustymi kieszeniami i najbardziej, gnębila go mysl, ze jest bez srodków do zycia, opuszczony jak bezpański pies, podczas gdy jego bratu doskonale sie po wodzi. Nie majac za co kupic sobie ubrania, wyszedl nazajutrz w spodniach od munduru i w zolnierskim kepi.

W głębi szafy udało mu się znaleźć jakąś starą kurtkę Macquarta z żółtawego wełWelu, zniszczoną i poplamioną. W tym dziwnym stroju chodził po mieście, opowiadając swoją historię i domagając się sprawiedliwości.

Ludzie, do których udał się po radę, przyjęli go z taką pogardą, że łzy wściekłości stanęły mu w oczach. /Mieszkańcy prowincji są bezlitośni dla podupadłych rodzin. W oczach ogółu młodzi Rougon-Macquartowie wdali się w rodziców, żrąc się między sobą; zamiast usiłować ich rozdzielić, galeria podjudzała ich jeszcze. Piotr cieszył się już zresztą nieco lepszą opinią w Plassans. Oszustwo, jakie popełnił, wzbudzało śmiech; niektóre osoby twierdziły nawet, że dobrze zrobił, jeżeli rzeczywiście przywłaszczył sobie te pieniądze, i że będzie to nauką dla innych rozpustników w mieście.

Antoni powrócił do domu zniechęcony. Pewien adwokat — poinformowawszy się najpierw co do sytuacji finansowej klienta — powiedział mu z wyrazem niesmaku na twarzy, że rodzinne brudy należy prać w domu. Jego zda^ niem sprawa była ogromnie zawiślana, ciągnęłaby się bar- dzo długo i nie wiadomo, jakby się skończyła. Zresztą prowadzenie jej wymagało pieniędzy, dużo pieniędzy.

Tego wieczoru Antoni zachował się w stosunku do matki w sposób jeszcze bardziej bezwzględny; nie wiedząc, na kim mścić się za swą krzywdę, podjął stawiane matce poprzedniego dnia zarzuty. Męczył ją do północy, drżąc ze wstydu i lęku. Kiedy dowiedział się od Adelajdy, że Piotr wypłaca jej pensję, nabrał pewności, że brat przy- ' włłaszczył sobie owe pięćdziesiąt fysięcy. Lecz udał, że w tonie wierzy, gdyż dręczenie matki sprawiało mu ulgę. Nie przestał zadawać jej podejrzliwych pytań, jakby przekonany był o tym, że przejadła majątek z kochankami.

— Miałas ich przecież więcej oprócz mojego ojca — rzekł w końcu brutalnie.

Adelajda zachwiała się pod tym ciosem i opadła na jakiś kufer, na którym przeleżała całą noc, płacząc.

Antoni zrozumiał wkrótce, że sam, bez żadnych zasobów pieniężnych, nie będzie mógł walczyć przeciwko bratu. Z początku próbował zainteresować tą sprawą matkę: skarga, wniesiona przez nią, mogłaby mieć poważne konsekwencje. Lecz biedna kobieta, zazwyczaj tak miękka i uległa, tym razem odmówiła energicznie.

— Wiem, że źle postąpiłam wtedy wyjąkała — i masz rację, że się na mnie gniewasz. Ale widzisz, nie mogłabym znieść myśli, że wtrąciłam jedno z moich dzieci do więzienia. Wolę już, żebyś uinie bił.

Czuł, iż prócz łez niczego od niej nie wydobędzie, więc dorzucił jedynie, że spotkała ją zasłużona kara i że wcale jej nie żałuje. Wieczorem Adelajda, wstrząśnięta wymówkami syna, dostała jednego ze swych nerwowych ataków, w czasie których leżała sztywna, z otwartymi oczami, jak nieżywa. Młody człowiek rzucił ją na tóżko i nie rozluźniwszy nawet na niej ubrania zaczął przeszukiwać mieszkanie, chcąc się przekonać, czy matka nie ma gdzieś ukrytych oszczędności. Znalazł około czterdziestu franków. Przywłaszczył je sobie natychmiast, i podczas gdy Adelajda leżała bez tchu, jak martwa, spokojnie wybrał się dylizansem do Marsylii.

Przyszło mu na myśl, że Mouret, kapelusznik który ożenił się z jego siostrą Urszulą, oburzy się na oszustwo Piotra i zechce bronić interesów żony. Lecz okazało się, że nie trafił na człowieka, jakiego szukał. Mouret oświadczył mu dobitnie, że przyzwyczał się uważać Urszulę za sierotę i że nie ma najmniejszego zamiaru mieszać się do rodzinnych kłótni. Zresztą, powodziło mu się dobrze. Antoni, urażony chłodnym przyjęciem, czym prędzej wsiadł z powrotem do dylizansu. Przed wyjazdem zapragnął jednak zemścić się za wzgardę, jaką wyczytał w oczach szwagra. Ponieważ siostra wydała mu się błada i mizerna, rzekł na odchodnym do jej męża z tajonym okrucieństwem:

— Niech pan uważa, moja siostra- zawsze była wątła, a teraz widzę, że jeszcze gorzej wygląda. Żeby jej part przypadkiem nie stracił.

Łzy, które stanęły w oczach Moureta, upewniły Antoniego, że trafił celnie. Ci robocjarze za bardzo pysznili się swoim szczęściem.

Po powrocie do Plassans, świadomy swej bezsilności, Antoni stał się jeszcze groźniejszy. Przez cały miesiąc kręcił się po mieście. Biegał po ulicach, opowiadając swoją historię każdemu, kto chciał go słuchać. Kiedy udało mu się wyciągnąć od matki franka, przepijał go natychmiast: w jakimś szynjeu, gdzie wykrzykiwał na cały głos, że jego brat to kanalia i że on mu-pokaże! Czule braterstwo, panujące w takich lokalach między pijakami, stwarzało mu wdzięczne audytorium: wszystkie szumowiny miasta zaznajomiły się wkrótce z jego sprawą i bez końca sypały się pogrożki pod adresem tego łajdaka Rougona, który pozbawił chleba dzielnego żołnierza. Każde takie posiedzenie kończyło się zazwyczaj potępiającym wyrokiem na wszystkich, bogaczy. Antoni, chcąc choć w ten sposób wyrzucić swą zemstę, chodził w dalszym ciągu w wojskowych spodniach, kepi i starej kurtce z żółtego welwetu, mimo że matka ofiarowała się kupić mu przyzwoitsze ubranie. Wystawiał swą nędzę na widok publiczny, w niedzielę obnosił ją ostantacyjnie po bulwarze Sauvaire.

Największą przyjemność sprawiało mu spacerowanie przed sklepem Piotra. Umyślnie powiększał palcami dziury w kurtce, zwalniał kroku, przystawał, byle tylko dłużej pozostawać na tej ulicy. Brał ze sobą któregoś ze swoich kompanów i opowiadał mu o kradzieży pięćdziesięciu tysięcy franków, wykrzykując przy tym obelgi i pogrożki pod adresem brata, tak aby wszyscy mogli je usłyszeć i aby dotarły one do wnętrza sklepu.

— Skończy się na tym —• mówiła zrozpaczona Felicja — że on przyjdzie żebrac pod naszym domem.

Mala, próżna kobietka cierpiała straszliwie wskutek tego skandalu. Żałowała nawet chwilami, że wyszła za męża za Rougona; jego rodzina zbyt dawała jej się we znaki. Wszystko byłaby oddała za to, żeby Antoni przestał obnosić po mieście swe łachmany. Lecz Piotr, którego zachowanie brata doprowadzało do szaleństwa, zabronił wymawiać w swej obecności jego imię. Kiedy żona usiłowała go przekonać, że lepiej może pozbyć się Antoniego, dając mu parę groszy, krzyknął z wściekłością:

— Nie. dam mu ani złamanego szeląga! Niech zdycha!

Sam jednak musiał przyznać w końcu, że zachowanie Antoniego stawało się nie do zniesienia. Pewnego dnia Felicja, pragnąc raz już z tym skończyć, zawołała „tego człowieka”, jak go nazywała z pogardliwą miną. „Ten człowiek” zajęty był właśnie wymyślaniem jej od ostatnich na środku ulicy, w towarzystwie swego kolegi, jeszcze bardziej obdartego niż on. Obaj byli pijani.

— Chodź, zapraszają nas tam — rzeki drwiąco Antoni do swego kompana.

Felicja cofnęła się szepcząc:

— My tylko z panem chcieliśmy mówić...

— Głupstwo — odparł młody człowiek — mój kolega to porządny chłop. Może wszystkiego słuchać. To mój świadek.

Świadek usiadł ciężko na krześle. Nie zdjął nakrycia głowy i zaczął rozglądać się dokoła z głupkowatym uśmiechem pijaków i ludzi nieokrzesanych, którzy zdają sobie sprawę ze swej beczelności. Zawstydzona Felicja stanęła przed drzwiami sklepu, żeby nie można było dostrzec z ulicy jej dziwnych gości. Szczęściem, mąż przyszedł jej z pomocą. Między nim a bratem wywiązała się natychmiast gwałtowna sprzeczka. Antoni, płacząc się w wyzwiskach, powtarzał wciąż te same zarzuty. W końcu zaczął płakać i niewiele brakowało, aby jego towarzysz uczynił to samo. Piotr bronił się z godnością.

— No, cóż — rzeki wreszcie — jest pan nieszczęśliwy i żal mi pana. Mimo że doznałem z pana strony wiele zniewag, nie zapominam, że mamy jedną matkę. Ale jeżeli dam panu coś, to niech pan pamięta, że robię to z dobroci, a nie ze strachu... Chce pan sto franków, żeby stanąć na nogi?

Wizja stu franków olśniła towarzysza Antoniego. Spojrzał na niego z wyrazem zachwytu, który mówił wyraźnie: „Kiedy ci dają sto franków, nie masz już prawa mówić głupstw”. Lecz Antoni zrozumiał, że należy wykorzystać fakt, iż brał okazał się skłonny do ustępstw. Zapytał go, czy sobie z niego kpi; jemu chodzi nie o sto franków, ale

o całą należną mu część, czyli dziesięć tysięcy.

■ "!" — "!" 2!e robisz, źle robisz... mamrotał jego przyjaciel.

W końcu, kiedy zniecierpliwiony Piotr oświadczył, że wyrzuci ich obu za drzwi, Antoni obniżył swoje wymagania

1 zażądał już tylko tysiąca franków. Na temat tej sumy kłócili się jeszcze przez kwadrans. Felicja wmieszała się do rozmowy. Przed sklepem zaczęli się już gromadzić ludzie.

Niechże pan posłucha — rzekła żywo. — Mąż mój da panu dwieście franków, ja zaś obiecuję kupić panu ubranie i wynająć mieszkanie dla pana, opłacając czynsz z góry za rok.

Rougon się rozgniewał. Lecz kolega Antoniego wykrzyknął z entuzjazmem:

— Zgoda, mój przyjaciel przyjmuje.

Istotnie Antoni oświadczył z kwaśną miną, że się zgadza. Czuł, że więcej nie uzyska. Ustalono, że pieniądze i ubranie zostaną mu przesłane nazajutrz, zaś w kilka dni później, gdy Felicja znajdzie mu jakieś mieszkanie, będzie mógł się tam sprowadzić. Odchodząc, pijak, który towarzyszył Antoniemu, okazywał Rougonom tyle szacunku, ile przedtem okazał im lekceważenia; kłaniał się niezręcznie z miną bardzo pokorną i mamrotał jakieś niezrozumiałe podziękowania, jakby to on sam został obdarowany;

W tydzień później Antoni zajął duży pflkój w starej dzielnicy, do którego Felicja — uzyskawszy od niego uroczyste przyrzeczenie, że zostawi ich w spokoju — kazała wstawić łóżko, stół i parę krzeseł. Adelajda rozsiała się z synem bez żalu; jego krótki pobyt kosztował ją tyle, że teraz skazana była przez dłuższy czas na chleb i wodę. Antoni prędko przejadł i przepił otrzymane pieniądze. Ani przez chwilę nie pomyślał o tym, że mógłby założyć jakiś sklepik, który dałby mu potem utrzymanie. Kiedy znalazł się znowu bez grosza, nie mając wyuczonego zawodu i czując zresztą wstręt do pracy, chciał sięgnąć ponownie do kieszeni Rougonów. Lecz sytuacja zmieniła się już i tynv razem nie udało mu się ich zastraszyć. Piotr skorzystał nawet z tej okazji, żeby wyrzucić go za drzwi i raz na zawsze zabronić mu przychodzenia do siebie. Na próżno podejmował Antoni swe oskarżenia: miasto, ujętynie powiadomione przez Felicję o hojności Piotra, potępiało jego młodszego brata i nazywało go próżniakiem. Jemu tymczasem zaczął doskwierać głód. Groził, że zostanie przemytnikiem jak ojciec, że zejdzie na złą drogę i przyniesie hańbę rodzinie. Rougonowie wzruszali ramionami: wiedzieli, że jest zbyt tchórzliwy, aby miał ryzykować własną skórę. Wreszcie, pełen głuchej wściekłości na swoich najbliższych i na całe społeczeństwo, Antoni postanowił poszukać jakiegoś zajęcia.

W szynku na przedmieściu poznał kiedyś koszykarza- chałupnika. Zaofiarował mu swoją pomoc. W niedługim czasie nauczył się wyplatać kosze i koszyki, proste i tanie, ale cieszące się dużym zbytem. Wkrótce pracował już na własny rachunek. Podobało mu się to mało męczące rzemiosło. Mógł przy nim hołdować nadal swojemu lenistwu, a o to mu przede wszystkim chodziło. Zabierał się do roboty wtedy, kiedy już nie miał innego wyjścia: wyplatał pośpiesznie kilkanaście koszyków i sprzedawał je na targu. Póki miał pieniądze, włóczył się odwiedzając winiarnie, wygrzewając się na słońcu; później, kiedy dokuczał mu głód, brał

U

się znów do roboty przeklinając głucho i wyrzekając na bogaczy, którzy nie muszą pracować. W ten sposób pojęty zawód koszykarza okazał się bardzo niewdzięczny; Antoniemu nie wystarczyłoby na wódkę, gdyby nie to, że postarał się o tanie źródło wikliny. Nie kupował jej nigdy w Plassans i mówił, że co miesiąc zaopatruje się w nią w sąsiednim miasteczku, gdzie, jak twierdził, sprzedawano ją po niższej cenie. W rzeczywistości ciął ją w cieutine nocte; na brzegach Viorny. Kiedyś przyłapał go polowy; parę dni przesiedział w więzieniu. Od tej chwili zaczął pozować na: nieprzejednanego republikanina. Opowiadał wszystkim, że najspokojniej w świecie palił fajkę pad brzegiem rzeki, kiedy został zatrzymany. I dodawał -jeszcze: |

- —. Chcieliby się mnie pozbyć, bo wiedzą, jakie są moje przekonania. Ale ja się ich nie boję, tych łajdaków bogaczy!

Po dziesięciu latach próżnowania Macquart uznał, że pracuje za wiele. Marzył o tym, żeby wynaleźć jakiś sposób^ który by pozwolił dobrze żyć nic nie robiąc. Nie należał do tych próżniakówWi którzy gotowi są zadowolić się ch {ebertj; i wodą. byleby tylko mogli siedzieć z założonymi rękami. Jego . lenistwo chciało być syte. -Przez pewien czas nosił się z.zamiarem wstąpienia na służbę do jakiegoś arystokraty w dzielnicy Świętego Marka. Lecz pewien stangret, jego przyjaciel, nastraszył go opowiadając o wymaganiach swych panów. Macquart, któremu obrzydły już koszyki, zwłaszcza ad kiedy wiedział, że będzie musiał płacić za wiklinę, miał już sprzedać się jako zastępca i powrócić do: żołnierskiego życia, które wołał tysiąc razy od życia robotnika, kiedy poznał pewną kobietę. To spotkanie zmieniło jego plany.

Józefina Gavaudan, znana w całym mieście pod zdrobniałym imieniem Fina,, była roslą i tęgą kobietą,, lat około trzydziestu. Jej męska, kwadratowa twarz porośnięta była na brodzie i koło ust rzadkimi, lecz straszliwie długimi-włosami. Uważano ją za zuch-niewiastę, gotową w razie potrzeby zdzielić przeciwnika pięścią. Toteż jej szerokie ramiona i potężne ręce budziły wielki respekt w uliczkach.

k którzy nie odważali się nawet uśmiechnąć na widok jej wąsów. Mówiła cienkim głosikiem, czystym jak u dziecka. Jej znajomi twierdzili, że mimo groźnego wyglądu jest łagodna jak baranek. Bardzo pracowita, mogła była zaoszczędzić nieco grosza, gdyby nie pociąg do kieliszka; Fina uwielbiała anyżówkę. W niedzielne wieczory trzeba ją było często odnosić do domu.

Przez cały tydzień pracowała ze zwierzęcym uporem- Miała trzy czy cztery zajęcia: sprzedawała owoce lub pieczone kasztany w hali targowej, sprzątała u kilku rerrfierów, zmywała naczynia u zamożnych rodzin w dni wielkich przyjęć,a w wolnych chwilach wyplatała stare krzesła. Ten jej ostatni zawód był najbardziej znany. Na Południu trzcinowe krzesła są w powszechnym użyciu i prędko się niszczą.

Antoni Macquart nawiązał z Finą znajomość w hali. Kiedy zimą udawał się tam, by sprzedawać koszyki, stawał, chcąc się nieco zagrześć, przy piecyku, w którym ona piekła kasztany. On, którego przerażała najdrobniejsza robota,, był olśniony jej pracowitością. Pod pozorną szorstkością tej tęgiej przekupki odkrył-- odruchy nieśmiałości i dobroci. Nieraz widział, jak dawała garść kasztanów obdartym malcom w łachmanach, którzy przystawali w zachwycie przed dymiącym kociołkiem. Kiedy indziej znowu, poszturchiwana przez dozorcę hali, miała łzy w oczach, jakby nie pamiętała o swych silnych pięściach, którymi mogła się bronić. Antoni doszedł do przekonania, że właśnie takiej kobiety mu trzeba. On będzie panem domu, a ona będzie pracować za . dwoje. Będzie jego zwierzęciem pociągowym, niezmordowanym i posłusznym. Jej zamięłowanie do kieliszka uważał za zupełnie naturalne. Rozważywszy dobrze wszystkie dodatnie strony tego związku, oświadczył się. Fina była uszczęśliwiona. Nigdy dotąd zaden mężczyzna nie odważył się-'do niej zalecać. Na próżno przestrzegano ją, że Antoni jest nicponiem ostatniego rzędu — nie miała dość siły, aby odrzucić propozycję małżeństwa, którego jej silna natura domagała się od dawna. W wieczór poślubny pan młody przeprowadził

się do mieszkania swej małżonki, przy ulicy CivadiFRE, niedaleko hali. Mieszkanie to składało się z trzech pokoi i było znacznie lepiej umeblowane niż jego, toteż z westchnieniem zadowolenia wyciągnął się na miękkim łóżku. |

Z początku wszystko szło dobrze, Fina oddawała się jak dawniej licznym zajęciom, Antoni zaś, w którym — ku jego własnemu zdziwieniu — obudziła się pewnego rodzaju ambicja, zrobił w ciągu jednego dnia tyle koszyków, ile przedtem wypłatał przez miesiąc. Lecz w niedzielę doszło do wy- ' buchu. W domu, pod koniec tygodnia, znajdowała się spora? sumka pieniędzy; -oboje małżonkowie skorzystali z tego. W nocy pobili się po pijanemu, a nazajutrz nie mogli sobie nawet przypomnieć, o co im poszło r— do dziesiątej byli dla siebie bardzo czuli, potem Antoni zaczął nagle bić Finę, a ta, wyprowadzona z równowagi, oddawała mu każdy otrzymany policzek. Następnego dnia spokojnie zabrała się cło roboty, jakby nic nie zaszło. Mąż jej jednak, czując jakąś głuchą urazę, wstał późno i przez resztę dnia wygrzewał się na słońcu, paląc fajkę.

Od tej chwili Macquartowie rozpoczęli tryb życia, któremu mieli pozostać wierni. Nastąpiło między nimi jakby milczące porozumienie, że żona będzie pracować na utrzymanie męża. Fina, której praca sprawiała przyjemność, nie protestowała. Póki się nie upiła, miała anielską cierpliwość, uważała lenistwo męża za zupełnie naturalne i starała się oszczędzić mu nawet najdrobniejszych wysiłków. Pod wpływem anyżówki robiła się nie tyle zła, ile sprawiedliwa; jeżeli Antoni szukał z nią zwady, kiedy była pijana, rzucała się na mego z pięściami, wymawiając mu jego próżniactwo i niewdzięczność. Sąsiedzi przywykli już do tych regularnie powtarzających się bijatyk. Fina biła męża jak matka, która karze niegrzecznego syna, on jednak — podstępny i pełen nienawiści — celnie wymierzał ciosy I parę razy o mało nie zrobił jej krzywdy.

— Dużo ci z tego przyjdzie, jak ml złamiesz rękę albo nogę — mówiła mu. — Kto cię wtedy będzie żywił, próżniaku?

Pomijając te gwałtowne sceny, Antoni zaczął uważać swoją nową egzystencję za zupełnie znośną. Miał się w co ubrać, nie cierpiał głodu. JCoszykarstwo porzucił całkowicie; czasami, kiedy mu się bardzo nudziło, przyrzekał sobie, że na następny targ wplecie tuzin koszyków, ale przeważnie nie kończył nawet pierwszego. Przechowywany pod kanapą zapas wikliny nic się nie zmniejszał.

A\acquartowie mieli.troje dzieci: dwie córki i syna.

Liza urodzona w roku 1827}' w rok po ślubie, prędko opuściła dom rodzicielski. Była to ładna, rumiana dziewczynka, ogromnie podobna do matki. Nie odziedziczyła jednak po niej uległości jucznego zwierzęcia. Ojcu zawdzięczała wyraźny pociąg do dobrobytu. Jako dziecko chętnie pracowała przez cały dzień, żeby dostać ciastko. Nie miała jeszcze siedmiu lat, kiedy polubiła ją bardzo żona naczelnika poczty, ich sąsiadka. Po śmierci męża w roku 1839 wyjechała ona z Plassans do Paryża i zabrała Lizę ze sobą. Rodzice odstąpili jej małą.

Druga córka, Gerwazyna, urodzona w rok później, kulała od urodzenia. Poczęta w pijaństwie, prawdopodobnie po jednej z nocnych bijatyk, miała prawe biodro wykrzywione i szczuplejsze — widoczne piętno brutalności, której ofiarą była jej matka. Widząc, że dziecko jest wątłe i blade, Fina zaCzęła poić je anyżówką, twierdząc, że doda mu to siL Biedne stworzonko zmizerniało jeszcze bardziej. Gerwazyna była wysoką, smukłą dziewczynką, na którą każda sukienka była za szeroka. To wychudłe, - kalekie ciało zdobyła prześliczna główka lalki: mała, blada twarzyczka, niezwykle^de- likatna. Kalectwo zdawało się dodawać Gerwazynie wdzięku: przeginała się łagodnie za każdym krokiem, jakby kołysząc się rytmicznie.

Syn Macquartów, Jan, urodził się w trzy lata później. Był to silny chłopak, w niczym nie przypominający chudej

Gerwazyny. Po matce odziedziczył zdrowie, lecz fizycznie nie był do niej podobny. On pierwszy w rodzinie Rougon-Mac-^{quar}(ów miał regularne rysy. Jego ociężały spokój zdradzał naturę poważną i mało inteligentną. Od dzieciństwa wzrastało w nim uporczywe pragnienie stworzenia sobie w przyszłości niezależnej egzystencji. Uczęszczał pilnie do szko-^{ły} i z ogromnym trudem starał się przyswoić sobie zasadni-^{ci} cze wiadomości z dziedziny ortografii i arytmetyki. Następ-^{nie} nie poszedł do terminu, ponawiając swe wysiłki?; upór jego tym bardziej godny był podziwu, że potrzebował całego dnia, aby zrozumieć to, co inni pojmowali w ciągu godziny.⁷ Póki mały pozostawali na utrzymaniu rodziców, Antoni narzekał Traktował ich jako pasożyty uszczuplające Jego dobro. Tak jak jego brat, przysięgał, że nie będzie miał więcej dzieci, tych zachłannych stworzeń, które przyczyniają się do ruiny rodziców. Kiedy siedzieli wszyscy pięcioro przy stole i matka dawała najlepsze kąski Janowi, Lizie i Ger-^{mu} wazynie* mrucał z gniewem:

— Tak, tak, ucz ich obżarstwa! • Każde nowe palto lub buciki dla małych wprawiały .go ; na parę dni w zły humor. Ach? Gdyby mógł to przewidzieć, ^ nigdy nie miałby tej dzieciarni! Z jej winy musiał ograni-^{czyć} Jjj czyć się w paleniu i jadał teraz często* na obiad jedynie potrawkę z ziemniaków — danie, którym pogardzał.

Później, z chwilą gdy Jan i Gerwazyna zaczęli mu przynosić pierwsze zarobione grosze, doszedł do przekonania, że dzieci mają także i dobre strony, Lizy nie było już w domu. Pozostałych dwoje zmuszał bez najmniejszych skrupułów, żeby pracowali na niego, tak jak przedtem zmuszał do tego ich matkę. Pozostawał wierny swym zasadom. Od ósmego roku, życia mała Gerwazyna chodziła tłuc migdały do sąsiedniego sklepikarza; zarabiała dziennie pół franka, które ojciec królewskim gestem chował do kieszeni. Nawet Fina nie śmiała zapytać, gdzie podziewają się te pieniądze. Później dziewczyna zaczęła praktykować w pralni, a kiedy została robotnicą i zarabiała dwa franki dziennie, wędrowały one również do rąk Alacquarta i przepadały. Jankowi, który został pomocnikiem stolarza, odbierał w dniu wypłaty zarobione pieniądze, zanim ten zdążył oddać je matce. Jeżeli czasem nie udało mu się zatrzymać go w porę, dąsał się później. Przez cały tydzień wodził za żoną i dziećmi gniewnym wzrokiem, szukał z nimi zwady, nie przyznając się jednak otwarcie do przyczyny swojego wzburzenia. Przy następnej wypicie czyhał na syna i z chwilą gdy udało' mu się zgarnąć pieniądze dzieci do własnej kieszeni, znikał na całe dnie.

Gerwazyna, często bila, wzrastając na ulicy w towarzystwie chłopaków z sąsiedztwa, zaszła w ciążę w wieku lat czternastu. Ojciec jej dziecka nie miał jeszcze osiemnastu. Był^{to} robotnik garbarski, nazwiskiem Lantier. Na wiadomość o tym, co się stało, Macquart uniósł się gniewem. Później, kiedy dowiedział .się, że matka Lantiera, dobra kobieta, zgodziła się przyjąć dziecko do siebie, uspokoił się. Nie chciał pozbywać się Gerwazyny, która zarabiała już dwadzieścia pięć su, i unikał rozmowy o małżeństwie! W cztery lata później dziewczyna urodziła drugiego chłopca. I tym razem również wzięła go matka Lantiera. Tym razem Macquart zamknął oczy na wszystko. Kiedy Fina napomknęła mu nieśmiało, że dobrze byłoby pomówić z garbarzem i nakłonić go do małżeństwa, żeby położyć kres plotkom, oświadczył stanowczo, że nie puści córki z domu i że odda ją uwodzicielowi dopiero później, „kiedy okaże się jej godny i kiedy będzie miał za co kupić meble”.

Był to najlepszy okres w'-^{życiu} Antoniego Macquarta Kosił surduty i spodnie z cienkiego sukna. Starannie wygolony, tęgi, w niczym nie przypominał wychudłego i obdarte go nędzarza, który włóczył się kiedyś po szynkach. Uczęsz-^{czał} do kawiarni, czytał gazety, przechadzał się po bulwarii Sauvaire. Udawał pana, póki czuł pieniądze w kieszeni. W dni, kiedy ich nie miał, siedział w domu zrozpaczony, że musi tkwić w tej norze i nie może wypić swojej pół czarnej; w takie dni obwinał cały rodzaj ludzki o to, że jest biedny; chorował z zazdrości i gniewu, aż Fina dawała mu w końcu

z litości ostatniego franka, jaki był w domu, żeby mógł spędzić wieczór w Jtawiarni. Ten elegant był potwornym egoistą. Gerwazyna przynosiła teraz dó.: domu około sześćdziesięciu franków- miesięcznie, nosiła jednak skromne, perkalowe sukienki, podczas gdy on .zamawiał sobie czarne atlasowe kamizelki u jednego z najlepszych krawców w Plassans. Jan, rosły chłopiec, który zarabiał trzy do czterech franków dziennie, był wyzyskiwany przez ojca w sposób jeszcze bardziej bezwstydy. Kawiarnia, w której" Antoni przesiadywał całymi dniami, znajdowała się naprzeciw warsztatu sto- Jarskiego i manewrując heblem lub piłą Jan widział doskonale „pana" Macquarta, który po drugiej stronie placu słodził właśnie swoje pół czarnej albo grał w pikietę z jakimś .rentierem. To jego; pieniądze przegrywał ten stary próżniak! On sam nie chodził nigdy-do kawiarni i nie fhiał na filiżankę czarnej kawy z likierem. Antoni traktował go jak smarkacza, nie zostawia! mu ani gtoSza i wypytywał o każdy krok. Jeśli biedny chłopak, dał się namówić przez- kolegów i stracił jeden dzień pracy na wycieczkę wzdłuż, brzegów Viorny lubna wzgórze. Garrigues,'ojciec wybuchał gniewem, podnosił na niego rękę i długo chował do niego .urazę o cztery franki, których brakowało przy dwutygody dniowej wypłacie. W ten sposób trzymał syna w stałej za- Jeźności od siebie, a czasem posuwał się nawet do tego, że umizgał się do tych samych dziewcząt co młody , stolarz. Do Macquartów przychodziły przyjaciółki Gerwazyny, robotnice w wieku ód szesnastu do -siedemnastu lat, śmiałe i we-, sole, od których budzącej się kobiecości było prowokujące, ciepło i które napełniały pokój radosnym śmiechem młodo-; ści. Biedny Jan, pozbawiony wszelkich przyjemności, przesiadujący, stale w domu wskutek braku pieniędzy, patrzył na nie pożądliwie błyszczącymi oczami; lecz narzucony mu tryb życia małego chłopca wytworzył w nim. nieprzewycięzoną nieśmiałość; bawił się z koleżankami siostry ledwie odważając się dotknąć je końcami palców. Macquart wzruszał ramionami z politowaniem.

— A to dopiero niewiniątko! mruczał z wyrazem ironicznej wyższości. •

I całował dziewczęta w szyję, kiedy żona patrzyła w inną stronę. Z pewną młodziutką praczką, której Jan nadszkakiwał goręcej niż innym, pozwolił .sobie nawet na coś więcej. Pewnego wieczoru sprzątnął ją synowi z objęć. Stary łajdak upajał się swoim powოდzeniem.

Bywają mężczyźni, którzy żyją na koszt swoich kochanek. Antoni Macquart żył na koszt swojej żony i dzieci, I o ile ukrywał się z tym wstydliwie przed ludźmi, o tyle wobec, najbliższych był zupełnie pozbawiony wstydu. Bez najmniejszych skrupułów ogołacał dom i szedł hulać na miasto. Udawał przy tym wielkiego pana. Wracając z kawiarni szydził gorzko z nędzy, którą zastał w domu; twierdził, że obiad jest wstrętny, Gerwazyna głupia, a Jan nigdy nie będzie mężczyzną. Pograżony w swych egoistycznych rozkoszach, zacierał ręce, gdy zjadł najlepszy kąsek, i pykał powoli fajkę, podczas gdy jego dzieci upadając ze zmęczenia zasypiały przy stole. Dni upływały mu jeden za drugim, puste i szczęśliwe. Przyjmował to jako rzecz zupełnie naturalną, że utrzymywano go jak dziewczynę, po- • zwalając na to, by wystawiał swoje lenistwo na widok publiczny w knajpach lub obnosił je wieczorami po bulwarze czy ulicy Mail. W końcu zaczął opowiadać o swoich miłosnych eskapadach w obecności syna, który słuchał go z płonącym wzrokiem wygłodniałego. Dzieci, przywykłe do pokornej uległości matki, same również nie ośmielały się sprzeciwić ojcu. Fina, zuch-nie!yiasta, która po pijanemu okładała męża kułakami, nadal drżała przed nim, gdy była trzeźwa, i pozwalała mu sprawować despotyczne, rządy w domu. Nocą wykraadał jej zarobione przez nią na targu pieniądze, a ona ledwo śmiała wspomnieć mu o tym. Czasem, kiedy przejadł sumę przeznaczoną na utrzymanie rodziny przez cały tydzień, oskarżał nieszczęsną kobietę, która zabijała się pracą, ie jest niezaradna, że nie umie wybrnąć z sytuacji. Fina z łagodnością baranka odpowiadała mu

swoim dźwięcznym głosem, który tak kontrastował z jej potężną postacią, że nie ma już przecież dwudziestu lat i że coraz trudniej jest o zarobek. Wieczorem Antoni szedł z powrotem do kawiarni, a ona, żeby się pocieszyć, kupowała litr anyżówki i wypijała go razem z córką. Była to jedyna ich namiętność. Jan kładł się spać, zaś obie kobiety siedziały przy stole, nasłuchując, by za najlżejszym szmerem schować natychmiast butelkę i kieliszki. Jeśli Macquart się spóźniał, upijały się nieraz zupełnie, same nie zdając sobie z tego sprawy, sącząc powoli kieliszek za kieliszkiem. Oglupiały, patrzyły na siebie z nieprzytomnym uśmiechem, belkocząc coś bez związku. Różowe plamy wykwitwały na policzkach Gerwazyny: jej mała delikatna twarzyczka lalki przybierała wyraz tępej błogości i trudno było o widok bardziej żaloszny * od lego wątego [bladego, dziecka rozpalonego pijaństwem, z przyklejonym do wilgotnych Warg idiotycznym pijackim uśmiechem, Fina, tkwiąca ciężko na krześle, popadała" w odretwienie. Czasami zapominały o środkach ostrożności, lub też nie miały już sił, by ukryć kieliszki i butelkę, kiedy 'na schodach rozlegały się kroki Antoniego. Wtedy rozpoczynała się bijatyka. Jan musiał wstawać, by rozłączyć rodziców i położyć siostrę, która bez jego pomocy spałaby na podłodze.

,W każdej partii znajdą się ludzie jej niegodni. Antoni . Macquart, dręczony zazdrością i nienawiścią, marzył o zem- / ście i z radością powita! Republikę, w nadziei, że otwiera przed nim złotą erę, kiedy będzie mógł czerpać pełnymi garściami ze skrzyni sąsiada, a nawet odebrać mu życie, jeśliby , okazał najmniejsze niezadowolenie. Włóczęga po kawiarniach i czytanie gazet, których nie rozumiał, zrobiły z niego mędrkującego gadułę, wygłaszającego najdziwaczniejsze pod słońcem teorie. Tylko ten, kto sam w jakimś szynku na prowincji — słyszał jednego z tych zięjących zawiścią polityków, mieszających do swych wywodów resztki źle przetrawionej lektury, może sobie wyobrazić, do jakiego stopnia złośliwej głupoty doszedł Macquart. Ponieważ był wygadany, służył niegdyś w wojsku i uchodził dzięki temu za człowieka energicznego, zyskał Sobie duży posłuch wśród naiwnych. Nie będąc przywódcą żadnej grupy, umiał zebrać wokół siebie garść robotników, którzy jego wybuchy zazdrości brali za święte i uczciwe oburzenie.

Po wypadkach lutowych powiedział sobie, że Plassans należy do niego, i przechodząc ulicami rzucał przerażonym sklepikarzom, stojącym na progach sklepików, drwiące spojrzenia, które mówiły wyraźnie: „No, moje baranki, wreszcie wybiła godzina! Już my się z wami pobawimy!" Nabral niesłychanego tupetu, grał rolę zwycięskiego despoty j posunął się aż do tego, że przestał płacić za konsumpcję w kawiarni, której właściciel, głupiec drżący z trwogi pod jego groźnym wzrokiem, nie ośmielał się przedstawiać mu rachunku. Antoni wypił w tym okresie niezliczoną ilość „pół czarnych"; czasem zapraszał również swoich przyjaciół i peroro* wal wobec nich całymi godzinami, że lud umiera z głodu i że bogacze ppwinni się z nim podzielić. On sam nie dałby ani grosza biedakowi' § «:

Za jego zajadłymi przekonaniem republikańskimi kryła się przedewszystkiem nadzieja, że będzie mógł zemścić się na Rougońach, którzy otwarcie wypowiedzieli się po stronie reakcji. Ach, cóż to byłby za triumf, gdyby pewnego dnia Piotr j Felicja zdani zostali na jego łaskę! Powodziło im się có prawda nienadzwyczajnie, ale weszli do sfer mieszczańskich, podczas gdy on, Macquart, pozostał robotnikiem. Myśl o tym nie dawała mu spokoju. Jeszcze bardziej upokarzał go fakt, że jeden z synów Rougona był adwokatem, drugi lekarzem, trzeci urzędnikiem, a jego Jan pracował u stolarza, zaś Gerwazyna w pralni. Porównując Rougonów z Macquartami wstydził się ogromnie, że jego żona sprzedaje kasztany w hali, a wieczorami reperuje stare i brudne krzesła z całej dzielnicy. A przecież Piotr był jego bratem f obaj mieli jednakowe prawo prowadzić spokojne życie rentierów. Tymczasem on cierpiał biedę, a Piotr udawał pana dzięki pieniądzom, które ukraść mu podstępnie. Z chwilą

gdy dotykał tego -tematu, ogarniała go wściekłość; zaczynał obgadywać Rougona, wysuwać przeciw niemu dawne zarzmy * ty; powtarzając co pewien czas z uporem;

— Gdyby mój brat znajdował się tam, gdzie być powinien, to ja korzystałbym dzisiaj z renty.

Na pytanie, gdzie powinien znajdować się jego brat, odpowiadał groźnie: „W więzieniu!”

Nienawiść jego "wzrosła jeszcze z chwilą, gdy Rougonowie zgromadzili wokół siebie grupę konserwatystów i zaczęli wywierać pewien wpływ w Plassans. W jego niedorzecznych kawiarniarnych przemowach słynny żółty salon stał się jaskinią zbójców, miejscem spotkań zbrodniarzy, którzy poprzysięgali co wieczór krwawą zemstę ludowi.. Chcąc podburzyć przeciw Piotrowi biedotę, Macquart rozpuścił pogłoskę, że były handlarz oliwą wcale nie jest taki biedny, jak opowiada, i że tylko przez skąpstwo i lęk przed złodziejami ukrywa on swoje skarby. W wiele z tych bredni, jakie opowiadał swym słuchaczom, sam w końcu uwiaryli. Z trudem przychodziło irrfii nadać osobistej urazie ; , i pragnieniu zemsty pozory najczystszeo patriotyzmu, lecz okazywał taką ruchliwość, mówił tak głośno, że nikt nie śmiał wątpić o jego przekonaniach.

Całą rodzinę Rougonów cechowały jednakowo nienasycone apetyty. Felicja, która doskonale zdawała sobie sprawę, że republikanizm iMacquarta płynął jedynie z utajonego gniewu, rozgoryczenia i zawiści, miała ochotę zamknąć mu usta kupując go. Na nieszczęście brakowało jej na to pieniędzy, a bała się zdradzić mu plany męża i zaproponować udział w przyszłych zyskach. Przez sam fakt, że był ich krewnym, Antoni kompromitował ich straszliwie w oczach rentierów z nowej dzielnicy. Granoux i Roudier wytykali im stale z pogardą tego członka rodziny. Toteż Felicja z lękiem zapytywała samą siebie, w jaki sposób zdołają oczyścić się z tej plamy.

Wydawało jej się rzeczą niedopuszczalną i wręcz nieprzyzwoitą, aby przyszły pan Rougon miał mieć brata pijaka, którego utrzymuje żona sprzedająca kasztany. Zaczęła drzeć o pomyślność ich tajemnych planów, gdyż Antoni uwziął się, aby im szkodzić; kiedy donoszono jej o tyradach, jakie wygłaszał przeciw żółtemu salonowi, przejmował ją dreszcz na myśl, że prowokując skandale Macquart—może obrócić wniwecz wszystkie ich zamierzenia.

Antoni orientował się, ile kłopotu sprawia Rougonom swoim zachowaniem, i udawał coraz zajadlejszego republikanina *jedynie po to, aby zrobić im na złość. W kawiarni mówił o Piotrze „mój brat” tak głośno, że wszyscy się oglądali, a ilekroć spotkał na ulicy jakiegoś reakcjonistę z żółtego salonu, mruczał pod nosem obelgi, które oburzony podobną bezczelnością mieszczanin powtarzał wieczorem Rougonom; jakby czyniąc ich odpowiedzialnymi za to niemiłe spotkanie.

Pewnego dnia Granoux przyszedł wściekły.

—To jest nie do zniesienia! — krzyczał już od progu. — Człowiek na każdym kroku narażony jest na zniewagi!

I zwracając się do Piotra dodał:

—Panie, jeśli się ma takiego brata, jak pan, to trzeba postarać się uwolnić od niego społeczeństwo. Szedłem sobie spokojnie przez plac koło podprefektury, kiedy ten nędznik przechodząc obok mnie rzucił kilka słów, wśród których podchwyciłem wyraźnie: „stary szelma”.

Felicja pobladła i czuła się w obowiązku przeprosić Granoux, który jednak nie chciał o niczym słyszeć i oznajmił, że zaraz wraca do domu. Dopiero markiz pośpieszył załagodzić sprawę.

Nie wydaje mi się możliwe — rzekł — aby ów nieszczęśnik mógł nazwać pana w ten sposób; czy jest pan pewien, że ta obelga skierowana była pod pańskim adresem?

Granoux zawahał się, a po chwili przyszedł do przekonania, że Antoni powiedział zapewne: „Znów idziesz do tego starego szelmy”.

Pan de Carnavant pogładził ręką brodę, aby ukryć usirniech.

Rougon rzekł wówczas z niezwykłym opanowaniem: • Nie wątpił ani przez chwilę, że to ja miałem być tym starym szelmą. Rad jestem, że nieporozumienie zostało wyjaśnione, i proszę bardzo, aby zechcieli panowie unikać na przyszłość tamtego człowieka, z którym ja nie chciałem i nie chcę mieć nic wspólnego; -

Felicja nie potrafiła jednak podchodzić do tych spraw z równym spokojem; odchorowywała każdy wybryk Mac-- «quarta, nie mogła spać po nocach, zastanawiając się, co też myślą o nich goście.

Na kilka miesięcy przed zamachem stanu Rougonowie otrzymali list anonimowy, trzy strony ohydnych - wzywisk i pogroźek. Autor listu zapowiadał im, że jeśli kiedykolwiek partia ich miałaby zwyciężyć, to wówczas opublikowana zostanie w gazetach skandaliczna historia romansu Adelajdy i kradzieży, jakiej dopuścił się Piotr każąc podpisać matce, zidiociałej na skutek rozpusty, kwit stwierdzający odbiór pięćdziesięciu tysięcy, franków. List ten ugodził ich jak obu-1 chem. Nawet sam Rougon był nim przejęty. Felicja nie mó-j głą powstrzymać się, aby nie wytykać mu jego kompromitującej rodziny. Ani przez chwilę nie wątpiła, że list ten był dziełem Antoniego.

— Trzeba będzie — rzekł Piotr ponuro — pozbyć się za wszelką cenę tej kanalii. Za bardzo wchodzi nam w drogę.

Macquart ponawiając dawną taktykę szukał tymczasem sprzymierzeńców do walki z Rougonem wśród członków rodziny. Czytając zasadnicze artykuły Arystydesa w Niezależnym, z początku liczył na niego. Lecz młodzieniec, mimo że zaślepiony nienawiścią, nie był na tyle głupi, aby wchodzić w porozumienie z takim człowiekiem jak jego stryj. Jawnie okazywał mu lekceważenie i trzymał się od niego z daleka. Antoni przez zemstę wyrabiał mu wśród znajomych z szynku opinię podejrzanego, a nawet prowokatora. Zawiedziony w swych planach mógł Uczyć jeszcze tylko na dzieci Urszuli.

Urszula umarła w roku 1839 spełniając w ten sposób ponurą przepowiednię brata. Neuroza matki przeszła u niej w gruźlicę, która zjadła ją powoli. Pozostawiła troje dzieci: osiemnastoletnią córkę Helenę, która poślubiła jakiegoś urzędnika, i dwóch chłopców. Starszy syn, Frafciszek, był młodzieńcem dwudziestotrzyletnim, zaś najmłodszy, Sylweryusz, liczył zaledwie sześć lat. Śmierć uwielbianej żony była dla Moureta gromem z jasnego nieba. Popadł w otepienie, przestał pracować, żyjąc z zaoszczędzonych pieniędzy. W rok później powiesił się w komórce, w której schowane były suknie Urszuli. Jego starszy syn, któremu zdążył dać dobre wykształcenie handlowe, wstąpił jako pomocnik do przedsiębiorstwa swego wuja, na miejsce Arystydesa, który właśnie w tym czasie je opuścił.

Rougon, mimo głębokiej nienawiści do Maccjuartów, bardzo chętnie przyjął siostrzeńca wiedząc, że jest on pracowity i nie pije. Potrzebny mir był jakiś oddany pracownik, który pomógłby mu podnieść stan interesów. Zresztą w czasach gdy Mouretom dobrze się wj.odło, nabrał dla nich szacunku i pogodził się z siostrą. Przyjmując^Franciszka chciał może również wyrównać dawne rachunki: wynagrodzić syna za krzywdę wyrządzoną matce i uspokoić w ten sposób własne sumienie. Było to wyrachowanie o pozorach uczciwości. Rougon zrobił dobry interes. Znalazł w siostrzencu pomocnika, jakiego szukał. Jeżeli" Rougonowie nie dorobili się w tym czasie majątku, to nie można winić o to owego spokojnego i pracowitego chłopca, który zdawał się stworzony do tego, aby spędzić życie za ladą sklepową, między beczką oliwy a paczkami suszonych sztokfiszów. Fizycznie bardzo podobny do matki, po ojcu odziedziczył ciasnotę horyzontów, zamiłowanie do dokładności, stateczność i lęk przed ryzykownymi transakcjami. W trzy miesiące po jego przybyciu Piotr, kontynuując system wyrównywania rachunków, dał mu za żonę swoją młodszą córkę, Martę, nie wiedział

. bowiem, jak się jej pozbyć. Młodzi ludzie pokochali się od pierwszego wejrzenia. U źródeł ich miłości: leżała pewna dziwna okoliczność: Franciszek i Marta byli i podobni do siebie jak brat i siostra. Poprzez matkę Franciszek odziedziczył rysy Adelajdy. Marta była również żywym portretem babki, co stanowiło przypadek tym ciekawszy, że Piotr Rougon zewnątrznie w niczym matki nie przypominał. Podobieństwo fizyczne przeskoczyło jakby jego osobę, aby wystąpić ze zdwojoną siłą u jego córki. Rodzinne podobieństwo młodych ograniczało się zresztą do rysów twarzy. Jeżeli chodzi o usposobienie, zrównoważony i trochę ociężały Franciszek był nieodrodnym synem kapejusznika Moureta, gdy tymczasem Marta zdradzała objawy rozprężenia; wewnętrznego, jakie cechowało jej babkę. Może właśnie podobieństwo fizyczne i różnice psychiczne popchnęły ku sobie Franciszka i Martę. Od 1840 do 1844 roku mieli troje dzieci. Franciszek pozostał u wuja, aż dopóki przedsięwzięcie nie zostało zlikwidowane. Piotr chciał mu je odstąpić, i lecz młody człowiek wiedział, co ma myśleć o handlu w Plassans, i odmówił. Wyjechał do Marsylii, gdzie osiadł na stałe.'

Alacquart prędko musiał zrezygnować z wciągnięcia do walki przeciw Rougonom tego pracownego chłopca, którego nazywał skąpym i chytrym, czując do niego instynktowną niechęć leniucha. Sądził jednak, że udało mu się znaleźć sprzymierzeńca, jakiego szukał, w drugim synu Moureta, Sylweryuszu, chłopcu podówczas piętnastoletnim. Kiedy Alouret powiesił się w komorze z sukniami żony, mały Sylweryusz nie chodził jeszcze nawet do szkoły. Starszy brat nie wiedząc, co począć z biedactwem, zabrał go ze sobą do wuja. Na widok dziecka Rougon skrzywił się — to, że chciał spłacić dług wobec Franciszka, nie znaczyło, aby zamierzał żywić jeszcze i jego brata! Felicja również nie czuła sympatii do chłopca i Sylweryusz wzrastał we łzach, jak biedny podrzutek, aż wreszcie babka w czasie jednej ze swych rzadkich wizyt u Rougonów zlitowała się nad nim i wzięła go do siebie. Piotr przyjął to z zachwytem, ale ani słowem nie wspomniał o podwyższeniu matce pensji, która od tej chwili miała wystarczyć na dwoje.

Adelajda przekroczyła wówczas sześćdziesiątkę. Pustelniczy tryb życia, w jakim się zestarzała, sprawił, że w niczym nie przypominała już szczupłej i gorącej dziewczyny, która wymykała się niegdyś do kłusownika Macquarta, aby rzucić mu się na szyję. Zasyta w głębi swego domku w zaułku Świętego Mitry, w milczącej i ponurej ruderze, gdzie żyła w zupełnej samotności, nie wychodząc prawie i żywiąc się jedynie kartoflami i suszonymi jarzynami, wyschła i zeszywniała. Można ją było teraz wziąć za jedną z tych zubożniających dla świata starych zakonnicek, o białych twarzach i automatycznych ruchach. Jej blada twarz, otoczona czystym białym czepek, przypominała twarz umierającej; beznamietną niaskę, zastygłą w bezruchu. Przyzwyczajona do milczenia przestała się prawie odzywać, a mrok panujący w mieszkaniu i widok stale tych samych przedmiotów przyćmiły jej wzrok i nadały oczom przejrzystość wody źródlanej. Absolutne wyrzeczenie, powolna śmierć fizyczna i moralna przemieniły z czasem tę zajadłą miłośnicę w poważną matronę. Na dnie jej nieruchomego spojrzenia, w głębi przezroczystych oczu można było dostrzec wielką pustkę wewnętrzną. Osłabienie fizyczne i starcze drżenie rąk — oto wszystko, co pozostało z jej dawnych uniesień miłosnych. Kochała niegdyś ze zwierzęcą brutalnością, a dziś jej biedne, wyniszczone ciało wydzielalo jedynie mdłą woń zeschniętych liści. Spaliła się w ogniu niezaspokojonych żądz, zużyła nerwowo w ciągu długich lat narzuconej biegiem wypadków wstrzeźliwości. Po śmierci Macquarta, człowieka, który konieczny był jej do życia, pragnienie miłości gorzało w niej nadal, jak w dziewczynie zamkniętej w murach klasztoru, lecz ani przez chwilę nie pomyślała o tym, żeby je zaspokoić. Nieustanne podniecenie i myślowe bardziej wyniszczyło jej organizm, niż byłaby to uczyniła rozpusta.

Tę wybladłą, obumarłą staruszkę, która zdawała się nie mieć w sobie kropli krwi, męczyły jeszcze czasem ataki ner- : wowe, galwanizując ją i przywracając na przeciąg godziny życia, w całej jego okrutnej intensywności. Leżała na łóżku sztywna, z otwartymi oczami; "później chwytała ją czkawka i zaczynała się rzucać; objawiała wtedy niezwykłą Siłę, jak furiatki, które trzeba krępować, aby nie rozbiły sobie głowy o ścianę. Te nawroty dawnych uniesień wstrząsały boleśnie jej biednym ciałem. Wydawało się, jakby w tej wystygłej sześćdziesięcioletniej kobiecie ożywała nagle ze wstydem cała jej namiętna młodość. Kiedy podnosiła się po ataku; oszołomiona, z nieprzytomnym wyrazem twarzy, chwiejąc się na nogach, kumoszki z przedmieścia mówiły na jej Widok: „Upiła się ta stara wariatka!"

Dziecinny uśmiech Sylweryusza ogrzał/nieco jej zziębniętą starość. Wzięła go do siebie zmęczona samotnością

1 przerażona myślą, że mogłaby pewnego dnia umrzeć - w czasie ataku, opuszczona przez wszystkich. Obecność mai ca dodawała jej odwagi. Przywiązała się do niego gorąco>>: ale nie wpłynęło to w niczym na zmianę jej sposobu bycia.

- Tak samo jak dawniej sztywna i milcząca wodziła za nim wzrokiem, gdy się bawił, i słuchała z zachwytem krzyków, jakimi napelniał starą rudere. Za tętniła ona życiem od chwili, kiedy Sylweryusz zaczął jeździć po mieszkaniu na kiju od mioty, obijając się o drzwi, płacząc i hałasując. Dzięki niemu Adelajda na nowo zainteresowała się życiem; opiekowała się chłopcem w sposób rozcudzająco nieporadny. W młodości kochanka przesłoniła w niej matkę; teraz zaznawała wszystkich rozkoszy macierzyństwa myjąc go, ubierając, czuwając bezustannie nad jego kruchym ciałkiem. Ocknęła się w niej czułość, ostatnie spokojne uczucie, jakie niebo zesłało tej kobiecie wyniszczonej potrzebą miłości. Była to wzruszająca agonía serca, które targane namiętnością- za życia, zamierało w łagodnym przywiązaniu do małego dziecka.

Zbyt była bliska śmierci, aby okazywać chłopcu gadatliwą wylewność zażywej babci; kochała go nie okazując tego na zewnątrz, nie umiając znaleźć pieszczoty i nieśmiało jak młoda dziewczyna. Czasem brała go na kolana i wpatrywała się w niego swymi wyblakłymi oczami. Kiedy przerażony tą milcząca i bladą twarzą malec zaczynał szlochać, zestawiała go prędko na ziemię, jakby wstydzając się tego, co zrobiła, i nie śmiała go nawet pocałować. Może dostrzegła w nim jakieś dalekie podobieństwo do kłusownika Macquarta.

Sylweryusz wzrastał w nieustającym sam na sam z Adelajdą. Z dziecięcą przymilnością nazywał ją cicią Dida i imię to przyłgnęło do starej kobiety; w Prowansji słowo cicia ma znaczenie pieszczotliwe. Dziecko czuło dla babki i dziwną tkliwość, pomieszaną z pełną szacunku bojaźnią. Kiedy był jeszcze mały, a ona dostawała nagłe ataku, uciekał z płaczem, przerażony jej wykrzywioną twarzą; po ataku wracał lekliwie, gotów uciec w każdej chwili, jakby bał się, że staruszka go zbije. Później, kiedy miał dwanaście lat, zostawał odważnie przy niej, pilnując, aby nie zrobiła sobie krzywdy. Całymi godzinami trzymał ją w objęciach, aby uśmierzyć gwałtowne drgawki, które wstrząsały jej ciałem. W przerwach między jednym a drugim nawrotem konwulsji patrzył z litością na jej wykrzywioną twarz i wychudłe ciało, okryte spódnicami jak całunem. Ta powtarzająca się co miesiąc dramatyczna scena — zeszytywniała staruszka i pochylone nad nią dziecko, w milczeniu wyczekujące jej powrotu do życia — nabierała w mroku zrujnowanego domku wyrazu ponurej grozy i żalostnej dobroci. Przyszedszy do siebie ciotka Dida podnosiła się z trudem, poprawiała suknie i zaczynała dreptać po domu; nie przypominała sobie niczego i o nic nie pytała Sylweryusza, a on sam instynktownie unikał tego tematu, nie robił nigdy najmniejszych aluzji do scen, których był świadkiem i które silnie związały go z babką. Podobnie jak ona nie uzewnętrzniał jednak swych uczuć

L wstydlawie ukrywał swe przywiązanie. Zresztą, mimo wdzięczności, jaką czuł dla niej za to, że przygarnęła go i wychowała, nie przestawał uważać jej za jakąś dziwną istotę, dotkniętą szczególnym cierpieniem, której należał się szacunek i współczucie. Adelajda za mało przypominała żywego człowieka, była zbyt blada i zbyt sztywna, aby Sylweryusz mógł odważyć się rzucić jej na szyję. Żyli więc obok siebie, w smutnym milczeniu, pełnym utajonej czułości.

Surowa i melancholijna atmosfera, jaką Sylweryusz oddychał od dzieciństwa, wyrobiła w nim siłę ducha. Od dzieciństwa okazywał powagę, rozsądek, i zamiłowanie gi do nauki. W szkole zakonnej, którą opuścił mając lat piętnaście, aby wstąpić do terminu, pobieżnie tylko zapoznał się z ortografią i . arytmetyką, toteż wykształceniu jego zawsze brakowało podstaw. Czytał jednak łączywie wszystko, co wpadło mu w rękę, i zebrał w ten sposób okazały zasób wiadomości nie skoordynowanych ze sobą, niepełnych, nie zawsze całkowicie dla niego zrozumiałych, które tworzyły w jego głowie dziwaczną mieszaninę. Jako dziecko chodził bawić się do pewnego stolarza, dzielnego czło- - wieka nazwiskiem Vian., którego warsztat mieścił się w wylotu zaułka, naprzeciwko placu Świętego Mittry, gdzie stolarz składał swoje drzewo. Sylweryusz wspinał się na koła wozów oddanych do naprawy, ciągnął za sobą ciężkie narzędzia, których nie miał siły podnieść, i z zapalem pomagał zatrudnionym przez majstra rzemieślnikom* przytrzymując ■ kawałki drzewa lub podając żelazne okucia. Kiedy podrośl, wstąpił do Viana jako terminator. Majster polubił chłopca i sam zaproponował Adelajdzie, że go przyjmie, nie chcąc słyszeć nawet o wynagrodzeniu. Sylweryusz z radością przyjął tę propozycję, pragnąc jak najprędzej zwrócić biednej kobiecie to, co na niego wydała. Wkrótce stał się doskonałym rzemieślnikiem. Jego ambicje sięgały jednak jeszcze dalej. Zobaczywszy u fabrykanta powozów w Plassans błyszczącą lakierem nową karete,

;- powiedział sobie, że: i on będzie wyrabiał w przyszłości ta kie_ę pojazdy. Kareta utkwiała mu w pamięci jak niespotykane i jedyne w swoim rodzaju dzieło sztuki, jak ideał, ku któremu zdążyły jego rzemieślnicze aspiracje.* Bryczki, przy których pracował dotąd z takim zapalem u Viana, wydały ' mu się nagle niegodne jego czułych starań. Zaczął uczęszczać do . szkoły rysunków; jeden z jego kolegów, -dawny . , uczeń gimnazjum, pożyczył mu swój podręcznik geometrii. Sylweryusz pograżył się w nauce, sam torując sobie drogę, .męcząc się długie tygodnie nad zupełnie prostymi zagadnieniami. Stał się jednym z tych uczonych robotników, którzy ledwo umieją się podpisać, lecz rozprawiają o algebrze i jak o znajomej osobie. Nic bardziej nie wypacza umysłu ./od wykształcenia zdobywanego. dorywczo, pozbawionego sojidnych podstaw. Strzępy kradzionej wiedzy wzmogły jednak tylko szlachetny, zapal Sylweryusza. Uświadomił so- gfcghjfe jak rozległe horyzonty są przed nim. zamknięte. Z rze- , .czy, które były mu niedostępne, uczynił swoją świętość i żył w głębokim i nie.winnym uwielbieniu dla wielkich , myśli i wielkich słów, ku którym piał się nie zawsze mo- , .gąc je zrozumieć. Wzniosły w swej naiwności,, klękał w progu świątyni na . widok świec,. które brał z oddali za gwiazdy. i

i. Drzwi wejściowe rudery w zaułku Świętego Miłtry prowadziły wprost do, obszernej izby o podłodze z kamiennych płyt, która służyła jednocześnie jako kuchnia i jako jadalnia. Całe jej umejbowanie stanowiły wypłatanе krzesła, stół oparty na krzyżakach i stary kufer, który Adelajda zamieniła na kanapę, okrywając go kawałkiem wełnianej tkaniny. W kącie, po lewej stronie wielkiego kominka, stała gipsowa figura Matki Boskiej, otoczona sztucznymi kwiatami—tradycyjna Madonna prowansalskich staruszek, " chociaż na ogół nie są one zbyt pobożne. Z izby prowadził korytarz na małe podwórkp, na którym znajdowała się studnia. Po lewej stronie korytarza mieścił się pokoik ciotki Didy. Stało w nitn żelazne łóżko i krzesło. Pokój Sylweryu-

Jeszcze znajdował się po stronie prawej i było w nim jeszcze mniej miejsca. Chłopiec sypiał na łóżku połowym, a nad głowę miał półki z książkami, które kupował u handlarza starzyzną. W nocy, gdy czytał, zawieszał lampkę na gwoździu nad łóżkiem. Jeżeli babka dostawała ataku, przebiegał tylko przez korytarz i natychmiast był przy niej.

Jako młody człowiek Sylweryusz w niczym nie zmienił swego trybu życia. W dalszym ciągu upływało mu ono w zaułku Świętego Mitry. Odziedziczył po ojcu wstręt do pijaństwa i niedzielnych spacerów bez celu. Brutalne rozbiory i rywki kolegów raziły go. Wolał czytać lub rozwiązywać zadania geometryczne. Od kiedy ciotka Dida mogła powierzyć mu załatwianie sprawunków, przestała wychodzić z domu i jej kontakt z rodziną urwał się zupełnie. Młody człowiek rozmyślał czasem nad jej opuszczeniem; patrzył na biedną staruszkę, o której dzieci starały się zapomnieć, jakby już nie żyła; kochał ją wówczas jeszcze mocniej — za siebie i za innych. Jeśli czasem przeświadczał sobie niejasno, że ciotka Dida pokutuje za dawne błędy, myślał: „Urodziłem się po to, żeby jej przebaczyć”.

Jego skłonna do entuzjazmu natura stanowiła podatny grunt dla idei republikańskich. Nocą, w swej komórcie, Sylweryusz rozczytywał się w Janie Jakubie Rousseau, którego tomik odkrył u handlarza starzyzną wśród starego żelastwa. Lektura ta nie dała mu zasnąć aż do rana. W uszach biedaka, marzącego o szczęściu ludzkości, słowa wolność, równość i braterstwo rozbrzmiewały jak dzwony, na dźwięk których wierni padają na kolana. Kiedy dowiedział się, że Francja została ogłoszona republiką, sądził, że wszyscy będą teraz żyć w niebiańskiej błogości. Bardziej wykształcony od innych robotników sięgał wzrokiem dalej niż oni, jego aspiracje nie ograniczały się do zdobycia chleba powszedniego; głęboka naiwność i zupełna nieznajomość ludzi nie pozwalały mu jednak wyjść poza-foszważania teoretyczne, nasuwały mu przed oczy wizję rajów, w którym panuje wieczna sprawiedliwość. Pograżał się w nim z rozkoszą.

Kiedy dostrzegł, że nie wszystko dzieje się najlepiej w najlepszej z republik, odczuł ogromny ból; zaczął marzyć o tym, aby zmusić ludzi do szczęścia, choćby siłą. Każde posunięcie, które godziło w interesy ludu, wzniewało w nim mściwe oburzenie. Łagodny jak dziecko, w polityce zdolny był do zajadłej nienawiści. On, który nie zabiłby muchy, mówił nieustannie o tym, żeby chwycić za broń. Wolność stała się jego namiętnością, rozpaliała w nim krew. Zaślepiiony entuzjazmem, jednocześnie za bardzo i za mało wykształcony, aby być tolerancyjnym, nie liczył się z naturą ludzką; pragnął zrealizowania ideału całkowitej sprawiedliwości i całkowitej wolności. W tym okresie jego wuj Macquart wpadł na myśl, aby posłużyć się nim w walce z Rougonami. Liczył na to, że jeżeli uda mu się umiejętnie pokierować tym szalonym chłopcem, to zdolny on będzie do czynów jak najbardziej zuchwałych. Rozumowanie jego nie pozabawione było pewnej subtelności.

Antoni usiłował pozyskać sobie Sylweryusza afiszując przesadny podziw dla idei, które ten wyznawał. Popęłnił jednak poważny błąd witając triumf Republiki jako zapowiedź złotej ery próżniactwa i pełnej misy, czym dał wyraz swej interesowności; uraziło to jego siostrzeńca, któremu obce było pragnienie korzyści osobistych. Antoni zrozumiał, że obrał złą drogę, i zalał go potokiem patetycznych tyrad, słów pustych, lecz dźwięcznych, które Sylweryusz uznał za wystarczający dowód cnót obywatelskich. Wkrótce siostrzeniec i wuj zaczęli widywać się po kilka razy w tygodniu. W czasie długich dyskusji na temat przyszłych losów kraju Antoni usiłował przekonać chłopca, że salon Rougonów jest główną przeszkodą dla zapewnienia szczęścia Francji. Znowu jednak obrał złą drogę nazywając wobec Sylweryusza swą matkę „starą szelmą” i opowiadając mu gorszące sceny z życia biednej staruszki. Młody człowiek — czerwony ze wstydu, słuchał go w milczeniu. Nie był ciekawy tych spraw i czuł się dotknięty zwierzeniami, które raziły jego pełne szacunku uczucia dla ciotki Didy. Od owego

dnia otoczy! babkę jeszcze czulszą opieką, uśmiecha! się do niej-z dobrocią i wyrozumiałością. A Macquart spostrzegł zresztą, że znów zrobił głupstwo, i widząc przywiązanie Sylwiusza do babki zaczął oskarżać Rougonów o to, że winni są osamotnieniu i biedzie Adelajdy. Z jego słów wynikało, że on sam był zawsze najlepszym synem, gdy tymczasem brat jego obszedł się matką w sposób haniebny: "okradł ją, a kiedy została bez grosza, wstydił się jej. Przy każdej okazji powracał do tego tematu. Sylwiusz oburzał się na wuja Piotra, ku wielkiemu zadowoleniu wuja. Antoniego.

Za każdym razem, -gdy młody człowiek odwiedzał Macquartów, powtarzała się ta sama scena. Sylwiusz przychodził wieczorem i zastawał przeważnie całą rodzinę przy kolacji. Antoni, mrużąc z niezadowolenia, jadł kartofle. Starannie wybierał kawałki słoniny, a kiedy półmisek przechodził do rąk Jana i Gerwazy, nie spuszczał z niego oczu.

— Widzisz, Sylwiuszu — mówił z głuchą wściekłością, źle ukrywaną pod maską ironii — znów kartofle, wiecz-i nie te kartofle! Jedyna nasza potrawa! Mięso jest dla bogatych. A jak tu związać koniec z końcem, kiedy się ma dzieci z takim piekielnym apetytem?

Gerwazy i Jan wbijali oczy w talerz i nie mieli odwagi" ukroić sobie kawałek chleba. Sylwiusz, pogrążony w marzeniach, nie dostrzegał niczego. Spokojnym głosem mówił słowa, które rozpętywały burzę:

— Wydaje mi się, że powinien się wuj wziąć do pracy.

— Ach tak! — wybuchał szyderczo Macquart dotknięty do żywego — uważasz, że powinienem wziąć się do pracy, stać się jeszcze jedną ofiarą bogaczy, marnować zdrowie po to, żeby zarobić dwadzieścia su na dzień! Ładny mi zysk!

— Każdy zarabia, ile może — odpowiadał chłopiec. — Dwadzieścia su też przyda się w domu. Zresztą wuj służył przecież w wojsku, więc mógłby postarać się o jakąś posadę rządową.

Fina nierozważnie wtrącała się do rozmowy, czego zaraz potem żałowała.

— Co dzień mu to powtarzam — mówiła. — Kierownik hal szuka teraz pomocnika, wspominałam mu o moim mężu i wydaje mi się, że możemy liczyć na jego przychylność...

Macquart przerywał jej, gromiąc ją spojrzeniem:

— Bądź cicho — burczał gniewnie. — Co ty tam wiecz! Kobiety nie orientują się w tych sprawach! Nie przyjęliby mnie, bo za dobrze znają moje przekonania.

Za każdym razem, gdy ofiarowywano mu pracę, wpadał w rozdrażnienie. Mimo to w dalszym ciągu szukał zajęcia, gotów natychmiast odrzucić każdą propozycję, podając najdziwaczniejsze powody. Najmniejsze nalegania wprawiały go we wściekłość.

Jeżeli Jan po kolacji brał do ręki gazetę, Antoni mówił natychmiast:

— Lepiej położyć się spać. Jutro znów wstaniesz późno i stracisz dzień... Pomyśleć tylko, że ten łobuz przyniósł

-w zeszyt tygodniu o osiem franków mniej niż zwykle! Ale rozmawiałem już z majstrem, żeby mu nie oddawał wypłaty. Sam będę ją odbierał.

Jan szedł spać, żeby nie słuchać dłużej wyrzekań ojca. Dla Sylwiusza czuł mało sympatii; polityka nudziła go } uważał, że kuzyn jest „stuknięty" na jej punkcie. Zostawały obie kobiety. Jeżeli uprzątnąwszy ze stołu zaczynały rozmawiać przyciszonym głosem, Macquart krzychał:

— A, próżniaki! Czy nie macie nic do reperowania? Przez wasze lenistwo chodzimy w łachmanach...

Słuchaj no, Gerwazy no, wstąpiłem dzisiaj do twojej szefowej i dowiedziałem się o tobie ładnych rzeczy. Ślicznie się prowadzisz!

Dwudziestoletnia Gerwazy rumieniła się ze wstydu, że ojciec, gromi ją tak w obecności Sylwiusza. Ten czuł się wobec niej nieswojo. Pewnego wieczoru, kiedy przyszedł dość późno, pod nieobecność wuja, zastał matkę i córkę zupełnie pijane. Od tej chwili ilekroć patrzył na kuzynkę.

przypominał ją sobie śmiejącą się łepo, z krwawymi wypiekami na bladej twarzyczce. Czuł się również onieśmiela* ny plotkami, które o niej krążyły. Wzrósłszy w zupełnej wstrzeźliwości, przyglądał się jej czasem ukradkiem z bojaźliwym zdumieniem ucznia, który znalazł się nagle w obecności ladacznicy.

"Obie kobiety zabierały się do reperowania starych I«k szul Macquarta, psując sobie wzrok, a on rozpiął się wygodnie na krześle i pykał fajkę z miną człowieka rozkoszującego się swoim lenistwem. Lubił oskarżać wtedy bogaczy, że żywią się krwią ludu. Unosił się świętym oburzeniem przeciwko mieszkańcom nowej dzielnicy, którzy nic nie robią i każąca siebie pracować biedakom. Wyłowione z gazet strzępy idei komunistycznych nabierały w jego ustach groteskowego brzmienia. Głosił nadejście epoki, w której nikt nie będzie musiał pracować. Dławił się nienawiścią do Rougonów. Nie mógł strawić zjedzonych przed chwilą kartofli.

— Widziałem — mówił — jak ta łajdaczka Felicja kupowała dziś rano kurczaka w hali... Kurczakami się żywią, ci złodzieje!

— Ciotka Dida — odpowiedział Sylweryusz — mówi/ że wuj Piotr był dobry dla wuja, kiedy wuj wrócił 1 wojska, że nie żałował pieniędzy na ubranie i mieszkanie dla wuja.

— Nie żałował pieniędzy? — krzyczał Macquart z wściekłością. — Twoja babka oszalała!... Gi bandyci-rozpuścili takie pogłoski, żeby mi zaniknąć usła. Ja nic nie dostałem.

Fina znów próbowała niezręcznie wtrącić się do rozmowy, przypominając mężowi, że otrzymał dwieście franków, ubranie i pokój opłacony za rok z góry. Antoni kazał jej być cicho i mówił z rosnącą furią:

— Dwieście franków! Wielkie mi rzeczy I.. Ja żądam mojej części, dziesięciu tysięcy! I owszem, pamiętam tę norę, w której ulokowali mnie jak psa, i tę starą marynarkę, którą Piotr dał mi, dlatego że sam nie mógł jej już no9ić, tak była brudna 1 dziurawa!

Kłamał, .lecz nikt nie śnial protestować widząc jego gniew. Zwracając się do Sylweryusza, dodał:

— Jesteś jeszcze bardzo naiwny, że ich bronisz! Ograbili twoją matkę; nie byłaby umarła, gdyby rfiiała się za co leczyć.

— Nie, wuj jest niesprawiedliwy — mówił chłopiec — matka nie umarła z powodu braku opieki lekarskiej i wiem, że ojciec nie przyjąłby ani grosza od jej rodziny.

— Co ty się będziesz ze mną sprzeczał! Przyjąłby tak samo jak każdy ihny. Zostaliśmy podstępnie ograbieni i musimy dochodzić swych praw.

I Macquart po raz setny opowiadał historię pięćdziesięciu tysięcy franków. Siostrzeniec, który znalazł ją już na pamięć wraz ze wszystkimi wariantami, jakimi tamten ją .upiększał, słuchał z pewnym zniecierpliwieniem.

— Gdybyś był mężczyzną — konkludował Antoni — wybrałbyś się ze mną któregoś dnia i dalibyśmy im szkołę! Nie wyszlibyśmy od nich, póki nie zwróciliby nam pieniędzy.

Lecz Sylweryusz poważniał i mówił dobitnie:

— Jeżeli ci nędznicy okradli nas, tym gorzej dla nich! Nie chcę ich pieniędzy. Nie do nas należy dzieło zemsty. Postąpili źle i kiedyś poniosą za to straszliwą karę.

— Ach, cóż z ciebie za dzieciak! — Wykrzykiwał Antoni. — Już ja tam załatwię sam inoje porachunki, kiedy będziemy górą, i nie będę się oglądał na pomoc z nieba) Co za wstrętna rodzina! Mógłbym zdechnąć z głodu, a żaden z tych łotrów nic rzuciłby mi kayalka suchego chleba!

Kiedy Macquart dorwał się do tego tematu, nie .mógł ^milknąć. Obnażał swą zawiść. Myśl, że jemu jednemu w rodzinie nie dopisało szczęście i że musi się żywić kartoflami, podczas gdy inni mają pod dostatkiem mięsa, doprowadzała go do szalu, Wygrażał wówczas pod adresem

I swych krewnych, nie darowując nikomu, nawet ciotecznym wnukom.

— Tak, tak — powtarza! z goryczą — pozwoliliby mi zdechnąć jak psu-

Gerwazy, nie podnosząc głowy i nie przerywając roboty, wtrącała czasem nieśmiało:

, — A jednak, tatusiu, kuzyn Pascal był taki dobry dla' nas w zeszłym roku, kiedy byłeś chory. ..

— Leczył cię za darmo — podejmowała Fina przychodząc córce z pomocą t^i-.często wsuwał mi pięciofrankówki na bulion dla ciebie. " --'i-MŻ

— On? Byłby mnie wyprawił na tamten świat, ale na szczęście mam silny organizm! — wykrzykiwał Macquart.— Głupie jesteście i siedzcie cicho. Was każdy mógłby oszu- s kać jak małe dzieci! Oni wszyscy pragną mojej śmierci. Jeżeli kiedy zachoruję, to zabraniam wam wzywać mego bratanka. Wolę nie dostawać się po raz drugi w jego ręce. To miernota i nikt z towarzystwa nie leczy się u niego!

Skoro raz się rozpedził, Macquart- nie mógł się" *za- _ trzymać.

Albo weź tę zmiję Arystydesa — ciągnął. — To o& j łudnik i zdrajca. Nie jesteś chyba taki głupi, żebyś dał się ^ nabrać na jego artykuły w Nienależnym. Nie potrafi ichr* nawet pisać poprawną francuszczyzną. Zawsze móWiletłyl że ten fałszywy republikanin jest w zmoiwie ze swoim papą. Zobaczysz, jak w odpowiedniej chwili zmieni front... A jego brat, słynny Eugeniusz, opasły głupiec, którym Rougono- wie tak się chwalał twierdząc, że zajmuje wysokie stanowisko w Paryżu! Już ja znam to jego stanowisko! To zwykły ^zifpejl...

Kto wujowi o tym powiedział? To nieprawda — przerwał mu Sylweryusi, którego wrodzona prawość buntowała się przeciw Jym kłamliwym oskarżeniom.

r- Nieprawda? Tak uważasz? A ja ci mówię, że to szpicel... Już ty daleko nie zajedziesz z tą swoją łatwowiernością i zaufaniem do ludzi. Nie jesteś mężczyzną. Nie chcę mówić nic złego o twoim bracie Franciszku, ale na twoim miejscu czułbym się mocno dotknięty jego skąpstwem, zarabia grube pieniądze w tej Marsylii, a tobie nie przyśle nawet marnych dwudziestu franków na drobne wydatki. Jeżeli znajdziesz się kiedyś w nędzy, to nie radzę ci zwracać się do niego.

—Ja nie potrzebuję niczyjej pomocy — odpowiadał chłopiec dumnym i trochę zmienionym głosem. — To, co śanr zarobię, wystarczy i dla mnie, i dla ciotki Didy. A wuj jest okrutny. -

..— Cóż, ja tylko mówię prawdę... Chciałbym otworzyć ci oczy. Nasza rodzina jest podia — smutne to, ale prawdziwe. Nawet mały Maksym, syn Arystydesa, ten dziewię- icioletm smarkacz, za każdym razem, jak mnie spotka, pokazuje mi język. Ten dzieciak będzie jeszcze kiedyś bil własną matkę; ale nie ma jej co żałować. Możesz sobie mówić, CO'chcesz — ci ludzie nie zasługują na to, żeby im się powodziło tak, jak im się powodzi. Ale to zawsze lak jest, we wszystkich rodzinach: uczciwi nie mają nic, a łajdaki dorabiają się majątku. „

Te brudy, które Macquart wywlekał z taką przyjemnością, wywoływały w chłopcu głębokie obrzydzenie. Pragnął uciec od nich do swoich marzeń. Kiedy zaczynał zdradzać zbyt żywo zniecierpliwienie; Antoni uciekał się do najskuteczniejszego środka, aby wzbudzić w nim nienawiść do krewnych.

— Bron ich, broń! — mówił zdając się uspokajać. — Mnie oni są obojętni, nie mam już z nimi nic wspólnego. Jeżeli mówię ci o tym wszystkim, to przez przywiązanie do mojej biednej matki, którą ta banda traktuje w sposób naprawdę oburzający.

—Nędznicy! — szeptał Sylweryusz.

. Ach, ty jeszcze nic nie wiesz t nic nie rozumiesz. Czego ci ludzie o niej nie mówią! Arystydes zabronił swemu synowi kłaniać się jej. Felicja chciałaby zamknąć ją w domu wariatów.

Młodzieniec, blady jak płótno, przerywał mu gwałtownie.

— Dość! — krzyczał. — Nie chcę wiedzieć więcej! Trzeba będzie położyć temu kres.

— Dobrze, nie będę już o tym mówić, skoro sprawia ci to przykrość — z pozorną dobroduszością ustępował Antoni. — Są jednak rzeczy, o których powinieneś wiedzieć, jeżeli nie chcesz grać roli głupca.

Macquart podburzając Sylweryusza przeciwko Rougonoin rozkoszował się jednocześnie tym, że sprawia niu ból. Czuł do niego jeszcze większą nienawiść niż do reszty rodziny, ponieważ chłopiec był doskonałym robotnikiem i nigdy nie pił. Toteż nie szczędził mu okrutnych słów i wymyślał coraz dotkliwsze kłamstwa, aby ugodzić go w samo serce. Rozkoszował się wówczas jego bladością, drżeniem rąk i przerażonym spojrzeniem, szczęśliwy, że cios okazał się celny. Kiedy nasycił już swą żądzę sprawiania bólu i uwa-, żał, że Sylweryusz znajduje się w stanie dostatecznego rozgoryczenia, przerzucał się do polityki.

— Wiem z pewnych źródeł — mówił ścisząc głos — że Rougonowie knują jakiś spisek.

— Spisek? — pytał Sylweryusz z uwagą.

— Tak. Którejs z najbliższych nocy wszyscy porządni obywatele naszego miasta zostaną porwani i zamknięci w więzieniu.

Pierwszym odruchem chłopca była nieufność. Lecz wuj podawał dokładne szczegóły: mówił mu o listach, które sporządzono, wymieniał osoby, które się na nich znajdują, objaśniał, w jaki sposób, o której godzinie i w jakich okolicach spisek dojdzie do skutku. Powoli Sylweryusz dawał się przekonać i wpadał w gniew na wrogów Republiki.

— Powinniśmy ich obezwładnić — wołał o ile nie zaprzestaną swej zdradzieckiej polityki! A co zamierzają zrobić z aresztowanymi?

— Co z nimi zamierzają zrobić? — odpowiedział Macquart śmiejąc się sucho. — Ano rozstrzelać ich w podziemiach więzienia.

A kiedy chłopiec patrzył nań oniemiały z przerażenia, dodawał:

— To nie będą pierwsi, których spotka ten los. Przejdź się kiedy wieczorem koło więzienia, a usłyszysz wystrzały i jęki.

— O, podlił — szeptał Sylweryusz.

Wuj i siostrzeniec zagłębiali się w rozważania na tematy polityczne. Fina z córką, widząc ich pogrążonych w dyspacie, wycofywały się niepostrzeżenie i szły spać. Obaj mężczyźni siadywali aż do północy, komentując nowiny z Paryża i rozprawiając o bliskiej i nieuniknionej walce. Macquart urągał swym współwynawcom, a Sylweryusz snuł na głos swe marzenia o idealnej wolności. Dziwne to były rozmowy, w czasie których wuj nalewał sobie nieskończoną ilość kieliszków, siostrzeniec zaś wychodził pijany entuzjazmem. Nigdy nie splamił się perfidnym wyrachowaniem i Antoniemu nie udało się namówić go do walki z Rougonami. Na próżno namawiał - go do tego; młody republikanin odpowiadał mu zawsze, że wierzy w nieśmiertelną sprawiedliwość, która prędzej czy później ukarze winnych.

Ten szlachetny chłopiec mówił wprawdzie często o tym, żeby chwycić za broń i zgładzić nieprzyjaciół Republiki, lecz z chwilą kiedy ci nieprzyjaciele oblekali konkretne kształty — wuja Piotra lub kogoś ze znajomych — wołał | powierzyć dzieło sprawiedliwości niebu, licząc, że oszczędzi mu ono okropności rozlewu krwi. Byłby może nawet przestał odwiedzać Macquarta, którego wybuchy zazdrości raziły go, gdyby nie to, że mógł u niego swobodnie rozmawiać o swojej ukochanej Republice. W każdym razie wuj wywarł decydujący wpływ na jego losy; złośliwymi paszkwilami podsycając jego gniew doprowadził do tego, że chłopiec chciwie oczekiwał zbrojnej walki o powszechne szczęście.

Kiedy Sylweryusz skończył piętnaście lat, Macquart wprowadził go do tajnego Związku Górali, potężnej organizacji, która obejmowała całą południową Francję. Od tej chwili młody republikanin nie mógł oderwać oczu od karabinu przemytnika, który Adelajda zawiesiła u okapu iotitiin-ka. Pewnej nocy, gdy babka spała^ oczyścił bron i dopro- wadził ją do porządku. Później powiesił ją na-tym samym -gwoździu i czekał. Pograżył się w marzeniach spiskowca,- układał epepeje, wyobrażał sobie tiomeryckie walki, coś: w rodzaju rycerskich turniejów, z których obrońcy wolności wychodzili zwycięsko, oklaskiwani przez cały świat.

Macquart, mimo iż wysiłki jego okazały się daremne, nie zniechęcał się. Doszedł do wniosku, że sam potrafi dać sobie radę z Rougonami, byle tylko nadarzyła się po ternu okazja. Jego gniew zazdrosnego i chciwego próżniaka wzrósł jeszcze z chwilą, gdy okoliczności zmusiły go do pracy. W pierwszych dniach roku 1850 Fina umarła prawie nagle na zapalenie płuc. Nabawiła się go piorąc pewnego wieczoru bieliznę w Viornie i przynosząc ją na plecach mokrą do domu. Przyszła przemoczona i zlaną potem, przytłoczona ciężarem ponad siły, i więcej się już nie pod- niosta. Śmierć jej sprawiła Macquarta w konsternację. Został nagle pozbawiony najpewniejszego źródła dochodu. W ciągu kilku najbliższych dni sprzedał piecyk, w którym żona piekla kasztany, i ramę, którą posługiwała się przy wypłataniu krzesel, a kiedy się-ich pozbył, zaczął wyrzucać panu Bogu, że mu odebrał żonę, tę rosłą przekupkę, której się wstydził, kiedy żyła, a której wartość teraz dopiero mógł ocenić. Z tym większą zachłannością rzucił się na zarobek dzieci. Lecz w miesiąc później Gerwazyna, mając dość ojcowskich wymagań, opuściła go i odeszła z dwojgiem dzieci i Lantierem, którego matka także już nie żyła.. Kochankowie wyjechali do Paryża. Antoni, dotknięty do żywego, życzył córce, aby skończyła w szpitalu jak jej po-

dobrze Lecz wybuch gniewu i potok wyzwisk w niczym nie poprawił jego położenia, które rzeczywiście stawało się co

raz gorsze. Jan poszedł wkrótce za przykładem siostry. Począł na dzień . wypłaty i sam odebrał należne mu pieniądze. Odchodząc powiedział do jednego ze swoich przyjaciół, który powtórzył to Antoniemu, że nie ma zamiaru żywić dłużej ojca-darmozjada i że jeżeli ten sprowadzi go z powrotem do domu przez żandarmów, to nie tknie więcej hebla ani piły. Nazajutrz, kiedy po bezskutecznych poszukiwaniach Antoni znalazł się sam, bez grosza, w mieszkaniu, w którym prze^ dwadzieścia lat żył na utrzymaniu rodziny, wpadł ^e wściekłość i wybuchnął gradem straszliwych przekleństw, kopiąc meble. Później opadł z sił, zaczął powłóczyć nogami i jęczeć, jakby był chory. Obawa przed tym, że będzie musiał sam zarabiać na chleb, rzeczywiście przyprawiała go ó chorobę. Kiedy Sylweryusz przyszedł go odwiedzić, skarżył mu się ze łzami na niewdzięczność dzieci. Czyż nie był zawsze dobrym Ojcem? Jan 4-Gerwazyna odplacili mu jak najgorzej za wszystko, co dla nich uczynił. Opuścili go, ponieważ jest już stary i nie mogą nic więcej, od niego wyciągnąć.

Ależ wuj nie jest jeszcze przecież w takim wieku, żeby nie mógł pracować — powiedział Sylweryusz.

Macquart zgarbiony, kaszlący, pokiwał ponuro głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie jest zdolny do najlżejszego nawet wysiłku. W chwili kiedy siostrzeniec miał już odchodzić, pożyczył od niego dziesięć franków. Przez miesiąc utrzymywał się 2 tego, że sprzedawał starzyzną, znoszone ubrania dzieci i przedmioty domowego użytku. Wkrótce został mu już tylko stół, krzesło, łóżko i ubranie, które miał na sobie. Jeszcze po pewnym czasie łóżko orzechowe wymienił na zwykłą pryczę. Kiedy zasoby jego wyczerpały się, błąd jak człowiek, który zdecydował się na samobójstwo, wyciągnął, płacząc z wściekłości, ukryty W kącie i zapomniany otl ćwierć wieku zapas wikliny. Unosząc go zdawał się dźwigać górę. Wziął się z powrotem do wypłatania koszyków, obwiniając ludzkość o swoje opuszczenie. Głosił konieczność podziału dóbr. Był nieubłagany.

Wywoływał burzliwe dysputy w szynkach, gdzie jego wściekłe spojrzenia zapewniały nut nieograniczony kredyt. Pracował tylko wtedy, gdy nic udało mu się wyciągnąć paru groszy od Sylwiusza lub któregoś z kompanów. Przeszedł już być „panem” Macquarlem, odświętnie ubranym i starali nic wygolonym robotnikiem, który udawał burżuja, a stał się znowu brudnym dryblasem, który spekulował niegdyś na swych łachmanach. Bojąc się, że spotka go na trgu, Felicja przestała chodzić do hali, gdyż kiedyś urządził jej straszną scenę. Jego nienawiść do Rougonów wzrastała wraz z ubóstwem. Odgrzązał się, że sam wymierzy sobie sprawiedliwość, skoro bogacze sprzysięgli się, aby zmusić go do roboty.

W tym stanie ducha Antoni przyjął wieść o zamachu stanu z gorącą i hałaśliwą radością psa, który węszy dobry kąsek. Ponieważ miejscowi patriarchowie ruchu liberalnego nie mogli się porozumieć i trzymali się na uboczu, wysunął się 011 na czoło i stał jednym z organizatorów powstania. Robotnicy, mimo niepocholebnej opinii, jaką mieli

0 tym próżniaku, skupili się jednak wokół niego. Przez pierwsze dni w mieście panował spokój i Alacnart sądził, że plany jego obróćą się wniwecz. Wieść o wybuchu powstania na wsiach przywróciła mu nadzieję. Za nic na świecie nie chciał opuszczać w tej celi wili Plassans i wymyślił jakiś pretekst, aby nie pójść razem z robotnikami, którzy w niedzielę rano wyruszyli na spotkanie powstańcom z la Palud i Suint-Martin-de-Vaulx. Tego samego dnia wieczorem Macquart siedział z kilkoma kompanami w szynku w starej dzielnicy, kiedy wpadł tam jeden z towarzyszy

1 obwieścił im, że powstańcy znajdują się w odległości kilku kilometrów od Plassans. Wiadomość tę przyniósł wysłaniec, któremu udało się przedostać do miast i któremu polecono otworzyć bramy nadchodzącemu oddziałowi. Zapa* nował entuzjazm. Zwłaszcza Macquart triumfował. Niespodziewane przybycie powstańców wydało mu się objawem

szczególnej życzliwości losu. Ręce drżały mu, gdy pomyślał, że niedługo chwyci Rougonów za gardło.

Spiesznie wyszedł z towarzyszami z szynku. Wszyscy republikanie, którzy znajdowali się jeszcze w mieście, zgromadzili się wkrótce na bulwarze Sauvaire. To ich właśnie ujrzał Rougon, biegnąc do maiki. Kiedy doszli do ulicy de la Banne, Macquart, który szedł na końcu, zatrzymał czterech towarzyszy, rosyłych zuchów o ptasich mózgach, nad którymi górował darem wymowy. Bez trudu przekonał ich, że w interesie Republiki leży, aby natychmiast zaarrestować jej wrogów. Obawiał się, że Piotr wymknie mu się w zamieszaniu, jakie wywoła wejście powstańców do miasta. Czterech zuchów udało się za nim z przykłądną uległością i zaczęło dobijać się do drzwi Rougonów. W tych krytycznych chwilach Felicja okazała godną podziwu odwagę. Zeszła na dół otworzyć.

— Chcemy wejść do ciebie — powiedział brutalnie Macquart.

- Proszę, niech panowie wejdą — odparła z grzeczną ironią, udając, że nie poznaje szwagra.

Na górze Alacnart kazał jej poszukać męża.

— Mego męża nie ma — odparła, coraz bardziej spokojna. —• Dziś po południu wyjechał do Marsylii w interesach.

Słyszając to oświadczenie Antoni zrobił gest pełen wściekłości. Gwałtownie wszedł do salonu, stamtąd przeszedł do sypialni, rozrzucił pościel na łóżku, zajrzał za firanki i pod meble. Czterech zuchów pomagało mu. Przez kwadrans przeszukiwali mieszkanie. Felicja spokojnie usiadła na kanapie w salonie i zawiązywała tasiemki u spódnicy, jak osoba, którą wyrwano ze snu i która nie miała czasu się ubrać.

— Więc to jednak prawda, ten tchórz zdążył uciec! — wyjąkał Alacnart wracając do salonu.

Nadal jednak rozglądał się wokół podejrzliwie. Nie wierzył, aby Piotr mógł wycofać się z rozgrywki w decydującym momencie. Podszedł do ziewającej Felicji.

— Wskaż nam miejsce, gdzie ukrył się twój mąż —* rzekł — a' obiecuję ci, że nie stanie mu się nic złego. -
^-Powiedziałam wam prawdę — odparła niecierpliw Jj wie. — Nie mogę przecież wydać wam mego męża,
skoro g© tu nie ma. Sami zajrzeliście wszędzie, prawda? Więc -j dajcie mi teraz spokój.

| Macquart, doprowadzony do wściekłości jej zimną krwią, byłby się na nią rzucił, gdy nagle-dobiegł go
głuchy hałas. -J To powstańcy wchodzili w ulicę de la Banne.-

Opuścił więc żółty salon, grożąc pięścią szwagierce,'E wymyślając jej od starych łajdaczek i zapowiadając,
że wkrótce powróci. Na dole odciągnął, na bok jednego z towarzyszących mu ludzi, kopacza nazwiskiem
Cassoute, najpotężniejszego z czterech zuchów, kazał mu usiąść na pierwszym stopniu schodów i nie ruszać się
stamtąd aż do nowego rozkazu;

— Jeżeli zobaczysz, że ta kanalia z góry wróciła, dasz mi znać! powiedział. .

Kopacz usiadł ciężko. Wyszedłszy na ulicę Macquari^{^^3} niósł głowę i zobaczył Felicję, jak oparta o para-
pet przyglądała się ciekawie defiladzie powstańców, jakby ^ to był pułk maszerujący przez miasto z muzyką na
czele, ^ Ten ostatni dowód jej niezmażonego spokoju rozdrażnił go do tego stopnia, że miał ochotę zawrócić i
wyrzucić ją przez 'okno. Idąc za oddziałem pomruki wał:

— Przyglądaj się nam, przyglądaj. Zobaczymy, czy jutro będziesz siedzieć na balkonie.

Kiedy powstańcy weszli do miasta przez Bramę Rzym- / ską, dochodziła godzina jedenasta. Robotnicy,
którzy pozostali w Plassans, otworzyli im ją na rościej mimo lamentów i oporu strażnika, zazdrośnie
strzegącego swych praw. On, który nigdy nie wpuszczał więcej jak jedną osobę na raz, przyjrząwszy jej się
przedtem cfokładnie, zdruzgotany był widokiem płynącego tłumu i mruczał o dyshonorze, ja- ^ ki mu to
przynosi. Na czele oddziału szli ludzie z Plassans; w pierwszym szeregu Mietta, mając po lewej ręce Sylwe
riusza, dumnie wznosiła do góry sztandar czując, że spoza opuszczonych żaluzji biegną ku niej przerażone
spojrzenia mieszczan, nagle wyrwanych ze snu. Powstańcy przeszli ulicą Rzymską i ulicą de la Banne, nie
spiesząc się i zachowując ostrożność. Chociaż znali spokojne usposobienia mieszkańców; bali się jednak, że
mogą zostać przyjęci strzałami spoza węgła. Lecz miasto zdawało się wymarłe; jedynie tu i ówdzie dobiegały
ich uszu przytłumione okrzyki. Z nielicznymi wyjątkami okna pozostały zamknięte; w tych, które otworzono,
ukazywał się na chwilę jakiś stary rentier W nocnej koszuli, ze świecą w rękę; wychylał się, aby lepiej widzieć, i
cofał natychmiast, w popłochu zamykając okno. gdy tyłka dojrzał dziewczynę odzianą w czerwień i sunący za
nią tłum czarnych demonów. Cisza pogrążonego we śnie miasta uspokoiła powstańców; zapuścili się w krętę
uliczki starej dzielnicy, minęli rynek i doszli do placu ratuszowego. Oba place, obsadzone mizernymi
drzewkami, jaśniały w świetle księżyca. Świeżo odnowiony ratusz odcinał się na tle czystego nieba plamą ostrej
bieli, zdobną w czarne arabeski z kutego żelaza -^ -balkon na pierwszym piętrze. Na balkonie widniało kilka
postaci — mer, major Sicardot, trzech czy czterech radnych miejskich i paru innych urzędników. Drzwi na dole
były zamknięte. Trzy tysiące republikanów zgromadzonych na obydwu placach mogło wyważyć je jedynf
pchnięciem.

Przybycie kolumny powstańców zaskoczyło nie przygotowane władze. Przed udaniem się do merostwa
major Sicardot wstąpił jeszcze do domu, żeby włożyć mundur. Potem trzeba było biec obudzić mera. Kiedy-
strażnik Bramy Rzymskiej, pozostawiony przez powstańców na wolności, przyszedł oznajmić, że ci bandyci są
już w mieście, major miał zebranych zaledwie około dwudziestu ludzi z gwardii narodowej. Nie było nawet
czasu zawiadomić żandarmerii, której koszary znajdowały się tuż obok. Pospiesznie zamknięto drzwi, aby się
naradzić. W pięć minut później głuchy odgłos kroków obwieścił zbliżanie się oddziału.

Nienawiść do Republiki budziła w panu Garçonnet chęć stawienia oporu powstańcom. Był on jednak człowiekiem ostrożnym i widząc koło siebie jedynie kilku bladych, zaspanych ludzi zdał sobie sprawę z bezcelowości walki. Narada trwała krótko. Tylko Sicardot upierał się przy swoim; chciał się bić i twierdził, że dwudziestu ludzi wystarczy, aby nauczyć rozumu trzy tysiące łajdaków. Pan Garçonnet wzruszył ramionami i oświadczył, że nie pozostaje im nic innego: jak honorowa kapitulacja. Ponieważ gwar na placu wzrósł, udał się na balkon, a za nim wszyscy obecni. Powoli zapanowała cisza. Na dole w czarnej i drgającej masie powstańców połyskiwały w świetle księżyca strzelby i kosy. — Kim jesteście i czego chcecie? — zawołał mer gromkim głosem.

Wówczas wysunął się z szeregu jakiś mężczyzną w płaszczu, właściciel ziemski z la Palud.

— Otwórzcie drzwi — rzekł nie odpowiadając na pytania pana Garçonnet. — Nie doprowadzajcie do bratobójczej walki.

— Wzywam was do rozejścia się — podjął znowu mer. — Protestuję w imieniu prawa.

Słowa te wywołały w tłumie ogłuszające okrzyki. Kiedy wrzawa uspokoiła się nieco, dały się słyszeć pojedyncze głosy wołające gniewnie:

-r- To my występujemy w imieniu prawa,

— Pana obowiązkiem, jako urzędnika, jest szanować konstytucję, która została haniebnie pogwałcona!

— Niech żyje konstytucja! Niech żyje Republika!

Ponieważ pan Garçonnet usiłował, dojść do głosu i nadał powoływał się na swój urząd, właściciel ziemski z la Palud, który stał pod balkonem, przerwał mu energicznie:

— Jest pan teraz tylko urzędnikiem byłego urzędnika i my pozbawiamy pana urzędu.

Major Sicardot zagryzał z wściekłością wąsy i żuł przekleństwa. Widok kos i kijów wyprowadzał go z równowagi; robił niesłychane wysiłki, żeby się pohamować i nie huk-

48

nąć na tych wojaków z bożej łaski, którzy nie mieli nawet strzelb. Kiedy posłyszał, że zwykły cywil grozi pozbawieniem urzędu inermu, przepasanemu wstęgą, nie mógł milczeć dłużej i wykrzyknął:

— Łajdaki! Gdybym miał paru ludzi i porządnego kaprała, nauczyłbym was szacunku dla władzy!

Wystarczyło to, aby rozpętać burzę. Z gniewnym okrzykiem tłum runął na drzwi merostwa.

Skonsternowany pan Garçonnet opuścił balkon błagając Sicardota, aby zachował rozsądek, jeżeli nie chce narazić ich wszystkich na śmierć.

Drzwi ustąpiły w oka mgnieniu i lud opanował gmach, rozbrajając gwardię narodową. Mer i towarzyszący mu urzędnicy zostali aresztowani. Sicardota, który nie chciał oddać szabli, obronił przed zapalczywością powstańców dowódca grupy Tulettes, człowiek o zimnej krwi. Kiedy ratusz znalazł się w rękach republikanów, odprowadzili oni swych więźniów do małej kawiarni na rynku, gdzie pozostawiono ich pod strażą.

Armia powstańcza ominęłaby Plassans, gdyby jej dowódcy nie doszli do przekonania, że ludzi należało zaopatrzyć w żywność i dać im kilka godzin odpoczynku. Zamiast dążyć wprost do głównego miasta departamentu, kolumna, na skutek niedoświadczenia i niewybaczalnej słabości za im- i prowizowanego generała, skręciła na lewo, robiąc znaczne okrążenie, które miało stać się przyczyną jej klęski. Kierowała się ona ku wzgórzom Sainte-Roure, oddalonym około dziesięciu mil, i perspektywa długiego marszu skłoniła dowódców do wkroczenia do miasta mimo późnej pory.

Kiedy pan Garçonnet dowiedział się, że powstańcy żądają żywności, ofiarował się o nią postarać. Urzędnik ten w lot zorientował się w sytuacji. Należało zadośćuczynić życzeniom trzech tysięcy zgłodniałych ludzi, aby Plassans budząc się nazajutrz ze snu nie zastało ich siedzących na chodnikach ulic. Jeżeli udałoby się wyprawić ich przed świt, to ich nocny przemarsz przez uśpione miasto nie pozost-

49

V1

stawiliby żadnych śladów, jak zły sen rozwiewający się z na- dejszczym poranka. Eskortowany przez dwóch- strażników pan Garçonnet udał się do piekarni i rozdzielił pomiędzy powstańców produkty, jakie udało mu się wy dostać. ^

Koło godziny pierwszej w nocy trzy tysiące ludzi posi^ lato się siedząc na ziemi i trzymając broń między nogami. Rynek i plac ratuszowy zamieniły się w olbrzymie refektarze. Mimo przejmującego zimna wybuchy wesołości ożywiały to rojne zbiorowisko, którego poszczególne grupy ryso- ; waty się wyraźnie w ostrym blasku księżycy. Zgłodniiali powstańcy zajadali ochoczo, chuchając w pałce. Z głębi sąsiednich ulic zaludnionych przez ciemne postacie, które O)J;;; siadły białe progi domów, dochodziły głośne śmiechy, niie^ szając się z ogólną wrzawą. W oknach ukazywały się twarze kobiet w nocnych czepkach. Ośmielone, przyglądały się z zaciekawieniem*. Jak ci straszliwi powstańcy podchodzili, do pomp na rynku i czerpali wodę w nadstawione dłonie.

Tak samjak ratusz, znajdujące się tuż obok niego, na prowadzącej do hali ulicy Canquoin, koszary żandarmerii, j dostały^ się również w ręce ludu. Żandarmów zaskoczony w łózkach i rozbroj on o;w kilka minut. Falowanie tłumu pchnęło Miettę i Sylweryusza w tę stronę. Dziewczyna, ciągle jeszcze tuląc do piersi drzewce sztandaru, została przyciśnięta do muru koszar, „chłopak.zaś uniesiony falą dostał ;,; się do wnętrza i pomagał towarzyszom wrywać żandarmom karabiny. Pijany ogólnym uniesieniem Sylweryusz. za-Ą atakował rosnego dryblasa nazwiskiem Rengade. Walczył z nim przez chwilę i nagłym ruchem wyrwał mu karabin, którego lufa uderzyła w twarz Rengade'a, wybijając mu prawe oko. Krew trysnęła na ręce Sylweryusza. Chłopiec ^trzeźwiał nagle. Spojrzał na swoje dłonie i wypuścił karabin; biegiem wypadł z koszar otrzepując pałce.

Jesteś ranny? — krzyknęła Mietta.

— Nie, nie — odparł zdławionym głosem. — Zabiłem żandarma...

— Czy on już nie żyje?

— Nie wiem. Atiahcałą twarz we krwi. Chodź prędko.

Pociągnął za sobą dziewczynę. Doszedłszy do ha li kazał jej usiąść na kamiennej ławce i czekać fam na niego.

Patrzył ciągle na swoje ręce i bełkotał coś bez związku. Z jego oderwanych słów Mietta zrozumiała wreszcie, że chciał pójść uściskać babkę przed wymarszem.

— Idź — rzekła. — O mnie bądź spokojny, ł umyj ręce.

Oddalił się szybko, trzymając pałce u rąk szeroko rozstawione; mijał wodotryski, lecz nie zatrzymywał się przy żadnym, aby. opłukać dłonie. Od chwili kiedy poczuł na skórze ciepłą krew Rengade'a, jedyną jego myślą było dobiec do ciotki J3idy i obmyć ręce w korycie przy studni, w głębi małego podwórka. Zdawało mu się, że tylko tamta woda zmyje zeń ślady krwi. Ocknęło się w nim jego spokojne, ciche dzieciństwo; zapragnął schronić się choćby na chwilę w objęcia babki. Zjawił się u niej zdyszany. Ciotka Dida nie spała jeszcze, co każdej innej nocy zdziwiłoby Sylweryusza, lecz teraz wchodząc nie zauważył nawet swego wuja Rougona, siedzącego w kącie na starym kufrze. Nie czekał, aż babna zacznie zadawać mu pytania.

'—. Babciu — rzekł szybko — wybacz mi... odchodzę z powstańcami... Mam krew na rękach... Zdaje się, że zabiłem żandarma.

— Zabiłeś żandarma? — powtórzyła ciotka Dida dziwnym głosem.

-Ostre błyski zapaliły się w jej oczach, utkwionych w plamy krwi. Nagle odwróciła się w stronę kominka.

— Wziąłeś strzelbę ■■— powiedziała. — Gdzie jest strzelba?!

Sylweryusz, który zostawił karabin Mietcie, zapewnił babkę uroczyście, że broń znajduje się w bezpiecznym ukryciu. Po raz pierwszy Adela jda wspomni ła przemytnika Macquarta w obecności wnuka.

— Obieeaj, że mi ją odniesiesz — rzekła z dziwną energią. — To wszystko, co zostało mi po nim... Ty zabiłeś żandarma, a jego właśnie żandarmi zabili.

Wpatrywała się nadal w Sylweryusza z wyrazem okrutnego zadowolenia, nie kryjąc się z nim wcale. Nie żądała od niego tłumaczenia, nie płakała jak inne babcie, które rozpaczają widząc, że wnuczek się zadrasnął. Zawładnęła nią jedna myśl, którą wyraziła w drżącym ciekawością pytaniu:

— Czy to jego strzelbą zabiłeś żandarma?

Sylweryusz musiał złe* usłyszeć pytanie albo też go nie zrozumiał.

— Tak — odparł, — Idę umyć ręce.

Dopiero wracając od studni spostrzegł wuja. Piotr wysłuchał słów chłopca blednąc. Felicja miała rację, jego rodzina rzeczywiście znajdowała przyjemność w tym, żeby go kompromitować. Teraz jeden z jego siostrzeńców zabił żandarma! Nigdy nie otrzyma stanowiska poborcy, jeżeli nie przeszkodzi temu szaleńcowi połączyć się z powstańcami! Stał przed drzwiami, zdecydowany nie wypuścić go.

— Słuchaj — rzekł do Sylweryusza, zdziwionego jego widokiem — jestem głową rodziny i zabraniam ci wychodzić stąd. Chodzi o twój i o nasz honor. Jutro postaram się pomóc ci w przejściu granicy.

Sylweryusz wzruszył ramionami.

— Proszę pozwolić mi przejść — powiedział spokojnie. — Szpiegiem nie jestem i nikomu nie zdradzę pańskiej sf kryjówek, może pan być spokojny.

A ponieważ Rougon dalej mówił o honorze rodziny i o swej powadze najstarszego jej członka, przerwał mu:

-t- A czyż ja należę do pańskiej rodziny? Zawsze się j mnie pan wypierał... Dziś strach pchnął pana tutaj, bo czuje pan dobrze, że nadszedł dzień sprawiedliwości. No, z drogi Ja nie skryję się tak jak pan; mam obowiązek do spełnienia.

Rougon nie ruszał się z miejsca. Wówczas ciotka Dida, która słuchała gwałtownych słów Sylweryusza w zachwyceniu, położyła swą suchą dłoń na ramieniu syna.

— Odsuń się, Piotrze — rzekła — niech to dziecko wyjdzie.

Chłopiec pchnął lekko wuja i wyskoczył na dwór. Rougon, starannie zamykając drzwi, rzekł do matki z groźbą w głosie: .

— Ty sama będziesz winna, jeżeli przytrafi mu się jakieś nieszczęście. Nie wiesz, co teraz zrobiła, stara wariatko.

Adelajda zachowała się tak, jakby nie dosłyszała jego słów; dorzuciła polano do ognia, który przygasał, szepcąc z niewyraźnym uśmiechem:

— Znam to... Znikał na całe miesiące, a potem wracał mi zdrowszy...

Mówiła o Macquarcie.

Tymczasem Sylweryusz dobiegł do hali. Kiedy zbliżał się do miejsca, gdzie pozostawił Miette, usłyszał głośny gwar głosów i ujrzał zbiegowisko, które kazało mu przyśpieszyć kroku. Rozegrała się tu okrutna scena. Widząc, że powstańcy spokojnie zabrali się do jedzenia, co ciekawsi mieszkańcy Plassans wmieszali się pomiędzy nich. Między ciekawskimi znalazł się syn dzierżawcy Rebufata, Justyn, chłopak lat około dwudziestu, który nienawidził Miette. W domu wymawiał jej chleb, który jadła, i traktował ją jak nędzarkę przygarniętą z litości. Prawdopodobnie dziewczyna nie chciała zostać jego kochanką. Chudy, blady, o zbyt długich kończynach i krzywej twarzy, mścił się na niej za własną brzydotę i za pogardę, jaką okazywała mu ta silna i piękna dziewczyna. Marzył o tym, aby ojciec wyrzucił ją z domu. Szpiegował ją na każdym kroku. Udało mu się odkryć jej spotkania z Sylweryuszem i czekał tylko na odpowiednią okazję, aby donieść o wszystkim Rebufatowi. Tego wieczoru, kiedy zobaczył, że dziewczyna koło ósmej wysunęła się z domu, wybuchnął nie mogąc już dłużej zapanować nad nienawiścią. Słuchając jego opowieści Rebufat wpadł w gniew i oświadczył, że wyrzuci tę lajdaczkę kopniakiem, jeśli będzie miała śmiałość wrócić do domu. Justyn położył się spać rozkoszując się w myśli piękną sceną, jakiej miał być

świadkiem nazajutrz. Przyszła mu jednak chęć wcześniej nacieszyć się swą zemstą. Ubrał się i wyszedł. Może uda mu się spotkać Miette? Obiecywał sobie, że zachowa się wobec niej zuchwałe. Tak więc stał się niechęący świadkiem wejścia powstańców do miasta i udał się za nimi aż do ratusza, z niejasnym przeczuciem, że tutaj odnajdzie kochanków. E rzeczywiście dostrzegł swą kuzynkę na ławce, gdzie czekała na Sylweryusza. Widząc ją odzianą w czerwień, a obok niej sztandar wsparty o kolumnę, zaczął się śmiać i żartować z niej ordynarnie. Dziewczyna, przerażona jego widokiem, nie znalazła ani słowa odpowiedzi. Płakała tylko-J pod gradem wyzwisk, kryjąc twarz w dłoniach. Justyn nazywał ją córką galernika i krzyczał, że niech tylko, ośmieli się wrócić do Jas-Meiffren, to Rebuat da jej ładną nauczkę. Przez dobre piętnaście minut znęcał się nad drżącą i zboląłą dziewczyną. Ludzie otoczyli ich kołem, śmiejąc się bezmyślnie z tej żalösnej sceny. Kilku powstańców zainteresowało wreszcie, grożąc chłopakowi, że go pobiją, jeżeli nie zostawi Mietty w spokoju. Justyn, cofając się, oświadczył, że się ich nie boi. W tej właśnie chwili ukazał się Sylwe-riusz. Na jego widok miody Rebuat uskoczył w bok, jakby chciał uciec; bał się go wiedząc, że Sylweryusz góruje nad nim siłą. Nie mógł jednak oprzeć się piekającej chęci zmowa-j., żenią dziewczyny w obecności kochanka.

— Wiedziałem, że ten stelmacb jest tu gtfzfeś w pobliżu? — zawołał. — Więc to dla tego półgłówka nas opuści-
-< łaś? Wcześniej zaczynasz. A kiedy chrzany?

Cofnął się parę kroków widząc, że Sylweryusz zaciska pięści.

— Nie wybierz się do nas przypadkiem na poród — J ciągnął śmiejąc się ohydnie. — Obeszlabys się bez akuszerki. Mój ojciec pomógłby ci kopniakami przy rozwiązaniu, słyszysz?

Sylweryusz rzucił się na niego, dzielił go pięścią w tył. Kiedy tamten ociekł, okrwawiony* krzycząc z bólu, nie ścigał go. Powiocił do Mietty i zobaczył, że gorączkowo ociera lzy wierzchem dłoni. Patrzył na nią z czułością, chcąc ją pocieszyć, lecz ona zrobiła energiczny ruch.

— Już nie płaczę — rzekła — wolę nawet, że się tak stało. Nie mam wyrzutów sumienia, że odeszłam. Jestem wolna.

Wzięła sztandar i sama poprowadziła Sylweryusza ku powstańcom. Dochodziła druga w nocy. Zimno stało się tak dokuczliwe, że ludzie podnieśli się i kończyli posiłek łupiąc nogami dla rozgrzewki. Wreszcie dowódcy dali rozkaz wymarszu. Kolumna ustawiła się. Więźniów wzięto do środka; prócz pana Garęonnet i majora Sicardot, powstańcy zatrzymał i jeszcze pana Peirotte, poborcę, oraz kilkunastu innych urzędników.

W tej chwili ukazał się Arystydes. Doszedł on do wniosku, że przezorniej będzie okazać swą przyjaźń republikanom, ponieważ jednak nie chciał kompromitować się tą przyjaźnią, zjawił się przed samym ich odejściem. Miał rękę na temblaku, żalił się gorzko, że ta przeklęta rana nie pozwala mu chwycić za broń. W tłumie spotkał swego brata Pascala, zaopatrzonego w narzędzia chirurgiczne i małą polową apteczkę. Lekarz oznajmił mu spokojnym głosem, że idzie razem z powstańcami. Arystydes odparł na to szeptem, że postępuje jak głupiec, po czym wycofał się w obawie, żeby nie mianowano go komendantem miasta, gdyż uważał to stanowisko za szczególnie niebezpieczne.

Powstańcy nie mogli myśleć o utrzymaniu Plassans w swych rękach. Wpływy reakcji były (u zbyt silne, aby udało się utworzyć komitet demokratyczny, jak w innych miejscowościach. Toteż oddział miał zamiar wycofać się z miasta, gdy Macquart, zaślepiony nienawiścią, zaofiarował się utrzymać Plassans w ryzach, jeżeli zostanie do dyspozycji dwudziestu odważnych ludzi. Przydzielono mu ich. a wtedy ruszył triumfalnie do mrosłwa. Powstańcy minęli tymczasem bulwar Samaire i wychodzili przez Wielką Bramę, pozostawiając za sobą milczące i puste ulice, przez które niedawno przeszli jak burza. W dali ciągnęły się drogi.

białe od księżycowego światła. Mietta odmówiła przyjęcia ramienia Sylwiusza; szła wyprostowana, trzymając oburącz czerwony sztandar i nie zważając, że palce sztywnieją [jej z zimna.

V

W dali ciągnęły się drogi białe od księżycowego światła. Gromada powstańców podjęła swój bohaterski marsz wśród jasnej i zimnej nocy, ożywiona potężną falą entuzjazmu. Wiew epopei porywający Miette i Sylwiusza, tych dwoje dzieci spragnionych wolności i miłości, wtargnął ze świętym uniesieniem w plugawą komedię Macquartów i Rougonów,- Głos ludu podniósł się i zagłuszał chwilami gwar złotego salonu i perory wuja Antoniego. Bezwstydną farsa stała się częścią wielkiego dramatu historii.

Wychodząc z Plassans powstańcy skierowali się na szosę wiodącą ku Orcheres, gdzie mieli przybyć około dziesiątej rano. Szosa biegnie między Viorną a pasmem wzgórz. -Po lewej stronie rozciąga się równina, jak wielki zielony dywan, usiany gdzieniegdzie szarymi plamami wiosek. Po prawej wzgórze Garrigues wznoszą swe samotne szczyty, kamieniste usypiska i rdzawe skały, jakby spalone przez słońce. Trakt rozwidla się tu, zostawiając szosę od strony rzeki, i prowadzi między wielkimi blokami skalnymi, wśród których ukazują się co parę kroków skrawki doliny. Nie ma nic bardziej dzikiego i wspaniałego od tej drogi/wy rąbanej w zboczach skał. Zwłaszcza nocą miejsca te nabierają mistycznej grozy. Powstańcy posuwali się w bladej poświacie jakby główną ulicą zburzonego miasta, mając po obu stronach szczątki świątyń; księżyc bowiem zamieniał każdą skałę w okaleczoną kolumnę, w strącony kapitel lub też szczerbatą ścianę tajemniczego portyku. Wyżej masyw Garrigues spal, lekko rozjaśniony opalowym światłem, podobny do ogromnego miasta cyklopów, którego wieże, obeliski

i domy o wysokich tarasach zakrywały połowę nieba, od strony równiny zaś, na połach, rozlewał się ocean rozproszonych blasków, przestrzeń bez granic, usiana obłokami świecącej mgły. Powstańcy mogli myśleć, że stąpają po olbrzymim tarasie, wzniesionym nad brzegiem fosforyzującego morza i otaczającym jakąś nieznaną wieżę Babel.

Tej nocy Viorna huczała głucho u stóp skał obrzeżających drogę. Wśród nieustannego szumu rzeki powstańcy rozróżniali ostry jęk dzwonów bijących na trwogę. Wioski, rozrzucone na równinie po drugiej stronie rzeki, gotowały się do powstania dzwoniąc na alarm i rozpalając ogień. Aż do rana maszerująca kolumna, której wciąż towarzyszyły te pogrzebowe odgłosy, widziała, jak powstanie ogarnia całą dolinę, przebiegając ją niczym iskra lont. Ogień plamił czerń nocy krwawymi błyskami; z dala osłabłym echem dobiegały stłumione śpiewy i szeroka równina tonąca w mlecznym blasku księżyca poruszała się wstrząsana nagłymi dreszczami gniewu. Ten sam widok przedstawiała dalsze okolice na przestrzeni wiciu mil.

Ludzie idący w gorączkowym zaślepieniu, które wypadki paryskie rozpały w sercach republikanów, rozkoszowali się widokiem lej szerokiej połaci ziemi, ożywionej buntem. Oszołomieni entuzjazmem powstania, o którym marzyli, byli przekonani, że za nimi idzie cała Francja; wyobrażali sobie, że widzą po drugiej stronie Viorny, w szeroko rozlanym morzu blasków, nieskończone szeregi ludzi biegnących tak jak oni na ratunek Republiki. I proste ich umysły, z naiwnością i łatwowiernością właściwą tłumom, zaczynały już liczyć na łatwą i pewne zwycięstwo. Chwyciliby i rozstrzelali jako zdrajcę każdego, kto by im wówczas powiedział, że to oni tylko okazali odwagę wypełnienia swego obowiązku, podczas gdy reszta kraju, sparaliżowana terrorem, tchórzliwie pozwała nakładać sobie pęta.

Odwagę powstańców podniecał sposób, w jaki przyjmowały ich nieliczne wioski leżące na zboczach Garrigues, przy samym trakcie. Z chwilą ukazania się tej małej armii

wszyscy mieszkańcy zrywali się na nogii kobiety przybie- ga/y życząc im rychłego zwycięstwa, na pół ubrani mężczyźni przyłączali się do nich chwytając pierwszą lepszą bron. jaka im się nawinęła pod rękę. W każdej wsi powtarzały się te owacje, okrzyki powitalne i długo trwające pożegnania.

Nad ranem księżyc zniknął za wzgórzami Garrigues; I powstańcy maszerowali teraz w ciemnościach zimowej nocy; nie rozróżniali już doliny ani gór, słyszeli tylko suchą skargę dzwonów bijących w mroku jafa niewidzialne werble/ ukryte nie wiadomo gdzie i nieustannie popychające ich naprzód swym rozpaczliwym wołaniem.

Mietta i Sylweryusz szli, unoszeni przez tłum. Nad ranem dziewczyna upadała już ze zmęczenia. Szła drobnym, spiesznym krokiem, nie mogąc nadążyć za dziarskimi mło- dzianami, którzy maszerowali obok niej. Zebrała jednak całe swoje męstwo, aby się nie skarżyć; zbyt wiele kosztowałoby ją, gdyby przyznała, że nie ma tyle sił cò chłopak. Na sa- mym-początku Sylweryusz ujął ją pod rękę, później zaś widząc, że sztandar wymyka się powoli | jej zdrętwiałych dłoni, chciał go wziąć od niej. Ale Mietta rozgniewała się, pozwoliła mu tylko podtrzymywać drzewce jedną ręką i niosła sztandar, dalej. Z uporem dziecka zachowała więc nadał swą bohaterską postawę, uśmiechając się do młodego człowieka za każdym razem, gdy rzucał jej spojrzenie pełne zaniepokojonej czułości. Jednak gdy księżyc zniknął, załamała się w ciemności. Sylweryusz czuł, że coraz bardziej cięży na jego ramieniu. Musiał nieść sztandar i objąć ją wpół, żeby nie upadła. Nie skarżyła się jednak.

— Bardzo jesteś zmęczona, biedna Mielęczo? — zapytał.

. Tak, trochę — odparła zdławionym głosem.

— Chcesz, żebyśmy odjwczeli?

Nic nie odpowiedziała, ale on zrozumiał, że chwieje się na nogach. Wówczas powierzył sztandar jednemu z powstańców i wyszedł z szerepów, prawie unosząc dziewczynę w: ramionach. Broniła się nieco, zawstydzona, że okazała się nagle taką małą dziewczynką. Sylweryusz uspokoił ją mówiąc, iż zna drogę na przełaj, która skraca odległość o połowę. Mogli odpocząć przez dobrą godzinę i przybyć do Ofcheres w tym samym czasie co wszyscy.

Zbliżała się szósta rano. Znad Viorny unosiła się widocznie lekka mgła, gdyż noc wydawała się jeszcze gęstsza. Młodzi weszli po omaęku na jakąś skałę i usiedli. Otaczało ich morze mroku. Byli jakby zagubieni na szczycie rafy, wznoszącej się nad otchłanią. Gdy zamilkł głuchy odgłos kroków maszerującego oddziału, słyszeli fyłfo dzwony— jeden rozbrzmiewał wysokim, wibrującym fonem z jakiejś pobliskiej wsi leżącej przy trakcie, drugi zaś z daleka odpowiadał stłumionym łkaniem na gorączkowe skargi tamtego. Wydawało się, że opowiadają sofcie w próżni tragedię jakiegoś ginącego świata.

Rozgrzani biegiem, Mietta i Sylweryusz z początku nie czuli zimna. Milczeli i słuchali w głębokim smutku łych ponurych dźwięków, którymi drgała noc. Nie widzieli się w ciemnościach. Mielę ogarnął lęk, poszukała ręki Sylweryusza i zatrzymała ją w swojej. Po gorączkowym uniesieniu, które przez ubiegłe godziny oderwało ich od siebie samych, ten nagły spokój, ta samotność we dwoje napępniały ich zdziwieniem i znużeniem; czuli się jakby nagłe zbudzeni ze snu. Zdawało im się, że fala wyrzuciła ich na brzeg drogi i cofnęła się. Zatracając świadomość pogrążali się w otepieniu, zapomnieli o entuzjazmie, nie myśleli już o gromadzie ludzi, którą mieli odszukać, i poddawali się melancholijnemu urokowi nagłej samotności, siedząc tak | dłonią w dłoni wśród złowrogich ciemnością -!.•— Nie gniewasz się na mnie? — zapytała wreszcie dziewczyna. — Z tobą szłabym przez całą noc, ale oni maszerowali za prędko, nie mogłam już złapać tchu.

— Dlaczego miałbym się na ciebie gniewać? — odrzekł chłopiec.

— Nie wiem.. Boję się, że już mnie nie kochasz. Chłabym móc robić takie wielkie kroki jak ty i ciągle iść naprzód, nie zatrzymując się. A teraz pomyślisz pewno, że jestem jeszcze dzieckiem.

Sylweryusz uśmiechnął się w mroku, co Mietta odgadła. Mówiła dalej stanowczym głosem:

— Nie trzeba, żebyś mnie ciągle traktował jak siostrę. Ja chcę być twoją żoną,

I przyciągnęła go do siebie.

Trzymała go w objęciach, szepcząc:

— Zimno nam będzie^ rozgrzejmy się w ten sposób. •'

Zamilkła. Aż do tej chwili i.,, mącącej ich spokój, oboje

młodzi kochali się jak rodzeństwo. W nieświadomości swej brali za przyjaźń ten popęd, który ich pchał do nie kończących się uścisków, przedłużanych znacznie bardziej niż uściski siostry i brata. Lecz w głębi ich naiwnej miłości huczały już coraz głośniejsze burze płomiennej krwi. Z idylli miała się zrodzić niebawem gorąca, południowa namiętność!^ Każda dziewczyna, rzucająca się chłopcu na szyję, jest już - kobietą, często nieświadomą jeszcze, może ją jednak rozbudzić pierwsza pieszczota. Gdy zakochani całują się w policzki, to znaczy, że błądzą po omacku, szukając swych ust. Pocałunek tworzy kochanków. I oto tej właśnie ciemnej i zimnej nocy grudniowej, przy dźwiękach dzwonów bijących na alarm, Mietta i Sylweryusz zamienili jeden z tych pocałunków, przy których wszystka krew z serca spływa do warg.

Milczeli wciąż, mocno przytuleni do siebie. Mietta powiedziała „rozgrzejmy się w ten sposób”, czekali więc naiwnie na skutek. Niebawem poczuli przez ubrania ciepło swych ciał; po chwili uścisk zaczął palić oboje i piersi ich unosiły się jednym oddechem. Ogarnęła ich błogość, pogrążyli się w jakimś gorączkowym półśnie. Teraz było im już ciepło, blaski migotały im pod zamkniętymi powiekami, w głowach, szumiało. Ten stan bolesnej błogości, trwający zaledwie kilka minut, wydał im się nieskończenie długi! usta ich spotkały się jakby we śnie. Całowali się długo i chciwie. Mieli wrażenie, że nie wiedzieli dotąd, co to jest pocałunek. W końcu przyjemność przeszła prawie w ból i odsunęli się od siebie. Kiedy zimno nocy ochłodziło ich gorączkę, siedzieli daleko jedno od drugiego, bardzo zmieszani.

Dzwony ciągle prowadziły swój ponury dialog w ciemnościach otaczających dwoje młodych. Mietta, drżąca, pełna lęku, nie miała odwagi przysunąć się do Sylweryusza. Nie była nawet pewna, czy siedzi koło niej, nie słyszała, żeby się poruszał. Oboje przeniknięci byli wspomnieniem pocałunku; wyznania cisnęły im się na usta, chcieli podziękować sobie, pocałować się jeszcze raz, ale tak bardzo onieśmiało ich uczucie szczęścia, którego doznali, że woleli raczej nie zakosztować go już więcej niż mówić o nim głośno. Gdyby szybki marsz nie rozgrzał im krwi, a ciemna noc nie ułatwiła pieszczot, długo jeszcze całowaliby się tylko w policzki, jak dobrzy przyjaciele. Mietta poczuła nagle wstyd. Płomienny pocałunek Sylweryusza przypomniał jej wszystkie obelgi Justyna. Przed kilku godzinami słuchała jeszcze bez rumieńca słów chłopaka, który wymyślał jej od dziewczek, pytając, kiedy chrzciny, i krzycząc, że jego ojciec pomoże jej kopniakami przy rozwiązaniu, gdyby odważyła się powrócić do Jas-Meiffren, a ona płakała nie rozumiejąc, o czym mówił, płakała przeczuwając, że to muszą być jakieś ohydne sprawy. Teraz jednak, stając się kobietą, wmawiała sobie w swej niewinności, że ten pocałunek, palący ją wciąż, wystarczał może dla okrycia hańbą, którą, zarzucał jej kuzyn. Na tę myśl ogarnął ją ból i wybuchnęła łkaniem.

— Co ci jest? Dlaczego płaczesz? — zapytał niespokojnym głosem Sylweryusz.

— Nie, zostaw mnie-r^- wyjąkała. — Sama nie wiem.

Po czym dodała ze Izami, jakby- przewyciężając się: | — Ach, jestem bardzo podła. Kiedy miałam dziesięć lat, rzucano we mnie kamieniami. A dzisiaj traktują mnie jak najędzniejsze stworzenie. Justyn ma rację, że mi ubliża przy ludziach. Zgrzeszyliśmy.

Przestraszony chłopiec ujął ją znowu w ramiona. próbując pocieszyć.

— Kocham cię — szeptał. — Jestem twoim bratem. Dlaczego mówisz, że zgrzeszyliśmy? Pocałowaliśmy się, bo było nam zimno. Wiesz przecież dobrze, że co wieczór całowaliśmy się na pożegnanie. (

— Och, ale nie tak jak teraz — odparła bardzo cichym i głosem. — Widzisz, tego już nie trzeba robić, to musi być zabronione, bo czułam się potem tak jakoś dziwnie. Teraz mężczyźni będą się śmieli ze mnie, kiedy będę ich mijać, i nie będę mogła się już bronić, będą mieli rację.

Chłopiec milczał, nie znajdując ani jednego słowa na uspokojenie wzburzonego umysłu tego dużego, trzynastoletniego dziecka, drżącego na całym ciele i przerażonego do głębi swym pierwszym miłosnym pocałunkiem. Tulił ją tylko łagodnie, wiedząc, że Mietta uspokoi się, jeżeli znowu poczuje ciepło jego uścisku. Ale ona wzbraniała się, mówiąc dalej:

— Gdybyś zechciał, poszlibyśmy sobie stąd, rzucił i byś-. my nasze strony. Ja już nie mogę wrócić do Plassans; wuj mnie zabije, a całe miasto będzie mnie wytykać palcami...

Potem zaś, jakby ogarnięta nagłym wzburzeniem, dodała:

— Nie, nie, ja jestem wyklęta i zabraniam ci opuszczać ciotkę Didę po to, żeby pójść za mną. Musisz mnie porzucić.

— Mietto, Mietto, nie mów tak! i- błagał Sylweryusz.

— Tak, ja cię uwolnię od siebie. Bądź rozsądny. Wygnali mnie przecież, jak jakieś nic dobrego. Gdybym wróciła z tobą, musiałbyś codziennie bić się przeze mnie. Nie chcę.

Chłopak znowu ucałował ją w usta, szepcząc:

— Będziesz moją żoną i nikt już nie odważy się obrażać ciebie.

— O, błagam cię — zawołała — nie całuj mnie tak. To boli. — Po chwili milczenia dodała: „ — Wiesz dobrze, że nie mogę być twoją żoną. Jesteśmy za młodzi. Musiałbyś na mnie czekać, a ja umarłabym ze wstydu. Nie buntuj się, będziesz musiał kiedyś mnie porzucić. ...

Na te słowa Sylweryusz zaczął płakać. Płacz mężczyzny ma jakąś, przerażającą suchość. Mietta czując, jak łkania wstrząsają biednym chłopcem w jej objęciach, pocałowała go w twarz, zapominając, że rozpala swe wargi. To była przecież jej wina. Była głupia nie mogąc znieść tej przejmującej słodyczą pieszczoty. Nie wiedziała, dlaczego przy- I szły jej na myśl te smutne rzeczy właśnie w chwili, gdy jej ukochany całował ją tak jak nigdy dotąd, i tulił go do . swej piersi, chcąc go przeprosić za zmartwienie, które mu wyrządziła. Tych dwoje dzieci płaczących i objętych niespokojnym uściskiem potęgowało jeszcze grozę czarnej, grudniowej nocy. W dali dzwony, coraz bardziej zdyszane, głosiły nieustannie swą skargę.

.- — ^ Lepiej już umrzeć — powtarzał płacząc Sylweryusz. — Lepiej umrzeć...

\ — Nie płacz już, przebac mi. Będę silna, zrobię wszystko, co mi każesz.

Młodzieniec jednak, otarłszy łzy. rzekł: .. Masz rację, nie możemy wrócić do Plassans. Ale to nie jest chwila odpowiednia na tchórzostwo. Jeżeli wyjdziemy z walki jako zwycięzcy, pójde po ciotkę Didę i zabierzemy ją ze sobą gdzieś daleko. A jeżeli zostaniemy pokonani... Urwał.

Jeśli zostaniemy pokonani? — powtórzyła cicho Mietta.

Cóż, wtedy będzie jak Bóg da — mówił dalej Syl- .weryusz cichszym już głosem. — Mnie pewno już wtedy nie będzie, a ty pocieszysz biedną staruszkę, iak nawet bę iłże lepiej.

— Tak, masz rację — szepnęła dziewczyna. — Lepiej umrzeć.

Wobec tego pragnienia śmierci objęli się jeszcze mocniejszym uściskiem. Mietta spodziewała się, że umrze ra-

zem z Sylweryuszem; wprawdzie mówił tylko o sobie, lecz czuła, że z radością zabrałby i ją do grobu. Tam mogliby się kochać swobodniej niż w świetle słońca. Ciotka Dida też przecież umrze i połączy się z nimi. Było to jakby nagłe przecucie, życzenie pełne dziwnej żądy, którego rychłe spełnienie przyrzekało im niebo rozpaczliwymi głosami dzwonów. Umrzeć! Umrzeć! — powtarzały dzwony z ros- ; nącym uniesieniem i dwoje młodych poddawało się temu wezwaniu, płynącemu ku nim z mroku; zdawało im się, że czują przedsmak wiecznego snu w senności płynącej z cie-~ pła ich ciał i żaru ust,, które się znowu spotkały.

Mietta przestała się bronić. Przywarła teraz ustami do warg Sylweryusza, szukając natarczywie wzruszenia, kto- " rego palącej słodyczy nie mogła przedtem znieść.; Wizja bliskiej śmierci rozgorączkowała ją, nie czuła już, że się rumieni, tuliła się do. ukochanego, pragnęła doznać przed śmiercią wszystkich tych nowych rozkoszy, w których zaledwie umaczała wargi; drażniła. ją myśl, że nie będzie mogła w jednej chwili wyczerpać całej ich przejmującej, tajemniczej głębi. Czuła w zamęcie nagłe rozbudzonych zmysłów, że poza pocałunkami istnieje jeszcze coś innego, coś, co ją przerażało i przyciągało jednocześnie. Nie zamierzała już się bronić i z pozbawioną wstydu dziewczęcą naiwnością chciała błagać Sylweryusza, żeby rozv darł zasłonę. Ale on, pijany od pieczyoty, którymi go darzyła, był u szczytu szczęścia, omdlały i nie czujący żadnych innych pragnień, gdyż nie wyobrażał sobie, że mogą istnieć jeszcze wrększe rozkosze.

Kiedy Mietcie zabrakło tchu i poczuła, słabnie. dra- pieżna rozkosz ich pierwszego uścisku, szepnęła:

— "Nie chcę umrzeć, aż mnie naprawdę pokó&nWI^ Chcę, żebyś mnie kocha) jeszcze więcej..

Brakowało jej słów. Nie dlatego, że się wstydziła, ale że nie wiedziała, czego właściwie pragnie. Wstrząsała nią głuchy, wewnętrzny bunt i potrzeba zatracenia się w rozkoszy.

W niewinności swej gotowa była tupnąć nogą jak dziecko, któremu odmawia się zabawki.

— Kocham cię, kocham — powtarzał nieprzytomnie Sylweryusz.

Mietta kręciła głową, jakby chciała powiedzieć, że to nieprawda i że Sylweryusz coś przed nią ukrywa. Jej silna i wolna natura czuła instynktownie-rozrodczą siłę życia. Pragnęła poznać ją z bliska przed śmiercią rnaownie wyrażała bunt swej krwi bezładnymi ruchami rąk i załamującym się głosem.

Po chwili uspokoiła się, złożyła głowę na ramieniu chłopca i zamilkła. Sylweryusz pochyli! się i zaczął ją całować. Smakowała z namysłem jego pocałunki, szukając ich znacZefila i ukrytej w nich słodyczy. Zapytywała je, nasłuchiwała ich krążenia w swych żyłach, pragnąc dowiedzieć się, czy to już Cała miłość. W końcu ogarnęło ją znużenie i zasnęła cicho, nie przestając we śnie rozkoszować się pieczyotami Sylweryusza. Ten, otulił ją peleryną, której połę zarzucił na siebie. Nie czuli już zimna. Kiedy Syl.weriusz poznał po miarowym oddechu Mietty, że dziewczyna drzemie, poczuł się szczęśliwy z tego odpoczynku, który miał im umożliwić dźlszy marsz. Powiedział sobie, że pozwoli jej spać przez godzinę. Niebo ciągle jeszcze było czarne, tylko na wschodzie biaława smuga wskazywała na bliskość dnia. Gdzieś za nimi zaczynał się widocznie las, gdyż chłopiec słyszał harmonijny szum gałęzi poruszanych przezłfporanny wiaterek. Jęki dzwonów stawały się w drgającym powietrzu bardziej dźwięczne, kołysząc sen Mietty, tak jak przedtem towarzyszyły jej miłosnemu upojeniu.

Aż do tej niespokojnej nocy Mietta i Sylweryusz przeżywali cichą idyllę — w środowiskach robotniczych, w tym świecie wydziedziczonych, ^w świecie prostoty rodzi się jeszcze czasami taka naiwna miłość przypominająca starożytne opowieści greckie..

Mietta miała zaledwie dziewięć lat, gdy ojciec jej został zesłany na ciężkie roboty za zabicie żandarma.

Proces

Chantegreila był sławny na całą okolicę. Kłusownik przyznał się otwarcie do zbrodni, lecz przysięgał: iż żandarm celował do niego. „Ja go tylko uprzedziłem — mówił — broniłem się; to był pojedynek, a nie morderstwo”. Do końca procesu nie odstąpił od tego rozumowania. Sędzia nie zdołał mu wytłumaczyć, że o ile żandarm ma prawo strzelać do kłusownika, to kłusownik nie ma prawa strzelać do żandarma. Chantegreil uniknął gilotyny jedynie dzięki głębokiemu przeświadczeniu o swej niewinności i dotychczasowemu życiu, które było nienaganne. Płakał jak dziecko, kiedy przed przewiezieniem go do Tulonu przyprowadzono mu córkę. Dziewczynka, która już w kołysce straciła matkę, mieszkała z dziadkiem w Chavanoz, wiosce leżącej w wąwozie Seille. Po aresztowaniu kłusownika dziadek i wnuczka utrzymywali się z jałmużny. Mieszkańcy Chavanoz, którzy żyli z polowania, przyszli z pomocą ojcu i córce galernika. Starzec umarł wkrótce ze zmartwienia, zostawiając ją samą, żeby szukała po gościńcach, gdyby sąsiadki nie przypomniały sobie, że w Plassans mieszka jej ciotka. Jakaś miłosierna dusza odprowadziła ją do tej ciotki, która przyjęła dziewczynkę dość niechętnie.

Eulalia Chantegreil wyszła za mąż za dzierżawcę Rebufata. Była to wysoka, czarna i energiczna jędza, któraś trzęsła całym doinem. Na przedmieściu mówiono, że wołała męża za nos. Istotnie Rebufat, pracowity i chciwym czuł pewnego rodzaju szacunek dla tej wielkiej diablicy, niezwykle silnej, gospodarnej i oszczędnej jak rzadko.

Dzięki niej gospodarstwo rozkwitało. W dniu, kiedy po powrocie z pracy zastał w domu Mietkę, Rebufat próbował wyrazić swoje niezadowolenie, lecz żona zamknęła mu usta mówiąc swoim szorstkim głosem:

— Siedź cicho! Ta mała jest silna — będzie u nas służyła za utrzymanie i zaoszczędzimy na pensji.

Ta kalkulacja uśmiechnęła się Rebufatowi. Obmacał nawet ramiona dziewczynki, oświadczając z zadowoleniem, że jest bardzo silna jak na swój wiek. Mietka miała wówczas dziewięć lat. Od następnego dnia zaczął się nią wysługiwać. Praca chłopka na Południu jest znacznie cięższa niż na Północy. Rzadko widzi się tam kobiety zajęte kopaniem ziemi, noszeniem ciężarów i robotami wymagającymi większej siły. Wiążą one snopy, zrywają oliwki i liście morwy, a najbardziej męczącym zajęciem ich jest pielienie. Mietka pracowała wesoło. Życie na świeżym powietrzu dawało jej radość i zdrowie. Póki żyła ciotka, była wciąż roześmiana. Kobieta ta bowiem, mimo swej szorstkości, kochała ją jak własne dziecko i protestowała, gdy mąż chciał jej użyć do jakiejś ciężkiej pracy:

— Ładny z ciebie gospodarz! Czy nie rozumiesz, głupcze, że jeżeli dzisiaj zanadto ją zmęczysz, to jutro nie będzie mogła nic robić?

Ten argument był decydujący. Rebufat pochylał głowę i brał sam ciężar, który miał właśnie zamiar złożyć na barki dziewczyny.

Ona zaś wzrastała zupełnie szczęśliwa pod dyskretną opieką ciotki Eulalii, gdyby nie dokuczliwość kuzyna, szesnastoletniego chłopaka, który nie mając nic innego do roboty prześladował ją uporczywie. Oczerniał ją przed ojcem i cieszył się, kiedy tamten gniewał się na dziewczynkę. Następował jej na nogę albo popychał brutalnie udając, że jej nie zauważył; śmiał się przy tym jak człowiek, któremu cudze cierpienie sprawia przyjemność. Mietka spoglądała nań wówczas swymi wielkimi, czarnymi oczami dziecka, a jej spojrzenie, pełne gniewu i milczącej dumy, mroziło wesołość tchórzliwego wyrostka. W głębi duszy bał się straszliwie kuzynki.

Kiedy dziewczynka miała prawie jedenaście lat, ciotka Eulalia nagle umarła. Od tej chwili wszystko się zmieniło. Rebufat zaczął traktować Mietkę jak parobka. Zrzucił na jej ramiona najcięższą pracę i posługiwał się nią jak zwierzęciem pociągowym. Ona zaś nie skarżyła się nawet, gdy wydawało jej się, że ma do spłacenia dług wdzięczności. Wieczorem, na pół żywa ze zmęczenia, opłakiwała śmierć

ciotki, której ukrytą dobroć dopiero teraz oceniła. Zresztą praca, nawet ciężka, nie odstraszała jej; lubiła siłę i była dumna ze swoich mocnych ramion i szerokich pleców. Dokuczał jej jedynie nieufny dozór wuja, jego nieustanne wymówki i poza zagniewanego pana, jaką przybierał. Stała się obca w tym domu, ale obchodzono się z nią gorzej . niż z kimś obcym. Rebufat bez skrupułów wykorzystywał ubogą krewną, którą zatrzymał u siebie przez wyrachowā- nie o pozorach litości. Pracā swojā opłacała dziesięciokrot- J nie tę twardā gościnię, ale nie było dnia, aby nie wymawia- no jej chleba, który jadła. ZwJaszcza Justyn celował w do? kuczaniu jej. Po śmierci matki, widząc, że dziewczynka jest . bezbronna, wysilał całą swā złośliwość, żeby zatruć jej życie. Ze szczególnym upodobaniem torturował ją opowiadaniem ojej ojcu. Biedna dziewczyna, żyjąc w odosobnieniu pod opiekā ciotki, która zabroniła wymawiać w jej obecności ■ słowa dożywocie i galernik, nie rozumiała ich znaczenia. Dopiero Justyn objaśnił jej ich sens, opowiadając po swojemu o zabójstwie żandarma i skazaniu Chantegreila. Lubował się w przytaczaniu wstrząsających szczegółów: skazańcy mieli kulę u nogi, pracowali po piętnaście godzin f dziennie, umierali z wyczerpania. Dokładnie opisywał jej ponure życie galerników, rozkoszując się tym, a ona słuchała go z zapartym tchem i oczami pełnymi łez. Czasami chwycił ją gniew i wówczas Justyn cofał się pospiesznie na widok jej zaciśniętych pięści. Kiedy Rebufat lajał dziewczynkę za najdrobniejsze choćby przewinienie, Justyn przyłączał się natychmiast do ojca, rad, że może dokuczać jej bezkarnie. A jeżeli próbowała się bronić, mówił:

— Tyle jesteś warta co i twój ojciec i też na pewno skończysz w więzieniu.

Mietta szlochała, ugodzona w samo serce, pełna wstydu i bezsilna. ^{str}

Dziewczynka zaczęła dorastać. Przedwcześnie dojrzała, okazywała niezwykłą odporność psychiczną. Czasem tylko, gdy obelgi kuzyna zbyt silnie zraniły jej dumę, zdarzały

68

jej się chwile załamania. Na ogół jednak znosiła bez łez dotkliwe zaczepki tego tchórza, który, kiedy jej dokuczał, śledził spod oka każdy jej gest w obawie, że może go uderzyć. Nauczyła się zmuszać go do milczenia wpatrując się weń uporczywie. Kilkakrotnie miała chęć uciec Z Jas-Meif- fren. Nie uczyniła tego jednak przez wrodzone męstwo, nie mogąc pogodzić się z myślā, że miałyby ustąpić wobec prześladowań, na jakie była narazona. Wiedziała, że zarabia na chleb* który je, że nie korzysta z łaski Rebufata, i ta świadomość wystarczała jej wewnętrznej dumie. Została więc, aby walczyć dalej, nastawiona na stały opór. Pracowała w milczeniu, niemā pogardā mszcząc się za złe słowa. Zdawała sobie sprawę, że jej praca przynosi wujowi zbyt wiele korzyści, aby dał on posłuch insynuacjom Justyna, który marzył o tym, aby ojciec wyrzucił ją z domu. W jej upartym postanowieniu pozostania w Jas-Meifren tkwił rodzaj wyzwania.

Dobrowolne milczenie Mjetty kryło w sobie wiele dziwnych rozmyślań. Spędzając całe dnie. przy gospodarstwie, odcięta od świata, wzrastała pełna buntu, a jej poglądy zgorszyłyby na pewno poczciwych mieszkańców przedmieścia. Z uporem powracała w myślach do łosu, jaki spotkał jej ojca. Przypominała sobie złe słowa Justyna; pogodziła się wreszcie z zarzutem morderstwa, mówiąc sobie, że ojciec miał prawo zabić żandarma, który mierzył do niego. Przebieg wydarzenia znany jej był z ust pewnego robotnika rolnego, który pracował kiedyś w Jas-Meifren. Od kiedy dowiedziała się prawdy, przestała zwracać uwagę na zaczepki łobuzów 7. przedmieścia, którzy widząc ją przechodzącā ulicā biegli za nią i krzyczeli:

— O, o! Mała Chantegreil!

Przyspieszała wtedy tylko kroku zaciskając wargi, a oczy jej ciemniały posępnie. Kiedy zamykała Za sobą żelazną kratę bramy wejściowej, rzucała ulicznikom jedno długie spojrzenie. Stałyby się zła, zacięłyby się w posępnym buncie pariasa, gdyby nie to, że była jeszcze dzieckiem.

69

Miewała napady płaczu, które przynosiły jej ulgę. Płakała wstydząc się za ojca i za siebie. Kryła się w stajni, żeby móc wypłakać się do woli, rozumując słusznie, że gdyby zobaczono jej łzy, dręczono by ją jeszcze bardziej. Kiedy się wypłakała, szła do kuchni obmyć sobie oczy i znów przywdziewała swą milczącą maskę. Popychał ją do tego nie tylko instykt samoobrony, ale i duma, która nie pozwalała jej uchodzić w oczach innych za dziecko. Gdyby taki stan rzeczy potrwał dłużej, byłaby na pewno zgorzkniała. Uratowało ją przed tym nowe, tkliwe uczucie, którego łaknęła jej natura.

" Studnia, znajdująca się na podwórzu za domem zamieszkiwanym przez ciotkę Didę i Sylweryusza, była studnią graniczną. Mur Jas-Meiffren przecinał ją na pół. Dawniej, nim ziemie Fougue'ów zostały przyłączone do sąsiedniego majątku, korzystano z niej .eo dzień. Z chwilą jednak gdy posiadłość Fouque^w włączono/ do Jas-Meiffren, służba folwarczna, mając do dyspozycji obszerne rezerwuary, nie kwapiła się czerpać wodę z odległej studni. Za to z drugiej strony muru dolatywał codziennie skrzyp żurawia: to Sylweryusz ciągnął wodę potrzebną ciotce Didzie do gospodarstwa.

Pewnego dnia żuraw się złamał. Młody cieśla sporządził sam pięknego i mocnego żurawia z dębiny, który założył wieczorem po robocie. Musiał w tym celu wejść na muf. Kiedy skończył swą pracę, posiedział jeszcze chwilę na murze, odpoczywając i ciekawie oglądając rozległe tereny Jas-Meiffren. Jakaś dziewczyna, pieląca nie opodal zielsko, zwróciła jego uwagę. Był lipiec i skwar, mimo że słońce stało już na samym skraju horyzontu.

Dziewczyna zdjęła serdak. W białym gorseciku, w kolorowej chustce narzuconej na ramiona, z podwiniętymi do łokcia rękawami koszuli przysiadła w fałdach swej niebieskiej bawełnianej spódnicy, przytrzymywanej przez dwie szelki, skrzyżowane z tyłu. Posuwała się na kolanach, energicznie, wyrывая zielsko, które wrzucała do koszyka.

Młodzieniec widział tylko jej nagie, opalone ręce, wyciąga- gające się to w prawo, to w lewo, by chwycić jakiś zapomniany chwast. Z przyjemnością wodził ła nimi wzrokiem, podziwiając ich jędrność i zwinne ruchy. Słyszając, że przestał pracować, podniosła na chwilę głowę, lecz opuściła ją natychmiast, zanim zdołał dojrzeć jej rysy. Ta płochliwość zaciekawiła go. Zastanawiając się, kim może być ta dziewczyna, pogwizdywał machinalnie i wybijał takt dłutem, które trzymał w ręku. Nagle dłuto wyśliznęło mu się na Cembrowinę studni od strony Jas-Meiffren, odbiło od niej i upadło na ziemię o kilka kroków od muru. Sylweryusz pochylił się nie wiedząc, co robić. Dziewczyna .spoglądała widać na niego spód oka, gdyż wstała, podniosła dłuto r podała'mu je bez słowa; Zobaczył wówczas, że to jeszcze dziecko. Zdziwiło go to i onieśmieliło nieco. Dziewczynka stała przed-nini w czerwonych blaskach zachodu. Mur byi w tym miejscu niski, lecz i tak ją przewyższał. Sylweryusz . wyciągnął się na jego. krawędzi, zaś mała wieśniaczka wspięta się na palce. Przyglądali się sobie w milczeniu, l uśmiechnięci! zmieszani. Chłopiec sycił się widokiem dziew- czątka, które wznosiło ku niemu prześliczną główkę o wielkich, czarnych oczach i czerwonych ustach. Czuł się wzruszo- | ny I zdziwiony jednocześnie. Nigdy dotąd nie widział z bliska żadnej dziewczynki i nie wiedział, że w ■.oczach i ustach może kryć się tytfe uroku. Wszystko wydało mu się pełne nieznanego czaru — kolorowa chusteczka, biały gorsecik i błękitna, bawełniana spódniczka, którą przytrzymywały szelki, napięte teraz przez ruch jej ramion. Spojrzenie jego przesunęło- się wzdłuż ręki podającej mu narzędzie: ramię aż do łokcia było złocistobrazowe, jakby odziane opalenizną, lecz dalej W cieniu zawiniętego rękawa dostrzegł naga, l.rągłość o mlecznej bieli. Zmieszał się, pochylił jeszcze bardziej i zdołał wreszcie uchwycić dłuto. Mała wieśniaczki również była zakłopotana. Pozostali tak przez chwilę, uśmiechając się do siebie dziewczynka z twarzą ku górze, chłopiec zaś na wpół leżąc na kra

wędzi .muru. Nie wiedzieli, jak mają się rozstać. Nie zamienili dotąd ani słowa. Sylweryusz zapomniał nawet powiedzieć „dziękuję”.

— Jak się nazywasz? — zapytał.

— Maria — odparła ale wszyscy mówią na mnie Mietta.

Uniosła, się jeszcze trochę na palcach i zapytała z kolei swym dźwięcznym głosem:

i — A ty? Ja się nazywam Sylweryusz — odparł młody robotnik.

Zapadła cisza, w której oboje zdawali się z przyjemnością wsłuchiwać w dźwięk swych imion.

— Ja mam piętnaście lat jżl podjął Sylweryusz. — A ty?

— Ja — odrzekła Mietta — skończę jedenaście na Wszystkich Świętych.

Chłopiec uczynił ruch pełen zdziwienia.

— I pomyśleć tylko — rzekł śmiejąc się — że ja wziąłem cię za dorosłą kobietę!... Masz silne ręce... |v

Ona także zaczęła się śmiać, kierując wzrok ku swym rękóm. Zamilkli i w dalszym ciągu przyglądali się sobie, z uśmiechem.

Po chwili sądząc, że Sylweryusz o nic już nie zamierza jej pytać, Mietta odeszła z powrotem do pielienia chwastów. On został jeszcze chwilę na murze. Słońce zachodziło; Złota.' struga światła spływała na ziemię Jas-Meiffren, wznecając na nich pożar. Na tym płomienistym kobiercu Sylweryusz widział schyloną postać dziewczynki, której ręce poruszały się szybko; niebieska bawełniana spódniczka nabierała barwy białej, błyski światła muskały opalone ramiona. Chłopiec zawstydził się nagle i zszedł z muru. .

Zaintrygowany swą przygodą, Sylweryusz usiłował wieczorem dowiedzieć się czegoś od ciotki Didy. Może знаła ona tę Miette o czarnych oczach> czerwonych ustach? Od kiedy jednak zamieszkała w domeczku Macquarta, ciotka Dida ani razu nie rzuciła okiem na drugą stronę muru. Toteż nie wiedziała i nie chciała wiedzieć, co działo się

teraz po drugiej stronie muru, w dawnej posiadłości Fou- que'ów, gdzie pogrzebała swą miłość, serce i ciało. Słyszając pytania Sylweryusza spojrzała nań z dziecinnym przerażeniem. Czyżby i on także chciał poruszać popioły tych zagasłych dni i dręczyć ją jak Antoni?

— Nie wiem — odparła szybko — nie wychodzę z domu i nie widuję nikogo...

Sylweryusz oczekiwał następnego dnia z pewną niecierpliwością. Skoro tylko zjawił się w warsztacie, zaczął wypytywać kolegów. Nie opowiedział im swego spotkania z Miettą, wspominając tylko niewyraźnie o jakiejś dziewczynie, którą zobaczył z daleka w Jas-Meiffren.

Ach, to mała Chantegreill — wykrzyknął jeden z robotników.

I nie czekając na pytania Sylweryusza, koledzy opowiedzieli mu historię kłusownika i jego córki Mietty; w słowach ich czuło się ślepą nienawiść tłumy dla pariasów. Zwłaszcza o dziewczynie wyrażali się ze szczególną pogardą, a obelga „córka galernika" stale wracała na ich usta niby argument nie do odparcia, skazujący biedną dziewczynkę* na wieczną hańbę.

Stelmach Vian, człowiek porządny i uczciwy, kazał im I wreszcie zamilknąć.

— Dostyc już tych oszczerstw — powiedział odkładając dyszel, który oglądał. — Nie wstyd wam zawzinać się tak na biedne dziecko? Widziałem tę małą i mówię wam, że wygląda na porządną dziewczynę. A słyszałem też, że nie boi się roboty i pracuje jak dorosły. Więcej jest warta od leniuchów, którzy ją obgadują. 2yc2ę jej, żeby dostała dobrego męża, który by zamknął usta plotkarzom.

Sylweryuszowi, którego zmroziły grubiaństwa robotników, łzy napłynęły do oczu, gdy usłyszał to zdanie. Nie odezwał się zresztą ani słowem. Wziął młotek, który położył obok siebie, i zaczął z całych sił uderzać w piastę koła.

Wieczorem, skoro tylko wrócił do domu, wdrapał się na mur. Zastał Miette przy tym samym zajęciu co wczoraj.

Zawołał ją. Podeszła do niego z zawstydzonym uśmiechem, pełną wdzięku płochliwością dziecka, które wzrosło wśród łez.

V- Ty jesteś mała Chantegreil, prawda? —r zapytał bez wstępów. •

Cofnęła się, uśmiech jej zniknął, oczy pociemniały nieufnością. Więc ten chłopiec też zamierza obrażać ją tak jak inni? Odwróciła się od niego, bez słowa. Sylweryusz, przestraszony nagłą zmianą w jej twarzy, dorzucił-
pośpiesznie:

—Nie odchodź, proszę cię... Nie będę ci dokuczał. Mam ci tyle do powiedzenia.

Zawróciła, nieufna jeszcze. Sylweryusz, który obiecywał sobie, że zwierzy jej się z tego, co wypełniało mu serce, milczał nie wiedząc, od czego zacząć, obawiając się popełnić jakąś nową niezręczność. W końcu wszystkie uczucia zawała w jednym zdaniu, ■ |

'—' Czy chcesz, żebym został twoim przyjacielem? — zapytał wzruszonym głosem.

Mietta, zdziwiona, podniosła na niego oczy wilgotne i znów uśmiechnięte, a on ciągnął żywo:

— Wiem, że ci dokuczają. To musi się skończyć. Będę cię zawsze bronił, chcesz?

Dziewczynka promieniała. Ta nagle zaofiarowana przyjaźń uwolniła ją od ciężaru milczącej nienawiści,;
jaki dźwigała dotąd. Potrząsnęła jednak głową i odparła: I —; Nie, nie "chcę, żebyś Się o mnie bił. Miałbyś za
cłuzo roboty. A zresztą są ludzie, przed którymi nie możesz mnie ęferouić.

Sylweryusz chciał krzyknąć; że będzie jej bronił przed całym światem, lecz ona pieszczotliwym gestem zamknęła mu usta dodając:

— Wystarczy mi, że będziesz moim przyjacielem.

Rozmawiali jeszcze kilka minut, zniżając głos do jak najcichszego szeptu, Mietta opowiedziała Sylweryuszowi o wuju i kuzynie. Bała się, żeby nie zobaczyli go przypadkiem na murze. Dałoby to Justynowi broń do ręki. Opowiadając o swych obawach z przerażeniem uczennicy spotykającej przyjaciółkę, z którą matka zabroniła jej rozmawiać. Sylweryusz zrozumiał tylko, że nie będzie mógł widywać; Mietty, kiedy zechce. Zasmuciło go to bardzo. Obiecał jednak nie wchodzić już na mur. Zastanawia); się właśnie oboje, gdzie i kiedy mogliby spotkać się znowu, gdy nagle Mietta zaczęła błagać Sylweryusza, żeby się oddalił: dostrzegła Justynę zmierzającego w stronę studni. Sylweryusz zszedł pośpiesznie i stanął pod murem nasłuchując, zły, że uciekł. Po kilku chwilach odważył się wspiąć znowu | rzucić okiem na Jas-Meiffren; ujrzał Justynę rozmawiającego z Miettą i czym prędzej cofnął głowę. Nazajutrz nic udało mu się zobaczyć swej przyjaciółki, nawet z daleka. Widocznie skończyła już robotę w tej części Jas. Minoł tydzień, a dwoje przyjaciół nie miało okazji zamienić ze sobą ani słowa. Sylweryusz był w rozpacz; miał chęć pójść do Rebufatów' i śmiało zapytać o Miettę.

Wspólną studnia była duża, lecz bardzo płytka. Cembrowina jej zaokrągląła się po obu stronach muru w szerokie półkola. Wierzch studni dzieliło od powierzchni wody najwyżej trzy lub cztery metry. W jej nieruchomej tafli odbijały się obydwa otwory studzienne, dwa półksiężyce, które cień muru oddzielał czarną kresą. Pochylając się nad studnią można było pomyśleć, że ma się przed sobą dwa zwierciadła, połyskujące w półmroku. W słoneczne ranki, kiedy krople spadające z lin nie mąciły powierzchni wody, zwierciadła te, srebrne na tle zielonej wody, odbijały 2 dziwną dokładnością liście ł gałęzie bluszczu pnącego się po murze.

Pewnego ranka, o bardzo wczesnej porze, Sylweryusz przyszedł zaczerpnąć wody dla ciotki Didy. Chwyając za sznur, machinalnie pochylił się nad studnią. Nagle zadrżał i pozostał schylony. Wydało mu się, że w głębi studni ujrzał twarz Mietty patrzącej nań z uśmiechem; lecz w zmaconej ruchem sznura wodzie obraz się zatarł. Chłopiec czekał, aż powierzchnia jej wygładzi się i powroitem

Nic śmiać się poruszyć, serce biło mu mocno. W miarę jak koła na wodzie rozszerzały się i ginęły, obraz ukazywał się znowu.- Drgania fali zamazywały jego kontury i doda- Iwały mu uroku jakiegoś niezmiernego zjawiska. Kiedy [ustały, Sylweryusz dostrzegł uśmiechniętą twarz Mietty, jej ramiona, kolorową chustkę, białe gorsceki i niebieskie szelki. W drugim zwierciadle zobaczył swe własne odbicie. Zorientowali się więc, że widzą się nawzajem, i skinęli sobie głową. Z początku spoglądali na siebie w milczeniu. Po chwili przywitani się.

— Dzień dobry, Sylweryuszu.

— Dzień dobry, Mietto.

Zdziwiło ich obce brzmienie własnych głosów. Wilgotna głęb studni przytłumiła je i nadała im szczególną miękkość. Wydało się, że dochodzą z bardzo daleka, śpiewne, jak głosy słyszane wieczorem na polu. Zrozumieli, że mogą mówić szeptem. Studnia odbijała najłżejsze tchnienie. Wsparci łokciami o cembrowinę, pochyleni, zaczęli rozmawiać patrząc na siebie. Mietta opowiedziała, ile miała przykrości w ciągu tygodnia. Pracowała teraz na drugim końcu Jas i tylko wczesnym rankiem mogła wymknąć się tutaj. Mówiąc to zrobiła pogardliwą minę, którą Sylweryusz doskonale zobaczył i na którą odpowiedział gniewnym potrząśnięciem głowy. Zwierzali się sobie, jakby znajdowali się twarzą w twarz, gestami i mimiką ilustrując swe słowa. Cóż dla nich teraz znaczył dzielący ich mur, skoro widzieli się nawzajem w dyskretnym zwierciadle wody. :

— Wiedziałam — mówiła dalej z chytrą miną Mietta — że ty codziennie przychodzisz po wodę o tej samej porze. Słyszę z domu, jak skrzypi żuraw. Wymyśliłam więc jakiś pretekst, powiedziałam, że w studziennej wodzie lepiej się gotują jarzyny. Postanowiłam przychodzić po nią rano o tej samej porze co ty, żebyś mógł powiedzieć ci dzień dobry, "w tajemnicy przed wszystkimi.

Roześmiała się jak dziecko zadowolone z figła i zakończyła:

— Ale nie przypuszczałam, że zobaczymy się w wodzie.

Oboje byli tym zachwyceni. Mówili tylko po to, żeby widzieć, jak poruszają się ich wargi, po dziecinnemu ciesząc się tą niespodziewaną zabawą. Przrzekli sobie uroczyście nie spóźnić się nigdy na poranne spotkania. Wreszcie Mietta oświadczyła, że musi iść i że Sylweryusz może już zaczerpnąć wody. On jednak nie śmiać poruszyć sznurem: Mietta trwała pochylona, widział jej uśmiechniętą twarz i zbyt wiele kosztowałoby go zatarcie tego uśmiechu. Przy pierwszym lekkim wstrząsie woda zadrżała i uśmiech Mietty przybladł. Sylweryusz zatrzymał się przejęty dziwną trwogą: tfyobraził sobie, że zrobił jej jakąś przykrość i dlatego płacze. Lecz dziewczyna wołała. „No, prędzej, prędzej!" ze śmiechem, który echo przedłużało jeszcze i pogłębiało. Jednocześnie sama opuściła hałaśliwie swoje wiadro. Powstała: istna nawałnica. Wszystko znikło pod czarną wodą. Sylweryusz zdecydował się więc wreszcie napęlić swoje dwa dzbany łowiąc uchem odgłos kroków Mietty, oddalającej się po drugiej stronie muru.

Od tego dnia Sylweryusz i Mietta nie opuścili ani jednego spotkania. Stojąca woda, dwa lśniąco zwierciadła, w których oglądali swoje odbicia, dodawały tym schadzkom nieskończonego uroku, który całkowicie zaspokajał ich dziecinny wyobraźnię. Nie pragnęli znaleźć się twarzą w twarz; znacznie zabawniejsze wydawało się im uważać studnię za lustro i powierzać jej echu poranne pozdrowienia. Wkrótce stała się ona ich przyjaciółką. Lubili pochylać się nad ciężką, nieruchomą powierzchnią wody, podobną do rozlanego srebra. W dole, w tajemniczym półmroku przebiegały zielone błyski, które nadawały tej wilgotnej czeluści wygląd kryjówki zagubionej wśród krzewów. Widzieli się nawzajem jakby w jakimś zielonym gnieździe wysłanym mchem, wśród świeżości bijącej otl wody i listowia. Urok czegoś nieznanego, jakim tchnęła ta głęb, nad którą pochylali się z dreszczem niepokoju, zaprawiał ich radość

skrytym f rozkosznym uczuciem lęku. Przychodził im cza-, sem do głowy szalony pomysł, żeby spuścić się do studni i usiąść na kamiennym występie, tworzącym rodzaj okrągłej lawy w odległości kilku centymetrów ponad powierzchnię: chniać wody: zanurzyliby w niej stopy i rozmawiali godzi- nami, a nikomu nie przyszłoby do głowy szukać ich tutaj. - Kiedy jednak zaczęli się zastanawiać, co też tam może być na dole, powracał nagle ów nieokreślony lęk i docho-J dzili do wniosku, iż wystarczy, że same ich odbicia zstępują w tę otchłań, pomiędzy ślizgające się po kamieniach zielone błyski i dobywające się z ciemności tajemnicze szniery. " Zwłaszcza te szmery, nadpływające ku nim z niewidzialnej- otchłani, napępniały ich niepokojem; często zdawało im się, że jakieś głosy odpowiadają ich własnym; milkli wówczas i słyszeli tysiące cichych skarg, których nie umieli sobie wyr tłumaczyć — odgłosy/ podziemnego działania wilgoci, _ szmer powietrza, podobny do szłochu dźwięk spadających kropel. Zchy nabrać odwagi, kiwali do siebie serdecznie głowami. Urok przykuwający ich do tego miejsca miał W sobie posmak grozy.

Lecz studnia pozostała ich przyjaciółką. Nie mogli-mieć lepszego pretekstu do codziennych spotkań! Pośpiech, z jakim Mietta biegła każdego ranka po wodę, nigdy nie nasunął szpiegującemu dziewczynkę Justynowi żadnych podejrzeń. Czasem widział z daleka, jak pochyła się nad studnią i nie odchodzi od niej długo. „A to leniuch dziewczucha — mruczał — zabawia się robieniem kółek na wodzie". Skądże mógłby przypuszczać, że po drugiej stronie muru stał jej wielbiciel i patrząc w odbity w wodzie uśmiech Mietty mówi! właśnie: „Jeżeli ten ryży osioł Justyn znowu ci będzie dokuczał, powiedz mi, a już ja go nauczę!"

Zabawa ta trwała przeszło miesiąc. Nadszedł lipiec; w rozpalone do białości poranki Mietta i Sylweryusz z rozkoszą chowali się w wilgotnym zakątku. Przyjemnie było chłodzić twarz lodowatym tchnieniem studni i powierzać swą miłość źródlanej wodzie, gdy niebo obejmował pożar. Mietta nadbiegała po ściernisku, zadyszana, z rozwianymi włosami; ledwie zdążyła postawić dzban, schylała się nad studnią, zarumieniona, roześmiana, z włosami w nieładzie. Sylweryusz, który zazwyczaj pierwszy przybywał na spotkania, doznawał — widząc w wodzie jej uśmiechnięte odbicie i rozbawiony pośpiech — takiego uczucia, jak gdyby na zakręcie jakiejś ścieżki Mietta rzuciła mu się nagle w ramiona. Otaczał ich radosny śpiew poranka, ciepła struga słonecznej jasności, rozedrgana brzęczeniem owadów, spływała po starym murze, słupach i cembrowinie. Oni jednak nie dostrzegali porannej powodzi światła i nic słyszeli tysiąca głosów dobywających się z ziemi; ukryci w zielonym cieniu, drżąc z radości rozkoszowali się chłodem i półmrokiem tego tajemniczego i trochę niesamowitego miejsca.

Czasem Mietta, którą nużyło zbyt długie wpatrywanie się w wodę, zaczynała przekomarzać się z Sylweryuszem — poruszała sznurem, otrząsała krople, które marszczyły gładką powierzchnię zwierciadeł i zniekształcały odbite w nich obrazy. Sylweryusz błagał ją wtedy, żeby przestała. Bardziej skupiony z natury, lubił przyglądać się spokojnie wiernemu odbiciu twarzy przyjaciółki i rozkoszować czystością jej rysów. Ona jednak nie chciała go słuchać, żartowała, mówiła umyślnie grubym głosem, któremu ecno nadawało chrypliwą łagodność.

§|||k Nie, nie ~ burczała — dzisiaj cię nie lubię i krzywię się do ciebie — spójrz, jaka jestem brzydka!

Bawił ją widok ich własnych twarzy, powiększonych i zniekształconych ruchem wody.

Pewnego ranka pogniewała się na dobre. Nie zastała f Sylweryusza na umówionym miejscu i na próżno czekała na niego przez blisko kwadrans, skrzypiąc żurawiem. Miała już i właśnie odejść, zniecierpliwiona, kiedy zjawił się wreszcie. I Widząc go. rozpętała istną burzę w studni: poruszała gnie- Iwnie wiadrem, czarna woda pieniała się i uderzała głucho |o kamienne ściany. Daremnie Sylweryusz usiłował jej wy

tłumaczyć, że zatrzymała go ciotka Dida. Na wszystkie perswazje odpowiadała tylko:

— Zrobiłeś mi przykrość i nie chcę cię widzieć!

Biedny chłopiec pochyłał się z rozpaczą nad ciemną czeluścią, pełną żalonych odgłosów, w której zazwyczaj wśród milczenia uspiętej wody witał go jasny obraz ukochanej. Musiał odejść nie zobaczywszy Mietty. Nazajutrz przyszedł na spotkanie przed umówioną godziną i melan- cholijnie wpatrywał się w studnię. Panowała cisza, Sylweryusz przypuszczał więc, że uparte stworzonko postanowiło nie przyjść tego dnia. Tymczasem przyczajona po drugiej stronie muru dziewczynka pochyliła się nagle nad studnią, wybuchając śmiechem. Wszystko poszło w niepamięć.

Studnia współuczestniczyła w dramatach i komediach, które rozgrywały się nad jej brzegiem. To szczęśliwe miejsce, ze swymi gładkimi zwierciadłami i melodyjnym echem, dziwnie przyspieszyło rozwój ich wzajemnych uczuć. Ożywili je i do tego stopnia nasycili swą miłością, że później, kiedy już przestali się tu spotykać, Sylweryuszowi, kóp[^] co rano czerpał wodę, wydawało się, gdy spojrzał w eaąb, iż w półmroku drżącym jeszcze od ich dawnej radośj/widać roześmianą twarz Mietty.

Ten miesiąc radosnej serdeczności wyrwa) Miettę z jej milczącej rozpacz. Poczula, że odżywa w niej szczęśliwa beztroska dzieciństwa, zmrożona pełną nieeświści samotnością, w jakiej żyła dotąd.

Świadomość, że ktoś ją kocha, że nie jest sama na świecie, pązwalała jej znosić cierpliwie prześladowania Justyna i łobuzów z przedmieścia. W sercu jej brzmiała pieśń, która zagłuszała ich krzyki. O ojcu myślała teraz z pełną tkliwości litością i nie oddawała się już tak często marzeniom o nieubłaganej zemście. Rodząca się w jej sercu miłość była jak chłodny powiew świtu, który koł jej gorączkę. Jednocześnie odezwała się w niej przebiegłość. Zrozumiała, że aby nie wzbudzić podejrzeń w Justynie, musi nadal zachować postawę pełną milczącego buntu. Mimo wysiłków nie potrafiła jednak, kiedy jej dokuczał, spojrzeć na niego swym dawnym, twardym spojrzeniem. Przy śniadaniu nuciła czasem pod nosem. Słyszac to Justyn przygląda! jej się podejrziwie i mówił:

— Oho, coś za wesola jesteś Chantegreil! Założę się, że 2nów zrobiłaś coś złego.

Wzruszała ramionami, drząc jednak wewnątrz, i czym pTędej starała się przybrać wyraz twarzy zbuntowanej męczennicy. Justyn domyślał się wprawdzie, że jego ofiara wymyka mu się, dużo jednak czasu upłynęło, zanim odkrył źródło jej tajemnej radości.

Sylweryusz również doznawał uczucia głębokiego szczęścia. Codzienne spotkania z Miettą wypełniały mu pustkę godzin spędzanych w domu. W czasie długich, milczących sam na sam z ciotką Didą pograżał się we wspomnieniach i rozpamiętywał najdrobniejsze szczegóły porannych spotkań z Miettą. Pełnia przeżyć wewnętrznych wzmagala w nim zamilowanie do samotności. Bardziej niż kiedykolwiek pociągały go teraz odludne zakątki, gdzie mógł spokojnie oddawać się rozmyślaniom. Obfita i nie zawsze dostatecznie przetrawiona lektura rozbudziła w nim pragnienia, które — gdyby nie znalazł ujścia dla swych uczuć — mogły być wprowadzić zamęt do jego umysłu. Na szczęście pojawiła się Mietta. Z początku traktował ją jak koleżankę, a później stała Się ona radością i celem jego życia. Wieczorem, gdy znalazł się W swej komórce i zawiesił lampkę nad łóżkiem, odnajdywał Miettę na każdej stronie zakurzonych tomików, które brał na chybił trafił z półki nad głową. Ilekroć czyta>ąc natrafiał na opis młodej dziewczyny, pięknej i dobrej, natychmiast widział w niej swoją ukochaną. I wtedy sam również występował na scenę. Jeżeli była to jakaś historia romantyczna, poślubiał Miettę w zakończeniu lub ginął wraz z nią. Ale nawet jeżeli czytał jakiś pamflst polityczny lub poważną rozprawę z dziedziny ekonomii — a tego rodzaju książki, zgodnie z dziwnym zamilowaniem niedouków do trudnej

lektury, interesowały go bardziej od powieści — potrafił powiązać je z osobą Mietty. Wierzył, że nauczą go one, jak ma być dla niej dobry i kochający, kiedy już będą po ślubie. Jej postać stała się częścią jego rozmyślań. Czystość uczuć chroniła go przed wpływem rycin ilustrujących niektóre opowiadania z XVIII wieku, jakie wpadły mu w ręce. Najchętniej oddawał się rozważaniom o powszechnym szczęściu, wyśnionym dla ludzkości przez wielkie umysły naszego stulecia. W rozważaniach tych Mietta również miała swe miejsce. Łączył ją w myślach z ostatecznym triumfem rewolucji i uwolnieniem ludzi od nędzy. Były to noce wypełnione po brzegi gorączkowym czytaniem książek, od których nie iriógł się oderwać; noce pełne rozkosznego podniecenia, którym sycił się aż do białego dnia, jak zakazany trunkiem, wtłoczony w cztery ściany swej celki, z oczami piekącymi. Od bezsenności, budując w marzeniach nowe społeczeństwo, w którym kobieta — zawsze o rysach Mietty — otoczona była należnym szacunkiem. Pewne wpływy dziedziczne uczyniły go szczególnie podatnym do oddawania się utopiom; rozprężenie nerwowe babki przemieniło u niego w chroniczny entuzjazm i pęd ku wszystkiemu, co wspaniałe i nieosiągalne. Samotne dzieciństwo i połowiczne wykształcenie rozwinęły w nim jeszcze te wrodzone skłonności. Był jednak zbyt młody, aby jakaś idea fixe mogła wypełnić całe jego życie. Rano obmywał się w wiadrze wody i natychmiast zapominał o nocnych marzeniach pełnych h- i- iwnęj wiary i ogromnej tklivości. Na nowo stawał się dzieckiem. Biegł do studni spragniony uśmiechu ukochanej i radości promiennego ranka. Jeżeli zaś zdarzało się, że w ciągu dnia zamyślił się o przyszłości, to często — ulegając nagłemu napływowi uczucia — ■ calował! wtedy ciotkę Didę w oba policzki, a ona spoglądała mu w oczy i zdawało się, że ich pogoda i radość niepokoi ją, coś jej przypomina.

Mielcie i Sylwefuszowi sprzykrzyło się tymczasem oglądanie swych odbić. Nie wystarczała im już ta zabawa i marzyli o przyjemnościach bardziej intensywnych i uchwyt- nych, których nie mogła dostarczyć im studnia. Pragnęli znaleźć się twarzą w twarz, biegać razem po polach, wracać objęci ramionami i przytuleni do siebie, aby żywiej poczuć swą przyjaźń. Sylwefusz zaproponował pewnego ranka, że przejdzie przez mur i zacznie spacerować z Miettą po Jas, lecz dziewczynka błagała go, aby nie popełniał tego szaleństwa, które wydałoby ją na łup Justyna. ObfecaJ więc wymyślić coś innego.

Mur, ciągnący się z dwóch stron studni, zakrecał gwałtownie, o kilka kroków dalej tworząc rodzaj wgłębienia, w którym zakochani znaleźliby osłonę przed cudzym wzrokiem, gdyby udało im się tam schronić. Chodziło o to, żeby dostać się do tego zakątka. Sylwefusz porzucił swój projekt przejścia górą przez mur widząc, jak przeraził on Miettę. W tajemnicy żywił jednak inny. W tym zapomnianym kącie Jas-Meiffren w dalszym ciągu tkwiła furtka, którą Macqart i Adelajda wybili pewnej nocy, i nikt nie pomyślał o tym, żeby ją zamurować. Poczerniała od wilgoci, pozieleniała od mchu, z zamkiem i zawiasami przeżartymi rdzą, stała się jakby częścią muru. Któż od niej zapewne zaginął: wysoka trawa, rosnąca u jej stóp, świadczyła o tym, że od wielu lat nikt tędy nie przechodził. Sylwefusz liczył, że uda mu się odnaleźć ten zgubiony klucz. Wiedział, z jakim nabożeństwem ciotka Dida przechowuje relikwie przeszłości. Przez tydzień na próżno przeszukiwał mieszkanie. Co noc skradał się do furtki, żeby się przekonać, czy klucze, które wpadły mu w ręce w ciągu dnia, pasują do niej. Wypróbował ich w ten sposób przeszło trzydzieści, pochodziły zapewne wszystkie z dawnej posiadłości Fouque'ów; znajdował je na półkach, w szuflach. Zaczął już tracić nadzieję, kiedy trafił wreszcie na upragniony klucz. Był on po prostu przywiązany sznurkiem do klucza od drzwi wejściowych tkwiącego stale w zamku. Wisiał tu już od czterdziestu lat. Ciotka Dida codziennie miała go w ręku, lecz widocznie nie mogła zdecydować się go wyrzucić, teraz, kiedy był już tylko boles

nym wspomnieniem dawno minionych rozkoszy. Skoro Sylweryusz upewnił się, że klucz rzeczywiście otwiera furtkę, poczekał aż do następnego ranka, marząc o radoszej niespodziance, jaką sprawi Mietcie. Ukrywał bowiem przed nią swoje poszukiwania.

Nazajutrz, gdy tylko posłyszał, że dziewczynka postawiła na ziemi dzbanek, cicho otworzył drzwiczki, jednym pehnięciem usuwając nagromadzoną przed nimi ziemię i wysokie trawy. Wysunął głowę i dojrzał Miettę pochyloną nad cembrowiną, pogrążoną w oczekiwaniu. Wówczas dwoma susami znalazł się we wgłębieniu, które tworzył mur, i zawołał przyciszonym głosem:

- Mietta, Mietta!

Zadrżała i podniosła głowę myśląc, że wszedł na mur. Kiedy ujrzała go na terenie Jas, o kilka, kroków od niej, wydała lekki okrzyk zdziwienia i przybiegła. Wzięli się za ręce i przyglądali się sobie uszczęśliwieni, że są tak blisko. W ciepłym blasku słońca wydawali się sobie piękniejsi niż ich odbicia w studni. Była połowa sierpnia — dzień Wniebowzięcia; w dali, w przejrzystym powietrzu tchnącym świąteczną radością, dzwoniły dzwony. H — Dzień dobry, Sylweryuszu!

— Dzień dobry, Mietto!

Nie poznali swych głosów. Studnia zmieniała ich brzmienie. Wydały im się teraz czyste jak śpiew skowronka. Ach, jak dobrze było w tym ciepłym zakątku, pełnym świątecznego wesela! Trzymali się za ręce. Sylweryusz oparł się plecami o mur, Mietta zaś przechyliła się nieco do tyłu. Mieli właśnie powiedzieć sobie wszystkie te dobre słowa, których nie śmieli dotąd zawierzyć ponurym odgłosom studni, gdy nagle Sylweryusz usłyszał jakiś szelest. Odwrócił głowę, pobladł i puścił ręce Mietty. Na progu furtki, ujrzał wyprostowaną postać ciotki Didy. Babka podeszła była przypadkiem do studni. Widok otwartej na roz- ciei furtki, która odcinała się białą płuiną na tle poczer-

— małego muru, ugodził ją prosto w serce. Ta świetlista wyrwa brutalnie otwierała przed nią jej przeszłość.

Ujrzała siebie nadbiegającą tutaj w jasności poranka, z niecierpliwością przekraczającą ten próg. Macquart czekał już na nią. Rzuciła mu się na szyję, tuliła do jego piersi, a słońce, które wdarło się za nią przez furtkę, obejmowało ich ukośnymi promieniami. Ta nagła wizja niby karząca dłoń wyrwała ją ze starczego snu i obudziła w niej piekące wspomnienia. Nigdy nie przyszło jej na myśl, aby furtka ta mogła się jeszcze kiedykolwiek otworzyć. Dla niej zamurowała ją śmierć Macquarta. Gdyby cały mur wraz ze studnią zapadł się nagle pod ziemię, nie czułaby się bardziej zaskoczona niż teraz. Ze zdumieniem łączył się głuchy bunt przeciwko śmiałkowi, który odważył się przemocą rozewrzeć te drzwi, zostawiając za sobą białą wyrwę, jak wnętrze grobu. Podeszła bliżej, jakby urzeczona, i stanęła nieruchomo w obramowaniu furtki.

Spojrzała przed siebie z bolesnym zdziwieniem. Mówiono jej wprawdzie, że ziemie Fouque'óv zostały połączone z majątkiem Jas-Meiffren, lecz nie przypuszczała, że wszelki ślad jej młodości został do tego stopnia zatarty. Jak gdyby jakiś wichur zmiotł wszystko, co było drogic jej pamięci. Zniknął stary dom i rozległy ogród warzywny poprzecinany zielonymi grzędami jarzyn. Nie pozostał ani jeden kamień, ani jedno drzewo. Tam gdzie upłynęła jej młodość, na tym miejscu, które żyło jeszcze w jej pamięci, rozpościerał się szmat nagiej ziemi, szerokie ściernisko, puste niby nadbrzeźna wydma. Zawsze już teraz, gdy przymykając oczy wywoływać będzie wspomnienia rzeczy minionych, pojawi się przed nią obraz tego ścierniska. podobnego do zgrzebnego całunu okrywającego jej umarłą młodość. Patrząc na ten obcy krajobraz czuła, że serce zamiera w niej po raz wtóry. Odebrano jej wszystko, nawet wspomnienia. Ogarnał ją żal, że dała się skusić otwartej furtce, która wabiła ją ku minionemu.

"Miała już zawrócić i zamknąć za sobą przeklęte drzwi, nie starając się dociec, kto je otworzył, gdy nagle ujrzała Mietkę i Sylweryusza. Na widok zakochanych, którzy zmieszani, ze spuszczonej głowami czekali, aż spojrzy na nich, szarpnęła nią ból jeszcze dotkliwszy. Zrozumiała teraz. Wizja jej własnej młodości musiała się dopełnić. Oto patrzyła teraz na siebie i Macquarta złączonych uściskiem w jasności poranku. Po raz drugi furтка stała się współ uczestniczką grzechu, miejsce, które niegdyś gościło ich miłość, teraz gościło inną. Wszystko rozpoczynało się od nowa — ta sama radość i te same potem Izy. Gotka Dida pomyślała tylko o łzach i nagle przecucie ukazało jej tych dwoje dzieci śmiertelnie rannych, zboczonych krwią. Wstrząśnięta wspo: mniemieni własnych cierpień, zaczęła oplakiwać swego -ukochanego Sylweryusza. Ona sama ponosiła winę: gdyby kiedyś nie przebiła dziury w murze, Sylweryusz nie stałby teraz tutaj obok dziewczyny, Upajając się szczęściem, które drażni śmierć i czyni ją zazdrosną.

Po chwili milczenia podeszła do nich i nic nie mówiąc wzięła chłopca za rękę. Może pozwoliłaby im rozmawiać u stóp muru, gdyby nie to, że czuła się współwinna ich śmiertelności czułości. Wracała już z Sylweryuszem ku domowi, kiedy usłyszała lekkie kroki Mietty, która śpiesznie chwyciła dzbanek i uciekała przez pole. Biegła jak szalona, szczęśliwa, że wyszła z tej przygody obronną ręką. Ciotka Dida odwróciła się i uśmiechnęła mimo woli, widząc, jak pędzi po ściernisku niby koza, której udało się wymknąć.

— Młoda jest jeszcze — szepnęła. — Ma czas.

Chciała zapewne powiedzieć przez to, że Mietta ma jeszcze czas na łzy i cierpienie. Później, przenosząc wzrok na Sylweryusza, który z zachwytem wpatrywał się w dziewczynkę biegnącą w przejrzystym blasku słońca, dorzuciła:

— Uważaj, chłopcze, od tego się umiera.

Były to jedyne słowa, jakie wypowiedziała z okazji tego wydarzenia, które poruszyło dawne cierpienia drzemające w jej sercu. Milczenie stało się jej religią. Kiedy Sylweryusz

wszedł do domu, dwukrotnie przekręciła klucz w zamku furtki i wrzuciła go do studni. Mogła mieć teraz gwarancję, że nie będzie już ponosić winy za spotkania młodych. Podeszła z powrotem do furtki i przyglądała jej się jeszcze chwilę, szczęśliwa, że widzi ją znowu ponurą i niewzruszoną. Grób został zamknięty, biała wyrwa na zawsze zabita kilkoma deskami poczerniałymi od wilgoci, pozieleniałymi od mchu, poznaczonymi srebrzystymi śladami ślimaków.

Wieczorem ciotka Dida dostała ataku. Zdarzało się, że w takich wypadkach mówiła coś głośno bez związku, jakby: majacząc. Tego wieczora Sylweryusz, który zdjęty litością trzymał ją na łóżku, posłyszał, jak dysząc wymawiała słowa: celnik, strzały, zabójstwo. Wyrwała inu się, błagała o łaskę i mówiła o zemście. Potem — jak zwykle gdy atak dobiegał końca, ogarnęło ją dziwne przerażenie. Wstrząsnął nią dreszcz trwogi, zaczęła szczełkać zębami. Uniosła się na łóżku i nieprzytomnie rozglądała się po kątach, później zaś opadła bezwładnie na poduszki, wydając długie westchnienia. Widocznie uległa halucynacji. Przymulała do siebie

, Sylweryusza i wydawało się, że jednocześnie poznaje go

1 myli z kimś innym.

■ — Oni są tutaj — bełkotała. — Zabiorą cię i znowu cię zabiją... Ja nie chcę... Odeślij ich, powiedz im, że ja nie chcę,* że mnie to boli, jak się tak we mnie wpatrują...

Odwróciła się do ściauy, aby nie wklzieć ludzi, o których mówiła. Po chwili milczenia podjęła:

— Jesteś tu przy runie, prawda, moje dziecko? Nie odchodź ode mnie... Zdawało mi się, że umieram... Nie powinniśmy byli przebrać muru. Od (ej pory zaczęły się moje cierpienia. Wiedziałam, że ta furтка przyniesie nam nieszczęście... Ach, bjedne, niewinne dzieci, ileż łez! Zabijają je także wystrzałem z karabinu, jak psy.

Zapadła znowu w swój stan kataleptyczny, zatraciła świadomość tego, że Sylweryusz jest przy niej. Wtem wyprostowała się nagle i spojrzała w nogi łóżka z wyrazem strasliwego przerażenia.

/-Tr Dlaczego ich nie odesłałeś? — krzyknęła chowając swą siwą głowę na piersi chłopaka. — Oni są tu jeszcze. Ten, który trzyma strzelbę, daje mi znak, że zaraz będzie strzelał...

■ Wkrótce potem ogarnął ją głęboki sen, którym zazwyczaj kończyły się ataki. Nazajutrz zdawała się nie pamiętać o niczym. Nigdy też nie wspominała Sylwariuszowi o poranku, kiedy zastała go po drugiej stronie muru z ukochaną.

Młodzi nie widzieli się przez dwa dni. Kiedy Mietta ośmieliła się wrócić do studni, przyrzekli sobie, że nie będą się już spotykać w załomie muru. Jednak tamto spotkanie, choć zostało tak brutalnie przerwane, nappełniło ich oboje gorącym pragnieniem zobaczenia się znowu sam na sam w jakimś samotnym zakątku. Znużony spotkaniami przy studni, nie chcąc zaś przechodzić na drugą stronę muru, żeby nie sprawiać bólu ciotce Didzie, Sylwariusz; błagał dziewczynkę, aby zgodziła się zobaczyć z nim w jakimś innym miejscu. Mietta nie dała się długo prosić¹ — przystała z zadowolonym śmiechem malej dziewczynki, która nie ma nic złego na myśli; cieszyła się po prostu, że wywiedzie w pole -szpiegującego ją Justyna. Razem z Sylwariuszem zaczęła zastanawiać się nad miejscem spotkania. Chłopiec wysuwał niemożliwe propozycje odległych wypraw łub zobaczenia się

O północy na strychu Jas-Meiffren. Mietta, bardziej praktyczna, wzruszyła ramionami i oświadczyła, że sama coś wy-, myśli. Następnego dnia pojawiła się u studni tylko na chwilę, uśmiechnęła do Sylwariusza, powiedziała mu, żeby czekał na nią wieczorem koło dziesiątej w głębi placu Świętego Mittry,

1 znikła. Można się łatwo domyślić, że chłopiec okazał się punktualny. Przez cały dzień zastanawiał się, dlaczego Mietta wybrała właśnie to miejsce. Ciekawość jego wzrosła jeszcze z chwilą, gdy znalazł się w wąskim przesmyku między murem a ułożonymi w głębi placu deskami. — ■ Pewnie przyjdzie od tej strony — myślał spoglądając ku szosie prowadzącej do Nicei. Wtem usłyszał chrzęst gałęzi za murem, a na jego szczycie zobaczył roześmianą twarzyczkę otoczoną rozwichrzonymi włosami. Dobiegł go wesoły głos:

— To ja.

Była to rzeczywiście Mietta, która jak chłopak wdrapała się na jedno z drzew morwowych rosnących wzdłuż muru Jas-Meiffren. W dwóch skokach znalazła się na kamiennym nagrobku, na pół zagrzebanym w ziemię nie opodal muru. Sylwariusz spoglądał na nią ze zdziwieniem i zachwytem i nie myślał o tym, żeby pomóc jej zejść. Wziął ją za rękę i powiedział:

— Jaka ty jesteś zwinna. Chodzisz po drzewach lepiej ode mnie.

Tak oto spotkali się po raz pierwszy w zakątku, w którym mieli spędzić wiele miłych chwil. Spotykali się tam odtąd niemal Co wieczór. Przy studni widywali się już tylko po to, żeby uprzedzić się nawzajem o nie przewidzianych przeszkodach, o zmianie godziny wieczornego spotkania lub żeby podzielić się jakąś drobną nowiną, która im wydawała się niezmiernie ważna i pilna. Kiedy mieli sobie coś do powiedzenia, poruszali żurawiem, którego osjry skrzyp słyhać było w dużej odległości. Lecz chociaż zdarzały się dni, kiedy przywoływali się po dwa lub trzy razy, żeby zakomunikować sobie jakieś niesłychanie ważne glupstewka, prawdziwą radość sprawiały im dopiero wieczorne spotkania w zacisznym przesmyku. Mietta była niezwykle punktualna. Na szczęście, sypiała nad kuchnią, w pokoiku, w którym przed jej przybyciem przechowywano zimowe zapasy i do którego prowadziły osobne schodki. Mogła więc wychodzić o każdej porze, nie będąc widzianą przez Rebufata ani przez Justyna. Liczyła zresztą na to, że jeśli ten ostatni zobaczy ją kiedy, jak będzie wracała, to zmusi go do milczenia patrząc nań swoim twardym spojrzeniem, które zamykało mu usta.

Ach, te szczęśliwe, ciepłe wieczory. Był początek września. W Prowansji, miesiąc ten jest pełen słońca. Zakochani mogli spotykać się dopiero około dziewiątej. Mietta przecho-

|rizlfl prv.cz mur. Nabrała w tym wkrótce Inklej wprawy, 9.0 nlin .S\l'.vt'iiii-./, zdążył wyciągnąć do fue| IV'-»
@tta j'''- ta ri» kfiiiiiflmym nagrobku I uradowana swą zręcMOicli /iinlalu ,'tiy wy^l; i<l/.aji}c spódniczkę,
zadyszana, z rozwichrzonymi włosami. Jej ukochany nazywił ją żartobliwi* „Wfln_r!'nyi/| łobuziakiem". W
duchu jednak cieszył *ię z. od • watfi dziewczynki. Przyglądał uh; jifj .koko/u /. muru z lł po* dob^nieut
!ilar;»zego brała, który obserwuje. ćwiczenia jednego ze swych młodszych braci. Jakże dziecinna była jesz cze
Ich mihiel

Killtkrijliiii' zamierzali wybrać :»lę nad szukać
plfisieli gniazd.

Zobaczysz, juk ja się wspinam po drzewach — mówiła MMla z durną, — Kiedy mieszkałam w Chavauuz,
włąziłam aż IM saut .szczyt orzechów ojca Andrzeja. A próbowali** kiedy podbierać trozc gniazda? To dopiero
sztuka.

I Zdc/.ynall rozprawiać o sposobach wchodzenia na to- pule. Mietta miała w tej .sprawie wyrobione zdanie,
jak chłopak.

Sylweryusz brał ją za łcflina, zestawiał i nagrobki i rywal/ przed siebie trzymając się wpół. W daNzym da
gu jip/erałj »ię, jak należy opierać ręce I nogi u nasady galtd, a jednocześnie tulili się coraz mocniej ł czuli, że
depło iHc/tku przenika ich dziwną radością. Byli dziećmi, rozmawiali i bawili się ze sobą jak dwoje
niedorostków, rozkoszy kochanków doznawali nie wspominając mi wi?ł o miłości — wystarczyło, /.<* trzymali
się za ręce. Instynktownie szukali ciepła swoich dłoni nie zdając ttobta sprawy, ku czemu dążą ich zmysły i
serca, W tym okr^siu szczęśliwej naiwności kryli przed sobą nawet to dziwne wzruszenie, jakim napawało Mi
najlżejsze wzajemne kdtyi lt, I Swieclinięci, zdziwieni przenikającą Mi blogoi- rozk/jswwati 0lę potajemnie tymi
nowymi doznaniem, fWUtwwfając jednocześnie jak dwoje kolegów o gflłazdnęł uoczychi, do których tak
trudno się dostać,

Prz.rebail/all kię w ciszy zalegającej przfsmyk między d< skaml u murem Jas-MrWfren. Nigdy nie wykrm
zali poza obtęb tej „ślepej uliczki" I zawracali za każdym razem, gdy doi ar lł do ji j krańca, f.znli się lulaj u
siebie, Mii ilu, szczęśliwa, że udało jej się znaleźć lak dobre schowanie, często K miniowała tanin sobie tego
odkryciu,

Ali miałam szczęśliwy pomysł - mówiła / zaihwy- lem. — Moglibyśmy uj*ć <alą miłę* I Itli znaleźlibyśmy
In kieyo chronienia,

(jęftł trawa tłumila (ul^lof. ich kroków. Kołysani fj-U) ciemności, płynęli pośród mroźnych brzegów
widząc mul ■.nl>i/ grpri&tfjtyi pasmo usiani' gwiazdami. Zanurzeni w tą ftrfrugę cienia, płynącą pod niebem
czarnym i złotym, doznawali uczucia, którego ule da się tikrHIU', ArK/all ploi, (hocldz nikt nie nrogt Ich tu
usly^/eć. Opowiadali sobie

0 drobnych wydarzeniach dnia, drząc przy tym pod mll<</j
pieszczotą nocy,

Kiedy Indziej znów, w jasm wieczory, kiedy księżyc obrysowyiwał wyraźnie linię muru I słosy desek,
Mietę

I Sylweryusza ogarniał nastrój dztcclęcej beztroski. Dróżka wydłużała kię przed nimi, poprzecinana smugam)
świalla, wesoła i znajoma. Oni zaś gonili się I śmiali jak dzU-rj w czasie przerwy, u rzatuni odważali się nawet
wspinać na deski. Sylweryusz sraszyl wledy Mietę, że Justyn ukrył się za murem, aby ją śledzić. Zdyszani ot)
gonitwy, zaczęli wówczas spacerować obiecując sobie, że kiedyś pójda na łąki Świętej Klary, żeby móc biegać
swobodnie I przekonać się, kto kogo złapie,

Tc ciemne I te przejrzyste noce budowały Ich fglłoić. Serca Ich nic usypiały ani na chwilę i wystarczyło
bochę cłcnlfl, by ukłsk Ich Mawal się bardziej c./uly, ą w iMmic (hu zadrgała rozkosz. Ten zakąUk, tnk radosny
w iwietk księżyca i lak wzniecający w mroku, wydawał hn się rut- wytzerpanym źródlni wesołości lub
przyjmującego iztitt DiilcZiita. Pozoftuwali w niut aż do północy, fi migali

usypiało zwolna i oświetlone okna na przedmieściu gasły Jedno po drugim.

Nikt nie mącił ich samotności. O tej późnej porze chłopcy z przedmieścia nie bawili się już w chowanego za stosami desek. Czasem, słysząc jakiś hałas, śpiew robotników idących drogą lub głosy dochodzące z sąsiednich ulic, Mietta i Sylweryusz wyglądali ostrożnie na plac Świętego Mittry. Rozciągał się przed nimi pusty i tylko nieliczne cienie błąkały się po nim. W ciepłe wieczory widywali pary zakochanych lub staruszków, siedzących na belkach, na skrajach szosy. W chłodniejsze wieczory na melancholijnym, opustoszałym placu widać było jedynie Ognisko rozpalone przez Cyganów, wokół którego tańczyły wielkie, czarne cienie. Łagodny powiew nocy przynosił odległe słowa i dźwięki, życzenia dobrej nocy jakiegoś mieszczanina zamykającego drzwi wejściowe, hałas opuszczanej żaluzji, poważne bicie zegara, wszystkie zamierające odgłosy prowincjonalnego miasta udającego się na spoczynek. A kiedy Plassans już spało, dochodziły do nich jeszcze kłótnie Cyganów, trzask płonących ognisk i gardłowe głosy Cyganki, śpiewających w jakimś nieznanym; pełnych twardych akcentów języku.

Lecz zakochani nie patrzyli długo na plac Świętego Mittry; spieszno im było wrócić do siebie i podjąć wędrówkę po ulubionej zacisznej ścieżce. Cóż ich obchodziły inni, miasto całe! Tych kilka desek, które odgradzały ich od złych ludzi, wydawało im się murem nie do przebycia. W tym zakątku położonym w samym środku przedmieścia, o pięćdziesiąt kroków od Bramy Rzymskiej, czuli się tak wolni i tak samotni, iż czasem mieli wrażenie, że są gdzieś daleko, w jakiejś pieczarze nad Viorną. Ze wszystkich odgłosów, jakie do nich dochodziły, jednego tylko słuchali z przejęciem i z niepokojem — powolnego bicia zegarów. "Czasem udawali, że go nie słyszą, czasem zaś zatrzymywali się gwałtownie, jakby na znak protestu. Na próżno jednak odwlekali chwilę Rozstania, która i tak musiała na

92

dejsć. Najchętniej pozostaliby tu aż do rana — bawiąc się i rozmawiając połączeni uściskiem i przejęciem dławiającym wzruszeniem, którym rozkoszowali się skrycie. Wreszcie Mietta wdrapywała się na mur, lecz pożegnania trwały jeszcze dobry kwadrans. Kiedy dziewczynka była już po drugiej stronie muru, opierała się łokciami o jego szczyt a nogami o gałęzie morwy, która służyła jej za drabinę. Sylweryusz, stojąc na kamiennym nagrobku, ujmował ją za rękę i znów rozpoczynała się półgłówna rozmowa. Po dziesięć razy mówili sobie: „do jutra” i rozmawiali dalej. Sylweryusz udawał, że się gniewa:

— Powinnaś zejść, już po północy.

Lecz Mietta z dziewczęcym uporem domagała się, aby on zszedł pierwszy; chciała widzieć, jak będzie odchodził). A ponieważ chłopiec nie ruszał się, oświadczyła nagle, chcąc go ukarać: y: ■— No- to skoczę, zobaczysz..

I ku wielkiemu przerażeniu Sylweryusza skakała z muru - wy. Słyszał głuchy odgłos jej skoku. Oddalała się ze śmiechem, nie odpowiadając mu już na ostatnie pożegnanie. Przez chwilę patrzył jeszcze, jak cień jej zanurzał się w mroku, a potem schodził z nagrobka i wracał do zaułka Świętego Mittry.

W ciągu dwóch lat spotykali się co dzień. Z początku nocy były jeszcze ciepłe. Mogli wyobrazić sobie, że to maj, miesiąc krążenia soków, kiedy powietrze przesycone jest zapachem ziemi i młodego listowia. Ta spóźniona wiosna była dla nich jakby darem nieba: korzystając z niej przechadzali się swobodnie po dróżce koło muru, zacieśniając węzły przyjaźni.

Później przyszły deszcze, śniegi i mrozy. Te niehumory zimy nie przeszkadzały im w spotkaniach. Mietta przychodziła teraz otulona swą obszerną brązową peleryną i oboje drwili sobie z niepogody. W jasne i suche nocy, kiedy powiew wiatru unosił w powietrze biały pył i ciał ich po twarzy, nie zatrzymywali się ani nie siadali.

93

Chodzili krokiem szybszym niż zwykle," otuleni peleryną, z policzkami posiniałymi od mrozu i oczami pełnymi łez. Śmiali się ubawieni szybkim marszem w lodowatym powietrzu. Pewnego wieczoru, kiedy padał śnieg, ulepili olbrzymią kulę i zatoczyli ją do kąta. Leżała tam przez dobry miesiąc, co zdumiewało ich przy każdym spotkaniu. Deszcz również ich nie przstraszał. Widywali się w najstraszliwsze ulewy, moknąc do szpiku kości. Sylweryusz zjawiał się na miejscu spotkania mówiąc sobie, że przecież Mietta nie będzie na tyle szalona, żeby przyjść. A kiedy nadchodziła, sam nie wiedział, jak się na nią gniewać. W istocie jednak czekał na jej przyjście. Postanowił poszukać jakiegoś schronienia na wypadek niepogody, gdyż czuł, iż mimo wzajemnych obietnic, że nogi za próg nie wystawią, jeżeli 'będzie padać, będą jednak przychodzić oboje. Wystarczyło wyjąć kilkanaście desek ze stosu, aby schronienie było gotowe. Sylweryusz zrobił to w ten sposób, żeby mógł bez trudu wsunąć je na to samo miejsce. Zakochani mieli teraz do dyspozycji rodzaj niskiej i wąskiej budki, kwadratowe wgłębienie, w którym mogli się zmieścić jedynie mocno przytuleni do siebie, siedząc na zostawionej w głębi desce. Chrznąli się tam w deszczowe wieczory, z rozkoszą przysłuchując się ulćwie bębniącej głucho.

Wokół nich w atramentowych ciemnościach płynęły niewidoczne strugi, których nieprzerwany szum przypominał szemranie tłumu. Byli jednak zupełnie sami, na .końcu świata, w głębi wód. Nigdy nie czuli się równie szczęśliwi i oddaleni od ludzi jak w tym stosie belek, pośród potopu, który mógł ich zmieścić w każdej chwili. Wsuwali się jak mogli najgłębiej, lecz ich zgięte kolana sięgały niemal wejścia, a na policzkach i dłoniach osiadał deszczowy pył. W równych odstępach czasu spadały do ich stóp wielkie krople wody ociekającej z desek. Było im ciepło w brązowej- pelerynie; siedzieli tak blisko, że Mietta znajdowała się prawie na kolanach Sylweryusza. Najpierw rozmawiali, później zaś milkli rozmarzeni ciepłem łączącego ich Uścisku i' mónótonnym szumem ulewy. Pozostawali tak przez długie godziny rozkoszując się deszczem, jak małe dziewczyn- kówędrujące poważnie podczas burzy z otwartą parasolką. Deszczowe wieczory polubili bardziej od innych. Lecz rozstania ich były wtedy jeszcze przykrzejsze. Mietta musiała przechodzić'przez mur wśród gwałtownego-deszczu i omijać kałuże w Jas-Meiffren w całkowitej clemności. Z chwilą gdy wysuwała się z jego objęć, ginęła Sylweryuszowi w mroku i poszumie. Na próżno wycężał słuch, ogłuszony i osłepiony. Niepokój, jaki pozostawiały w nich te pożegnania, dodawał jeszcze uroku spotkaniom. Każde z nich rozmyślało aż do następnego wieczoru, czy drugiemu nic się nie stało w tę obrzydliwą pogodę, czy się nie pośliznęło, czy nie zablądziło. Udręczeni obawą witali się-jeszcze czulej.

Wreszcie powróciły piękne dni, kwiecień przyniósł ze sobą pogodne noce, trawa w zielonej alejce trysnęła ku górze. Zagarnięci falą życia .płynącą od nieba i ziemi, pośród wiosennych upojeń zakochani żalowali czasem zimowej samotności, deszczowych wieczorów i mroźnych nocy, kiedy czuli się tak zagubieni i dalecy od ludzkich głosów. Nie^mogli doczekać się teraz zapadnięcia nocy i zlorzeczyli długim godzinom zmierzchu. Kiedy wreszcie mrok gęstniał na tyle, że Mietta mogła przejść przez mur nie narażając się na to, że ktoś ją zobaczy, kiedy udało im się wśliznąć na "ukochaną ścieżkę, me odnajdywali już tam dawne/ ciszy i samotności, która tak odpowiadała ich płochliwemu, ; dziecinnemu uczuciu. Plac Świętego Mittry zaludniał się; chłopcy z przedmieścia gonili się po belkach i hałasowali . aż do jedenastej, a czasem zdarzało się nawet, że któryś p nich przychodził ukryć się za stosem desek i parskał w stronę Mietty i Sylweryusza beczelnym śmiechem dzie- sięcioletniego urwisa. Obawa, że ktoś ich zobaczy, wiosna, foraz to żywsze odgłosy życia wokół zakłócały spokój ich spotkań.

W ciasnej alejce zaczęło im brakować powietrza. Nigdy, jeszcze ta żyzna ziemia, w której spoczywały reśztki kości ludzkich z dawnego cmentarza, nie drżała tak namiętym dreszczem i nie tchnęła wonią równie odurzającą. Byli jeszcze zbyt dziecinni, by ocenić urok tego zakątka dyszącego wiosną. Trawy sięgały im do kolan, utrudniając chodzenie, a kiedy deptali młode pędy, niektóre rośliny wydawały ostry zapach, od którego kręciło im się w głowach. Ogarnięci dziwnym bezwładem, zmieszani i chwiejący się na nogach jak gdyby spętanych trawą, opierali się o mur przymykając oczy. Niezdolni byli zrobić arii kroku. Zdawało im się, że senna omdłałość nieba przenika ich ciała.

Te chwile niespodziewanej niemocy męczyły ich. Orze-1: kii, że w ich zakątku jest teraz zbyt duszno, i postanowili wychodzić za miasto. Każdego wieczoru udawali się gdzie indziej. Mietta przynosiła ze sobą pelerynę; otulali się nią i przesuwaną pod ścianami domów dochodzili do szosy, a potem wydostawali się na pola rozległe i puste, nad kła- rymi przepływały fale powietrza potężne jak fale na pełnym morzu. Oddychali tu pełną piersią i zapominali o za^- wrotach głowy i chwilach zamroczenia, jakie zdarzały im się na porośłym wysoką trawą placu Świętego Mitry. ji

Rok po roku urządzali latem długie spacerunki po okolicy. Znal ich wkrótce każdy załom skalny, każda kępa trawy i nie było drzewa, płotu ani krzaka, które by nie stały się ich przyjaciółmi. Urzeczywistniali swoje marzenia: gonili się po łąkach Świętej Klary. Mietta śmigła szybko i Sylweryusz musiał wyteżać wszystkie siły, żeby ją dogonić. Podbierali także sroczce gniazda; Mietta uparta, chcąc pokazać, jak kiedyś chodziła po drzewach w Chavanoz, zawiązywała spódniczkę kawałkiem sznurka i wdrapywała się na najwyższe topole, a Sylweryusz drżał stojąc u stóp drzewa i wyciągał ręce, jakby chciał ją złapać, gdyby się ześliznęła. Te zabawy uspokajały ich zmysły. Znow stali się dwojgiem kolegów j pewnego wieczoru omal nie pobili się jak dwoje uczniaków wychodzących ze szkoły. Woleli szerokie pole od ustronnych zakątków. Wędrując śmieli się głośno, popychali i przekomarzali, ze sobą: robili nieraz po kilka mil i dochodzili aż do wzgórz Garrigues, przemykając wąskimi ścieżynami lub idąc polem na przełaj. Cała okolica nale- żała do nich, czuli się tu jak w podbitym kraju, rozkoszowali niebem i ziemią. Przechodząc pośród winnic lub mijając drzewa migdałowe, których gałęzie uderzały ją w przejściu, Mietta, po kobiecemu pobłażliwa dla swych zachcianek, zrywała czasem kiść winogron lub gałązkę zielonych migdałów. Raziło to Sylweryuszaj lecz nie śmiał zwracać jej uwagi, gdyż rzadkie chwile, w których dąsała się na niego, doprowadzały go do rozpaczki. — Ach, jaka ona niedobra — myślał, po chłopięcemu dramatyzując sytuację — chciałyby zrobić ze mnie złodzieja! — Mietta wkładała mu bowiem do ust część skradzionego owocu. Podstępki, do których się uciekał •— trzymając ją w pół, omijając drzewa owocowe lub każąc jej gonić się wśród winnic, aby odwrócić jej uwagę od owoców wyczerpywały się szybko. Wówczas zmuszał ją, by usiadła. Wtedy znow robiło mu się duszno. Zwłaszcza cieniste zakątki nad Viorną kryły w sobie jakiś niepokój. Kiedy zmęczenie przywiodło ich nad rzekę, tracili swą dziecinną wesołość. Pod wierzbami snuły się siwe opary podobne do pachnącego piżmem jedwabnego szala. Ciepły jeszcze-od ramion nocy, otulał ich pieścizotą i rozmarzał. W dali, na łąkach Świętej Klary, cykały świerszcze, a u ich stóp Viorna szeptała wilgotnymi wargami czule jak zakochani. Z uspięnego nieba spadał ciepły deszcz gwiazd. Drząc jak niebo nad nimi, jak woda i cienie, Mietta i Sylweryusz, wyciągnięci obok siebie na trawie, wpatrzni w ciemności, szukali swych rąk i zamieniali krótki uścisk.

Sylweryusz, który zdawał sobie niejasno sprawę z niebezpieczeństwa, jakie kryły w sobie te chwile omdłałości, zrywał się czasem jednyńt skokiem i proponował, żeby przeszli na jedną z małych wysepek, wynurzających się na środku rzeki. Wyruszali boso — Mietta drwiła sobie z kamyków i nie chciała, aby Sylweryusz ją podtrzymywał, totei

raz zdarzyło się, że usiadła w samym środku rzeki: ponieważ woda była tam zupełnie płytka, skończyło się na tym, że musiała tylko osuszyć powierzchnię spódniczki. Doszedłszy do wyspy, kładli się na piasku i wpatrywali w wodę, której powierzchnia mieniła im się srebrzyście w oczach. Mietta oświadczała wówczas, że znajduje się na statku, że wysepka płynie. Czuli, jak unosi ją ze sobą. Kręciło im się w głowie od widoku płynącej wody i rozbawieni tym pozostawali przez pewien czas na brzegu podśpiewując jak wioślarze. Czasem, znów, gdy brzeg był niski, siadali na trawie i zanurzali nogi. Rozmawiali godzinami i rozpryskiwali wodę zabawiając się rozpętywaniem burz w spokojnej zatoczce, której chłód kołował ich gorączkę.

To zanurzanie nóg nasunęło Mietcie pomysł, który o mało nie zepsuł ich niewinnej miłości. Za wszelką cenę zapragnęła się wykapać. Nieco powyżej mostu znajdowało się doskonałe, jak twierdziła, miejsce, nie głębsze jak trzy do czterech stóp i zupełnie bezpieczne; jakże przyjemnie byłoby zanurzyć się aż po ramiona przy tych upałach! Zresztą, ona już od dawna marzy o tym, żeby nauczyć się pływać! Sylweryusz sprzeciwiał się temu projektowi: to nieroztropnie kapać się nocą, ktoś mógłby ich zobaczyć, mogłoby im to zaszkodzić. Nie podawał jednak prawdziwej przyczyny. Myśl o tej nowej zabawie zaniepokoiła go bardzo. Zadał sobie pytanie, jak będą się rozbiierać i w jaki sposób będzie podtrzymywał Mietkę w swych nagich ramionach. Ona jednak I zdawała się nie zastanawiać nad tymi trudnościami;

Pewnego wieczoru przyniosła kostium kąpielowy, który uszyła sobie ze starej suknie Sylweryusz musiał wrócić do domu po spodenki. Wszystko odbyło się bardzo po prostu: Mietta nie odchodziła nigdzie, rozebrała się za wierzba, tak gęstą, że spoza jej listowia dziecinne jej ciało przeświecało zaledwie niewyraźną bielą. Sylweryusz, smagły, wyglądał w mroku jak miody dąb o pociemniałej korze. Krągłe ramiona i nogi dziewczynki przypominały inlecznobiałe gałęzie brzoź. Odziani cieniem drzew, weszli wesoło do rzeki nawołując się i wydając okrzyki, zaskoczeni chłodem wody. Wszystkie skrupuły, ukryta wstydlivość i obawy zostały zapomniane. Przeszło godzinę chlapali się w wodzie, opryskując sobie twarze, Mietta gniewała się, to znów wybuchała śmiechem, a Sylweryusz dał jej pierwszą lekcję pływania, od czasu do czasu zanurzając jej głowę, żeby się przyzwyczaiła. Póki trzymał ją jedną ręką za pasek od kostiumu, drugą podtrzymując pod brzuchem, machała z zapaleniem rękami i nogami i zdawało jej się, że pływa; z chwilą jednak kiedy ją puszczał, zaczynała miotać się, krzyżeć, wyciągniętymi rękami uderzać w wodę, chwycić Sylweryusza za przegub lub obejmować go w pasie. Chwilę opierała się o niego odpoczywając, zdyszana, ociekająca wodą; pod mokrym kostiumem rysowała się dziecinna jeszcze pierś. Potem wołała:

— Jeszcze raz! Ale ty to robisz naumyślnie, wcale mnie nie trzymasz!

I żadne złe myśli nie przychodziły im do głowy, gdy tak tulili się do siebie w kryształowo przejrzystej wodzie.

Pośród ciepłej nocy i omdlałych liści dwoje niewinnych nagich dzieci bawiło się ze śmiechem. Po pierwszych kąpielach Sylweryusz wyrzucał sobie skrycie swoje poprzednie obawy. Mietta rozbierała się tak szybko, tak była chłodna w jego ramionach i tak rozedrgana śmiechem!

Po upływie dwóch tygodni dziewczynka nauczyła się pływać. Swobodna, kołysana iałą, poddawała się miękkiemu jej dotykowi, ciszy nieba, i melancholii porośniętych drzewami brzegów.

Kiedy płynęli bezszelestnie, Mietcie wydawało się, że gałęzie pochylają się ku nim i osłaniają ich gęstą firanką listowia. W księżycowe noce błyski światła prześlizgiwały się między pniami, jakieś zjawy w białych szatach wędrowały brzegiem. Mietta nie czuła lęku. Z nieokreślonym wzruszeniem obserwowała grę cieni. Za każdym jej ruchem lśniąca powierzchnia wody marszczyła się jak tkanina lamowana srebrem; kola powiększały się i ginęły w pizy-

brzeżnym mroku pod zwisającymi gałęziami wierzb, skąd dochodziły tajemnicze pluski. Szybko mijała te dźwięczne czeluście przepływając wzdłuż przybrzeżnych krzewów ->i drzew, których ciemne zarysy zmieniały kształt, wydłużały się i zdawały sunąć za nią. Gdy odwracała się na plecy, wzruszała ją głębia nieba. Od strony niewidocznych pól dochodziły ją przeciągłe, poważne westchnienia nocy-;

Nie miała usposobienia marzycielskiego; całym ciałem[^] wszystkimi zmysłami chłonęła niebo, rzekę, światła i ciemności. Zwłaszcza zaś pieszczotliwy dotyk wody przejmował ją rozkoszą. Kiedy płynęła pod prąd, czuła z radością, jak fala żywiej opływała jej pierś i nogi; było to jakby przeciągłe, bardzo łagodne łaskotanie, które jednak nie wywoływało w niej nerwowego śmiechu. Zanurzała się głębiej aż po usta, tak aby woda przykryła jej pęcy i objęła ją całą swym pocałunkiem. Czasami ogarniał ją błogi bezwład. Kładła się wtedy nieruchomo na powierzchni wody i drobne fale wślizgiwały się miękko pod jej kostium wydymając tkaninę; później tarzała się po gładkiej tafli jak kotka igrająca na dywanie. Z przeświecionej księżycem wody wpływała w ciemności drząc przy tym, jakby opuszczała zalaną słońcem łąkę. Z przybrzeżnych gałęzi spływał na nią chłód.

Teraz odchodziła już¹ dalej, aby się rozebrać, chowała się. W rzece była milcząca, nic chciała, żeby Sylweryusz jej dotykał. Sunęła wolno obok niego, a woda rozstępując się wydawała dźwięk podobny do szelestu gałązek trącanych w locie przez ptaka. Czasem znów krążyła wokół chłopca, ogarnięta dziwnym niepokojem, którego nie umiała sobie wytłumaczyć. On zaś oddalał się natychmiast, jeśli przypadkiem musnął w wodzie jej ciało. Wspólne kąpiele dawały im teraz chwile rozkosznego bezwładu, upojenia, które przejmowało ich lękiem. Zwłaszcza kiedy wychodzili z kąpeli, ogarniała ich senność, miewali zawroty głowy. Byli jakby wyczerpani. Mietta ubierała się przez godzinę. Najpierw wkładała koszulę i spódniczkę tylko i kładła się na trawie, skarżąc się na zmęczenie, przywołując Sylweryusza, który siedział o kilka kroków dalej z uczuciem pustki w głowie i dziwnej a podniecającej ociążałości we wszystkich członkach. W drodze powrotnej uścisk ich był gorętszy, poprzez ubranie wyraźniej czuli swe ciała, bardziej prężne ,po kąpeli. Przystawali wzdychając głęboko. Włosy Mietty zebrane w wielki węzeł były jeszcze mokre, jej ramiona i kark tchnęły świeżością, która upajała chłopca. Na szczęście pewnego wieczoru dziewczynka oświadczyła, że więcej się kąpać nie będzie, gdyż zimna woda napęcza jej krew do głowy. Niewinnie wyznała prawdę.

Powrócili do swych długich rozmów. Niebezpieczna próba, jaką miała za sobą ich naiwna miłość, pozostawiła w umyśle Sylweryusza jedynie wielki podziw dla fizycznej tężyzny Mietty. W ciągu dwóch tygodni nauczyła się pływać i często, gdy urządzali zawody, widział, że nie ustępuje mu w szybkości. On, który uwielbiał siłę i ćwiczenia cielesne, czuł się rozrzuwiony jej wytrzymałością i zręcznością. Jej mocne ramiona wzbudzały w nim szacunek. Pewnego wieczoru, po jednej z pierwszych kąpeli, w czasie których śmieli się jeszcze, chwycili się w pół i walczyli ze sobą długą chwilę na piasku. Sylweryuszowi nie udało się przewrócić Mietty: sam stracił równowagę, a dziewczynka trzymała "się na nogach. Traktował ją jak chłopca — forsowne-marsze, szalone gonitwy po łąkach, podbieranie gniazd na szczytach drzew, zmagania* wszystkie te zabawy, w których wyładowywali swą energię, strzegły przez długi czas czystości ich uczuć. W miłości Sylweryusza, prócz podziwu dla odwagi ukochanej, była jeszcze tkliwość jego serca, wrażliwego na cudzą niedolę. On, który nie mógł patrzeć spokojnie na niczyje opuszczenie, na biedaka lub dziecko wędrujące boso po zakurzonej drodze, kochał Miettę dlatego, że nikt jej nie kochał, dlatego, że wiodła ciężkie życie pariasa. Kiedy widział, że się śmieje, czuł się głęboko wzruszony radością, którą jej dawał. Przy tym dziewczynka była tak samo dzika jak on i oboje jednakowo nienawi

dzili kumoszek z przedmieścia. Marzenia, jakie snuł w ciągu dnia, silnymi uderzeniami młotka umocowując obręcze na kolach od wozu, pełne były szlachetnego uniesienia. Widział siebie w roli wybawcy. Przypominało mu się wszystko, eo czytał: pragnął poślubić swą przyjaciółkę, aby podnieść ją w oczach świata, stawiał sobie święte zadanie odkupienia córki galernika. Nadział lektury nie pozwala! u* u- podesz do tych spraw z prostotą: popadał w jakiś społeczny mistycyzm, marzył o wielkim zadośćuczynieniu, widział Miettę siedzącą na tronie u wylotu bulwaru Sauvaire, otoczoną tłumem błagającym ją o przebaczenie i śpiewającym hymny na jej cześć. Na szczęście zapominał o wszystkich tych pięknych rzeczach, kiedy Mietta zeskakiwała z muru i mówiła mu, gdy wyszli na szosę:

— Pobiegnijmy, chcesz? Założę się, że mnie nie dogonisz.

Chociaż jednak snił na jawie o wywyższeniu ukochanej, często doprowadzał ją do łez rozmawiając z nią o jej ojcu. Serdeczność Sylwiusza złagodziła wrodzoną zaciętość Mietty, lecz miewała ona jeszcze czasem nawroty dawnej dzikości, złe chwile uporu i buntu. Zaciskała wtedy usta, a spojrzenie jej stawało się twarde. Twierdziła wówczas, że ojciec jej dobrze uczynił zabijając żandarma, że ziemia należy do wszystkich i że ma się prawo strzelać, gdzie i kiedy się chce. Sylwiusz poważnym głosem wyjaśniał jej przepisy kodeksu, tak jak on je rozumiał* z komentarzami, które wprawiłyby w osłupienie cały świat prawniczy w Plassans. Rozmowy te odbywały się najczęściej w jakimś zakątku na łąkach Świętej Klary. Przed nimi, jak okiem sięgnąć, stał się czarny kobierzec traw. Olbrzymie niebo napełniało gwiazdami nagą krągłość horyzontu, nie skażoną ani jednym zarysem drzewa. To morze ciemnej zieleni zdawało się ich kołysać. Mietta walczyła długo: pytała Sylwiusza, czy lepiej byłoby się stało, gdyby jej ojciec dał się zabić żandarmowi? Sylwiusz milczał przez chwilę, a potem odpowiadał, że w takim wypadku lepiej być ofiarą niż zabójcą i że zabicie bliźniego jest wielkim nieszczęściem, nawet jeśli się działa we własnej obronie. Dla niego prawo było rzeczą świętą, sędziowie mieli rację skazując Chantegreila na ciężkie więzienie. Dziewczynka wybuchła gniewem¹, miała ochotę bić przyjaciela i wołała, że jest tak samo niedobry jak inni. A ponieważ on, w dalszym ciągu wytrwale bronił swych pojęć o sprawiedliwości, wybuchła płaczem jękając wśród łez, że pewno wstydzi się jej; skoro ciągle przypomina jej zbrodnię ojca. Dyskusje te kończyły się wspólnym wzruszeniem i łzami. Mimo jednak że płakała i przyznawała, iż nie ma może racji, dziewczynka zachowała w głębi duszy dawną zajadłość i porywczosć. Pewnego razu opowiedziała Sylwiuszowi śmiejąc się głośno, że widziała, jak jakiś żandarm spadł z konia i złamał nogę. Żył teraz tylko dla Sylwiusza; Kiedy pytał ją o wuję i kuzyna, odpowiadała „nie wiem”, a gdy nasławał w obawie, iż zbyt jej dokuczają, mówiła, że pracuje dużo i że nic się nie zmieniło. Przypuszczała jednak, że Justyn wie już, dlaczego śpiewa rano i dlaczego oczy jej są teraz takie łagodne. Lecz dorzucała:

— Cóż to szkodzi? Jeżeli kiedy przyjdzie nam przeszkadzać, to przyjmiemy go w taki sposób, że odechce mu się mieszać do naszych spraw, prawda?

Odkryte przestrzenie i długie marsze na świeżym powietrzu męczyły ich czasem. Powracali wówczas do przesmyku na placu Świętego Mitry, skąd wygnały ich hałasy, zbyt silna woń traw, gorący oddech ziemi, który siał w nich niepokój. Lecz w niektóre wieczory powiew wiatru orzeźwiał powietrze i mogli wtedy pozostawać w alejce nie doznając zawrotów głowy. Rozkoszowali się wówczas odpo- czynkiem.[^] Przywykli do gwaru dzieci i Cyganów, nie słyszeli ich prawie i siedząc na kamiennym nagrobku znów czuli się jak u siebie. Sylwiusz zbierał szczątki kości, odłamki czaszek i nieraz rozmawiali o dawnym cmentarzu. Obdarzeni żywą wyobraźnią, przyrównywali swą miłość do pięknej i silnej rośliny, która wzrosła na tym skrawku ziemi, użyźnionym przez śmierć, wybujała jak trawy, zakwitła

jak maki, za najłżejszym powiewem chyląc swe płatki podobne' do serc broczących krwią. Dla wszystkiego znajdowali teraz wytłumaczenie: dla ciepłych tchnień muskających ich czoła, dla szmerów dolatujących z mroku, dla drzeń, jakie przebiegały alejką. TO umarli owiewali im twarz oddechem swych minionych uczu, umarli, zwierali im się z doznanych rozkoszy, umarli powracali na ziemię ogarnięci żądzą miłości. Mietta i Sylweryusz czuli, że te szczątki ludzkie są im życziwe; połamane czaszki ogrzewały się ciepłem-ich młodości ułamki kości słały ku nim szepty pełne natarczywych próśb, drżące zazdrością. Kiedy się oddalali, stary cmentarz płakał. Te tzawy, które w parne noce pętały im stopy, tak że chwiał się na nogach, były to wąskie palce, które wysuwały się z ziemi, aby ich zatrzymać, aby {Tchnąć ich sobie w ramiona. Ten ostry, przenikliwy zapach zgniecionych Jodyżek był zapładniającą wonią, potężnym eliksirem życia, który rozpętywał pożądanie w żyłach kochanków zagubionych w samotnym zakątku, a który dobywał się z grobów. Umarli, dawno umarli, pragnęli zaślubin Mietty i Sylweryusza.

| Młodzi nie doznawali tu nigdy lęku. Życzliwość, którą czuli się otoczeni, która unosiła się w powietrzu, wzruszała ich. Pokochali- niewidzialne istoty, których dotyk wydawał im się podobny do muśnięcia skrzydeł ptasich. Czasami ogarniał ich tylko łagodny smutek, nie pojmowali bowiem, czego żądają od n<ch umarli. Pośród tej wezbranej fali życia w opuszczonym zakątku, gdzie nabrzmiała sokiem ziemia dyszała namiętnością, miłość ich pozostała nieświadoma. Nie rozumieli, co znaczą nagły żar oblewający purpurą ich twarze, szum, jaki mieli w uszach. Bywały dni, kiedy głosy zmarłych stawały się tak naglące, iż Mietta, podniecona i oziębiała zarazem, wpółleżąc na kamiennym nagrobku spoglądała na Sylweryusza zamglonym wzrokiem, jakby chcąc go zapytać: „Czego oni chcą od nas? Dlaczego tchną mi ogień w żyły?” Sylweryusz zaś, rozbiły, przerażony, nie śmiał jej odpowiedzieć, nie śmiał powtórzyć namiętnych

104

słów, które — jak mu się zdawało — słyszał w powietrzu, szalonych rad, jakie dawały mu trawy, błagań ziemi, - która pragnęła służyć im za łożę.

Często rozmawiali o szczątkach ludzkich, które znajdowali. Mietta, jak każda kobieta, lubowała się w ponurych tematach. Przy każdym nowym odkryciu snuli najróżnorod- niejsze przypuszczenia. Jeśli kość była mała, Mietta wyobrażała sobie piękną, młodą dziewczynę, chorą na płuca lub też zmarłą wskutek złośliwej gorączki w przeddzień ślubu; jeśli była duża, mówiła, że był to jakiś wysoki starzec, żołnierz, sędzia czy też inny jakiś straszny człow/tk. Sam kamienny nagrobek intrygował ich długo. Pewnej księżycowej nocy Mietta dojrzała na nim jakieś na pół zatarte litery. Sylweryusz nożem zdrapał z nich mech. Wówczas odczytali resztki napisu: Tu spoczywa... Maria... zmarła... Mietta czuła się wstrząśnięta widząc swoje imię. Sylweryusz nazwał ją „głuptasem”. Lecz ona nie mogła powstrzymać łez. Powiedziała, że ugodzono ją w pierś, że umrze niedługo i że ten nagrobek jest dla niej. Teraz chłopca zdjął lęk. W końcu jednak udało mu się zawstydzić dziewczynkę. Jak to? Ona, taka odważna, mówi podobne rzeczy! Roześmiali się oboje. Od tej pory unikali tego tematu. Lecz w chwilach melancholii, kiedy zachmurzone niebo zwisało smutnie nad aleją, Alietta mimo woli wracała w rozmowach do tamtej zmarłej, nieznamym Marii, której grób tak długo ułatwiał im spotkania. Może kości jej znajdowały się jeszcze na tym miejscu? Pewnego wieczoru poprosiła Sylweryusza-, aby od- I sunął kamień, chciała bowiem zobaczyć, co jest pod nim. Sylweryusz odmówił, jakby chodziło o świętokradztwo. Nie zaspokojona ciekawość kazała Mietcie dalej snuć marzenia o zmarłej, która nosiła jej imię. Wyobrażała sobie, że umarła mając lat trzynaście tak samo jak ona w tej chwili, z sercem tak samo pełnym czułości. Roztkliwiała się nawet nad kamieniem, nad tym samym kamieniem, na który wskakiwała niegdyś tak zwinnie, na którym siadywali tylekroć, który ogrzewali własnym ciepłem. Mówiła:

105

— Zobaczysz, to nam przyniesie nieszczęście... Ja, gdybyś ty umarł, przyszła bym- umrzeć tutaj, aby pochowano mnie pod tym głazem..;

Sylweryusz ze ściśniętym gardłem gniewał się na nią, że myśli o takich smutnych rzeczach. s

Prawie dwa lata trwała idylla, której nie zamąciły ani lodowate deszcze grudnia, ani piekące podszepty lipca. Zachowała ona czystość pulsującą namiętym,- lecz .nieświadomym pożądaniem i urok starożytnej opowieści greckiej. Na próżno zmarli szeptali im do ucha. Z dawnego cmentarza Mietta i Sylweryusz wynieśli jedynie melancholijne rozrzewnienie i niejasne przeczucie, że nie pożyją długo. Jakiś głos mówił im, że odejdą, zanim wybije dla nich godzina zaślubin, w dniu, w którym zapragną oddać się sobie. Zapewne tam właśnie, na kamiennym, nagrobku, wśród ukrytych pod bujną trawą resztek kości, wzrosło w nich umiłowanie śmierci i natarczywe pragnienie, aby spocząć razem w ziemi, które nasunęły im później na wargi bezładne słowa, jakie szeptali ' przy drodze do Orcheres; w tę noc grudniową, kiedy dwa dzwony ..stały ku sobie żalosne wołanie.

Mietta spała spokojnie z głową na piersi Sylweryusza, a on wspominał ich dawne spotkania, pełne uroku lata, które mieli poza sobą,

Rano dziewczynka obudziła się. Nad doliną rozpościerało się białe niebo. Słońce było jeszcze za wzgórzami. Od widnokregu spływała krystaliczna jasność, jak struga przezroczystej źródlanej wody. W dali Viorna, podobna do białej, atlasowej wstęgi, ginęła wśród żółtych i czerwonych pól. Przed nimi rozciągała się niezmiernie przestrzeń, morze szarych oliwek, winnice podobne z daleka do szerokich pasów prążkowanej tkaniny. W przezroczystym powietrzu i mroźnej ciszy poranka wszystko zdawało się jeszcze większe. Na twarzy czuli lodowate podmuchy wiatru. Podnieśli się żywo, rozweseleni jasnością poranka. Smutki ich i obawy pierzchyły razem z nocą i teraz patrzyli z zachwytem na olbrzymi krąg równiny, słuchali bicia dzwonów i zdawało im się, że głoszą radośnie nadejście świątecznego dnia.

— Ach, jak dobrze spałam! — zawołała Mietta. — Śniło mi się, żeś mnie całował. Całowałeś mnie, powiedz?

~ Bardzo możliwe — odparł Sylweryusz ze śmiechem.— Było zimno, Mróz diabelski.

— Mnie tylko nogi zmarzły.

— To pobiegnijmy... Mamy ze dwie mile drogi do zrobienia. Rozgrzejesz się.

Zbiegli ze zbocza. Kiedy byli już na dole, podnieśli głowy, jakby chcieli pożegnać ten skalny złom, który był świadkiem ich palącego pocałunku i łez. Lecz nie mówili

o tej gorącej pieszczocie, która wzbudziła w nich jakieś now³, niejasne pragnienie. Pod pretekstem konieczności szybkiego marszu nie wzięli się nawet pod rękę. Szli wesoło, trochę — i sarni nie wiedząc dlaczego — zawstydzeni; kiedy spotykali się wzrokiem. -.,

Wokół nich robiło się coraz jaśniej. Sylweryusz, którego majster posyłał czasem do Orcheres, wybierał najkrótszą drogę. Uszli przeszło dwie mile ścieżkami biegnącymi wzdłuż żywopłotów i ogrodzeń. Mietta twierdziła, że zabłądzili. Nie widzieli nic prócz drzew migdałowych, których chude gałęzie rysowały się na bladym niebie, ponad ogrodzeniami.

• Nagle znaleźli się naprzeciw Orcheres. Dobiegły do nich okrzyki radości i gwar tłumu. Oddział powstańców wkraczał właśnie do miasta. Mietta i Sylweryusz weszli wraz z nimi. Nigdy jeszcze nie widzieli podobnego entuzjazmu. Okna domów przystrojone były jak na ~przywitanie procesji, powstańców przyjmowano jak wybawców. Mężczyźni całowali ich, kobiety znosiły im żywność. Stojący tu i ówdzie na progach domów starcy płakali. Jak to bywa na Południu, radość Objawiała się w sposób hałaśliwy, śpiewem, tańcem i gestykulacją. Mietta wciągnięta została w wir farandoli na rynku. Sylweryusz podążył za nią. Zniechęcenie i myśl o śmierci odbiegły go daleko. Chciał się bić, drogo sprze-

dać swoje życie. Myśl o walce upajała go na nowo. Marzył o zwycięstwie, o szczęśliwym życiu razem z Miettą w trwałym pokoju powszechnej republiki.

Braterskie przyjęcie powstańców przez ludność Orcheres miało być ich ostatnią radością. Spędzili cały dzień w promiennej nadziei bez granic. Jeńcy — major Sicardot, pano-] wie Garçonnet, Peirotle i inni — zamknięci w merostwie, spoglądali ze zdziwieniem i lękiem na tańce na rynku, na entuzjazm, którego byli świadkiem.

— A to lotry -- mrucał major wsparty na parapecie okna, jakby to był obity aksamitem balkon teatralnej łoży.— I pomyśleć tylko, że nie zjawi się tu jedna lub dwie baterie, żeby wymieść to paskudztwo.

Dojrzał Miettę i dodał zwracając się do pana Garçonnet:

— Niech pan tylko spojrzy, panie merze, na tę dziewczynę w czerwieni. Zabrali ze sobą swoje dziewczki. Jeszcze trochę, a zobaczymy ładne rzeczy.

Pan Garçonnet kiwał głową, mówił o „rozpętanych, namiętnościach” i o „czarnych dniach historii”. Pan Peirotte, błady jak płótno, milczał.; raz tylko otworzył usta, aby rzec do Sicardota, który dalej wyrzekął:

— Ciszej, proszę pana, bo nas zmasakrują.

W rzeczywistości powstańcy odnosili się do tych jeńców jak najłagodniej. Wieczorem podano jrn nawet doskonałą kolację. Lecz takich tchórzy jak poborca podobne względy przejmowały przerażeniem: na pewno chcą ich utuczyć przed śmiercią, a potem ich pożrą.

O zmierzchu Sylweryusz natknął się na swego kuzyna, doktora Pascala. Uczony przyszedł pieszo wraz z całym oddziałem, rozmawiając po drodze z robotnikami, którzy okazywali mu szacunek. Z początku usiłował odwieść ich od walki, później zaś ustąpił.

—Może macie rację, przyjaciele — powiedział z uśmiechem człowieka, który w głębi zaprzątnięty jest czym innym — bijcie się więc, a ja będę służył wam pomocą.

Rano zabrał się ze spokojem do zbierania kamyków i roślin. Żałował, że nie wziął ze sobą młotka i puszki. Kieszenie obrywały mu się pod ciężarem kamieni, a z pudełka na narzędzia chirurgiczne, które trzymał pod pachą, wysuwały się kępki traw.

— A, łó ty, chłopcze! .-7- zawołał dostrzegłszy Sylweryusza. — Myślałem, że jestem tu sam z całej rodziny.

Ostatnie słowa wypowiedział z pewną ironią, łagodnie wyśmiewając knowania ojca i stryja Antoniego. Sylweryusz ucieszył się ze spotkania z kuzynem; doktor był jedynym z Rougonów, który witał się z nim na ulicy, podawał mu rękę f okazywał przyjaźń. Toteż widząc go okrytego kurzem i sądząc, że został pozyskany dla sprawy Republiki, chłopak okazał żywą radość. Z młodzieńczą emfazą zaczął mówić mu o prawach ludu i jego niechybnym triumfie. Pascal słuchał z uśmiechem. Z zainteresowaniem obserwował jego ruchy i mimikę, jakby roztrząsał jakieś zagadnienie, rozcinał skalpelem ten entuzjazm usiłując dociec, co kryje się pod szlachetnym uniesieniem chłopca.

— Ależ ty s?ę palisz! Nieodrodny z ciebie wnuk twej babki.

Pó czym dorzucił ciszej, głosem chemika obserwującego przebieg doświadczenia:

~ Histeria czy entuzjazm, żądze cielesne czy leż umiłowanie idei — zawsze te same diabelskie nerwy.

I zakonkludował głośno: , — Nikogo nie zabraknie w rodzinie. Znajdzie się w niej i bohater.

Sylweryusz nie usłyszał jego słów. Dalej mówił o swej ukochanej Republice. O kilka kroków od niego zatrzymała się Mietta, ubrana w .swą wielką czerwoną pelerynę; nie opuszczała Sylweryusza, trzymając się za rękę krążyli po mieście. Ta wysoka, odziana w czerwień dziewczyna zwróciła uwagę Pascala. Przerwał nagle kuzynowi pytając:

— Kto to jest ta dziewczynka?

— To moja żona — poważnie odparł Sylweryusz.

Doktor spojrział na niego ze zdziwieniem. Nie zrozumiał. A ponieważ był bardzo nieśmiały wobec kobiet, odchodząc ■ uklonił się Mielcie nisko. •

Noc była niespokojna. Wicher klęski powiał nad powstańcami, unosząc ze sobą entuzjazm i nadzieję. Twarze sposepniały, w milczeniu wymieniano między sobą spojrzenia pełne smutku i zniechęcenia. Krążyły niepokojące pogłoski; złe wieści, które dowódcom udało się ukryć ubiegłego dnia, teraz rozprzestrzeniły się nagle, mimo że nikt

0 nich nie mówił, szeptane niewidzialnymi ustami, które sięją panikę w tłumie. Odzywały się głosy, że Paryż uległ, że prowincja oddała się w jarzmo; te sanie głosy dodawały, że oddziały wojska, które wyruszyły z Marsylii pod wodzą pułkownika Massona oraz pana de Bleriot, prefekta departamentu, zbliżały się forsownym marszem; aby rozbić powstańców. Ranek przyniósł przebudzenie pełne rozpacz

1 gniewu. Ci ludzie, -wczoraj jeszcze rozplamieni patriotyzmem. drżeli teraz z zimna na wieść o haniebnym poddaniu się Francji. Więc nikt oprócz nich nie powstał, aby bohatercko wypełnić obowiązek? Czuli się odosobnieni; zewsząd otaczała ich martwa cisza i przerażenie. Sprowadzono ich do roli buntowników, których rozpędza się strzałami jak dzikie zwierzęta, a oni śnili o wielkiej wojnie, o powstaniu całego ludu, o pełnym chwale zwycięstwie sprawiedliwości! Oszukani i zawiedzeni, oplakiwali utraconą wiarę i obrócone wniwecz marzenia. Byli i tacy, którzy wyrzucając Francji tchórzostwo rzucali broń i siadali na skraju drogi, mówiąc, że będą tu czekać na kule, aby pokazać wojsku, jak umierają republikanie.

Mimo że mieli przed sobą wygnanie lub śmierć, wypadków dezercji było mało. Podziwu godna solidarność łączyła tydy ludzi. Gniew ich obrócił się przeciw dowódcom. Rzeczywiście okazali się oni nieudolni. Popełniono szereg błędów nie do naprawienia i oddziały powstańców, pozbawione pomocy, niezdyscyplinowane, dysponujące zaledwie paroma patrolami, zdane były na łaskę żołnierzy, którzy mieli nadejść.

Jeszcze dwa dni, wtorek i środę, spędzili w Orcheres tracąc czas i pogarszając własną sytuację. Generał, człowiek z szablą, którego Sylweryusz pokazywał Mielcie na drodze do Plassans, wahał się i ugiął pod straszną odpowiedzialnością, jaka na nim ciążyła. We czwartek doszedł do wniosku, że pozycja w Orcheres jest niebezpieczna. Około pierwszej dał rozkaz wymarszu i poprowadził swą małą armię na wzgórze Sainte-Roure. Dla kogoś, kto umiałby jej bronić, była to pozycja, na której można było oprzeć się wszystkim atakom. Sainte-Roure pięćrzy swe domki na zboczu wzgórza; za miastem olbrzymie złomy skalne zamykają horyzont i jedynie od strony równiny Nores, która rozciąga się u stóp płaskowyżu, można dojść do tej swego rodzaju twierdzy. Na górującej nad równiną, otwartej przestrzeni przed miastem urządzono wysadzony wspaniałymi wiązami bulwar. Tam właśnie rozłożyli się obozem powstańcy. Jeńców umieszczono w znajdującej się przy bulwarze oberży „Pod Białym Mułem”. Minęła noc, ciężka i czarna. Przebąkiwano o zdradzie. Rano człowiek z szablą, który zaniedbał najprostszyc środków ostrożności, urządził przegląd. Oddziały ustawiono tyłem do równiny. Jedni obok drugich stali ludzie w najróżnorodniejszych strojach, w brązowych kurtkach, ciemnych płaszczach, niebieskich bluzach ściągniętych czerwonymi pasami. W słońcu połyskiwała rozmaitego rodzaju broń, świeżo wyostrzone kosy, szerokie łopaty i pociemniałe lufy dubeltówek. W chwili kiedy zaimprovizowany generał przejeżdżał na koniu przed frontem swej małej armii, jakiś wartownik, zapomniany w oliwnym gaju, nadbiegł gestykulując żywo r krzycząc:

— Żołnierze, żołnierze!

Powstało nieopisane poruszenie. Z początku myślano, że to fałszywy alarm. Powstańcy, zapominając o dyscyplinie, rzucili się naprzód, aby zobaczyć żołnierzy. Szyk został

IprZerwany. Kiedy za szarą zasłoną drzew oliwnych dojrzeli cienią, zwarłą linię wojska połyskującą bagnetami, cofnęli się. Dreszcz paniki przebiegł wzgórze.

Lecz oddziały z la Palud i Saint-Martin-de-Vaulx ustawiły się z powrotem, gotowe do walki. Jakiś drwał, olbrzym, przewyższający o głowę swoich towarzyszy, wołał powie- ' wając czerwonym krawatem: „Do nas. Chayanoz, Graille,- Poujols, Sainl-Eutrope! Do nas, Tulettes! Do nas, Plassans!”.

Gromady powstańców sunęły bulwarem- Człowiek z- szablą, otoczony ludźmi z FaveroUesi-oddalił się z kilkoma oddziałami z VernotiXYCorbieres, Marsanne i Pruiinas, chcąc. obejść nieprzyjaciela i zaatakować go z boku. Oddziały ' z Valqueyras, Nazere, CaŃtel-le-Vieux, Roches^uNoires, Mur- daran skierowały się w lewo i rozsypały w tyralięę po równinie-Mores. \

Bulwar pustoszał, a tymczasem wzywane ną pomoc przez drwała miasta i wioski zbierały się pod więzami, tworząc zwartą masę, zgrupowaną wbrew wszelkim zasadom strategii, lecz zdecydowaną zagrozić drogę nieprzyjacielowi lub zginać. Plassans znajdowało się w samym Ńrodku tego bohaterskiego batalionu. Na szarym tle bluz i kurtek, w błękitnawym połysku broni, peleryna Mietty trzymającej oburącz sztandar odcinała się czerwoną plamą, jak Ńwieżo krwawiąca rana.

Zapadło milczenie. W jednym z okien „Białego Muła^{*} ukazała się biada twarz pana Peirotte. Mówił coś, dawał znaki.

— Schowaj się i zamknij okiennice! — krzyknęli gniewnie powstańcy. — Jeszcze cię zabiją!

Okiennice zatrzasnęły się czym prędzej i słychać było tylko miarowy krok zbliżających się żołnierzy.

Upłynęła nieskończenie długi chwila. Wojsko znikło nagle; przesłoniła je jakaś wyniosłość terenu i wkrótce powstańcy-dostrzegli wynurzające się od strony doliny czubki bagnetów, które rosły i falowały we wschodzącym słońcu niby ian zboża o stalowych kłosach. Rozgorączkowanemu

Sylwariuszowi wydało się nagle, że.dostrzega przed sobą żandarma, którego krew splamiła mu ręce; wiedział z opowiadań towarzyszy, że Rengade stracił oko. Jęcz nie umarł, i teraz widział go wyraźnie, broczącego krwią, strasznego, z pustym oczodołem. Myśl o tym człowieku stała się dlań nie do zniesienia. Zląkł się, że stchórzy. Kurczowo ścisnął karabin, oczy zachodziły mu mgłą; pnał wystrzałem ode- gnać widmo jednookiego żandarma. Bagnety wynurzały się powoli coraz bliżej.

Kiedy u wyjotu bulwaru ukazały się głowy żołnierzy, Sylwariusz instynktownie Zwrócił się ku Mielcie. Stała obok, jakby większa niż zwykle, z twarzą zarumienioną i przysłoniętą fałdami sztandaru. Wspinała się na palce, aby zobaczyć żołnierzy. Nozdrza drgały jej nerwowym oczekiwaniem, spod rozchylnych warg połyskiwały białe zęby młodej wilczycy. Sylwariusz uśmiechnął się do niej. Nim zdążył odwrócić głowę, wybuchła strzelanina. Żołnierze dali pierwszą salwę. Wydało mu się, że wiatr powiał mu nad głowę. Z więzów sypały się liście, ścięte przez kule. Suchy trzask, podobny do chrzęstu łamanej gałazki, kazał mu spojrzeć na praWo, Zobaczył, że wysoki drwał, który o głowę przewyższał Innych, leży na ziemi z czarną plamką na Ńrodku czoła. Wówczas nie celując strzelił, nabił karabin i strzelił znowu. Sam nie wiedział, co robi, kierował nim zwierzęcy instynkt zabijania. Nie rozróżniał już nawet sylwetek żołnierzy. Pod więzami snuły się dymy podobne do strzędów szarego muŃlinu. Liście nadabspadały na powstańców, żołnierze mierzyli za wysoko. Chwilami; wśród rozdzierających odgłosów strzelaniny, dobiegało chłopca czyjeŃ westchnienie lub zduszony charkot. Szeregi falowały wówezas, jakby chcąc uczynić miejsce nieszczęsnemu towarzyszowi, który padał czepiając się ramion sąsiadów. Ogień trwał przez dziesięć ininut.

Nagle, między jedną a drugą salwą, kłóŃ krzyknął: „Ratuj się, kto może!” głosem, w którym drgało strasznego prze-, rażenie. Odpowiedział mii pomruk pełen wŃciekłości:

„Tchórze, tchórze!” .Zaczęty krząć ponure wieści, że generał uciekł, a kawaleria zmiotła strzelców rozsypanych w tyralierę na równinie/Nores. Strzały nie ustawały, wybuchały nieregularnie, przesywając dym nagłym błyskiem. Jakiś mocny głos powtarzał, że trzeba trwać na miejscu. Lecz drugi głos, głos trwogi, wołał głośnieji „Ratuj się, kto może! Ratuj się, kto może!” Ludzie zaczęli uciekać rzucając broń i skacząc przez trupy. Pozostali zacieścili szeregi. Wreszcie zostało ich dziesięciu. Z tych dwóch uciekło, a trzech padło pod-strzałami.

Mietta i Sylweryusz pozostali na miejscu nie rozumiejąc, co się dzieje. W miarę jak oddział topniał, Mietta coraz wyżej wznosiła sztandar; trzymała go przed sobą jak wielką świecę, mocno zaciskając dłonie wokół drzewca. Był usiany kulami. Kiedy Sylweryusz wyczerpał zapas naboju, przestał strzelać i z osłupieniem spojrzął na swój karabin. Nagle jakiś cień przesunął mu się przed oczami, jakby olbrzymi ptak musnął mu czoło swym skrzydłem. Podniósł wzrok i ujrzał, że sztandar wypadł z rąk Mietty. Dziewczyna, z dłońmi przyciśniętymi do piersi, z głową odrzuconą do tyłu i wyrazem straszliwego cierpienia, na twarzy zwolna osuwała się na ziemię. Nie wydała nawet krzyku; upadła do tyłu, na rozesłany u jej stóp czerwony sztandar.

— Wstań, spiesz się — powiedział nieprzytomnie Sylweryusz wyciągając do niej rękę.

Lecz ona leżała dalej z oczami otwartymi szeroko, nie mówiąc ani słowa. Zrozumiał i padł rta kolana obok niej. .

— Jesteś ranna, powiedz? Gdzie jesteś ranna?

Milczała. Brakowało jej tchu. Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami, wstrząsana krótkim dreszczem. Rozsunął jej dłonie.

— Tutaj, prawda? To tu?

Rozerwał jej bluzkę, obnażając pierś. Szukał. Niczego nie dostrzegł. Oczy napełniły mu się łzami. Nagle pod lewą pierś zobaczył małą różową plamkę; jedna jedyna kropla krwi wypłynęła z rany.

— To nic — wyjąkał — zaraz poszukam Pascala, on cię wyleczy. Gdybyś mogła wstać... Nie możesz?

Żołnierze przestali strzelać, rzucili się w lewo na oddziały, które uprowadził człowiek z szablą. Pośrodku pustego bulwaru pozostał tylko Sylweryusz klęczący obok Mietty. Usiłował postawić ją na nogi, wziął ją w ramiona, lecz dziewczynką targnął taki spazm bólu, że z powrotem ułożył ją na ziemi.

— Odezwij się do mnie — błagał. -- Dlaczego nic nie mówisz?

Nie mogła. Wolno poruszyła dłoń, jakby chcąc mu dać do zrozumienia, że to nie jej wina. Jej zaciśnięte wargi stawały się coraz węższe pod dotknięciem śmierci. Włosy miała rozsypane, głowę wtuloną w krwawe fałdy sztandaru. Tylko czarne oczy, błyszczące w pobladłej twarzy, żyły w niej jeszcze. Sylweryusz zaszlochał. Wyraz tych pełnych cierpienia oczu sprawił mu ból. Czytał w nich wielki żal. Mietta mówiła mu, że odchodzi sama przed dniem ich zaślubin, że odchodzi od niego nie zostawiając jego żonę; mówiła mu jeszcze, że on sam jest tego przyczyną, że powinien był kochać ją tak, jak wszyscy chłopcy kochają swe dziewczęta. W chwili śmierci, z którą walczyła, opłakiwała swoje dziewictwo. Pochylony nad nią Sylweryusz pojął jej gorzkie łzy. Przypomniały mu się szeptym umarłych ze starego cmentarza i pocałunki, które paliły im wargi tej nocy na skraju drogi. Obejmowała go za szyję, domagała się od niego miłości, a on głuchy był na jej wezwania i oto teraz odchodziła pełna rozpacz, że nie zaznała rozkoszy. Przejęty żalem, że pozostawi jej tylko wspomnienie dobrego towarzysza i kolegi, ucałował jej pierś dziewczęcą, nieskalaną i czystą, którą obnażył. Lzy jego padały na jej wargi. Ustami drżącymi od łkań przywierał do jej ciała. Te pocałunki kochanka zapaliły ostatnią radość w oczach Mietty. Kochali się, a miłość ich kończyła się śmiercią.

Sylweryusz nie mógł uwierzyć, że Mietta umiera.

i

jnHHHI

— Zobaczysz, to głupstwo... — zapewniał. Nie mów, -' jeżeli cię to męczy... Czekaj, podniosę ci głowę, a później cię ogrzeję, masz lodowate dłonie...

Po lewej stronie, w gajach oliwnych, znowu rozpoczęła się strzelanina. Głuchy tętent galopującej kawalerii dobiegł z równiny Nores. Chwilami słychać było krzyki mordowanych. Tumany gęstego dymu napływały na bulwar i snit? . Iy się pod gałęziami wiązów. Lecz Sylweryusz nic nie widział, nic nie słyszał. Pascal, który biegł właśnie ku do- linie, dostrzegł go leżącego na ziemi i zbliżył się myśląc, że jest ranny. Chłopiec chwycił go kurczowo i wskazał Miette. fi

— Niech pan spojrzy — rzekł — ona jest ranna, o tu, pod piersią... Ach, jak to dobrze, że pan przyszedł, uratuje ją pan.

W tej chwili umierającą wstrząsnął lekki dreszcz. Przez twarz jej przemknął bolesny cień, zaciśnięte, wargi rozchyliły się wydając krótkie tchnienie. Oczy jej, szeroko otwarte, pozostały utkwione w chłopca.

Pascal pochylił się nad nią, a potem wyprostował mówiąc półgłosem:

— Umarła.

Umarła! Sylweryusz zachwiał się słysząc to słowo. Klęczał przedtem, lecz teraz usiadł, jakby przewróciło go lekkie tchnienie Mietty.

— Umarła? Umarła? — powtarzał. — To nieprawda, przecież na mnie patrzy. Widzi pan, że na mnie patrzy.

Chwycił lekarza za rękaw błagając go, żeby nie odchodził, dowodząc mu, że się myli, że ona nie umarła, że może ją uratować, jeśli zechce. Pascal uwolnił się łagodnie, mówiąc serdecznym głosem:

. -r- Ja tu już nic nie pomogę, a inni czekają na mnie... Puść mnie, drogi chłopcze. Ona naprawdę umarła.

Sylweryusz opadł na ziemię. Umarła! Umarła! dźwięczało mu w uszach jak bicie pogrzebowego dzwonu. Przysunął się do zmarłej. Mietta patrzyła na niego ciągle. Rzucił się na nią, tuląc głowę do jej nagich piersi i oblewając ją łzami.

Ogarnęło go uniesienie.^ Rozpaczliwymi pocałunkami pragnął tchnąć w nią życie. Lecz ciało dziewczynki 'stygło pod jego wargami, poddając mu się bezwolnie. Przeraził się. Usiadł obok, z twarzą zalaną łzami, z rękami zwieszonymi bezwładnie, powtarzając tępo:

— Umarła, ale patrzy na mnie. Nie zamyka oczu. Widzi mnie,,

Myśl ta napelniła go wielkim spokojem. Nie ruszał się. Zatonął spojrzeniem w oczach Mietty, którym śmierć dodała jeszcze głębi.

Tymczasem w dolinie kawaleria ścigała rozproszone oddziały. Galop koni i jęki umierających oddalały się, cichły, jakby jakaś odległa muzyka. Sylweryusz przestał zdawać sobie sprawę, że wokół niego toczy się walka. Nie widział swego kuzyna, który nadszedł z pola bitwy i przechodził bulwarem. Mijając chłopca Pascal podniósł porzucony przez Sylweryusza karabin *Macquarta. Widywał go nad kominkiem u ciotki Didy i postanowił uchronić przed nieprzyjacielem. Ledwo zdążył Wejść do oberży „Pod Białym Mułem”, dokąd zanesiono wielką ilość rannych, kiedy fala powstańców, pędzonych przez żołnierzy jak bydło, wtargnęła na bulwar. Człowiek z szabłą uciekł; wojsko ścigało teraz niedobitków. Nastąpił straszliwy pogrom. Na próżno pułkownik Masson i prefekt, pan de Bleriot, ogarnięci litością, nakazywali zaprzestać walki. Rozwścieczeni żołnierze strzelali dalej do tłumu i przygważdżali uciekających bagnietem do ścian. Kiedy nie mieli już nikogo przed sobą, usiali kulami fasadę oberży „Pod Białym Mułem”. Okiennice rozleciały się W drzazgi, jedno z okien wypadło z głośnym brzękiem tłuczonego szkła. Z wewnątrz dochodziły żalosne głosy: „Tu jeńcy! Tu jeńcy!” Lecz żołnierze nie słyszeli nic i strzelali dalej. W pewnej chwili na progu ukazał się zrozpaczony major Sicardot wymachując rękami. Obok niego stał chudziutki pan Peirotte z przerażoną twarzą. Rozległa się nowa salwa. Pan Peirotte"upadł na ziemię twarzą naprzód, jak bryła.

Sylweryusz i Mietta patrzyli na siebie. Pośród strzelaniny i wycia konających chłopiec trwał nieruchomo, pochylony nad zmarłą. Nie odwrócił nawet głowy, chociaż czuł, że otaczają go jacyś ludzie. Ogarnięty wstydem przykrył naga pierś Mietty fałdami czerwonego sztandaru. I znowu patrzyli na siebie.

Walka dobiegała końca. Śmierć poborcy nasyciła żołnierzy. Rozbiegli się przeszukując wszystkie kąty, aby nie dać ujść ani jednemu powstańcowi. Jakiś żandarm zauważywszy siedzącego pod drzewami Sylweryusza podbiegł do niego, a widząc, że ma do czynienia z dzieckiem, zapytał:

Co ty tu robisz, smarkaczu?

Sylweryusz, z oczami utkwionymi w oczy Mietty, fiie odpowiadał.

— A to bandyta; całe ręce ma czarne od prochu! — krzyknął żandarm, który pochylił się nad nim. — No, jazda, wstawaj, łotrze! Będziesz miał na coś zasłużyć!

A ponieważ Sylweryusz uśmiechał się nieprzytomnie i nie ruszał się z miejsca, tamten spostrzegł, że trup leżący w fałdach sztandaru jest trupem kobiety.

— Szkoda jej, ładna dziewczyna — mruknął... — Twoja kochanka, co, gagatku?

I dorzucił z rubasznym śmiechem:

— No, wstawaj!... Teraz, kiedy umarła, i tak się już z nią nie prześpisz...

Szarpnął brutalnie Sylweryusza, postawił go na nogi i powłókł za sobą. Sylweryusz poddawał się bez słowa, z dziecinną uległością. Odwrócił się tylko i spojrzął na Miettę. Ogarniała go rozpacz, że musi zostawić ją samą pod drzewami. Ujrzał ją jeszcze po raz ostatni z daleka. Leżała w fałdach czerwonego sztandaru, z głową lekko przechyloną i szeroko otwartymi wielkimi oczami, które spoglądały w przestrzeń.

lift

VI

Około piątej rano Rougon ośmielił się wreszcie wyjść z mieszkania matki. Staruszka spała na krześle. Ostrożnie doszedł do wylotu zaułka Świętego Mittry. Było cicho i pusto. Ruszył więc dał jej aż do Bramy Rzymskiej. Otwarta na rozcież, tonęła w mroku uśpionego miasta. Plassans spało głębokim snem nie zdając sobie sprawy, jaką popełnia nieostrożność śpiąc przy bramach szeroko otwartych. Robiło wrażenie wymarłego. Pokrzepiony tym widokiem, Rougon wszedł w ulicę Nicejską. Z daleka sondował wzrokiem ciemne wnęki uliczek; drżał przechodząc kolo bram, wydawało mu się bowiem, że lada chwila wyskoczą z nich powstańcy i rzucają się na niego. Dotarł jednak bez przygód do bulwaru Sauvaire. Najwidoczniej powstańcy rozplynęli się w mroku, jak koszmar.

Uspokojony Piotr zatrzymał się na chwilę na pustym chodniku. Westchnął głęboko z uczuciem ulgi i triumfu. Ci łajdacy republikanie zostawili mu jednak Plassans! W tej chwili —■• uśpione i mroczne, milczące i zadowolone z siebie — należało do niego. Wystarczy wyciągnąć rękę, aby je ^ wziąć. Z nieopisaną radością sycił się widokiem pogrążonej we śnie pod prefektury. Stał skrzyżowawszy ramiona, przybierając sam pośród ciemnej nocy — pozę wodza ój w przededniu zwycięstwa. Z oddali dochodził go tylko szmer fontann; dźwięczne strużki wody spływały do kamiennych basenów. Po chwili ogarnął go jednak niepokój. A jeżeli zrobiono jbz Cesarstwo bez jego udziału? Jeżeji pech chciał i Sicardot, Garçonnet, Peirotte i inni nie zostali aresztowani i uprowadzeni przez powstańców, ale dali sobie z nimi radę i wsadzili ich do więzienia? Oblął się zimnym potem i mszył ku domowi w nadziei, że Felicja poinformuje go o wszystkim dokładnie. Szybkim krokiem przesuwiał się wzdłuż domów ulicy de la Banne, gdy nagle zatrzymał go widok, jaki ujrzał podniósłszy głowę. Jedno z okien żółtego salonu było jasno oświetlone. Na jego tle odcinała się czarna postać.

119

"T

— MHH

I w której poznał żonę. Postać ta wychylała, się i machała rozpaczliwie rękami. Przestraszony zastanawiał się, co to może .znaczyć, kiedy jakiś twardy przedmiot upadł na chodnik u jego stóp. Felicja rzuciła mu klucz od szopy, w której schował broń. Klucz ten mówił mu wyraźnie, że .należy ją. wydobyć. Zawrócił nie umiejąc sobie wytłumaczyć^ dlaczego żona nie dała mu wejść na górę, i wyobrażając sobie naj- strasliwsze rzeczy.

Poszedł prosto do. Roudiera, którego zastał na nogach, gotowego do drogi, lecz całkiem nieświadomego wydarzeń, które zaszły. Roudier mieszkał na krańcu-nowej 4^{zemic}y. na pustkowiu, do którego nie dotarło echo przemar|zu powstańców. Piotr zaproponował mu, aby poszli, do Granoux. Jego dom stał na rogu placu des Recóllets i oddział powstańczy musiał przejść pod jego oknami. Służąca radcy miejskiego wpuściła ich dopiero po długiej rozmowie przez zamknięte drzwi. Słyszeli, jak Granoux wołał do niej z pierwszego piętra drżącym głosem:

— Nie otwieraj, Katarzyno! Ulice są pełne^ rozbójników!

Siedział, w sypialni, po ciemku, Poznawszy przyjaciół uspokoił się, ale nie chciał, żeby służąca przynosiła lampę, gdyż bał się, że powstańcy, zwabieni światłem, zaczną do niego strzelać. Wtulony w fotel koło okna, w kalesonach,, z głową okręconą fularem, jęczał: y,

— Ach przyjaciele, gdybyście wiedzieli!,,... Próbowałem <Się położyć, ale co to były za hałasy! .Więc usiadłem w fotelu. I wszystko widziałem,,wszystko! Straszne twarze, po prostu banda galerników! Przechodzili tędy dwa razy. Za drugim razem prowadzili ze sobą naszego dzielnego majora Sicardot, pana Garçonnet, naczelnika. poczty, wszystkich tych panów, i wydawali krwiozercze okrzyki!...

Rougona przeniknęła ciepły prątl radości. Jeszcze raz upewnił się, czy Granoux naprawdę widział mera i pozostałych pośród zbuntowanego tłumu:

!l Mo przecież mówię panu! p jęczał biedak. — Siedziałem za firanką... Przyszli aresztować, pana Peirotte,

Słyszałem, jak mówił przechodząc pod moim oknem: „Panowie, nie róbcie mi nic złego". Musieli go widać torturować... Ach, cóż to za hańba, cóż za hańba...

Roudier. uspokoił Granoux mówiąc, że miasto jest wolne. Toteż kiedy Piotr oświadczył mu, że przyszedł po niego, aby wspólnymi siłami ocalić Plassans, Gra/ioux ogarnął wojowniczy zapal. Trzej wybawcy miasta wszczęli naradę. Postanowili udać się do przyjaciół i wyznaczyć im spotkanie w szopie, zakonspirowanym arsenałe reakcji. Rougon miał w pamięci gwałtowne znaki, jakie dawała mu FeliGja, i węszył ukryte niebezpieczeństwo. Granoux, niezaprzeczalnie najgłupszy "z nich trzech, pierwszy wpadł na myśl, że w mieście na pewno pozostali jeszcze jacyś republikanie. Rougon doznał nagłego olśnienia. Wiedziony przecuciem, które go .nie myliło, powiedział sobie;

W tym musi być robota Macquarta.

W godzinę później przyjaciele spotkali się w szopie położonej w zapadłym^ kącie miasta. Przemykając ostrożnie od jednego domu do drugiego, tłumiąc odgłos dzwonek i ko łatek, starali się byli zebrać jak najwięcej ludzi. Udało im się jednak zgromadzić tylko około czterdziestu. Nadchodzili [eden za drugim prześlizgując się w mroku, bładzi, bez krawatów, z zaspanymi .minami przerażonych mieszcuchów. Szopa wynajęta jakiemuś bednarzowi pełna była starych obręczy i połamanych beczek, które piętrzyły się po kątach. Pośrodku, w trzech długich skrzyniach ukryte zostały strzelby. Ustawiona na desce mała latarka oświetlała migotliwym blaskiem tę dziwną scenę, która nabrała wyrazu ponurej groteski, kiedy Rougon otworzył skrzynie. Ponad strzelbami, ■których lufy połyskiwały niebieskawo, pochylały się z wyrazem ukrytego łęku wyciągnięte głowy, a w żółtym świetle lampki rysowały się na ścianach cienie olbrzymich nosów i zjeżonych strachem kosmyków;

Po sprawdzeniu ilości osób, zgromadzonych ogarnęło wahanie: było ich zaledwie trzydziestu dziewięciu. Groziła im niechybna masakra.

Jakiś ojciec rodziny zaczął mówić o swoich dzieciach, inni zaś, nie szukając żadnych pretekstów, skierowali się po prostu ku drzwiom. W tej chwili nadeszło jednak dwóch spiskowców. Mieszkali oni na placu Ratuszowym i wiedzieli, że w merostwie pozostało najwyżej dwudziestu republikanów. Zaczęto radzić od nowa. Stosunek czterdziestu jeden" przeciw dwudziestu wydawał się możliwy do przyjęcia. Rozdanie broni odbyło się wśród lekkiego drżenia. Rougon wyjmował strzelby ze skrzyń, a każdy biorąc do ręki broń, której lufą była zimna jak lód, czuł chłód przenikający go do szpiku kości. Cienie na ścianach przybrały dziwne pozy. Zakłopotani spiskowcy wykonywali nieporadne gesty. Piotr z żalem zamknął skrzynie. Zostało w nich jeszcze sto dziewięć strzelb, które chętnie byłby rozdał, gdyby miał komu. Zabrał się następnie do wydawania naboju. W głębi szopy stały dwie wielkie beczki napelnione nimi aż po brzegi, było więc czym bronić Plassans, choćby przeciw całej armii. Ponieważ w kącie panował mrok, jeden ze spiskowców przesunął w tamtą stronę latarkę. Wówczas inny — gruby rzeźnik z pięściami olbrzyma — rozgniewał się mówiąc, że to nieroztropnie przysuwać zapaloną lampę do prochu. Wszyscy przytaknęli mu zgodnie. Naboje rozdano więc w zupełnej ciemności. Zebrani wypchali sobie nimi kieszenie, a później z niesłychanymi ostrożnościami naładowali broń. Kiedy byli już gotowi, zatrzymali się jeszcze na chwilę w szopie spoglądając na siebie spod oka wzrokiem, w którym tchórzliwe okrucieństwo mieszało się z głupotą.

Po wyjściu sunęli pod ścianami domów, w milczeniu, rzędem, jak dzicy wyruszający na wojnę. Rougon kroczył na czele; zachował ten zaszczyt dla siebie — uważał, że nadeszła chwila, kiedy musi zaryzykować własne życie, jeżeli pragnie urzeczywistnienia swych planów! Mimo zimna krople potu występowały mu na czoło, lecz maszerował dalej z groźną miną. Bezpośrednio za nim szli Roudier i Gra-noux. Kolumna zatrzymywała się dwukrotnie: zdawało jej się, że słyszy dalekie odgłosy bitwy; lecz to tylko zawieszona na łańcuszkach mosiężna (alerze golibrody brzęczały na wietrze. Dzielni obrońcy Plassans podejmowali więc swój ostrożny marsz w ciemnościach. Doszli do placu Ratuszowego. Tam zgrupowali się wokół Rougona i odbyli jeszcze jedną naradę. Naprzeciwko nich, w merostwie, oświetlone było jedno jedyne okno. Dochodziła siódma, zaczynało świtać.

Po dobrych dziesięciu minutach dyskusji zdecydowano, że należy przysunąć się aż do drzwi merostwa, aby przekonać się, co oznacza owa niepokojąca ciemność i cisza. Drzwi były uchylone. Jeden ze spiskowców wsunął głowę, lecz cofnął ją czym prędzej, mówiąc, że w przedsionku siedzi jakiś człowiek z bronią u nogi i śpi. Rougon widząc, że nadarza im się sposobność do bohaterskiego wystąpienia, wszedł pierwszy, obezwładnił śpiącego i przytrzymał go, podczas gdy Roudier knebłował mu usta. Ten pierwszy odniesiony w milczeniu sukces dodał odwagi oddziałkowi, który bał się, że czeka go krwawe starcie. Władczymi gestami Rougon uciszał radość swych żołnierzy.

Ruszyli dalej na palcach. Po lewej stronie na wartowni ujrzeni około piętnastu ludzi śpiących na polowych łózkach, w nikłym świetle zawieszonej na ścianie lampki. Rougon, w którym niewątpliwie obudziły się wielkie talenty wojskowe, zostawił przed wartownią połowę swoich ludzi z rozkazem nie budzenia śpiących, trzymania ich jednak w szachu i aresztowania, gdyby chcieli się wydostać. Niepokoiło go oświetlone okno na piętrze, które dojrzał, kiedy przechodzili przez plac. Węszył w tym sprawkę Macquarta i czuł, że najpierw trzeba dostać w swoje ręce tych, którzy czuwali tam na górze. Rad był, że uda mu się ich zaskoczyć, zanim zdążą się zabarykadować na odgłos walki. Cicho wszedł na schody prowadząc za sobą dwudziestu bohaterów, których miał do dyspozycji. Roudier objął dowództwo patrolu, który został na podwórzu.

Rozparty w fotelu, z łokciami na biurku, Macquart siedział w pokoju mera na górze. Tępego umysłu, pochłonięty swą idee fixe i oślepiiony nadzieją zwycięstwa, wyobraził

sobie po wyjściu powstańców, że jest panem Plassans, i że może już zachowywać się jak triumfator.

Trzytysięczny oddział, który przeszedł przez miasto, wydawał mu się armią nie do pokonania, której bliskość wystarczała, aby mógł utrzymać w swym ręku mieszczan spółkoma tych i uległych. Powstańcy zamknęli żandarmów w ich własnych koszarach, gwardia narodowa była przetrzebiiona, dzielnica arystokratyczna umierała ze strachu; zaś rentierzy z nowej dzielnicy miasta na pewno nigdy w życiu nie mieli do czynienia z bronią. Skąd wzięliby ją zresztą? Nie był nawet na tyle ostrożny, aby kazać pozamykać drzwi. Jego ludzie posnęli, a on sam spokojnie oczekiwał dnia wprzekonaniu, że republikanie z okolicy nadejdą mu z pomocą.

Marzyły mu się rewolucyjne posunięcia: utworzy Komunę, której zostanie przewodniczącym, uwięzi złych obywateli, a zwłaszcza ludzi, którzy mu się nie podobali. Myśl o tym, że pokona Rougonów, że opustoszeje żółty salon, że cała ta klika błagać go będzie o łaskę, napawała go błogą radością. Aby uśmierzyć swą niecierpliwość, postanowił wystosować proklamację do mieszkańców Plassans. Zebrali się we czterech, aby ją zredagować. Kiedy została ułożona, Macquart, przybierając w fotelu męską postać, kazał ją sobie odczytać przed odesłaniem jej do drukarni Niezależnego, na której obywatelskie stanowisko liczył. Jeden z redaktorów zaczął właśnie z emfazą: „Mieszkańcy Plassans, wybiła godzina wolności i sprawiedliwości...”, gdy jakiś hałas dał się słyszeć za drzwiami gabinetu, które otwierały się powoli.

— Czy to ty, Cassoute? — zapytał Macquart przerywając czytanie.

Odpowiedzi nie było. Drzwi otwierały się coraz szerzej.

— No, wejdźże! — I podjął zniecierpliwiony. — Czy ten łotr, mój braciszek, wrócił już do domu?

Drzwi pchnięte gwałtownie otworzyły się na rozcież i fala uzbrojonych ludzi, wśród których szedł Rougon, bar

dzo czerwony, z oczami wylazłymi z orbit, wtargnęła do gabinetu wywijając strzelbami, jakby to były kije.

— A to kanalie! Mają broń! — krzyknął Macquart.

Chciał chwycić parę pistoletów leżących na biurku, lecz nim zdążył to zrobić, pięciu ludzi skoczyło mu do gardła. Czterech redaktorów niefortunnej proklamacji usiłowało się bronić. Zaczęto się szamotać, słychać było tupot i odgłosy padania na podłogę. Walczącym dziwnie przeszkadzały na nicnieprzydatne strzelby, których nie chcieli jednak wypuścić z rąk. Strzeżba Rougona, którą jeden z powstańców usiłował mu wyrwać, wystrzeliła nagle ze straszliwym hukiem, napełniając dymem cały gabinet; kula rozbiła wspaniałe lustro sięgające od kominka aż po sufit, które miało sławę jednego z najpiękniejszych luster w całym mieście. Ow mimowolny wystrzał ogłuszył wszystkich i położył kres wólce.

Zasapani bohaterowie usłyszeli nagle trzy detonacje. Granoux podbiegł do okna. Twarze się wydłużyły; wychyleni z niepokojem czekali. Nikt nie miał ochoty walczyć z ludźmi z wartowni, o których zapomnieli w chwili zwycięstwa. Lecz Roudier uspokoił ich wołając, że wszystko jest w porządku. Granoux z promienną miną zamknął okno. Rzecz miała się tak, iż wystrzał Rougona obudził śpiących, którzy widząc, że opór jest niemożliwy, poddali się. Pragnąc jak najprędzej skończyć z tym wszystkim, trzech ludzi Roudiera nie bardzo wiedząc, co robią, wystrzeliło w powietrze, jakby w odpowiedzi na wystrzał z góry. Są chwile, kiedy strzelby same zaczynają strzelać w rękach tchórzów.

Tymczasem Rougon kazał skrepować mocno ręce Macquarta sznurami od firanek. Antoni śmiał się szyderczo, dławiąc się gniewem.

— Śmiało, śmiało... — bełkotał. — Dziś wieczór albo jutro, kiedy tamci wrócą, porachujemy się!

Dreszcz przeszedł zwycięzców, kiedy usłyszeli tę aluzję do oddziału powstańców. Rougon poczuł, że robi mu się duszno. Jego brat, wściekły, że dał się zaskoczyć jak dziecko

tym przerażonym burżujom, których jako dawny żołnierz * nazywał zawsze „zgniłymi cywilami”, patrzył nań groźnym, zięjącym nienawiścią wzrokiem.

— O, ja niejedno mógłbym powiedzieć, niejedno mógłbym powiedzieć — podjął nie spuszczać z niego oczu. — Postawcie mnie przed sądem, a opowiem sędziom różne historyjki, z których się uśmieją.

Rougon zbladł. Ogarnął go straszliwy lęk, żeby Macquart nie zaczął mówić i nie zgubił go w opinii tych panów, którzy pomogli mu ocalić Plassans. Panowie ci zresztą, oszołomieni dramatycznym spotkaniem dwóch braci, widząc, że zanosi się między nimi na burzliwą scenę, cofnęli się w kąt gabinetu. Rougon powziął heroiczną decyzję. Podeszedł do nich i rzekł z godnością:

— Tego człowieka zatrzymamy tutaj. Kiedy zastanowi się nad swoim położeniem, będzie mógł udzielić nam cennych wiadomości.

Później zaś dorzucił z jeszcze większą godnością:

— Spełnię mój obowiązek, panowie. Przysięgam uratować miasto od anarchii i uratuję je, nawet gdybym miał stać się katem moich najbliższych.

Można by pomyśleć — starożytny Rzymianin składający własną rodzinę w ofierze na pilarzu ojczyzny. Granoux, bardzo wzruszony, podeszedł do niego, i uściśnął mu dłoń ze łzawą miną, która miała znaczyć: „Rozumiem pana! Jest pan wspaniały!” Później zaś oddał mu tę przysługę, że wyprowadził wszystkich z pokoju, pod pretekstem odprowadzenia na podwórze czterech więźniów.

Kiedy Piotr został sam z bratem, poczuł, że odzyskuje pewność siebie. Zwrócił się do niego: t.f-r- Nie spodziewałeś się mnie, prawda? Teraz rozumiem: musiałeś zastawić na mnie pułapkę w moim własnym domu! Nieszczęsny! Widzisz, do czego doprowadziło cię ttfroje występne życie!

Macquart wzruszył ramionami* -

— Daj mi święty spokój — powiedział. Jesteś starym łajdakiem. Jeszcze zobaczymy, kto będzie górą.

Rougon, który nie zdecydował jeszcze, co z nim zrobić, wpełchnął go na razie do garderoby, w której pan Garçonnet odpoczywał czasami. Pokój ten, oświetlony z góry, miał tylko jedne drzwi. Stało w nim kilka foteli, kanapka i marmurowa umywalnia. Piotr rozluźnił nieco więzy na rękach brata, a wychodząc dwukrotnie przekręcił klucz w zaniku. Słyszał, jak Macquart rzucił się na kanapę intonując potężnym głosem ęa ira, jakby miał zamiar ukołysać się w ten sposób do snu.

Nareszcie sam, Rougon usiadł w fotelu mera. Westchnął i otarł sobie czoło. Jakże uciążliwy był ów podbój fortuny i zaszczytów! Wreszcie dobiegał już celu, czuł, jak miękki fotel ugina się pod nim, i machinalnie gładził ręką mahoniowe biurko, które wydało mu się tak delikatne i jedwabiste, jak skóra kobiety. Rozparł się wygodnie, przybierając pozę pełną godności! podobnie jak Macquart. kiedy słuchał czytania proklamacji. Z rozkoszą zagłębił się w nabożnej ciszy gabinetu. Zapach kurzu i starych papierów wydawał mu się wonią kadzidła. Ten pokój o wypłowiałych -tapetach, cuchnący miernotą trzeciorzędnej gminy miejskiej, był świątynią, której on stawał się bogiem. Otaczała go atmosfera rzeczy świętych. Mimo że nie lubił księży, przypomniał sobie rozkoszne uczucie, jakiego doznał przyjmując pierwszą komunię, kiedy zdawało mu się, że połyka ciało Jezusa.

Pograżony w zachwycie, drgał jednak nerwowo za każdym głośniejszym słowem Macquarta. Wyrazy „arystokrata”, „latarnia”, groźby wieszania dochodziły go potężnym echem przez drzwi, mącąc jego triumfalne marzenia. Zawsze ten Macquart! Wizję ujarzmionego Plassans przesłaniał nagle obraz sądu, przysięgłych, sędziów i publiczności słuchającej haniebnych wynurzeń Macquarta, historii pięćdziesięciu tysięcy franków i innych spraw. To znów, rozkoszując się miękkością fotela pana Garçonnet, widział nagle

I w wyobraźni siebie, wiszącego na latarni przy ulicy de la Banne, Któż uwolni go wreszcie od tego nędznika? W końcu Antoni zasnął. Piotr przeżył dziesięć minut najczystszej ekstazy. . . ;

Roudier i Granoux wyrwali go z tego błogostanu. Wracali z więzienia, dokąd zaprowadzili powstańców. Robiło się coraz widniej, miasto mogło obudzić się lada chwila, należało więc coś postanowić. Roudier oświadczył, iż przede wszystkim-trzeba wystosować proklamację do mieszkańców. Piotr czytał właśnie tę, którą pozostawili na stole*powstańcy.

— Przecież ona się doskonale dla nas nadaje! Wystarczy zmienić kilka słów! wykrzyknął;

• Po upływie kwadransa Granoujrodczytał wzruszonym głosem:

„Mieszkańcy Plassans, wybiła godzina oporu, porządek został przywrócony...”

Postanowiono, że drukarnia Gazety wydrukuje tę proklamację, którą następnie rozplakatuje się na wszystkich rogach ulic.

—A teraz słuchajcie, panowie! — rzekł Rougon. j|l Pójdziemy do mnie, a tymczasem pan Granoux zbierze tutaj tych radnych miejskich, którzy nie zostali aresztowani, i opowie im o straszliwych wydarzeniach dzisiejszej nocy. '

Po czym dodał majestatycznie:

— Gotów jestem przyjąć całą odpowiedzialność za moje czyny. Jeżeli to, czego dokonałem do tej pory, jest wystarczającym dowodem mego umiłowania ustalonego porządku rzeczy, zgadzam się stanąć na czele" komisji municypalnej, aż "do-chwili powołania stałych władz. Żeby zaś nie posądzano mnie o dążenie do zaszczytów, powrócę do merostwa wtedy dopiero, gdy zostanę wezwany tutaj przez mych współobywateli.

Granoux i Roudier zaczęli wydawać głośnie okrzyki. Plassans nie okaże się niewdzięczne! Przecież to on uratował miasto. Przypomnieli wszystkie jego zasługi: żółty salon, stale otwarty dla zwolenników prawowitej władzy,

szerzenie ich idei we wszystkich trzech dzielnicach miasta, projekt zgromadzenia zapasu broni, a wreszcie bohaterski udział w wypadkach tej pamiętnej nocy, który na zawsze okrył go chwałą.

Granoux dodał, że ani na chwilę nie wątpi, iż radni miejscy okażą mu należyty podziw i wdzięczność.

— Niech się pan nie rusza z domu; sam przyjdę po pana i sprowadzę tu pana w triumfie.

Roudier dorzucił, że rozumie postępowanie przyjaciela i że pochwała jego takt i skromność. Nikomu nie przyszło- by na pewno do głowy podejrzewać go o dążenie do zaszczytów, ale teraz wszyscy uświadomią sobie delikatność, jakiej dał dowód nie chcąc przyjąć żadnej funkcji bez zgody współobywateli. Stanowisko takie jest bardzo piękne, bardzo szlachetne, wręcz wzniosłe.

Pod deszczem tych pochwał Rougon schylał skromnie głowę. „Ach nie, to przesada", szeptał z omdlewającą miną człowieka, którego ambicję rozkosznie polechtano. Za każdym zdaniem eks-dostawcy pończoch i eks-sprzedawcy migdałów fala błogiego zadowolenia przepływała po jego twarzy; rozparty w fotelu mera, nasiąknięty urzędową wonią gabinetu, kłaniał się na prawo i na lewo jak księżę pretendent, którego zamach stanu ma uczynić cesarzem.

Kiedy syci już byli wzajemnych pochwał, zeszedli na dół. Granoux wyruszył na poszukiwanie członków rady miejskiej. Roudier miał jeszcze wydać odpowiednie zarządzenia celem zabezpieczenia merostwa, powiedział więc Rou- gonowi, że przyjdzie do niego trochę później. Robiło się coraz widniej/Piotr szedł ulicą de la Barnie, po wojskowemu stukając obcasami o puste jeszcze chodniki. Mimo silnego mrozu niósł kapelusz w rękę; pycha przyprawiała go o uderzenia krwi do głowy.

W sieni zastał .Cassoute'a. Ponieważ nikt nie zjawiał się do tej pory, kopacz nie ruszył się z miejsca. Z niemym uporem wiernego psa siedział na pierwszym stopniu scho-

dów z głową w dłoniach, patrząc przed siebie bezmyślnym wzrokiem.

— Czekaliście lu na-mnie, prawda? — zapytał Piotr, który dostrzegłszy go zrozumiał wszystko. — No, to idźcie teraz powiedzieć panu Macquart, że już wróciłem. Znajdziecie go w merostwie.

Cassoute podniósł się i odszedł kłaniając się niezręcznie. Sam oddawał się w ich ręce, ku wielkiej radości Piotra, który wstępując na schody śmiał się, zdumiony sam sobą:

— Jestem odważny, ale czyżbym był i sprytny?

Felicja nie kładła się tej nocy. Zastał ją odświętnie

ubraną, w czepku z żółtymi wstążkami, jakby oczekiwała gości. Próżno czatowała cały czas przy oknie, nie słyszała nic i umierała z ciekawości. f||f No i co? — zapytała wybiegając na spotkanie męża.

Sapiąc wszedł do żółtego salonu, a ona weszła za mm* starannie zamykając za sobą drzwi. Rougon opadł na fotel i rzekł zdławionym głosem:

— Zostanę poborcą.

Rzuciła mu się na szyję i ucałowała go.

— Naprawdę, naprawdę?! — zawołała. — Ale nic nie słyszałam! Ach, kochanie/opowiedz mi o tym, opowiedz mi wszystko!

Odmłodniała nagle, zaczęła się przymilać, krążyć po pokoju jak konik potny pijany słońcem i upałem. Piotr rozpromieniony triumfem uległ potrzebie zwierzeń. Nie zataił ani jednego szczegółu. Wtajemniczył nawet Felicję w swe plany na przyszłość zapominając, że, jego zdaniem, kobiet nie można traktować poważnie i że jeżeli chce zostać panem sytuacji, to nie powinien o niczym żonie mówić. Schylona nad nim Felicja chciwie chłonęła jego słowa. Kazała mu powtarzać niektóre fragmenty opowiadania mówiąc, że nie dosłyszała; rzeczywiście radość napelniła jej głowę takim szumem, że chwilami głuchła na wszystko, zatracając się w szczęściu. Kiedy Piotr opowiedział jej

o' zdobyciu merostwa, zaczęła "się śmiać, trzy razy przesiadała się z jednego fotela na drugi, przesuwając meble, nie mogła ustać na miejscu. Nareszcie, po czterdziestu latach nieustannych wysiłków, fortuna dała się upolować. Myśl o tym oszołamiła ją do tego stopnia, że zapomniała o zwykłej ostrożności.

—Och! Przecież ty mnie zawdzięczasz to wszystko! — krzyknęła triumfalnie. Gdyby nie ja, dałbyś się schwytać powstańcom! Głuptasie, to właśnie Garçonnetta i Sicardota, i resztę należało rzucić na łup tym dzikim bestiom.

I ukazując chwiejące się zęby, dorzuciła śmiejąc się jak dziewczynka:

— Niech żyje Republika! Uprzątnęła nam miejsce!

Lecz Piotr się nadał.

— Ty, ty! — mruknął. — Tobie się zawsze zdaje, że wszystko przewidziałas. Przecież to ja wpadłem na myśl, żeby się ukryć: Akurat kobiety znają się cokolwiek na po- . lityce! Daj spokój, gdybyś ty sterowała naszą łodzią, prędko skończyłoby się to katastrofą!

Felicja zacisnęła wargi. Uświadomiła sobie, że posunęła się za daleko i zapomniała o swej roli milczącej doradczyni; Lecz nagle ogarnął ją głuchy gniew, jak zawsze w-chwilach kiedy mąż przytłaczał ją swoją wyższością. Postanowiła, że w odpowiedniej chwili zemści się na nim.

- — Aha, zapomniałem! — podjął Rougon. — Peirotte też wsiąkł. Granoux widział, jak szamotał się z powstańcami.

Felicja zadrżała. Stała właśnie przy oknie i z lubością - przyglądała się firankom poborcy. Przed chwilą ogarnęła ją chęć zobaczyć je znowu, gdyż myśl o zwycięstwie kojarzyła się w niej z pożądaniem tego pięknego mieszkania, którego meble od dawna już pożerała wzrokiem.

Odwróciła się i rzekła zmienionym głosem:

— Peirotte został aresztowany?

Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Po chwili żyWy rumieniec oblał jej twarz. W głębi duszy wyraziła brutalne

zyczenie: „Niechby zginął z rąk powstańców!” Piotr wyczytał widocznie tę myśl w jej oczach.

— Gdyby lak trafiła go jaka zbłąkana kula || mruknał — to byłoby nam na rękę... Nie musielibyśmy przenosić się do innego rpiasta, prawda? A mielibyśmy czyste sumienie.

Lecz Felicja, bardziej nerwowa od niego, zadrżała. Zdawało jej się, że skazała na śmierć człowieka. Jeżeli , Peirotte'a zabiją, to będzie ukazywał się jej po nocach i nie da jej spokoju. Ukradkiem, z uczuciem rozkosznej grozy, spoglądała na okna poborcy. Radość jej miała od tej pory posmak wyrzutów sumienia, który ją jeszcze zaostrzał.

Piotr mówił teraz żonie o złych stronach sytuacji. O Macquarcie. Jak pozbyć się tego łajdaka? Felicja, podniecona sukcesem, zawołała:

— Nie można robić wszystkiego na raz. Znajdziemy jeszcze sposób, aby Zamknąć mu usta...

Chodziła tam i z powrotem po pokoju, przesuwała fotele, otrzepywała obicia. Nagle zatrzymała się na środku i obrzuciła zniszczone meble długim spojrzeniem.

— O Boże — rzekła — jakże tu brzydko! I w takim salonie przyjmujemy!

— Głupstwo — odparł Piotr ze wspaniałą obojętnością. — Niedługo będzie tu inaczej!

On, który jeszcze wczoraj miał nabożny szacunek dla swej kanapy i foteli, dziś deptałby po nich nogami. W Felicji też budziły one teraz wzdęty. Pchnęła gwałtownie jeden z foteli, któremu brakowało kółka i dlatego posuwał się zbyt wolno.

W tej chwili wszedł Roudier. Wydał się Felicji znacznie uprzejmiejszy niż zazwyczaj. Z rozkoszą łowiła uchem każde „szanowny panie” i „szanowna pani”. Goście schodzili się jeden za drugim, salon zapełniał się. Nikt nie znalazł jeszcze szczegółów nocnych wydarzeń i każdy śpieszył do Rougonów z uśmiechem na ustach, zaintrygowany pogłoskami, które zaczynały krążyć po mieście. Ci sami panowie, którzy poprzedniego wieczoru tak szybko opuścili żółty salon na wieść o zbliżaniu się powstańców, teraz powracali hałaśliwi, natrętni i ciekawi, jak rój much, które rozproszy)* powiew wiatru. Niektórzy nie zdążyli nawet włożyć szelek. Niecierpliwili się bardzo, ale Rougon najwyraźniej spodziewał się jeszcze czyjegoś przybycia. Co chwila rzucał trwożne spojrzenia ku drzwiom. Przez godzinę wymieniano więc tylko wymowne uściski dłoni, składano ostrożnie gratulacje, szeptało z zachwytem. Dyskretna radość zebranych czekała tylko na właściwe słowo, aby przemienić się w entuzjazm.

Wreszcie nadszedł Granoux. Zatrzymał się chwilę na progu, z prawą ręką zatkniętą za klapę surduta; jego tłusta, biała twarz promieniała i próżno usiłował ukryć wzruszenie pod maską wielkiej godności. Na jego widok zapanowała cisza; wszyscy czuli, że stanie się coś nadzwyczajnego. Utworzył się szpaler. Granoux ruszył jego środkiem w stronę Rougona. Wyciągnął doń rękę.

— Przyjacielu — rzekł — przynoszę ci hołd Rady Miejskiej. Wzywa cię ona, abyś stanął na jej czele aż do powrotu mera. Tyś uratował Plassans. W tych strasznych chwilach, jakie przeżywamy, potrzeba nam jest ludzi tak

gig jak ty rozumnych i odważnych. Pozwól...

Granoux, który z wielkim trudem ułożył tę przemowę . w czasie drogi z merostwa na ulicę de la Banne. poczuł, że V pamięć go zawodzi. Lecz ogarnięty wzruszeniem Rougon przerwał mu i ściskając jego dłońie powtarzał:

— Dziękuję, mój drogi Grañoux. dziękuję bardzo...

Nie umiał znaleźć innych słów. Wybuchnął ogłuszający gwar. Otoczono Rougona, składano mu gratulacje, zasypywano pochwałami, stawiano pytania. Lecz on, z pełną godności miną urzędnika, poprosił o parę minut spokoju, aby mógł odbyć konferencję z panami Granoux i Roudier. Sprawy publiczne przede wszystkim. Miasto znajduje się w sytuacji krytycznej! Wycofali się wszyscy trzej w kąt salonu i po cichu podzielili władzę, podczas gdy reszta przybyłych, oddalona o parę kroków dla zachowania pozorów dyskrecji,

rzucala im spod oka spojrzemnia pełne podziwu i ciekaw6sct. Rougon miał przyjąć tytuł przewodniczącego komisji miejskiej, Granoux ,miał zostać sekretarzem, zaś Roudier naczelnym dowódcą zreorganizowanej gwardii narodowej. Wszyscy trzej przyrzekli sobie uroczyscie wzajemne poparcie.

Felicja, -która podeszła do nich, zapytała nagle: A Vuillet?

Spojrzeli na siebie. Nikt dotąd nie widział Vuilleta. - Rougon skrzywił się. lekko.

— Może go zabrano razem z innymi — rzekł, aby się uspokoję.

Lecz Felicja potrząsnęła głową. To nie było podobne do Vuilleta. Jeżeli nikt go nie widział i nikt go nie słyszał, to znaczy, że robił coś złego.

Drzwi otworzyły się. Wszedł Vuillet. Skłonił się pokornie, mrugając oczami i uśmiechając się nieszczerze.

Podszedł do Rougona i'jego towarzyszy i wyciągnął do nich swą wilgotną dłoń. Vuillet chodził własnymi drogami. _Sam wykroił sobie swoją część, jakby powiedziała Felicja. Ukryty-w piwnicy, zobaczył przez okienko, że powstańcy f zaaresztowali naczelnika poczty, której-lókał sąsiadował z jego księgarnią. Toteż wczesnym rankiem, wtedy kiedy Rougon zasiadł w fotelu mera, on zainstalował się najspokojniej w gabinecie naczelnika. Urzędników znał; przyjął ich oświadczeniem, że będzie zastępował ich szefa aż do jego powrotu, i polecił im, żeby się niczym nie niepokoili. Później, ze źle ukrywaną ciekawością, przejrzał ranną pocztę; zdawał się szukać jakiegoś listu. Nowe stanowisko od^l powiadało widocznie jego ukrytym planom. Zadowolony, obdarował jednego z urzędników egzemplarzem Dziel fry~ wolnych Pirona. Vuillet posiadał duży wybór pornograficznych książek, które chował w obszernej szufladzie, pod warstwą różańców i świętych obrazków; on to właśnie zalewał miasto ohydnyimi fotografiami i rycinami, co zresztą nie przeszkadzało bynajmniej sprzedaży książeczek do nabożeństwa. Widocznie po zastanowieniu przeląkł się jednak,

H

że postąpił zbyt obcesowo zajmując urząd pocztowy. Postanowił zalegalizować tę uzurpację i dlatego przybiegł do Rougona, który zdecydowanie stawa) się wielką figurą w mieście.

— Gdziez pan był do tej pory? — zapytała go podejrzliwie Felicja.

Wówczas opowiedział swoją historię, upiększając ją. Jego zdaniem, on właśnie uratował pocztę przed-grabieżą.

— No więc w porządku, niech pan tam zostanie — powiedział Piotr po chwili namysłu.— Niecłj się pan stara okazać pożytecznym.

To Ostatnie zdanie kryło największą obawę Rougonów. Lękali się, że inni mogą okazać się bardziej pożyteczni, przyczynić się do ocalenia miasta w większym stopniu niż oni. Lecz Piotr nie widział żadnego poważnego niebezpieczeństwa w pozostawieniu Vuilleta na stanowisku tymczasowego naczelnika poczty; uważał to nawet za dobry-sposób pozbycia się go/ Słyszając jego słowa Felicja nie potrafiła zapanować nad odruchem żywego sprzeciwu.

Zakończywszy naradę trzech panowie wrócili do reszty towarzystwa. Musieli przecież zaspokoić wreszcie ogólną ^ ciekawość i opowiedzieć po kolei i dokładnie przebieg porannych wydarzeń. Rougon przeszedł samego siebie. Rozszerzy^ upiększył i u dramatyzył jeszcze to wszystko, co przedtem opowiedział żonie. Kiedy mówił o tym, jak rozdawał broń i naboje, słuchający wstrzymywali oddech. Gpis marszu przez opustoszałe ulice i "zdobycia merostwa wprawiły ich w osłupienie. Co chwila rozlegały się okrzyki: ' I było was tylko czterdziestu jeden? Nie, to nie do wiary!

— No, dziękuję, musiało być diabelnie ciemno!

— Daję słowo, że nigdy nre odważyłbym się na coś podobnego! Obezwładnił go pan!

— A powstańcy co powiedzieli?

Te krótkie zdania podsycaly jeszcze werwę Rougona. Odpowiadał na pytania. Mimiką ilustrował przebieg v/y-

padków. Ten tęgi mężczyzna, przejęty zachwytem dta własnych bohaterskich czynów, poruszał się teraz zwawo jak młodzik. Powracał do tych samych szczegółów, powtarzał je po parę razy, a otaczające go grono wymieniało między sobą uwagi, wydawało okrzyki zdziwienia. Rougona unosiło natchnienie. Granoux i Roudier stali obok niego i podpowiadali mu szczegóły, które opuszczał. Paliła ich chęć wtrącenia choć jednej uwagi, opowiedzenia choć jednego fragmentu, tak że chwilami przerywali Rougonowi albo też mówili wszyscy trzej na raz. Aby zachować na zakończenie homerycki epizod z rozbitym lustrem, Rougon chciał opowiedzieć najpierw o tym, co działo się na podwórzu. Roudier zarzucił mu wtedy, że ma ci tok opowiadania, zmieniając kolejność wydarzeń. Sprzeczek się przez chwilę dość cierpko. Wreszcie Roudier widząc, że nadarza się sposobność zabrania głosu, zawołał żywo: : No, dobrze, niech będzie! Ale przecież pana przy tym nie było., Może więc ja opowiem...

I zaczął opowiadać o tym, jak to powstańcy się obudzili, jak wzięto ich na cel i zmuszono do poddania się. Dodał, że na szczęście obyło się bez przelewu krwi. To ostatnie -zdanie rozczarowało audytorium, które liczyło na jednego przynajmniej trupa.

— Ale strzelaliście przecież — przerwała Felicja widząc, że opowieść wydaje się uboga.

— A tak, tak, trzykrotnie — rzekł eks-dostawca pończoch. — Rzeźnik Dubruel, pan Lievin i pan Massicot wystrzelili wskutek karygodnego braku opanowania.

A ponieważ wśród zgromadzonych rozległy się szepty, podjął:

— Tak, karygodnego, powtarzam. Wojna i tak obfituje w tyle nieuniknionych okrucieństw, że nie wolno przelewać krwi niepotrzebnie. Chciałbym widzieć panów na moim miejscu... Zresztą ci, którzy wystrzelili, przysięgali mi, że to nie była ich wina i że sami nie wiedzą, jak to się stało.«

Zabłąkana kula trafiła rykoszetem jednego z powstańców i zrobiła mu siniec na policzku...

Ten siniec wystarczył, aby zadowolić audytorium. Zaczęto zastanawiać się, na którym był policzku, w jaki sposób się to stało, że kula nie przebiła skóry.

— Na górze, w merostwie — podjął Rougon gromkim głosem, nie pozwalając opaść ogólnemu podnieceniu — czekała nas ciężka przeprawa...

I opisał obszernie aresztowanie brata oraz czterech innych powstańców, nie wymieniając zresztą nazwiska Macquarta, którego nazywał „dowódcą”. Słowa „gabinet pana mera, fotel, biurko pana mera” nieustannie powracały mu na usta olśniewając słuchaczy. Tym razem to już nie na dole, u portiera, ale w gabinecie najwyższego urzędnika miasta toczyła się walka! Opowiadanie Roudiera zostało zaćmione. Wreszcie nadeszła kolej na epizod, który Rougon odkładał na sain koniec, a który miał dać najwymowniejsze świadectwo jego bohaterstwa.

— Wówczas — mówił — jeden z powstańców rzuca się na mnie. Odsuwam fotel mera i chwytam tego człowieka za gardło. Ściskam z całych sił! Ale strzelba kępuje mi ruchy. Nie chcę jej jednsk wypuścić, nigdy nie należy wypuszczać z rąk broni. Trzymam ją więc tak, pod lewym ramieniem... Nagle rozlega się wystrzał...

Całe audytorium zawisło wzrokiem na wargach Rougona. Granoux, który tylko poruszał ustami nie mogąc dorwać się do słowa, zawołał:

r— Nie, nie, to nie tak było!... Pan nie mógł tego widzieć, przyjacielu, bil się pan jak lew... Ale ja pomagałem akurat kępować jednego z więźniów i widziałem wszystko... Tamten człowiek chciał pana zabić; to on właśnie spowodował wystrzał; doskonale widziałem, jak jego czarne palce wsuwały się pod pańskie ramię...

— Naprawdę? — zapytał blednąc Rougon.

Nie wiedział, że groziło mu takie niebezpieczeństwo. Słyszac słowa eks-sprzedawcy migdałów, zamarł z prze

HHMNRHMSjI

■ ■ HH

rażenia. Granoux nie kłaniał zazwyczaj, ale zdarza się, że świeżo pod wrażeniem walki człowiek dramatyzuje nieco przebieg wypadków.

— Ależ łak, mówię panu, że chciał pana ■ za mord o- .wać — powtórzył z przekonaniem. ^

— Ach ^ rzekł Rougon przygasłym głosem — to dlatego słyszałem świst kuli koło ucha .

Powstało poruszenie; zebrani z szacunkiem spojrzeli; na bohatera, który słyszał świst .kuli koło swego ucha Żaden z obecnych nie mógł pochwalić się czymś podobnym. " Felicja uważała za stosowne rzucić się w ramiona .męża, żeby do reszty rozczulić towarzystwo. Lecz Rougon wyrwał się z jej objęć i zakończył swą opowieść bohaterskim zdaniem, które stało się sławne w Plassans: •

— Rozlega się wystrzał, słyszę świst kuli koło ucha i pał kula rozbija lustro mera.

Zgromadzonych ogarnęła konsternacja. Takie piękne lustro! To wprost nie do wiary! Niestety, jakie sptka- ło lustro, wywołało nie mniejszy oddźwięk niż bohaterstwo Rougona. Zaczęto mówić o tym lustrze jak o żywej istocie, współczując mu, jak gdyby zostało, śmiertelnie ranne, i wyrażając głośne ubolewania. Było to zakończenie takie, jakiego. Piotr pragnął, godne tej wspaniałej odysei. Gwar głosów nappełnił żółty salon. Powtarzano sobie dopiero co zasłyszana opowieść, od czasu do czasu ktoś zwracał się do trzech bohaterów z prośbą o dokładną wersję któregoś ze szczegółów. Bohaterowie prostowali pomyłki ze skrupulatną dokładnością^ czuli bowiem, że słowa ich przejdą do historii. • ;

Wkrótce jednak Rougon i jego dwaj adiutanci oświadczyli, że muszą udać się do merostwa. Czekają tam na nich. Zapanowała pełna szacunku cisza; wymieniono ukłony, uśmiechając się przy tym z powagą. Granoux upajał się swoją rolą; on jeden widział, jak powstaniec pociągnął za cyngiel i roztrzaskał lustro. Podnosiło go to we własnych oczach. Nie posiadał się z dumy.

■ Vi' y.

Opuszczając salon wziął pod rękę Roudiera z miną wodza upadającego ze zmęczenia i szepnął:

— Od trzydziestu sześciu godzin jestem na nogach f Bóg wie, kiedy się wreszcie położę!

Rougon, wychodząc, odciągnął na bok Vuilleta i powiedział mu, że zwolennicy ustalonego porządku bardziej niż kiedykolwiek liczą teraz na niego i na Gazetę. Powinien napisać jakiś piękny artykuł, aby uspokoić mieszkańców i potraktować tak, jak na to zasługują, tych zbrodniarzy, którzy przeszli tej nocy przez Plassans.

— Może pan na mnie liczyć — odparł Vuillet. — Gazeta miała ukazać się dopiero jutro rano, ale postaram się żeby wyszła jeszcze dziś wieczorem.

Po odejściu gospodarza i jego dwóch przyjaciół goście pozostali jeszcze jakiś czas plotkując jak kumoszki, które przystają na ulicy, aby pogadać, gdyż dowiedziały się, że komuś uciekł z klatki kanarek. Ci eks-sprzedawcy oliwy ' i eks-fabryUanci kapeluszy z rozkoszą pławili się w tym niezwykłym dramacie. Nigdy dotąd nie przeżyli takiego wstrząsu. Nie mogło pomieścić im się w głowie, że znaleźli się pośród nich tacy bohaterowie jak Rougon, Granou* i Roudier. Ściany salonu wydały im się nagle Za ciasne, zapragnęli obwieścić całemu miastu wielką nowinę. Jeden po drugim zaczęli opuszczać salon, aby nie dać się wyprzedzić; Wychylając się oknem, Felicja zobaczyła, jak rozpraszali się w różne strony, wymachując rękami niby wielkie, chude ptaki i rozsiewając podniecenie naokół.

Była dziesiąta. Plassans wyległo na ulicę, oszołomione rozchodzącymi się pogłoskami. Ci, którzy widzieli luli słyszeli powstańców, opowiadali nieprawdopodobne i sprzeczne ze sobą historie, snując jak najstraszliwsze domysły. Lecz większość mieszkańców nie wiedziała o niczym; ci, którzy mieszkali na krańcach miasta, słuchali z otwartymi ustami, niby jakiejś bajki, opowieści o paru-. Itysięcznym tłumie bandytów, którzy wtargnęli do miasta i zniknęli przed świtem jak duchy. Sceptycy mówili: „To

niemożliwe!" Niektóre szczegóły były jednak zgodne z prawdą. Plassans doszło do przekonania, że jakieś straszliwe nieszczęście przesunęło się nad nim w czasie jego snu. To nieokreślone niebezpieczeństwo zagubione w mrokach nocy, o którym każdy mówił co innego, nawet najodważniejszych przejmowało dreszczem grozy. Któż to oca- Hił ich od zagłady? Cud chyba. Mówiono o jakichś nieznanach wybawcach, garstce ludzi, którzy ucięli jeb hydrze. Nikt jednak nie znał szczegółów i rzecz wydawała się wprost niewiarygodna. Tymczasem na ulicach pojawili się bywalcy żółtego salonu, przynosząc najświeższe nowiry, powtarzając je na progu każdego z domostw.

Przez miasto przebiegł prąd. W przeciągu kilku minut, nowina dotarła do najodleglejszych jego krańców. Ż ust do ust podawano sobie imię Rougona. W nowej dzielnicy budziło ono okrzyki zdziwienia, w starej zaś wyrazy pochwały. Świadomość, że nie mają podprefekta, mera, naczelnika poczty, poborcy, skonsternowała zrazu mieszkańców. Ogarnęło ich zdumienie, że mogli spać tak spokojnie i obudzić się jak co dzień, pozbawieni opieki władz. Ty.n gorliwiej rzucili się w rapiioną wybawców. Nieliczni republikanie wzruszali ramionami, lecz drobnii kupcy, drobnii rentierzy, konserwatyści wszelkiego rodzaju błogosławili skromnych bohaterów, których zasługi okrywała ciemność nocy. Gdy dowiedziano się, że Rougon aresztował własnego brata, podziw dla niego przeszedł wszelkie granice; wspomniano przy tej okazji Brutusa; niedyskrecja, której tak się obawiał, jeszcze przysporzyła Rougonowi sławy. Przerażeni mieszkańcy jednogłośnie wyrażali mu swą wdzięczność, uznając go za wybawcę.

— Pomyślcie tylko! — mówili tchórze. ~ Było ich zaledwie czterdziestu jeden!

Ta liczba — czterdziestu jeden poruszyła całe miasto. Zrodziła się legenda o czterdziestu jeden mieszczanach, którzy pokonali trzy tysiące powstańców. I tylko kilku zazdrośników z nowej dzielnicy — adwokatów bez klienteli

I eks-wojskowych, którym wstyd było, że spali tej nocy —» wyrażało pewne wątpliwości. Powstańcy mogli przecież odejść sami. Nie istniały żadne dowody walki, trupy czy też ślady krwi. Wybawcy nie mieli, zdaje się, trudnego zadania.

¹ — A lustro, lustro? — powtarzali fanatycy. — Nie możecie zaprzeczyć, że lustro pana mera zoąfalo strzaskane! Idźcie je sami zobaczyć.

Aż do północy napływała do gabinetu mera, od którego drzwi zostawił Rougon szeroko otwarte, procesja ciekawych. Stawali przed lustrem, przyglądali się okrągłej dziurze, od której rozchodziły się szerokie pęknięcia, i powtarzali szeptem wszyscy to samo zdanie:

— Ho, ho! Kula musiała mieć niezłą siłę!

I odchodzili przekonani.

Felicja, stojąc przy oknie, z rozkoszą wchłaniała ten gwar i te pełne uznania i wdzięczności głosy dochodzące jej uszu. W tej chwili całe Plassans zajmowało się osobą jej męża. Czowała, jak obie dzielnice, u zbiegu których mieszkała, przebiega drzenie wieszczące jej bliski triumf. Ach, nareszcie zmiażdży to odporne miasto! Odezwały się w niej dawne żale, dawna gorycz, podwajając jeszcze jej żądzę natychmiastowego zaspokojenia swych pragnień.

Odsunęła się od okna i wolno obesła salon. Przecież .to tu właśnie przed chwilą wyciągały się do nich ręce mieszczan, których wreszcie mieli u swych stóp. Żółty salon wydał jej się uświęcony tym zwycięstwem. Poobijane meble, wytarte obicia, popstrzony czarnymi śladami much świecznik, wszystkie te żalosne resztki nabrały w jej oczach świetności szczątków zalegających pola bitew. Równina Austerlitz nie wprawiałaby jej w równie głębokie wzruszenie.

Z powrotem podeszła do okna i ujrzała Arystydesa, który krażył po placu podprefektury spoglądając w stronę ich domu. Dała mu znak, aby wszedł na górę. Zdawało się, że tylko czekał na to wezwanie.

... :— Wejdźże — rzekła mu- matka już na schodach, widząc, że się waha; —Ojca nie- ma ,

Arystydes wsunął się niezręcznie do mieszkania, z miną syna marnotrawnego. Od przeszło czterech lat nie był w żółtym salonie. Rękę miał w dalszym ciągu na temblaku.

—Boli cię jeszcze ręka? zapytała go szyderczo Felicja.

Zarumienił się i odparł z zakłopotaniem:

—O, już o wiele mniej, prawie ją wyleczyłem. — Kręcił się i nie wiedział, co mówić dalej. Felicja przyszła mu z pomocą.

—Słyszałeś pewnie o bohaterskim zachowaniu się ojca?

Odparł, że całe miasto o tym mówi. Zdążył odzyskać już tupet i odplacił matce szyderstwem za szyderstwo; patrząc jej prosto w twarz, powiedział:

—Przyszedłem się dowiedzieć, czy tatuś nie jest ranny.

—Lepiej nie udawałbyś głupiego! — zawołała z właściwą sobie żywością Felicja. — Ja na twoim miejscu byłabym zupełnie szczerą. Pomyliłeś się, przyznaj, stając po stronie tych łajdaków republikanów. Dziś miałbyś ochotę porzucić ich i wrócić do nas, bo jesteśmy silniejsi. No, cóż — dom stoi ci otworem!

Lecz Arystydes zaprotestował. Republika to wielka idea. A poza tym powstańcy mogą jeszcze zwyciężyć.

—Nie zavrcaj głowy — odparła z gniewem matka. — Boisz się, że ojciec źle cię przyjmie. Już ja się tym zajmę... Posłuchaj: napiszesz artykuł bardzo przychylny dla zamachu stanu i umieścisz go w jutrzejszym numerze twojej gazety. Jutro wieczorem,- kiedy numer już się ukaże, przyjdiesz tutaj i zostaniesz przyjęty z otwartymi rękami.

A ponieważ młody człowiek milczał, dodała ciszej, z naleganiem:

— Słyszysz? Tu chodzi o naszą i twoją fortunę. Nie zaczynaj /znowu robić głupstw. Dostyć już jesteś skompromitowany.

Młody człowiek uczynił gest Cezara przekraczającego Rubikon. Uwalniało go to od dania wyraźnej odpowiedzi. Ponieważ miał już zamiar odejść, dodała rozwiązując temblak:

— Przed wszystkim zdejm tę przepaskę, bo się ośmieszasz!

Arystydes nie stawiał sprzeciwu. Kiedy chustka została rozwiązana, złożył ją starannie i wsunął do kieszeni, po czym ucałował matkę mówiąc: ' — Do jutra!

W tym czasie Rougon oficjalnie obejmował w posiadanie merostwo. Radnych miejskich pozostało zaledwie ośmiu, reszta wraz z merem i..jego dwoma zastępcami'znajdowała się w rękach powstańców. Kiedy Granoux odmalował im krytyczną sytuację, w jakiej znalazło się miasto, tych ośmiu panów oblał zimny pot. Aby uzmysłwić sobie, w jakim popłochu schronili się pod skrzydła Rougona, trzeba by znać ludzi, którzy wchodzą w skład rad miejskich w niektórych małych miasteczkach. W Plassans mer miał do swej dyspozycji nieprawdopodobnych głupców, bierne i uległe narzędzia swej władzy. Toteż z chwilą gdy nie stało pana Garçonnet, Rada Miejska przestała właściwie istnieć i wydana była na łaskę i niełaskę każdego, kto potrafił wprawić z powrotem w ruch jej tryby. Ponieważ podprefekt również opuścił miasto, Rougon stał się dzięki zbiegowi okoliczności jego jedynym i absolutnym władcą. Zadziwiający przesilenie, które oddawało władzę w ręce człowieka o złej opinii,; któremu jeszcze wczoraj żaden 2 jego współobywateli nie pożyczylby stu franków!

Pierwszą czynnością Piotra było powołanie komisji tymczasowej. Później zajął się sprawą reorganizacji gwardii narodowej i udało mu się zebrać około trzystu ludzi; rozda-1 no sto dziewięć strzelb pozostałych w szopie, co podniosło do stu pięćdziesięciu liczbę ludzi uzbrojonych przez reakcjonistów; pozostałych stu pięćdziesięciu członków gwardii narodowej stanowili ochotnicy spośród miejscowego miesz

czajstwa oraz żołnierze majora Sicardot. Komendant Roudier urządził przegląd tej małej armii na placu Ratuszowym i zmartwił się bardzo widząc, że sprzedawcy jarzyn śmieją się pod wąsem; nie wszyscy gwardziści mieli mundury i niektórzy wyglądali bardzo zabawnie w swych czarnych kapeluszach, w surdutach, ze strzelbami w ręku. Sam pomysł był jednak dobry. Przed merostwem ustawiono wartę. Resztę małej armii podzielono na plutony i ustawiono u bram miasta. Roudier objął komendę nad posterunkiem przy Wielkiej Bramie, najbardziej narażonej na niebezpieczeństwo.

- ■•"

Rougon czując, że jest w tej chwili bardzo silny, udał się osobiście na ulicę Canaquin, poprosić żandarmerii, aby siedzieli u siebie i nie mieszały się do niczego. Kazał zresztą otworzyć bramy koszar żandarmerii, od których klucze zabrali powstańcy. Pragnął jednak sam odnieść zwycięstwo i nie chciał dzielić się tym triumfem z żandarmerią. Jeżeli nie mógłby się obejść bez ich pomocy, to ich zawezwie. Wyjaśnił, że ich obecność mogłaby rozdrażnić robotników i pogorszyć tylko sytuację. Szef żandarmerii gorąco chwalił, jego przezorność, Dowiedziawszy się, że w koszarach znajduje się ranny, Rougon chcąc zyskać popularność postanowił go odwiedzić. Zastał Rengade'a w łóżku, z zabandażowanym okiem. Jego gęste wąsy gineły pod koldrą. Pięknymi słowami o spełnionym obowiązku usiłował podnieść na duchu tego jednookiego olbrzymia, który kłął i sapał, zrozpaczony myślą, że będzie musiał porzucić służbę. Obiecał przysłać mu lekarza.

— Dziękuję panu bardzo — odparł Rengade — ale najlepszym dla mnie lekarstwem byłoby skrócić kark temu łotrowi, co mi wybił oko. Już ja bym go poznał! Młody chłopak, chudy i blady... .

Piotr przypomniał sobie ślady krwi na rękach Sylwiusza. Cofnął się nieco, jakby się obawiał, że Rengade skoczy mu nagle do gardła, krzyżąc: „To twój siostrzeniec zrobił ze mnie kalekę. Zapłacisz mi za niego!” Przeklinając po

cichu swą podłą rodzinę, oświadczył uroczyście, że jeżeli ućta się odnaleźć winnego, to zostanie on ukarany z całą surowością przewidzianą przez prawo.

--I|§| Nie, nie, po co — odparł jednooki. — Szkoda zachodu. Ja sam mu kark skrecę.

Piotr wrócił pospiesznie do merostwa. Popołudnie spędził na naradach. Proklamacja, rozplakatowana około pierwszej, zrobiła doskonałe wrażenie. Kończyła się ona apelem do rozsądku obywateli, zapewnieniem, że porządek nie zostanie już więcej zakłócony. Aż do zmierzchu na ulicach panował nastrój odprężenia i całkowitej ufności. Na chodnikach ludzie zebrani przed afiszami mówili:

— No, już się skończyło, teraz przyjdzie wojsko wysłane w pościg za powstańcami.

Przekonanie, że żołnierze nadejdą lada chwila, było tak silne, że spacerowicze z bulwaru Sauvaire wylegli na szosę prowadzącą do Nicei, aby wyjść na spotkanie orkiestry. Wrócili z nadejściem zmroku, rozczarowani, nic nie zobaczywszy. Wówczas głuchy niepokój ogarnął miasto.

W merostwie członkowie komisji tymczasowej, głodni, zmęczeni bezpłodną gadaniną, poczuli, że lęk ogarnia ich na nowo. Rougon odesłał ich na kolację, następne zebranie wyznaczając na godzinę dziewiątą. Sam miał już także opuścić gabinet, gdy nagle Macquart obudził się i zaczął gwałtownie uderzać we drzwi. Oświadczył, że jest głodny; a później zapytał o godzinę. Kiedy brat powiedział mu, że jest piąta, udał wielkie zdziwienie, mrużąc z diabelską złośliwością, że powstańcy obiecali mu wrócić o wiele wcześniej i że coś marudzą z uwolnieniem go. Rougon kazał mu dać jeść, po czym zszedł na dół, rozdrażniony uporem, z jakim Macquart mówił o powrocie powstańców.

Na ulicy poczuł się nieswojo. Miasto wydało mu się zmienione. Miało dziwny wygląd: jakieś cienie przemykały szybko wzdłuż domów, pustka i milczenie zaległy ulice, a wraz z zapadającym zmrokiem spływał na posępne domostwa lęk, uporczywy i szary jak drobny deszcz. Na miejsce

pełnej ufności gadaniny zjawiała się niczym nie uzasadniona panika, strach przed zbliżającą się nocą. Mieszkańcy byli zmęczeni i do lego stopnia nasyceni triumfem, że nie potrafili się już zdobyć na nic innego, jak tylko na to, żeby myśleć

0 strasliwych represjach ze strony powstańców. Ta atmosferę lęku przejęła Rougona dreszczem. Przyspieszył krok — gardło miał ściśnięte. Przechodząc obok jakiejś kawiarni na placu des Recollets, w której właśnie zapalono światła

1 gdzie zazwyczaj zbierali się drobni rentierzy z nowej dzielnicy, podchwycił urywek rozmowy, > który go bardzo zaniepokoił.

Czy słyszał pan już o tym, panie Picou — mówił jakiś gruby głos — że oczekiwany pułk nie nadszedł? Ir' — Ależ nikt nie czekał na żaden pułk, panie Touche — odparł jakiś inny ostro głos. } — Przepraszam bardzo. Chyba nie czytał pan proklamacji?

- Racja, w proklamacji, powiedziane jest, że porządek zostanie utrzymany przy pomocy siły, jeżeli zajdzie tego potrzeba.

~..r^-r- No więc widzi pan: siła, oczywiście siła zbrojna, to jasne.

- A co mówią w mieście?

Jo Cóż, ludzie się boją, pan rozumie, mówią, że to spóźnianie się "żołnierzy nie wróży nic dobrego i że widocznie powstańcy dali im w skórę.

W kawiarni rozległ się okrzyk grozy. Rougon miał ochotę wejść-tam, aby powiedzieć tym mieszczanom, że proklamacja bynajmniej nie zapowiadała przybycia jakiegoś pułku i że nie należy do tego stopnia nagiąć jej tekstu do własnych życzeń ani też rozpowszechniać podobnych plotek. Lecz w zamęcie, jaki go ogarnął, sam już nie był pewien, czy liczył na przybycie wojska, i wydało mu się rzeczywiście dziwne, że do tej pory nie pokazał się ani jeden, żołnierz. Przyszedł do domu bardzo zaniepokojony. Felicyja, ożywiona i pełna zapału, wybuchnęła gniewem widząc, że przejmuje

się byle czym. Przy deserze powiedziała chcąc dodać mu odwagi:

— Ty głuptasie — to lepiej, że pre/ekł o nas zapomniał. Sami uratujemy miasto. Niechby tak jeszcze powstańcy wrócili: przyjęlibyśmy ich ogniem i okrylibyśmy się chwałą... Słuchaj, idź teraz zamknąć bramy miasta, ale nie wracaj potem do domu. Musisz być całą noc w ruchu; będzie ci to później policzone.

- Piotr powrócił do merostwa trochę pokrzepiony. Potrzeba mu było siły ducha, aby nie załamać się pośród biadolenia kolegów. Członkowie komisji tymczasowej przynieśli w fałdach swych ubrań powiew paniki, tak jak w czasie burzy przynosi się z sobą woń deszczu. Wszyscy utrzymywali, że Uczyli na przyście wojska, i oburzali się, jak można^, zostawiać w ten sposób dzielnych obywateli na łaskę i niełaskę buntowników. Piotr dla świętego spokoju obiecał im niemal przybycie pułku na dzień następny. Później oświadczył uroczyście, że* idzie dopilnować zamknięcia bram. Zebrani przyjęli to oświadczenie z uczuciem ulgi. Gwardziści mieli natychmiast udać" się do bram z rozkazem zamknięcia ich na dwa spusty. Gdy wrócili, wielu członków komisji przyznało, że teraz są naprawdę o wiele spokojniejsi. Skoro Piotr oświadczył, że krytyczne położenie miasta wkłada na nich obowiązek pozostania na posterunku, ulokowali się jak mogli najwygodniej, by spędzić noc w fotelach. Granoux włożył czarną jedwabną mykę, którą przyniósł ze sobą na wszelki wypadek. Około jedenastej połowa zebranych spała wokół biurka pana Garçonnet. Ci, którzy mieli jeszcze oczy otwarte, wsłuchując się w miarowy krok gwardzystów dzwoniący a bruk pogórza, pogrążyli się w marzeniach o własnej odwadze i czekających ich odznaczeniach. Wielka lampa, umieszczona na biurku, oświetlała tych niezwykłych wojowników czuwających na posterunku. Rougon, który zdawał się drzemać, podniósł się nagle i posłał po Vuilleta. Przypomnił sobie, że dotąd nie dostał Gazety.

Księgarz zachował się arogancko. Był w bardzo złym humorze.

— No, a gdzie ten obiecany artykuł? — zapytał Rougon " biorąc go na bok. Nie widziałem dzisiaj dziennika. ,

— To dlatego wyrywa mnie pan ze snu? — odparł Vuillet ze złością, -llfGazeta nie wyszła dzisiaj. Nie mam chęci, żeby powstańcy zarznęli mnie jutro, jeżeli tu wrócą.

Rougon zmusił się do uśmiechu mówiąc, iż dzięki Bogu, nikomu to nie grozi. A właśnie dlatego, że krążą takie niepokojące a fałszywe pogłoski, artykuł ów oddałby wielką przysługę sprawie...

■_.. — Możliwe — rzekł Vuillet. — Ale w tej chwili najw.aż-4 niejszą sprawą jest zabezpieczenie własnej skóry, g

I dodał zjadliwie:

— Myślałem, że zabiliście wszystkich powstańców. Ale za dużo ich jeszcze zostało, żebym mógł ryzykować.

Rougon, pozostawszy sam, zdziwił się, że ten zazwyczaj pokorny i płaszczący się człowiek tym razem stawia się tak ostro. Zachowanie Vuilleta wydało mu się podejrzane. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tym. Zaledwie zdążył wyciągnąć się w fotelu, gdy wszedł Roudier dzwoniąc straszliwie wielką szablą, którą przypiął sobie do pasa. Śpiący poderwali się z przerażeniem. Granotix myślał, że to już wezwanie do broni.

— Jak, co? Go się dzieje? — zapytał chowając pospiesznie myckę do kieszeni.

— Panowie! — rzekł zdyszany Roudier nie siląc się na omówienia — zdaje mi się, że grupa powstańców zbliża się do miasta.

* Słowa te zostały przyjęte pełnym przerażenia milczeniem. Jeden Rougon miał dość siły, alty zapytać:

— Czy pan ich widział?

— ' Nie — odparł były pończosznik — lecz słyszeliśmy jakieś dziwne odgłosy od strony pól, a jeden z moich ludzi twierdzi, że widział ognie na wzgórzach Garrigues.

Obecni spojrzeli na siebie w milczeniu, pobladli.

RoUdler dodał:

— Ja wracam na posterunek. Obawiam się jakiegoś ataku. Zastanówcie się ze swej strony, jakie kroki należy przedsięwziąć.

Rougon chciał pobiec za nim, aby zasięgnąć bliższych informacja, ale tamten był już daleko. Członkom komisji odeszła chęć snu. Dziwne odgłosy! ognie! atak! i to wszystko w środku nocy! Zastanović się — łatwo powiedzieć, ale co robić? Granoux gotów był zaproponować tę samą taktykę co ubiegłej nocy: ukryć się, przeczekać, aż powstańcy przejdą przez Plassans, a później zatriumfować na pustych ulicach. Na szczęście Piotr przypominając sobie rady żony oświadczył, że Roudier mógł się pomylić i że najlepiej będzie, jeżeli przekonają się sami. Kilku członków komisji skrzywiło się, lecz gdy postanowiono, że ekspedycji towarzyszyć będzie zbrojna eskorta, wszyscy zeszli z wielką odwagą. Wzięli ze sobą ©kolo trzydziestu gwardzistów, paru zaledwie zostawiając na dole, i ruszyli poprzez uśpione miasto. Księżyc, sunąc ponad dachami, wydłużał ich cienie. Na próżno jednak krążyli wzdłuż wałów, od jednej bramy do drugiej. Horyzont zakryty był przed ich oczami — nic nie widzieli i nic nie słyszeli. Gwardziści, trzymający wartę w różnych punktach, twierdzili jednak, że od strony pól, ponad zamkniętymi bramami, dobiegają jakieś dziwne szmery. 'Wyteżali więc słuch, lecz dochodził ich tylko daleki szum — odgłos Viorny, jak twierdził Granou*.

Nie rozwiało to jednak ich obaw. Mieli już wrócić do merostwa, niespokojni i zmartwieni, udając, że wzruszają na to wszystko ramionami, i nazywając Roudiera tchórzem i wizjonerem, gdy Rougon, pragnąc podnieść na duchu swych przyjaciół, wpadł na pomysł pokazania im okolicy w promieniu kilku mil. Zaprowadził ich do dzielnicy Świętego Marka i zapukał do wrót rezydencji hrabiego Valqueyras.

Hrabia, kiedy tylko spostrzegł pierwsze objawy zamętu, wyjechał do swego zamku w Corbiere. W rezydencji znajdował sfę teraz tylko markiz de Carnavant. Przezornie ttzymal

sfe na uboczu, nie dlatego, żeby się bał, lecz dlatego, że nie chciał, aby ktoś widział go w konszachtach z Rougonem w tej decydującej chwili. Odczuwał jednak piekącą ciekawość i musiał zamykać się w domu, aby nie pobiec do Rougonów nasycić się zadziwiającym widokiem knoń zóltego salonu. Kiedy lokaj przyszedł oznajmić mu w środku nocy, że na dole czekają na niego jacyś panowie, nie mógł już dłużej wytrzymać i czym prędzej zeszedł.

— Drogi markizie — rzekł Rougon przedstawiając mu członków komisji miejskiej — chcemy poprosić pana o pewną przysługę. Czy zechciałby pan wpuścić nas do ogrodu?

— Oczywiście — odparł zdziwiony markiz. — Sam panów tam zaprowadzę.

Po drodze kazał sobie wszystko opowiedzieć. Ogród kończył się tarasem górującym nad okoliczną równiną. Mury otaczające miasto rozsypywały się w tym miejscu otwierając horyzont. Dlatego Rougon wybrał ogród hrabiego na punkt obserwacyjny. Gwardziści zostali przy drzwiach. Członkowie komisji rozmawiając podeszli do balustrady tarasu i oparli się na niej łokciami. Niezwykły widok, jaki się przed nimi rozpostarł, kazał im zamilknąć. W dali, w dolinie Viorny, w olbrzymim wgłębieniu, które na zachodzie wrzynało się pomiędzy wzgórze Garrigues a góry Seille, światło księżycy płynęło rzeką białego blasku. Kępy drzew i ciemne skały tworzyły na niej wysepki i półwyspy, wynurzając się z tego świetlistego morza. Nagle zakręty Viorny połyskiwały spośród drzew lśnić jak zbroja w srebrzystym pyłe, który prószył z nieba. Był to jakby jakiś ocean, którego granice zacierała noc i utajony lęk patrzących. Z początku nie zauważyli, nie dosłyszeli nic niepokojącego. Roziskrzzone niebo i szumiący przestwór ogłuszały ich i oślepiały.

Granoux, mało poetyczny z natury, szepnął ulegając pogodnemu urokowi tej zimowej nocy:

— Piękna noc, panowie!

— Roudierowi najwyraźniej coś się przyśniło! — powiedział Rougon z pogardą.

m

Lecz markiz nadstawił ucha.

— Oho — rzekł nagle — słyszę dzwon na trwogę!

Wszyscy pochylili się nad balustradą, wstrzymując oddech. Z doliny nadpłynął daleki, kryształowo czysty dźwięk dzwonu. Nie mogli zaprzeczyć. Był to dzwon na trwogę. Rougon utrzymywał, że rozpoznaje w nim głos dzwonu z Beage, miasteczka leżącego o dobrą milę od Plassans. Mówił tak, aby uspokoić kolegów.

— Słuchajcie, słuchajcie — przerwał markiz. — Tym razem to dzwon z Saint-Maur.

1 wskazywał im inny punkt na horyzoncie. Istotnie, teraz już drugi dzwon płakał wśród jasnej nocy. Wkrótce było ich dziesięć i dwadzieścia. Ponure nawoływania dochodziły ze wszystkich stron, przytłumione, podobne do rżenia konających. Cała równina zanosła się szlochem. Teraz nikt nie wyśmiewał się już z Roudiera. Markiz, który znajdował złośliwą przyjemność w podsycaniu ich przerażenia, wytłumaczył im przyczynę tego alarmu:

— Wszystkie sąsiednie miasteczka wołują się — rzekł — aby o świcie zaatakować Plassans.

Granoux wyteżył wzrok.

— Czy nie zauważyliście pic tam w dali? — zapytał nagle.

Lecz nikt nie patrzył. Wszyscy panowie mieli zamknięte oczy, żeby lepiej słyszeć.

— O, tam — zawołał znowu po chwili milczenia — po drugiej stronie Viorny, koło tej ciemnej plamy!

— Tak, widzę — odparł Rougon z rozpaczą — zapalają ognisko.

Prawie natychmiast naprzeciw pierwszego ogniska pojawiło się drugie, później trzecie i czwarte. Czerwone plamy tryskały wzdłuż całej doliny, w równych prawie odległościach, podobne do latarń w jakiejś olbrzymiej alei. Księżyc, który gasił je swym blaskiem, nadawał im wygląd rozlanych kałuż krwi. Ta smutna iluminacja ostatecznie przygnębiła komisję municypalną.

151

7 — Do diablaka — mrucał markiz z szyderstwem w głosie — ci zbóje dają sobie sygnały.

I z satysfakcją zaczął liczyć ogniska, aby zorientować się, jak mówił, z ilu mniej więcej ludźmi będzie miała do czynienia „dzielna gwardia narodowa Plassans”, Rougon chciał wyrazić swoje wątpliwości, powiedzieć, że miasteczka chwytają za broń, aby przyłączyć się do armii powstańców, a nie po to, aby zaatakować miasto. Lecz zebrani swoim pełnym konsternacji milczeniem dawali do zrozumienia, że mają już o tym wyrobione zdanie i że nie chcą, aby ich pocieszano.

* — O, a teraz słyszę Marsylianę — rzekł zgaszonym głosem Granoux.

I to też okazało się prawdą. Jakiś oddział ciągnący wzdłuż Yiorny musiał mijać akurat miasto, gdyż refren: „Do broni, obywatele”, dolatywał wyraźnie do uszu zebranych wibrując w powietrzu. Była to straszliwa noc. Spędzili ją na tarasie opśrci o balustradę, skostniali z zimna, ze wzrokiem utkwionym w równinę rozedrganą biciem dzwonów i melodią Marsylianek, rozgorzała od ognisk. Oczy pełne njieli krwawego blasku, uszy odległej wrzawy. Oszołomieni, we wszystkim dopatrywali się niebezpieczeństwa. Za nic na świecie nie odeszliby z tego miejsca: gdyby się odwrócili, wydawałoby im się, że ściga ich cała armia. Jak to się zdarza tchórzom, chcieli widzieć nadchodzące niebezpieczeństwo zapewne dlatego, aby móc we właściwym momencie rzucić się do ucieczki. Toteż nad ranem, kiedy księżyc zaszedł i rozpostarła się przed nimi jedynie czarna przepaść, ogarnęła ich straszliwa trwoga. Zdawało im się, że są otoczeni przez niewidzialnych wrogów, którzy skradają się w mroku, aby skoczyć im do gardła. Za najmniejszym szmerem wyobrażali sobie, że tó powstańcy naradzają się u stóp tarasu i zaraz się nap wdrapią. I nic, nic, tylko ciemność, w którą wpatrywali się z rozpaczą. Markiz, jakby chcąc ich pocieszyć, mówił swym ironicznym głosem:

— Ależ niech się panowie uspokoją. Oni poczekają do świtu!

Rougon przeklinał w duchu. Czuł, że znów ogarnia go lęk. Granoux posiwił do reszty. Wreszcie, śmiertelnie powoli, zaczęło świtać. Była to jeszcze jedna ciężka chwila. Wszyscy ci panowie spodziewali się, że z pierwszym blaskiem dnia ujrzą armię gotową do ataku na miasto. Tymczasem tego ranka świt wylaniał się spoza horyzontu leniwie, z niechęcią. Wyciągając szyje sondowali wzrokiem mglistą biel. Wydawało im się, że dostrzegają zarysy jakichś olbrzymich postact Równina zamieniała się w jezioro krwi, skały w trupy pływające po jego powierzchni, zaś kępy drzew w bataliony wojska. Później, gdy wzrastająca jasność rozproszyła te zjawy, dzień wstał tak smutny i błady, że nawet markizowi ścisnęło się serce. Nigdzie ani śladu powstańców. Drogi były wolne, ale cała dolina, szara i pusta, miała ponury wygląd, podejrzanego zaułka. Ognie wygasły, lecz dzwony dzwoniły jeszcze. Około ósmej Rougon dojrzał tylko grupę ludzi, którzy oddalali się wzdłuż Yiorny.

Wszyscy panowie byli śmiertelnie zmęczeni i zmarznięci. Nie widząc żadnego bezpośredniego niebezpieczeństwa, postanowili pójść trochę odpocząć. Jednego z gwardzistów postawiono jako wartownika na tarasie z rozkazem natychmiastowego uprzedzenia Roudiera, gdyby dostrzegł w dali jakiś oddział. Granoux i Rougon, wyczerpani przeżyciami tej nocy, razem udali się do domu. Mieszkali obok siebie i idąc podtrzymywali się wzajemnie.

Felicja położyła męża spać, nie szcędząc mu względów. Nazywała go „biednym kotkiem” i powtarzała, że nie powinien się tak przejmować i że wszystko skończy się dobrze.

Lecz on potrząsnął głową: miał poważne obawy. Zona pozwoliła mu spać do jedenastej. Potem, kiedy się posilił, delikatnie wypchnęła go z domu dając do zrozumienia, że należy wytrwać aż do końca. W merostwie Rougon zastał zaledwie czterech członków komisji, pozostali dali znać, że nie mogą przyjść. Byli rzeczywiście chorzy. Nad miastem

přstciciały coraz gwałtowniejsze poddmuchy paniki. Ci panowie podzielili się w domu wrażeniami pamiętnej nocy, spędzonej na tarasie w posiadłości hrabiego Valqueyras. Ich służące czym prędzej rozsiały te wieści upiększając je jeszcze dramatycznymi szczegółami i nim Rougon powrócił do merostwa, wydarzenia te zdążyły przejść do historii... Wszyscy wiedzieli już o tym, że widziano ludożerców wyprawiających harce na równinie u stop Plassans, czarownice tańczące wokół kotłów, w których gotowały się dziecię oraz nie kończące się przemarsze rozbójników, których broń połyskiwała w świetle księżyca. Mówiono o dzwonach, które same dzwoniły na trwogę, i utrzymywano, że powstańcy podpalili, okoliczne lasy i wszystko dokoła plonie.

Był to wtorek, dzień targowy w Plassans. Roudier kazał więc otworzyć bramy, aby wpuścić; óq miasta baby z jarzynami, jajkami i masłem. Komisja, która składała się już teraz tylko z pięciu, członków z przewodniczącym włącznie, oświadczyła, iż jest to karygodna nieostrożność. Mimo że gwardzista pozostawiony na straży w rezydencji hrabiego Valqueyras nie dostrzegł-nikogo, bramy należało zostawić zamknięte. Rougon zdecydował, iż obwoływacz publiczny przejdzie w towarzystwie dobosza przez ulice ogłaszając, że miasto znajduje się w stanie oblężenia i że ktokolwiek się z niego wydał, nie będzie już mógł wejść z powrotem. Bramy zamknięto oficjalnie w samo południe. Zarządzenie to, pomyślane dla uspokojenia ludności, doprowadziło przerażenie do zenitti. Trudno wyobrazić sobie coś dziwniejszego od tego miasta, które w połowie XIX wieku w pełnym świetle dnia zamykało się na wszystkie spusty.

Kiedy Plassans zacisnęło szczelnie wokół siebie zużyty pas swych fortyfikacji, kiedy zarygłowało się jak oblegana forteca „której grozi ęjturm, śmiertelny lęk powiał nad jego posepnymi domami. Mieszkańcom centrum miasta zdawało się ciągle, że słyszą strzały wybuchające na przedmieściach. Nie wiedzieli nic, czuli się niby w głębi ciemnej, zamurowanej piwnicy, pogrążeni w niespokojnym oczekiwaniu wyba*

wienia lub ostatecznego ciosu. Od dwóch dni oddziały powstańcze krążąc po okolicy przerwały wszelką komunikację. Plassans, położone jakby w ślepej uliczce, zostało odcięte od reszty Francji. Miało wrażenie, że znajduje się w samym sercu rewolucji.; wokół niego dzwony były na trwogę, a Alar- sylianka huczała jak wezbrana rzeka. Opuszczone i drżące l>yło jak lup obiecany zwycięzcom. Przechodnie na bulwarze to pogrążali się w przerażeniu, to znów odzyskiwali nadzieję, raz wydawało im się bowiem, że widzą koło Wielkiej Bramy bluzy powstańców, a raz, że.mundury żołnierzy. Nigdy jeszcze podprefekturą nie miała równie bolesnej agonii.

Okolo drugiej rozeszła się pogłoska, że zamach ślantr się nie udał: książę-prezydent znajdował się w twierdzy w Vincennes, Paryż w rękach najskrajniejszych demagogów, zaś Marsylia, Toulon, Draguingan i całe Południe pod władzą zwycięskiej armii powstańczej. Powstańcy mieli nadejść wieczorem i dokonać pogromu w Plassans.

Wówczas do merostwa udała się deputacja z żądaniem otwarcia bram. To, że zostały zamknięte, "mogło jedynie rozgniewać powstańców. Rougon bronił swego zarządzenia resztką sił i energii. Wydawało mu się ono jednym z najlepszych posunięć i wyjaśniał jego konieczność w słowach pełnych przekonania. Wprowadzano go jednak w zakłopotanie dopytując się, gdzie są żołnierze, gdzie jest obiecany pułk wojska. Skłamał więc, mówiąc odważnie, że w ogóle niczego nie obiecywał. Ten legendarny pułk, który nie nadchodził, a którego przybycia mieszkańcy pragnęli tak gorąco, że widzieli je już w marzeniach, był główną przyczyną paniki. Dobrze poinformowane osoby określały dokładnie miejsce, w którym został rozbity przez powstańców.

O czwartej Rougon w towarzystwie Granoux udał się do rezydencji hrabiego Valqueyras. Małe oddziały, podążające za powstańcami do Orcherei, sunęły w dali doliną Viorny. Przez cały dzień ulicznicy wdrapywali się na mury, mieszczanie zaś wyglądali przez otwory strzelnic.

Te ochotnicze straże podsycaly jeszcze przerażenie miasta, licząc głośno oddziały, które brano za pułki. Cały ten tchórzliwy ludź miał wrażenie, że jest świadkiem przygotowań do jakiejś straszliwej masakry. O zmierzchu, podobnie jak-poprzedniego wieczoru, panika powiała nad miastem.

Wróciwszy do merostwa Rougon wraz z nieodłącznym GTanoux zrozumieli, że sytuacja staje się nie do zniesienia. W czasie ich nieobecności znikł znowu jeden z członków komisji. Zostało ich więc już tylko czterech. Czuli, że śmiesznie będą wyglądać wpatrując się w ciągu długich godzin w swe blade twarze i nie mówiąc ani słowa. Przy tym ogarniała ich ^ straszliwa trwoga na myśl o spędzeniu jeszcze jednej nocy na tarasie u hrabiego Valqueyras.

Rougon oświadczył z powagą, że ponieważ stan rzeczy nie uległ zmianie, nie widzi powodu do czuwania nocą. Jeżeli wydarzyłoby się coś ważnego, zostaną o tym powiadomieni. Po czym przezornie złożył swe obowiązki administracyjne na barki Roudiera. Biedny Roudier, wspominający czasy panowania Ludwika Filipa, kiedy był członkiem gwardii narodowej w Paryżu, sumiennie trzymał straż u Wielkiej Bramy. 4 Piotr wracał do domu z opuszczoną głową, kryjąc się w cieniu kamienic. Czuł wzrastającą wokół siebie wrogość. Słyszał, jak ludzie wymawiali jego nazwisko z gniewem i pogardą. Chwiejąc się na nogach, z czołem zroszonym potem wszedł po schodach na górę. Felicja przyjęła*go w milczeniu, przynębiona. I ona też zaczynała tracić nadzieję. Marzenia .-; ich waliły się w gruzy. Zatrzymali się w żółtym salonie, patrząc sobie w oczy. Dzień miał się już ku schyłkowi, szary dzień zimowy, który rzucał brudne światło na pomarańczowe tapety w-wielki deseń. Nigdy ten pokój nie wydawał im się bardziej zniszczony, bardziej brudny i kompromitujący. Byli sami, nie otaczał ich już jak wczoraj, tłum gratulujących pochlebców. Jeden dzień wystarczył, aby ich pognębić, i to w chwili kiedy głosili swe zwycięstwo. Jeżeli jutro nie przyniesie zmiany, bitwa będzie przegrana.

Poprzedniego dnia, patrząc na zniszczone meble w żółtym salonie, Felicja myślała o Austerlitz, teraz zaś jego ponure milczenie i pustka nasuwały jej porównanie z przeklętym polem Waterloo.

Ponieważ mąż jej nie mówił ani słowa, machinalnie podeszła do okna, do tego okna, przy którym z rozkoszą wdychała niedawno hołdy całego miasta wznoszące się ku niej niby woń kadzidła. Zobaczyła grupki ludzi na placu. Widząc, że spoglądają w stronę ich domu, zapuściła żaluzje bojąc się, że przyjmą ją wrogimi okrzykami. Przeczucie mówiło jej, że rozmowa toczy się na ich temat.

Z mroku napływały głosy. Jakiś adwokat perorował podniesionym tonem:

— Od razu mówiłem, że powstańcy odeszli sami! O, jak zechcą wrócić, to nie będą pytać o pozwolenie naszych czterdziestu jeden bohaterów. Czterdziestu jeden! Dobry żart, co? Jestem pewien, że było ich przynajmniej ze dwustu.

— Ależ nie — rzeki jakiś hurtownik, sprzedawca oliwy I wielki polityk — mogłoby ich nie być nawet i dziesięciu. Przecież się wcale nie bili ^— widziano by krew na ulicach. Sam poszedłem rano do merostwa, żeby wszystko obejrzeć; podwórze było czystutkie jak moja własna ręka. /

Jakiś robotnik, który nieśmiało przysunął się do tej grupki, dodał:

— Nie trzeba było wielkiego sprytu, żeby zdobyć mero- stwo. Drzwi nie były wcale zamknięte.

Słowa te zostały przyjęte śmiechem. Robotnik zachęcony mówił dalej:

— Wszyscy zresztą wiedzą, co to za jedni, ci Rougono- wie!

Zniewaga ta ugodziła Felicję w samo serce. Niewdzięczność tych ludzi oburzała ją. zdążyła już bowiem sama uwierzyć w posłannictwo Rougonów. Zawołała męża, chciała, żeby i on przekonał się, jak zmienne są uczucia tłumu.

— To tak, jak z tym ich lustrem — ciągnął adwokat. — Ileż oni narobili hałasu około tego nieszczęsnego lustra!

A mówię wam — to zupełnie możliwe, że ten Rougon sam do niego strzelił, było tylko mieć dowód walki! Piotr ledwo powstrzymał bolesny okrzyk. Nawet i w jego lustro już nie wierzono! Niedługo oświadczą pewnie, że wCaie nie słyszał świstu kuli koło ucha. Legenda Rougonów zatrze się, nie zostanie ani śladu z ich sławy. Lecz nie był to jeszcze kres jego męki. Ludzie napadali na nich teraz równie zażarcie, jak oklaskiwali ich wczoraj. Pewien kapelusznik, człowiek sześćdziesięcioletni, którego warsztat mieścił się kiedyś na przedmieściu, zaczął szperać w przeszłości Rougonów. Z trudem odgrzebując płaczące mu się wspomnienia opowiadał coś mgliście o posiadłości Fou- - que'ów, o Adelajdzie i jej gorszącej miłości do kłusownika. Wystarczyło to, aby płotki rozgorzały ze zdwojoną siłą. Rozmawiający przysunęli się do siebie, lecz słowa: „kanalie, złodzieje, bezwstydni intryganci”: dolatywały aż do żaluzji, za którą Felicja i Piotr pocili się ze Złości i ze strachu. Wreszcie ludzie na placu zaczęli uzalać się nad Macquar- tem. To był już cios ostateczny. Wczoraj jeszcze Rougon uchodził za drugiego Brutusa, duszę wzniosłą i pełną stoi- v eyzmu, człowieka, który poświęcał swoje uczucia dla. ojczyzny; dzisiaj był już tylko podłym karierowiczem depczącym własnego brata, aby dojść do fortuny.

— Słyszysz, słyszysz? szeptał Piotr zdławionym głosem. — Zabijają nas te łajdaki! Nie podniesiemy się już teraz.

Fetfcja, ^wściekła, bębniła nerwowo pakami po żaluzji.

— Niech sobie gadają — odparła. — Już ja im dam nauczkę, jeżeli znów będziemy górą. Wiem, kto jest winien temu wszystkiemu. To nowa dzielnica nam zazdrości.

Nie myliła się. Nagła niepopularność Rougona była dziełem grupy adwokatów, którzy czuli się dotknięci karierą byłego handlarza oliwą, człowieka bez wykształcenia, któremu groziło, niegdyś bankructwo. Dzielnica Sw. Marka od dwóch dni była jak wymarła. Jedynie stara i nowa dzielnic- ca żyły dawnym życiem. Ta ostatnia skorzystała z paniki, aby pogrążyć żółty salon w opinii handlarzy i robotników. Roudier i Granoux byli najlepszymi obywatelami, czcigodnymi ludźmi, których oszukiwali ci intryganci Rougonowie Ale otworzy im się oczy. Czyż zamiast tego grubasa z wielkim brzuchem, tego nędzarza, który nie miał ani gECSza. nie powinien był zasiąść w fotelu mera pan Izydor Granona? Wytykano Rougonowi wszystkie jego zarządzenia. Nie powinien był zatrzymać dawnej Rady Miejskiej; popełnił wielki błąd każąc zamknąć bramy; przez jego głupotę pięciu członków Rady Miejskiej nabawiło się zapalenia płuc na tarasie hrabiego Valqueyras. Zarzutom nie było końca. Również republikanie zaczęli podnosić głowę. Mówiono, że robotnicy z przedmieść przygotowują zamach na mero- stwo. Reakcja dogorywała.

Piotr widząc, że wszystkie jego nadzieje rozsypują się w gruzy, zwrócił się myślą ku tym. na których poparcie liczył.

•- — Czy Arystydes — zapytał — nie wybierał się do nas dziś. wieczorem, żeby się ze mną pogodzić?

V: — Tak — odparła Felicja. — Obiecał mi piękny artykuł. Ale Niezależny wcale się nie ukazał...

Mąż przerwał jej mówiąc:

A czy to nie on wychodzi teraz z pocłprelektuiy?

Kobieta rzuciła okiem w tamtą stronę.

— Znów ma rękę na temblaku! — zawołała.

Istotnie Arystydes na nowo owiązał rękę chustką. Cesarstwo potykało się, a Republika również nie odnosiła triumfów. Uważał więc, że najrezs^dniej będzie powrócić do soli kaleki. Cichaczem, nie podnosząc głowy, przemknął przez plac, a ponieważ dobiegły go zapewne jakieś niebezpieczne i kompromitujące słowa, 2iiknął spieszenie za rogiem ulicy de la Banne.

— Nie przyjdzie do nas — powiedziała z goryczą Felicja. — Z nami już koniec. Nawet własne dzieci nas opuszczają!

Zamknęła ze złością Okno, żeby już nie widzieć i nie sły- szeć. Zapaliła lampę i zasiadli do kolacji, przygnębieni. Nie mieli apetytu, jedzenie zostawało na talerzach. Trzeba było powziąć jakąś decyzję. Jeżeli do rana nie zmuszą Plassans do uległości i do pozornych przeprosin, to ich marzenia o furlunie prysną. Absolutny brak wiadomości był zresztą jedyną przyczyną ich niezdecydowania i lęku. Felicja prędko zdała sobie z tego sprawę. Gdyby wiedzieli, jaki jest wynik zamachu stanu, to albo odważnie trwaliby dalej w roli wybawców miasta, albo też postaraliby się, aby czym prędzej zapomniano o ich niefortunnym wysokoju. Lecz odcięci od jakichkolwiek nowin, tracili głowę, zimny pot Oblewał ich na myśl, że tak lekkomyślnie igrają z losem, nic zupełnie nie wiedząc o właściwym przebiegu wydarzeń.

— Ze też. ten Eugeniusz nic do mnie nie pisze! — wykrzyknął z rozpaczą Rougon, zapominając, że w ten sposób wyjawia żonie tajemnicę swej korespondencji z synem.

Lecz Felicja udała, że nie słyszy. Okrzyk męża dał jej wiele do myślenia. Istotnie, dlaczego Eugeniusz nie pisał do ojca? Skoro tak gorliwie informował go o postępach sprawy, to powinien był czym prędzej donieść mu o zwycięstwie czy też o klęsce księcia Ludwika. Zwykła przezorność nakazywałaby mu przesłać ojcu tę wiadomość. Jeżeli milczał, to znaczy, że zwycięska Republika zesłała go wraz z księciem pretendentem do lochów Vincennes. Felicja poczuła, że krew ścina jej się w żyłach; milczenie syna zabijało w niej resztki nadziei.

W tej chwili przyniesiono Gazetę, świeżo spod prasy.

— Jak to? powiedział Piotr z wielkim zdziwieniem. — Więc Vuillet wydał dziś swój dziennik?

Rozerwał opaskę i przeczytał wstępny artykuł; kończąc go był błydy jak płótno i ledwo trzymał się na krześle.

Był to wspaniały artykuł, z niesłychaną gwałtownością atakujący powstańców. Nigdy tyle żółci, tyle kłamstw i tyle nabożnych brudów nie spłynęło z jednego pióra. Vuillet zaczynał od opowieści o zajęciu Plassans przez powstańców.

Był to iście mistrzowski opis. Ukazywał łych bandytów, te twarze naznaczone piętnem zbrodni, tych wyrzutek społeczeństwa, jak wtargnęli do miasta „pijani wódką, rozpustą i grabieżą”, następnie zaś opisywał „bezwstydny cynizm ich zachowania, dzikie okrzyki, niepohamowaną żądzę gwałtu i mordu” i „prerażonych tym mieszkańców”. Scena aresztowania władz urosła pod jego piórem do wymiarów strasliwego dramatu:

„Wówczas skoczyli do gardła ludziom najbardziej zasłużonym w mieście. I oto mer, dzielny dowódca gwardii narodowej, oraz naczelnik poczty, jak Chrystus ukoronowani zostali cierniem i opluci przez tych nędzników”. Ustęp poświęcony Mielcie i jej czerwonej pelerynie pełen był patosu. Vuillet dostrzegł nie jedną, lecz dziesięć, dwadzieścia krwawych dziewcząt: „Któż z nas nie widział wśród tych potworów bezwstydných dziewczyn odzianych w czerwień, które snadz musiały tarzać się we krwi ofiar, pomordowanych przez tych bandytów na drogach? Potrzęsały one sztandarami, na środku drogi oddawały się ohydny m pieszczotom całej hordy”. Tu Vuillet dorzucił z biblijną emfazą: „Republika kroczy zawsze między prostytutką a morderstwem”; Była to pierwsza część artykułu. W napastliwym zakończeniu księgarz zapytywał, czy kraj długo jeszcze pozwoli panoszyć się „-dzikim bestiom, nie szanującym ani cudzej własności, ani życia ludzkiego”, apelował do wszystkich Mr kich dzielnych obywateli, aby położyli temu kres, gdyż tolerowanie takiego stanu rzeczy do tego stopnia rozzuchwali napastników, iż przyjdą, „aby wyrwać córkę z ramion matki, żonę z ramion męża”. Wreszcie, po nabożnym zdaniu, w którym oświadczył, że Pan Bóg pragnie wytępienia złych ludzi, kończył taką oto fanfarą: „Rozeszła się wieść, że ci nędznicy znowu zbliżają się do naszych bram. Niechaj więc każdy z nas chwyci za broń i zabija ich jak psy. Ja sam stanę w pierwszym szeregu, szczęśliwy, iż mogę przyczynić się do uwolnienia ziemi od tego plugastwa”.

Ten przeładowany ordynarnymi porównaniami artykuł prowincjonalnego dziennikarza przestraszył Rougona. Kiedy Felicja położyła Gazetę na stole, szepnął:

— Ten łajdak dobija nas. Wszyscy pomyślą, że to ja podyktowałem mu ten paszkwil.

— Dobrze — odparła Felicja w zamyśleniu — ale czyż nie mówiłeś mi jeszcze dziś rano, że Vuillet kategorycznie odmówił ałakowania republikanów? Że był błąd jak ściana, tak przerażały go pogłoski o zbliżaniu się powstańców?

— No, właśnie! Nic z tego nie rozumiem. Kiedy nalegałem, zaczął mi nawet wyrzucać, że nie pozabijałem wszystkich powstańców... Widocznie ten artykuł napisał wczoraj, a dziś my za niego odpowiemy.

Felicja gubiła się w domysłach. Cóż za giez ukąsił nagle Vuilleta? Obraz tego niedosłego zakrystiana, stojącego z bronią w rękę na murach otaczających Plassans, wydał się jej czymś nieskończenie zabawnym. Jego wystąpienie musiało mieć jakąś przyczynę, której nie potrafiła dociec. Zbyt odważnie sobie poczynił i zbyt bezczelnie lżył powstańców, aby oddziały ich rzeczywiście były już u bram miasta.

— Zawsze mówiłem, że to zły człowiek — rzekł Rougon, gdy po raz drugi przeczytał artykuł. — Może chodziło mu właśnie o to, żeby nam zaszkodzić. Głupi byłem, że zostawiłem w jego rękach zarząd poczty.

Felicja doznała nagłego olśnienia. Zerwała się żywo, włożyła -czepek i zarzuciła szal na ramiona.

— Gdzież ty się wybierasz? — zapytał ją zdumiony mąż. — Jest już po dziewiątej.

— Ty się teraz położysz do łóżka — odpowiedziała dość szorstko. — Jesteś cierpiący i musisz odpocząć. Spij, a jak wrócę, to obudzę cię, jeżeli będzie trzeba, i wtedy porozmawiamy.

Wyszła żwawo i pobięła na pocztę. Weszła wprost do gabinetu, w którym Vuillet pracował jeszcze. Na jej widok zrobił ruch pełen niezadowolenia

Nigdy dotąd Vuillet nie czuł się równie szczęśliwy. Od kłedy mógł wsuwać do nadchodzących listów swe wąskie palce, doznawał rozkoszy podobnej do tej, jaką odczuwać musi ciekawy ksiądz sycący się zwierzeniami penitentek. W uszach dźwięczały mu ploteczki i niedyskrecje zakrystii. Przysuwał swój długi, błyśnięty nos do listów, miłośnie przyglądał się adresom zezowatymi oczami i wypytywał koperty, tak jak proboszcz wypytuje dziewicę na spowiedzi. Były to dlań chwile lubieżnego podniecenia i drażniącej pokusy. Ocierał się o sekrety Plassans; w jego rękach znalazła się cześć kobiet i fortuna mężczyzn. Wystarczyło złamać pieczęć, aby wiedzieć nie mniej niż sam wikariusz katedry, który spowiadał panie i panów z towarzystwa. Vuillet był jedną z tych okrutnych kumoszek, które o wszystkim wiedzą i ciężarem powtarzanych plotek miażdżą ludzi. Często dawniej marzył o tym, aby móc zanurzyć rękę w skrzynce na listy. W gabinecie naczelnika poczty czuł się jak w konfesjonale, pełnym nabożnego półmroku -i przesyconym wonią tajemnic. Chciwie wchłaniał przyciszone szepty i drżące wyznania płynące ku niemu z listów. Nie musiał się niczym krępować. Ogólny zamęt zapewniał mu bezkarność. Jeżeli listy będą się spóźniać lub ginać, to winę łatwo będzie zrzucić na tych łotrów republikanów, którzy snuli się po okolicy przerywając komunikację. Zamknięcie bram pokrzyżowało na chwilę jego plany. Zaraz jednak umówił się z Roudierem, że poczta wpuszczona będzie do miasta i dostarczona mu bezpośrednio, z pominięciem merostwa.

Na razie rozpieczętował tylko te listy, w których jego wąż zakrystiana kazał mu spodziewać się ważnych wiadomości. Pragnął poznać je pierwszy. Listy, które wyjaśniały sytuację i — dotarłszy w porę do rąk adresatów — mogły być umniejszyć jego rolę bohatera pośród ogólnej paniki, schował do osobnej szuflady z zamiarem przetrzymania ich, jak długo będzie trzeba. Ta pobożna owieczka rezerwując sobie stanowisko kierownika poczty wykazała nadzwyczajne zrozumienie sytuacji.

Kiedy weszła pani Rougon, Vuillet wybierał właśnie nowe zdobycze w ogromnym stosie listów i gazet pod pretekstem, że je segreguje. Wstał uśmiechając się pokornie, i podsunął jej krzesło. Jego zaczerwienione powieki trzepotały niespokojnie. Lecz Felicja nie usiadła. Powiedziała brutalnie:

— Proszę oddać mi list.

Vuillet szeroko otworzył oczy z miną niewiniątka.

— Jaki list, droga pani? — zapytał.

— List, który nadszedł dziś rano dla mego męża... niech się pan pospieszy, panie Vuillet, ja nie mam czasu czekać.

Ponieważ zaczął jąkać, że o niczym nie wie, że nic nie widział i że bardzo się dziwi, Felicja dodała z groźbą w głosie:

List z Paryża, od mego syna Eugeniusza. Teraz wie pan już, o co mi chodzi, prawda?... Poszukam go sama.

I wyciągnęła rękę udając, że chce przejrzeć leżące na biurku paczki. Wówczas Vuillet zakreślił się żywo mówiąc, że zaraz sprawdzi. Oczywiście, o normalnym funkcjonowaniu poczty trudno teraz marzyć. Być może, że rzeczywiście nadszedł jakiś list. W takim razie na pewno go znajdą. Jeżeli chodzi o niego, to przysięga, że go nie widział. Ałowiąc to kręcił się po gabinecie, szukał pomiędzy papierami, otwierał szuflady i kartonowe teczki. Felicja czekała z niewzruszonym spokojem.

— Daję słowo, miała pani rację. Proszę, oto list dla pani! ■— zawołał w pewnej chwili, wyciągając jakieś papiery z teczki. — Ach, ci przekłeci urzędnicy wykorzystują sytuację i pracują byle jak.

Felicja wzięła list i uważnie obejrzała pieczęć, nie przejmując się tym, że postępuje niedelikatnie. Przekonała się, że koperta musiała być otwierana; księgarz, nie dość jeszcze wprawny w tych sprawach, użył do przyklejenia z powrotem pieczęci ciemniejszego wosku. Felicja przedarła kopertę uważając, żeby nie uszkodzić pieczęci, która mogła później posłużyć za dowód. Eugeniusz w kilku słowach donosił o całym sukcesie zamachu stanu. Paryż został pokonany, prawie cała prowincja poddała się bez oporu. Radził rodzicom zająć jak najbardziej zdecydowane stanowisko wobec powstania i wytrwać na nim, a zdobędą fortunę.

Pani Rougon włożyła list do kieszeni i usiadła, patrząc Vuilletowi prosto w twarz. Ten udając, że jest bardzo zajęty, gorączkowo segregował pocztę.

— Niech pan posłucha, panie Vuillet — rzekła.

A kiedy podniósł głowę:

— Grajmy w otwarte karty, dobrze? Złe pan robi, nadużywając swej obecnej władzy. To niebezpieczne.

Zamiast otwierać nasze listy....

Przerwał jej z oburzeniem, udając obrażonego. Lecz ona rzekła spokojnie:

— Wiem, wiem, znam już pańską metodę. Pan nigdy się do niczego nie przyzna. Ale nie traćmy słów na próżno. Co spodziewa się pan osiągnąć popierając zamach stanu?

A kiedy w dalszym ciągu mówił o swej uczciwości, straciła cierpliwość.

'Niech się panu nie zdaje, że jestem taka głupia! — krzyknęła. — Czytałam pański artykuł... O wiele lepiej zrobiłby pan wchodząc z nami w porozumienie.

Wówczas, nadal nie przyznając się do niczego, oświadczył, że chciałby być dostawcą książek do gimnazjum. Dawniej dostarczał temu zakładowi klasyków, ale później wyszło na jaw, że przy okazji sprzedawał uczniom potajemnie pornograficzne rysunki i książki w takich ilościach, iż pulpity były szczelnie nimi wypchane. O mało nie dostał się wtedy w ręce policji obyczajowej. Od tej pory majzył o tym, aby z powrotem zaskarbić sobie względy władz szkolnych. Felicja zdziwiła się, że pragnienia jego są tak skromne. Dała mu to do zrozumienia. Gwałcił tajemnicę korespondencji, narażać się na więzienie po to tylko, ażeby potem sprzedawać słowniki!

— To mi przyniesie — odparł uszczypliwie — cztery do

m

pięciu tysięcy franków rocznie. Ja nie marzę o rzeczach niemożliwych, jak niektóre osoby.

Puściła przycinek mimo uszu. Nie było już mowy o roz- pieczętowywanych listach. Zawarli przymierze: Vuillet obiecał, że zatrzyma przy sobie wszystkie wiadomości i nie będzie się wysuwał na pierwszy plan pod warunkiem, że Rou- gonowie zapewnią mu później dostawę książek do gimnazjum. Wychodząc Felicja zaleciła mu, żeby się nie narażał więcej na kompromitację. Wystarczy, jeśli na razie zatrzyma wszystkie listy i każe je doręczyć dopiero pojutrze.

—A to łotr! — mruknęła już na ulicy zapominając, że przed chwilą sama poleciła mu wstrzymać doręczenie poczty.

Wracała wolno, zamyślona. Wybrała nawet okrężną drogę przez bulwar Sauvaire, jakby chciała zostawić sobie więcej czasu do namysłu, zanim wróci do domu. Pod drzewami promenady spotkała pana de Carnavant, który korzystał z osłony nocy, aby myszkować po mieście. Duchowieństwo Plassans, czując wstręt do wszelkiej akcji, zachowywało od chwili ogłoszenia zamachu stanu najściślejszą neutralność. Cesarstwo było już dla niego faktem dokonany i kler czekał tylko, kiedy teraz w odmiennym, stosownie do okoliczności kierunku — będzie mógł podjąć swe intrygi. Markiz, agent obecnie już niepotrzebny, ciekaw był teraz tylko jednej rzeczy: jaki obrót przyjmą wypadki w mieście, w jaki sposób zachowają się Rougonowie.

— A, to ty, mała — rzekł poznając Felicję. — Wybierałem się właśnie do ciebie. Twoje sprawy komplikują się jakoś.

— Ależ nie, wszystko jest w porządku — odparła z roztargnieniem.

—Tym lepiej; opowiesz mi o wszystkim, prawda? Actt, muszę się przed tobą wypowiadać: zeszłej nocy napędziłem okropnego stracha twemu mężowi i jego kolegom. Gdybyś mogła ich widzieć, jak śmiesznie wyglądali wtedy na tarasie, kiedy wmawiałem im, że kępy drzew w dolinie to oddziały powstańców... Wybaczasz mi to?

— Bardzo dobrze pan zrobił — rzekła żywo Felicja. — Trzeba ich było jeszcze bardziej nastraszyć. Może by się mój mąż oduczył jtyedy trzymać wszystko w sekrecie przede mną. Niech fian wpadnie do mnie kiedy przed południem, jak będę sama.

I ruszyła przed siebie szybkim krokiem, jakby spotkanie z markizem utwierdziło ją w jakimś postanowieniu. Jej drobna postać wyrażała nieubłaganą wolę zemsty. Nareszcie odpłaci Piotrowi za jego skrytość, upokorzy go i zapewni sobie władzę w domu. Przygotowywała wielką scenę, którą rozkoszowała się z góry i której szczegóły układała w myśli z wyrafinowaniem kobiety urażonej w swej dumie.

Zastała Piotra w łóżku, pogrążonego we śnie. Stała nad nim przez chwilę ze świecą, z politowaniem przyglądając się jego tępej twarzy, przez którą raz po raz przebiegały lekkie dreszcze. Potem usiadła w głowach łóżka, zdjęła czepek, potargała sobie włosy, przybrała minę osoby zrozpaczonej i zaczęła głośno szlochać.

— Co to? Co ci jest? Czego płaczesz? — zapytał Piotr budząc się nagłe.

Nie odpowiedziała; płakała coraz rzewniej.

— Na miłość boską, odpowiedz! — zawołał mąż, przerażony tą niemą rozpaczą. — Gdzieś ty była? Widziałś powstańców?

Pokręciła przecząco głową, a po chwili szepnęła zamierającym głosem:

— Wracam od hrabiego Valqueyras. Chciałam prosić o radę pana de Camavant. Ach, mój drogi, wszystko stracone.

Piotr poderwał się na łóżku, poblady. Spod rozpiętej koszuli widać było jego tęgi kark i miękkie ciało, nabrzmiałe lękiem. Osunął się na poduszki podobny do chińskiego bożka — żółty i płaczliwy.

— Markiz — ciągnęła Felicja — przekonany jest, że księciu Ludwikowi zamach stanu się nie udał. Jesteśmy zrujnowani i nigdy już nie dorobimy się niczego.

Wówczas Piotr, jak to nieraz zdarza się tchórzom, wpadł w gniew.. To wina markiza, Felicji, całej rodziny! To pan de Carnavant i Felicja wplątali go w te głupstwa! Jemu ani w głowie była polityka!

— Ja umyвам ręce! — krzyczał. — To Wy dwoje nawarzyliście tego piwa! Czyż nie rozsądniej było zadowolić się naszą skromną rentą? Ale ty zawsze chciałaś górować nad innymi. Teraz widzisz, do czego nas to doprowadziło.

Tracił głowę, zapomniał, że pożądał fortuny równie chciwie jak żona. Pragnął wyładować gniew zrzucając na innych odpowiedzialność za poniesioną porażkę.

— A zresztą — mówił dalej — czy mogliśmy spodzie--: wać się powodzenia w-życiu mając ta kie.dzieci! Eugeniusz opuścił nas w decydującej chwili, Arystydes mieszał nas z błotem, a nawet ten głupi Pascal kompromituje nas uprawiając filantropię wśród powstańców... I pomyśleć, że zrujnowaliśmy się, żeby dać im tylko możliwość ukończenia studiów!

Pogrążony w rozpacz, używał zwrotów, którymi zazwyczaj nigdy się nie posługiwał. Felicja widząc, że zatrzymał się, aby zaczerpnąć oddechu, wtrąciła łagodnie:

— Zapominasz o Macquarcie.

— Rzeczywiście, zapomniałem o nim! — zawołał gniew? nie. — jeszcze jeden, o którym nie mogę spokojnie myśleć!... Ale nie na koniec, wiesz, ten mały Sylweryusz, którego spotkałem wtedy wieczorem u matki z rękoma powalanymi krwią, wybił oko żandarmowi. Nie mówiłem ci o tym nie chcąc cię przerażać. Wyobrażasz sobie jednego z moich siostrzeńców przed sądem? Ach, co za rodzina... A jeżeli chodzi -O Maccjuaria, to miałem ochotę palnąć mu w łeb wtedy w me- roście. Słowo daję, że miałem ochotę to zrobić...

Felicja spokojnie słuchała tego potoku słów. Wymówki męża przyjmowała z anielską słodyczą, pochylając głowę, jakby czuła się winna, uśmiechając się przy tym niepostrzeżenie. Zachowaniem swoim podsycala jeszcze lęk Piotra.

Gdy biedakowi zabrakło już głosu, zaczęła wzdychać ciężko, udając skrucę, a później powiedziała z rozpaczą:

— I cóż my teraz pocniemy, mój Boże! Z takim mnóstwem długów...

-T- To twoja wina! — krzyknął Piotr resztką sił.

Istotnie Rougonowie zadłużeni byli na wszystkie strony. Spodiewając się bliskiego zwycięstwa stracili wszelki umiar. Od początku 1851 roku przyjmowali co wieczór swych gości ponczem i ciasteczkami lub też zapraszali ich na kolacje, podczas których pito za rychły zgon Republiki. Prócz tego Piotr oddał jedną czwartą swego, kapitału do dyspozycji reakcji na zakup broni i naboju.

- Rachunek u cukiernika wynosi przynajmniej tysiąc franków — podjęła Felicja słodko— a dostawcy win jesteście winni dwa razy tyle. Dochodzą jeszcze rachunki u rzeź- nika, piekarza, dostawcy owoców...

Piotr dogorywał. Felicja zadała mu ostateczny cios mówiąc:

— Nie liczę już tych dziesięciu tysięcy franków, które dałeś na broń.

— Ja, ja! — wybełkotał. — Ale mnie oszukano, okradziono! To ten głupiec Sicardot wciągnął mnie w tę kabałę zapewniając, że napoleonidzi zwyciężą. Myślałem, że dobrze lokuję kapitał. Ten stary osioł będzie mtisiał zwrócić mi moje pieniądze.

— Nie zwróca ci nic — odparła żona wzruszając ramionami.— Spotka nas los wszystkich ofiar wojny. Kiedy spłacimy długi, nie starczy nam nawet na chleb. Ach, to nam się udało!... Możemy już teraz przenieść się do jakiejś rudery w starej dzielnicy.

Ostatnie zdanie zabrzmiało ponuro, jak "dźwięk żalobnego dzwonu. Piotr wyobraził sobie nagle ową rudere. Więc to tam, na nędznym barłogu zakończy życie, którego celem było bogactwo i łatwe przyjemności! Na próżno okradł własną matkę, maczał ręce w najbrudniejszych intrygach, kłamał przez tyle lat. Cesarstwo nie spłaci jego długów, i ono

jedno mogłoby uratować go od ruiny. Wyskoczył w koszuli z łóżka, krzycząc:

— Nie, nie! Chwyć za broń, wołę już, żeby mnie za*- bili powstańcy!

— Będziesz to mógł zrobić jutro albo pojutrze — odparła z wielkim spokojem Felicja — bo republikanie są niedaleko. To taki sam dobry sposób jak każdy inny, żeby raz z tym wszystkim skończyć.

Piotr zmartwiał. Wydało mu się, że ktoś wylał mu na głowę kubel lodowatej wody. Wszedł z powrotem do łóżka, a kiedy poczuł ciepło nagrzanego pościeli, zaczął płakać. Ten grubas skory był zresztą do łez. Płynęły z jego oczu niepowstrzymaną strugą, bez wysiłku. Nastąpiła reakcja. Gniew przeszedł w dzieciinną żalność i bezradność. Felicja, która oczekiwała tej chwili, zadrżała z radości. Oto leżał przed nią wyzuty z wszelkiej energii, pokonany, bezbronny. Milczała dalej z wyrazem zrozpaczonej pokory. Widok, jej niemego przygnębienia i rezygnacji sprawił Piotra' w jeszcze większą rozpacz.

Przemówże nareszcie ^ błagał. — Zastanówmy się. wspólnie. Czyż nie ma już doprawdy żadnej deski ratunku?

— Żadnej, wiesz o tym dobrze — odparła. — Sam przed chwilą rozpatrywałeś sytuację: od nikogo nie możemy spodziewać się pomocy. Nawet nasze dzieci nas zdradziły.

— Więc uciekajmy... Chcesz, to opuścimy Plassans jeszcze leż nocy.

— Uciekać? Ależ, mój biedaku, zaraz następnego dnia stalibyśmy się pośmiewiskiem całego miasta!... Zapomniałeś już o tym, że sam kazałeś pozamykać bramy?

Piotr szamotał się w potrzasku; wyteżał myśl. Wreszcie dając za wygraną szepnął błagalnie:

— Proszę cię, znajdź jakieś wyjście, jeszcze dotychczas nic nie powiedziałaś.

Felicja podniosła głowę udając zdziwienie i odparła rozkładając bezradnie ręce:

■ — Ja nie znam się na tych rzeczach. Sam mi to nieraz powtarzałeś, że nie mam pojęcia o polityce.

Piotr milczał, zmieszany, ze spuszczonej oczami, a ona ciągnęła powoli, bez^wymówek:

— Nie wtajemniczaj mnie nigdy w twoje sprawy, więc nie wiem o niczym i nic nie mogę ci poradzić...

Zresztą, miałeś rację, kobiety bywają czasami gadatliwe i mężczyźni sami powinni trzymać w swych rękach ster wydarzeń, tak jest o wiele lepiej.

Mówiła to z tak subtelną ironią, że mąż jej nie wyczuł szyderstwa ukrytego w jej słowach. Ogarnęły go jednak wyrzuty sumienia. I nagle zaczął się przed nią spowiadać. Opowiedział jej o listach Eugeniusza, wyjaśnił swe plany i postępowanie z elokwencją człowieka, który robi rachunek sumienia i błaga o ratunek. Przerwywał co chwila pytając: „A ty jak postąpiłabyś na moim miejscu?” lub: „Prawda, że miałeś rację? Nie mogłem postąpić inaczej!” Felicja słuchała go wyniośle, jak sędzia, nie racząc nawet skinąć głową. W głębi duszy rozkoszowała się sytuacją: ma go wreszcie w swym ręku, tego mruka; bawi się nim jak kotka kulka papieru: sam wyciąga do niej dłoń, żeby mu założyć kajdanki.

— Poczekaj! — Zawołał wyskakując nagle z łóżka. Ig Dam ci do przeczytania listy Eugeniusza Łatwiej ci będzie zorientować się w sytuacji* —

Na próżno usiłowała go zatrzymać, chwytając za poję koszuli: ułożył listy na szafce nocnej, wszedł z powrotem do łóżka i zaczął odczytywać je na głos, zmuszając czasem żonę, aby sama przeglądała niektóre strony. Felicja z trudem powstrzymywała uśmiech. Ogarniała ją litość dla tego biedaka.

— No i co? — zapytał z trwogą, skończywszy czytać. — Teraz wiesz już wszystko. Czy w dalszym ciągu nie widzisz dla nas żadnego ratunku?

Nie odpowiedziała mu od razu. Udawała, że zastanawia się głęboko.

— Jesteś rozumną kobietą — podjął chcąc jej pochlebić. — Zle robiłem, przyznaję, ukrywając przed tobą moje plany...

. — Nie mówmy już o tym — odparła. Moim zdaniem, gdybyś był odważny...

A ponieważ patrzył na nią chciwie, przerwała i rzekła z uśmiechem:

||j|- Ale obiecujesz ufać mi już teraz? Mówić mi o wszystkim? Nie robić nic bez porozumienia ze mną?

. Obiecał, zgodził się na najcięższe warunki. Wówczas Felicja również położyła się do łóżka; zrobiło jej się zimno, wyciągnęła się więc obok niego i szeptem, jakby ich mógł ktoś usłyszeć, zaczęła mu tłumaczyć swój plan działania. Jej zdaniem, należało doprowadzić do tego, żeby jak największa panika ogarnęła miasto/Pośród ogólnego przerażenia jeden Piotr miał zachować postawę bohatera. Przeczucie mówi jej, twierdziła, że powstańcy są jeszcze daleko. Zresztą — prędzej czy później* — rzeźnicy ładu zwyciężą i Rou- gonowie zostaną wówczas wynagrodzeni. Odegrali już rolę wykonawców, mogą teraz odegrać rolę męczenników. Mówiła z takim przekonaniem, że mąż jej, zdziwiony z początku prostotą tego planu, opartego na śmiałym postawieniu wszystkiego na jedną kartę, przyznał w końcu, że jest to doskonała taktyka, i przyrzekł stosować ją okazując tyle odwagi, na ile go tylko będzie stać,

tfpy' A nie zapominaj, że to ja służyłam ci radą — szepnęła pieszczotliwie Felicja, -r^Będziesz już teraz grzeczny?

Ucałowali się, życząc sobie dobrej nocy. Tych dwoje starych ludzi spalonych żądzą posiadania przeżywało nagle nawrót uczucia. Ani jedno, ani drugie nie mogło zasnąć: po upływie kwadransa Piotr, który wpatrywał się w żółty krążek światła nocnej lampki drgający na suficie, odwrócił się i szeptem podzielił się z żoną myślą, jaka przyszła mu do głowy.

— Acb nie, nie wzdygnęła się Felicja. — To byłoby zbyt okrutne.

— Ba — odparł — przecież ty sama chcesz, żeby zastraszyć mieszkańców!... Gdyby stało się to, o czym ci mówię, ludzie nabraliby dla mnie szacunku...

Po chwili uzupełniając swój projekt, dorzucił:

— Można by użyć do tego Macquarta. Pozbylibyśmy się go w ten sposób.

Ten pomysł poruszył Felicję. Zamyśliła się, pełna wahania, a wreszcie wyjąkała niepewnie:

— Może masz rację. Trzeba by się nad tym zastanowić... Ostatecznie nie ma sensu bawić się w skrupuły. To dla nas sprawa życia lub śmierci... Pozwól mi działać. Pójdę jutro do Macquarta i przekonam się, czy można się z nim porozumieć. Ty zacząłbyś się kłócić i zepsułbyś wszystko... Dobranoc, śpij dobrze, kochanie... Nasze troski skończą się niedługo.

Ucałowali się jeszcze raz i zasnęli. Krążek światła na suficie przypominał czyjeś szeroko otwarte oko wpatrzone i przerażeniem w tych dwoje bladych mieszczan pogrążonych we śnie, w którym widzieli zalewający ich sypialnię deszcz krwi — jej krople, spadając na posadzkę, zamieniały się w złote monety.

Następnego dnia Felicja udała się przed świtem do merostwa; Piotr objaśnił ją, jak dotrzeć do Macquarta. Zabrała ze sobą w teczce mundur gwardii narodowej swego męża. W merostwie zastała zresztą zaledwie kilku ludzi śpiących kamiennym snem na wartowni. Odzwierny, któremu polecono żywić więźnia, poszedł z nią na górę, aby otworzyć garderobę służącą jako cela więzienna, po czym spokojnie zszedł na dół.

Macquart przebywał pod kluczem już od dwóch dni. Miał czas na długie rozmyślenia. Pierwszego dnia, kiedy się wyspał, wpadł w bezsilną wściekłość. Na samą myśl o tym, że w przyległym pokoju jego brat rozpiera się w fotelu mera, miał ochotę wyłamać drzwi. Obiecywał sobie, że skoro tylko powstańcy przyjdą go uwolnić, zadusi go własnymi rękami. Lecz wieczorem z nadejściem zmierzchu uspokoił się, prze

stał krążyć gniewnie po ciasnym pokoiku. Wchłaniał unoszącą się tu łagodną woń. Atmosfera dobrobytu przynosiła oJ- prężenie jego nerwom. Pan Garçonnet, człowiek bogaty, delikatny i próżny, urządził garderobę bardzo elegancko: kanapa była miękka i przytulna, marmurową umywalnię zdobiły perfumy, pomady i mydła. Zamierający dzień napełniał pokój zacisznym światłem, niby lampa zawieszona w alkwie. Wydychając mdłe, przesycone zapachem piżma powietrze, Macquart zasnął mówiąc sobie w myśli, że ci diabelscy i bogacze „są jednak bardzo szczęśliwi”. Przykrył się kołdrą, którą mu dano. Pod głowę, plecy i ramiona podłożył sobie poduszki. Kiedy otworzył oczy, przez otwór w suficie wśliz- nął się promień słońca. Macquart nie ruszył się z kanapy. Było mu ciepło, rozglądał się po pokoju. Myślał o tym, że on nigdy nie będzie miał takiej garderoby. Najbardziej interesowała go umywalnia: to nie sztuka być eleganckim, kiedy się ma tyle słoików i flakonów do dyspozycji. Z goryczą wspominał własne zmarnowane życie. Przyszło mu na myśl, że obrał złą drogę. Człowiek nie nie zyskuje zadając się z biedotą. Może powinien był ustąpić i pogodzić się z Rougonami? Odrzucił jednak tę myśl. Rougonowie to złodzieje: okradli go. Lecz ciepło i miękkość kanapy łagodziły jego gniew, napełniały go nieokreślonym żalem. Ostatecznie powstańcy zostawili go na pastwę losu, dali pokonać się jak głupcy. Doszedł do wniosku, że Republika to oszukań- stwo. Ci Rougonowie mieli szczęście. Przypomniał sobie bezsilne ataki, kryjomą walkę; nikt z rodziny nie stanął po jego stronie: ani Arystydes, ani brat Sylweryusza, ani sam Sylweryusz, głupiec entuzjazmujący się Republiką, który nigdy do niczego nie dojdzie. Dalej rozpamiętywał swój los: żona mu umarła, dzieci go opuściły; zdechnie teraz gdzieś w kącie sam, bez grosza przy duszy, jak pies. Powinien był sprzedać się reakcji, to jasne. Rozmyślając o tym zerkał na umywalnię, ogarnięty chęcią umycia sobie rąk proszkiem mydłanym zamkniętym w kryształowym puzderku. Jak każdy leń utrzymywany przez żonę lub dzieci, Macquart miał upodobania firyka. Nosił połatane spodnie, ale lubił oblewać się pachnącymi ofejkami. Całymi godzinami przesiadywał u fryzjera, który rozprawiał z nim o polityce, a w przerwie między dwiema dyskusjami pociągał mu grzebieniem po głowie. Pokusa była zbyt silna: Macquart stanął przed umywalnią. Umył ręce i twarz, uczesał się, upręf unio wał, zrobił dokładną toaletę. Wypróbował zawartość wszystkich flakonów, użył każdego mydła, każdego pudru. Lecz największą rozkosz sprawiało mu wycieranie się ręcznikami mera: były puszyste i miękkie. Zanurzał w nie wilgotną twarz i wdychał błogo woń bogactwa. Kiedy się już wypomadował, położył się z powrotem na kanapie, pachnący od stóp do głów, odmłodzony, skłonny po pojednania. Od chwili gdy powąchał perfum pana Garçonnet, czuł jeszcze większą pogardę dla Republiki. Przyszło mu na myśl, że może nie jest jeszcze za późno na zgodę z bratem. Zastanowił się, ile mógłby zażądać za zdradę. Niechęć do Rougonów wciąż nie dawała mu spokoju, lecz przeżywał jedną z tych chwil, kiedy — milcząc, wyciągnięty na posłaniu — człowiek mówi sobie twardą prawdę, wyrzuca swe omyłki i żałuje, że — nawet gdyby mu przyszło wyrzec się za tę cenę upragnionej zemsty — nie zapewnił- sobie jakiegoś kąta, w którym mógłby żyć według własnej woli. Z nadejściem wieczoru Antoni postanowił porozmawiać nazajutrz z bratem. Kiedy jednak rano ujrzał wchodzącą Felicję, zrozumiał, że czegoś od niego chcą. Obudziło to jego czujność.

Pertraktacje trwały długo, podstępne i pełne kunsztu. Zaczęło się od wysuwania mglistych pretensji. Felicja zdziwiona prawie uprzejmym zachowaniem Antoniego po brutalnej scenie, jaką urządził jej w niedzielę wieczorem, uznała, że najlepiej będzie przybrać ton łagodnej wymówki. Z ubolewaniem wspominała o rodzinach skłóconych ze sobą. Ale doprawdy, Antoni tak zajadle występował zawsze przeciwko bratu, obrzucał go oszczerstwami, że wyprowadziło to biednego Rougona z równowagi.

— Do licha! Mój brat nigdy nie zachował się wobec mnie po bratersku! — powiedział Macquart z tłumionym gniewem. — Czy przyszedł mi z pomocą? Mogłem sobie zdychać w mojej norze... Jak postępował ze mną przyzwoicie, pamięta pani, jak dał mi dwieście franków, to i ja nie mówiłem o nim nie złego, tego nikt mi nie może zarzucić. Każdemu powtarzałem, że to porządny człowiek.

Znaczyło to wyraźnie: '! — Gdybyście byli w dalszym ciągu dawali mi pienią_ dze, byłbym dla was jak najmiłszy, pomagałbym wam, zamiast was zwalczać. To wasza wina. Trzeba było mnie kupić.

Felicja dobrze go zrozumiała i odparła: '. — Wiem, oskarża nas pan o brak uczuć.- Wszyscy wyobrażają sobie, że jesteśmy zamożni. Ale to nieprawda, drogi szwagrze: jesteśmy biedni, nigdy nie mogliśmy przyjść ci z taką pomocą; jak tego pragnęliśmy.

Zawahała się chwilę, po czym ciągnęła dalej:

— W jakichś bardzo ważnych okolicznościach moglibyśmy ostatecznie zdobyć się na pewną ofiarę, ale naprawdę jesteśmy tacy biedni, tacy biedni!

Macquart nastawił uszu: Oho, mam was! — pomyślał. I udając, że nie słyszy pośredniej oferty szwagierki, zaczął boleściwym głosem roztaczać obraz swej nędzy, opowiadać o śmierci żony i ucieczce dzieci. Felicja ze swej strony skierowała rozmowę na temat ostatnich wydarzeń politycznych i oświadczyła, że Republika była przyczyną niepowodzeń finansowych męża. Wreszcie zaczęła przeklinać czasy, w których brat zmuszony jest więzić brata. Jakżeby krwawiło im serce, gdyby sprawiedliwość nie zechciała już wypuścić swej zdobyczy! I wspomniała coś o galerach.

— Przed tym was ostrzegam! — rzekł spokojnie Macquart.

Lecz ona zawołała z oburzeniem:

— Raczej własną krwią okupiłabym honor rodziny!

17®

Chcę właśnie, żeby pan wiedział, że go nie opuścimy... Przyszłam, aby ułatwić panu ucieczkę, drogi panie Antoni.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy badając się wzrokiem, zanim staną do walki.

— Bez żadnych warunków? — zapyta! w końcu.

— Bez żadnych warunków — odparła.

Usiadła obok niego na kanapie i ciągnęła zdecydowanym głosem: p

— A jeżeli przed opuszczeniem Francji chciałby pan zarobić tysiąc franków, to mogę wskazać panu sposób ich zdobycia.

Znowu zapanowała cisza.

— Jeżeli to jest czysta sprawa — mruknął Antoni jak- b się namyślając. — Widzi pani, nie mam ochoty mieszać się do waszych intryg...

— Ależ tu nie chodzi o żadne intrygi — podjęła Felicja uśmiechając się na myśl o skrupułach starego łotra. — Sprawa jest prosta: wymknie się pan stąd i ukryje u matki, a wieczorem zbierze pan swoich przyjaciół i odbije merosłwo.

Macquart nie umiał ukryć głębokiego zdziwienia. Nic nie rozumiał. Myślałem — rzekł — że wyście zwyciężyli...

— Och, nie mam czasu opowiadać panu teraz, jak sprawy stoją — odparła z pewną niecierpliwością kobieta. — Zgadza się pan czy też się pan nie zgadza?

— A więc nie, nie zgadzam się... Muszę się zastanowić. Któż wie, czy łakomiąc się na te tysiąc franków nie utracił bym sposobności zdobycia całej fortuny...

Felicja wstała.

— Jak pan sobie życzysz, mój drogi — odparła chłodno. — Nie zdaje pan sobie widać sprawy ze swego położenia. Niedawno lżył mnie pan w moim własnym domu, a teraz, kiedy ja w swej dobroci przyszłam, aby uwolnić pana z potrzasku, w który pan wpadł przez własną głupotę, namyśla się pan: sam zamyka sobie drogę. Proszę bar-

177

dzo, może pan tu zostać i czekać powrotu władz. Ja umyłam ręce!

Była już przy drzwiach. — Ależ — powiedział błagalnie niechże mi pani wyjaśni co chodzi. Nie mogę dobić targu na ślepo. Od dwóch dni nie mam żadnych wiadomości, nie wiem, co, gdzie się w mieście. A może pani chce mnie wykorzystać, bo ja wiem?

— Głupiec z pana — odparła Felicja, która słysząc szczery okrzyk Antoniego zawróciła od progu. — Bardzo źle pan robi nie opowiadając się ślepo po naszej stronie. Tysiąc franków to ładna sumka i nie radzę panu rezygnować z niej, nie mając nic pewnego na to miejsce.

Lecz Antoni wciąż się jeszcze wahał

— A jeżeli będziemy chcieli odebrać merostwo, to czy wpuszczą nas tu bez walki?

— Tego to już nie wiem — odparła z uśmiechem. — Może i będzie jakaś strzelanina.

Utkwił w niej wzrok.

~ Ej, powiedz no, mamusiu — rzekł nagle chrypliwiej czy wy me macie przypadkiem zamiaru wpakować mi przy okazji kulki w łeb?

Felicja zaczerwieniła się. Istotnie pomyślała o tym, że jakaś zbłąkana kula w czasie ataku na merostwo oddałaby im wielką przysługę, uwalniając ich od Antoniego. — Zaoszczędziliby w ten sposób tysiąc franków. Szepnęła z oburzeniem:

— Go za pomysły!... Jak można mieć podobne myśli!

Później uspokoiwszy się nagle, zapytała:

— Zgadza się pan?... Zrozumiał pan już teraz, prawda?

Macquart rozumiał doskonale. Wyprawa, którą mu

proponowano, to zasadzka. Nie „pojmował ani jej przyczyn, ani celów i dlatego postanowił się na wszelki wypadek potargować. Najpierw zaczął mówić o Republice — jak o kochance, którą przestał kochać, nad czym bardzo boleje, następnie wspominał o niebezpieczeństwie, na jakie się naraża, a w końcu zażądał dwóch tysięcy franków. Lecz Felicja nie chciała ustąpić. Targowali się długo, aż wreszcie obiecała mu, że po jego powrocie do Francji wystara się dla niego o stanowisko, które zapewni mu duże zyski, a nie będzie wymagało pracy. Dobili targu. Kazała mu ubrać się w mundur gwardzisty, który przyniosła ze sobą, ukryć się u ciotki Didy, a koło północy sprowadzić na plac Ratuszowy wszystkich republikanów, jakich spotka, i zapewnić ich, że merostwo jest puste i że wystarczy pchnąć drzwi, aby nim zawładnąć. Antoni poprosił o zadatek i otrzymał dwieście franków. Pozostałe osiemset Felicja przyrzekła wypłacić mu nazajutrz. Rougonowie ryzykowali ostatnie grosze, jakie mieli do dyspozycji.

Zeszedłszy na dół zatrzymała się chwilę na placu, chcąc zobaczyć, jak Macquart będzie wychodził. Przeszedł spokojnie koło warty, wycierając nos. Uderzeniem pięści wybił przedtem szybę w suficie, żeby upozorować ucieczkę.

— Załatwione — rzekła Felicja do męża po powrocie do domu.

— Zacznie się o północy. Przestałam już robić sobie wyrzuty z tego powodu. Niechby ich wszystkich wystrzelali. Pamiętaj, co wygadywali na nas wczoraj na ulicy?

— Nie rozumiem, jak mogłaś się wahać — odparł Piotr, który się golił. — Każdy na naszym miejscu postąpiłby tak samo.

Tęgo ranka — a była to środa — Rougon szczególnie starannie zajął się swą toaletą. Zona sama go uczesała i związała mu krawat. — Obracała go w swych rękach jak dziecko, które ma iść do szkoły na rozdanie nagród. Następnie, gdy był już gotów, przyjrzała mu się i oświadczyła, że wygląda bardzo dobrze i doskonale się będzie prezentował na tle ważnych wydarzeń, jakie miały nadejść. Rzeczywiście, jego szeroka i blada twarz miała wyraz wielkiej godności i bohaterskiego uporu. Felicja zeszła z mężem na pierwsze piętro udzielając mu ostatnich wskazówek: nawet pośród największej paniki powinien zachować się spokojnie.

wać postawę pełną odwagi; bramy niech zostaną zamknięte, a miasto niechaj kona z przerażenia; doskonale będzie, jeżeli wszyscy stchórzą, a on jeden okaże się gotów oddać życie za sprawę.

Cóż to był za dzień! Rougonowić dotąd wspominają

0 nim jak o zwycięskiej a decydującej bitwie... Piotr udał się wprost do merostwa nie zważając na docinki, jakie dobiegały jego uszu, ani na rzucane w jego stronę spojrzenia. Zasiadł w fotelu mera jak Jctóś, kto nie ma zamiaru opuszczać swego miejsca. Przesiał kilka słów Roudierowi, aby zawiadomić go, że podejmuje urządowanie. „Pan niechaj czuwa u bram — pisał wiedząc, że jego słowa mogą dotrzeć do wiadomości ogółu — a ja będę czuwał w mieście, aby mieszkańcom ani ich mieniu nie stała się żadna krzywda. W chwili kiedy zle moce podnoszą głowę i szykują się do ataku, dobrzy obywatele powinni starać się je stłumić, choćby narażali przy tym własne życie”. Styl

1 błędy ortograficzne dodawały temu lakonicznemu bilecikowi posmaku bohaterstwa.

Z członków komisji tymczasowej nie zjawił się ani jeden. Dwaj ostatni, sam Granoux nawet, przezornie siedzieli w domu. Coraz to silniejsze podmuchy paniki rozproszyły wszystkich. Na posterunku został jedynie Rougon w swym prezydialnym fotelu. Nie raczył nawet wezwać ich, aby się stawili. On czuwał, to wystarczy. Podniosły widok! Jeden z miejscowych dzienników miał scharakteryzować go później jako „odwagę podającą dłoń obowiązkowi”.

Przez całe rano widziano Piotra kręcącego się po merostwie. Był zupełnie sam w tym wielkim, pustym budynku. Jego kroki rozbrzmiewały przeciągłym echem w wysokich salach. Wszystkie drzwi były pootwierane. Rougon krążył po tym pustkowiu z miną tak przejętą, tak pełen godności w swej roli przewodniczącego nie istniejącej rady, że odzwierni, który raz czy dwa spotkał go na korytarzu, uklonił mu się ze zdziwieniem i szacunkiem. Postać jego ukazywała

160

się co chwila za oknami; mimo dotkliwego zimna kilkakrotnie wychodził na balkon, trzymając w rękach stos papierów, jak ktoś bardzo przejęty, kto oczekuje ważnych wiadomości.

Koło południa obszedł miasto; sprawdził warty, napomykając wszędzie o możliwości ataku i dając do zrozumienia, że powstańcy są niedaleko. Dodawał jednak, że liczy na odwagę dzielnych gwardzistów, którzy — jeżeli zajdzie tego potrzeba — powinni oddać życie w obronie słusznej sprawy. Kiedy wracał z tego obchodu, wolno, poważnie, z miną bohatera, który wypełnił swój obowiązek stróża powszechnego ładu i teraz oczekuje już tylko śmierci, stwierdził, że budzi ogólne zdumienie. Spacerujący po bulwarze drobni rentierzy, którzy nawet w dniach największych katastrof pozostawali wierni przyzwyczajeniu leniwego wygrzewania się na słońcu w pewnych godzinach, spoglądali nań z osłupieniem, jakby go nie poznawali, jakby nie mogło im się pomieścić w głowie, że jeden z nich, były handlarz oliwą, gotów jest sam stawić czoło całej armii.

Przerażenie doszło do szczytu. Lada chwila oczekiwano przybycia powstańców. Pogłoski o ucieczce Macquarta komentowano w sposób, który wzmagał jeszcze lęk. Opowiadano, że został on uwolniony przez swoich czerwonych przyjaciół i że w ukryciu czeka nadejścia nocy, aby podpalić miasto ze wszystkich czterech stron. Odcięte od świata, ogarnięte paniką Plassans dusiło się w swych murach i samo podsycalo swą trą Vogę. Pośród republikanów dumna postawa Rougona wywołała pewną konsternację. Co do mieszkańców nowej dzielnicy — adwokatów i rentierów, którzy poprzedniego dnia wygrażali złotemu salonowi, to byli oni tak zaskoczeni, że nie śmieli już otwarcie występować przeciw tak odważnemu człowiekowi. Zadowolili się stwierdzeniem, że rzucanie wyzwania zwycięskim powstańcom jest szaleństwem i że to niepotrzebne bohaterstwo gotowe'ściąnąć na Plassans jak największe nieszczęścia.

Koło trzeciej] wysłali do Rougona delegację. Piotr, który pałał chęcią popisania się przed współobywatelami swą ofiarnością, nie przypuszczał, że będzie miał po temu tak wspaniałą okazję.

Przewodniczący komisji tymczasowej przyjął delegację w gabinecie mera. Delegaci najpierw złożyli hołd jego patriotyzmowi, a-później zaczęli go błagać, żeby nie myślał o oporze. Wówczas on wygłosił przemowę. Mówił wzniośle. Ó Francji, o wolności, o obowiązku i o różnych innych rzeczach. Zresztą -r- nikomu przecież nie narzucał swego przykładu; wypełniał tylko to, co dyktowało mu jego serce i jego sumienie.

— Jak panowie widzicie, jestem sam — powiedział na zakończenie. — Sam biorę na siebie całą odpowiedzialność, aby nikogo oprócz mnie nie narażać. Jeżeli zajdzie tego potrzeba, z chęcią złożę w ofierze własne życie, aby okupić nim życie mieszkańców.

Pewien notariusz, najtęższa głowa spośród zebranych, zwrócił mu uwagę, że naraża się na niechybną śmierć.

— Wiem o tym — odparł Piotr z powagą. — Jestem gotów!

Delegaci spojrzeli na siebie, oniemiała z podziwu. Ten człowiek to naprawdę bohater. Notariusz' zaczął zaklinać go, żeby wezwał pomocy żandarmów, lecz on odparł, że krew tych ludzi jest zbyt cenna i że tylko w ostateczności zdecyduje się na to, żeby została przelana. Delegacja wycofała się z wolna, głęboko poruszona. W godzinę później całe Plassans sławiło męstwo Rougona; najbardziej tchórzliwi nazywali go „starym wariatem”.

Pod wieczór ku wielkiemu zdziwieniu Rougona nadszedł Granoux. Były sprzedawca migdałów rzucił się jego ramiona nazywając go „wielkim człowiekiem” i mówiąc, że pragnie umrzeć razem z nim. Owo „jestem gotów”, o którym jego służąca dowiedziała się w owocarni i które mu powtórzyła, wprawiło go w nieklamany entuzjazm. Ten tchórzliwy i śmieszny człowiek krył w sobie rozbraja

jącą naiwność. Piotr pozwolił mu zostać ze sobą uważając go za osobę bez znaczenia. Wzruszyło go nawet jego przywiązanie; przyrzekł sobie, że uzyska dla niego publiczne podziękowanie ze strony prefekta, co spędzi sen z oczu tym wszystkim, którzy go tak haniebnie opuścili. I obydwaj po- zostałKna noc w opustoszałym merostwie, oczekując.

W tym samym czasie Arystydes spacerował po mieszkaniu mocno zaniepokojony. Artykuł Vuilleta zaskoczył go. Zachowanie ojea wprawiło go w zdumienie. Właśnie przed chwilą zobaczył go w jednym z okien, w czarnym surducie, w białym krawacie, z twarzą tak spokojną, że na ten widok popadł w rozterkę. Całe miasto twierdziło przecież, że powstańcy zwyciężyli i niedługo zjawią się z powrotem. Mimo to jednak ogarnęły go wątpliwości; węszył jakąś ponurą farsę. Ponieważ nie miał odwagi iść do rodziców, posłał tam żonę. Wróciwszy Aniela powiedziała swym rozwlekłym głosem:

. ~ Matka czeka na ciebie: nie jest wcale rozgniewana, ale wyglądała tak, jakby kpiła z ciebie w duchu. Parę razy powtórzyła mi, że możesz już schować swój temblak.

Arystydes poczuł się ogromnie poruszony. Pobiegł na ulicę de la Banne spokorniał i gotów do ustępstw. Matka przywitała go pogardliwym uśmiechem.

— No cóż, mój chłopcze — zawołała na jego widok — I nietęgą masz głowę!

— A cóż można wiedzieć w takiej dziurze jak Plassans! — zawołał ze złością. Głupieję tu, słowo daję. 2adnych wiadomości, człowiek się tylko trzęsie ze strachu! Do tego prowadzi siedzenie w tych przeklętych murach... Ach, gdybym mógł wtedy pojechać z Eugeniuszem do Paryża!

Później zaś dodał z goryczą widząc, że matka nie przestaje się śmiać

'•'. — To nieładnie tak postępować ze mną, jak mama. Och, ja wiem niejedno... Eugeniusz donosił wam stale o tym, co

się dzieje, a mama nigdy nie udzieliła mi żadnej pozytywnej wskazówki.

- — Więc ty wiesz o tym? — zapytała podejrzliwie Felicja, poważniejąc nagle. — No, to jesteś jednak mniej głupi, niż myślałam. Czyżbyś także otwierał cudze listy, jak jeden z moich znajomych?

• — Nie, ale podsłuchuję pod drzwiami — odparł zuchwale Arystydes.

Jego szczerłość spodobała się matce. Uśmiechnęła się i zapytała łagodniejszym już tonem: ||Dlaczego więc nie przyłączyłeś się do nas wcześniej, głuptyś?

— Dlatego — odparł z zakłopotaniem młody człowiek —• że nie bardzo dowierzałem⁷ waszemu sprytowi. Przyjmowaliście takich głupców jak mój teść, Granoux i inni!... A poza tym nie chciałem się angażować...

Zawahał się, a po chwili dodał z niepokojem:

— A czy mama jest zupełnie pewna, że zamach stanu się udał?

— Ja?! — wykrzyknęła Felicja dotknięta nieufnością syna. — Ależ ja niczego nie jestem pewna.

— Jak to — a kazała mi mama zdjąć temblak?

— To dlatego, że wszyscy się już z ciebie śmiali.

Arystydes znieruchomiał, zamyślony, ze wzrokiem utkwionym w liście na tapecie. Felicję zniecierpliviło to jego wahanie.

— Jednak miałam rację mówiąc, że nietęgą masz głowę — rzekła. — I ty chciałeś, żebym ci dawała do czytania listy Eugeniusza! Swoją wieczną niepewnością popsułbyś nam wszystko! Teraz leż nie wiesz, co masz robić, wahasz się...

— Ja się waham? — przerwał rzucając matce zimne spojrzenie. — O, to mnie mama nie zna. Podpaliłbym całe miasto, żeby ogrzać sobie nogi. Ale niechże mama zrozumie, że nie chcę zrobić fałszywego kroku. Dostyc mam już

suchego chleba. Wiem, jak trzeba grać, żeby być górą, ale jeżeli postawię, to tylko na pewną kartę.

Tyle było w jego słowach drapieżnej żądzy posiadania, że matka bez trudu rozpoznała w nich głos własnej krwi. Szepnęła:

— Twój ojciec jest bardzo odważny.

— A i owszem, widziałem go — odparł śmiejąc się drwiąco. — Doskonale się prezentuje. Przypomina Leonidasa pod Termopilami... Czuję w tym twoją rękę, mamo, prawda?

I wesoło, z nagłą decyzją dodał: ; nfe Niech się dzieje, co chce — jestem bonapartystą!... Tatuś nie jest człowiekiem, który by narażał się na śmierć bez widoku wielkich zysków.

— Masz rację — rzekła matka. — Nie mogę na razie powiedzieć ci nic więcej, ale przekonasz się jutro.

Nie nalegał; przysiągł, że wkrótce będzie z niego dumna, i odszedł, a w Felicji obudziła się dawna do niego słabość i patrząc przez okno, jak się oddalał, mówiła sobie, że rzadko kto jest taki sprytny jak jej najmłodszy, i że nie miałyby serca odprawić go wiedząc, że kroczy złą drogą.

Po raz trzeci rozpostarła się nad Plassans noc pełna trwogi. Miasto dyszało resztką sił, jak konający. Mieszkańcy spieszenie chronili się do domów, ze szczękiem zasuwając zasuwę i barykadując drzwi. Wszyscy zdawali się oczekiwać niechybnej zagłady i żyć w przeświadczeniu, że nazajutrz Plassans zapadnie się pod ziemię lub rozplynie w powietrzu. Wracając na kolację Rougon nie spotkał po drodze ani żywej duszy. Pustka ulic podziałała na niego przynębiająco. Pod koniec posiłku załamał się na chwilę i zapytał żonę, czy nie dałoby się obejść bez przelewu krwi.

— Nikt nas już nie oczernia — mówił. — Gdybyś widziała, jak nisko kłaniali mi się ci panowie z nowej dzielnicy! Więc po co narażać ludzi na śmierć? Co? Jak ty myślisz? Przecież i bez tego zagarniemy swoje.

„— Ach, cóż z ciebie za słaby człowiek! — zawołała Felicja z gniewem. — Sam wpadłeś na pomysł, żeby posłużyć się Maequartem, a teraz się cofasz! Mówię ci, że beze mnie nigdy byś do niczego nie doszedł!... Idźże śmiało raz obraną drogą. Czy republikanie litowaliby się nad tobą, gdyby cię mieli w swym ręku?”

Wróciwszy do merostwa Rougon przygotował zasadzkę, Granoux przydał mu się przy tym bardzo. Piotr powiadomił przez niego gwardzistów pilnujących bram, że mają niepostrzeżenie, małymi grupkami udać się do ratusza. Roudier, paryżanin zabłąkany na prowincję, który mógł wszystko popsuć głosząc humanitaryzm, nie został o niczym uprzedzony. Około jedenastej na podwórzu merostwa pełno było gwardzistów. Rougon oświadczył im, że pozostali w mieście republikanie mają zamiar spróbować desperackiego zamachu, o którym powiadomiła go w porę jego tajna policja. Nakreślił przed nimi obraz krwawej masakry, jaka czeka miasto, gdyby ci nędznicy zagarnęli władzę, i wydał rozkaz pogaszenia wszystkich świateł i zachowania całkowitego milczenia. Sam również wziął strzelbę. Wszystko, co *robił tego dnia, robił-jak we śnie; nie poznawał samego siebie. Czuł za sobą Felicję, w której ręce dostał się ubiegłej nocy, i dałby-się teraz powiesić, mówiąc: „Nie szkodzi, moja żona zaraz mnie zdejmie”. Aby wywołać jeszcze większą panikę w mieście, polecił Granoux udać się do katedry i bić w dzwony na alarm, jak tylko posłyszysz pierwsze strzały. Nazwisko markiza miało otworzyć mu drzwi zakrystii. Pograżeni w ciemnościach i milczeniu gwardziści, podnieceni | lękiem, wpatrywali się w bramę, jakby czyhając na bandę f wilków, na które piłno im się było rzucić.

Macquart spędził tymczasem cały dzień u ciotki Didy. Wyciągnięty na starym kufrze myślał z żalem o pięknej kanapie pana Garçonnet. Kilkakrotnie ogarniała go chęć zajrzeć do któregoś z sąsiednich szynków i naruszyć tam § owe dwieście franków, które dostał. Czuł, jak pieką go poprzez kamizelkę. Nie mogąc wyjść, wydawał je w wyobraź-

ni. Adelajda, u której od kilku dni zjawiali się wystraszeni synowie, krążyła po mieszkaniu blada, "zawsze jednakowo -milcząca, sztywna jak automat. Zdawało się, że nie dostrzega Alacquarta. Nie wiedziała nic o trwodze, jaka ogarnęła zamknięte miasto. Oddalona o tysiące mil od Plassans, żyła jedynie swą idee fixe. W jej pozbawionych wyrazu, szeroko otwartych oczach pojawił się jednak teraz jakiś niepokój, jakaś ludzka troska. Od czasu do czasu trzepotała powiekami. Antoni, nie mogąc się oprzeć chęci zjedzenia czegoś dobrego, posłał ją do restauracji po pieczonego kurczaka. Siadając do stołu, powiedział: t--^ Nieczęsto chyba zdarza ci się jeść kurczęta, co? To dobre dla tych, co pracują i umieją dbać o swoje interesy. A ty nigdy nie potrafiłaś utrzymać pieniędzy... Założę się, że wszystkie swoje oszczędności dajesz temu świętoszkowi Sylwariuszowi. A on tymczasem znalazł już sobie kochankę. Jeżeli masz gdzie ukrytą jaką sumkę na czarną godzinę, to , ci ją jeszcze podbierze pewnego pięknego poranka,

Smiał się szyderczo, biła od niego jakaś drapieżna radość. Pieniądze, które miał w kieszeni, zdrada, którą przygotowywał, pewność, że sprzedał się za dobrą cenę, napełniały go zadowoleniem właściwym ludziom złym, tylko w atmosferze zła odzyskującym dobre samopoczucie i humor. Jedynym, co dotarło do ciotki Didy, było imię Sylwariusza.

— Widziałeś go? — zapytała po raz pierwszy otwierając usta.

— Kogo? Sylwariusza? — odparł Antoni. — Kręcił się między powstańcami z jakąś dziewczyną ubraną na czerwone. Nic by nie zaszkodziło, jakby tak przy okazji co oberwał.

Kobieta utkwiała w niego wzrok i zapytała poważnie:

— Dlaczego?

—r No, bo po co jest taki głupi? — odparł z zakłopotaniem. — Czy to warto nadstawiać własną ^órę dla jakichś

tam idei? Co do mnie, to wiedziałem, jak mam postąpić. Nie jestem dzieckiem.

Ciotka Dida nie słuchała go już jednak. Szeptła: „Miał ręce całe we krwi. Zabiją mi go tak jak tamtego; stryjowie naślą na niego żandarmów. IIII Co tam matka mamrocze? — zapytał syn, kończąc Ogryzać kurczaka. — Jeżeli ktoś ma mi coś do zarzucenia, to wolę, żeby mi to powiedział otwarcie. Jeżeli rozmawiałem czasem z tym małym o Republice, to tylko po to, żeby przemówić mu do rozsądku. Przecież on miał kompletnego bzika. Ja też kocham wolność, ale rozumiem, że są pewne granice... A co do Rougona, to mam dla niego szacunek. To chłop z głową!

. — Miał strzelbę, prawda? — przerwała ciotka Dida, jakby towarzysząc chłopcu z daleka myślami. .

— Strzelbę? Ach, karabin Macquarta, tak? — rzeki Antoni rzuciwszy okiem na okap kominka, gdzie zazwyczaj wisiała broń. — Zdaje się, że miał go w ręku. Akurat ltiu to najbardziej było potrzebne, jak się uganiał po polach z dziewczyną! Co za głupiec!

I dorzucił jakiś tłusty dowcip. Ciotka Dida podjęła swą wędrówkę po pokoju, nie odzywając się już ani słowem. Pod wieczór Antoni wyszedł, włożywszy bluzę i nasunawszy na oczy czapkę, po którą posłał matkę do sklepu. Wrócił do miasta równie łatwo, jak z niego wyszedł, zbywając gwardzistów strzegących Bramy Rzymskiej jakąś bajeczką. Skierował się do starej dzielnicy i ukradkiem przemycił tam od jednych drzwi do drugich. Wszyscy gorący republikanie i wszyscy ich sprzymierzeńcy, którzy nie wyszli wraz z powstańcami, znaleźli się o dziewiątej w małej knajpce, gdzie Macquart naznaczył im spotkanie. Gdy zebrali się około pięćdziesięciu, wygłosił do nich przemowę. Mówił

O zemście, o zwycięstwie, o zrzuceniu haniebnego jarzma

I zapewnił ich, że zdobędą merostwo w ciągu dziesięciu minut. Był tam niedawno: jest puste. Jeżeli zechcą, jeszcze

tej nocy załopoże nad nim czerwony sztandar. Robotnicy #

zaczęli się naradzać: reakcja dogorywała, powstańcy mieli nadejść lada chwila. Pięknie będzie, jeśli nie czekając na ich powrót sami przejmą władzę i powitają ich potem jak braci, szeroko otwierając bramy, przystrajając flagami ulice. Nikt zresztą nie podejrzewał Macquarta o zdradę: jego nienawiść do Rougonów i chęć zemsty, o której tyle mówił, wydawały się rękojmią jego lojalności. Uradzano, że wszyscy ci, którzy mają broń, pójda po nią i że o północy zbiorą się z powrotem na placu ratuszowym. Projekt ich o mało nie rozbił się o jeden szczegół: nie mieli naboju. Postanowili jednak naładować strzelby śrutem myśliwskim, a zresztą i to nawet było niepotrzebne, skoro nie mieli napotkać żadnego oporu.

Zalane księżycowym światłem, pogrążone w milczeniu Plassans znów ujrzalo uzbrojonych ludzi przesuających się pod ścianami domów. Kiedy zebrali się przed ratuszem, Macquart, rozglądając się bacznie spod oka, śmiało wysunął się naprzód. Zapukał, a kiedy stróż, którego pouczono, co ma robić, zapytał, kto stuka i czego chce, Antoni zaczął ciskać mu tak straszliwe groźby, że tamten, udając przerażenie, pośpiesznie otworzył bramę. Rozwarła się na całą szerokość, zionąc pustką.

Wówczas Macquart zawołał głośno: j&fr- Chodźcie, przyjaciele!

Był to umówiony znak. Sam uskoczył w bok, a biegnących republikanów przyjął z głębi ciemnego podwórza strumień ognia i grad kul. Brama plunęła śmiercią: Rozjątrzeni długim oczekiwaniem gwardziści, pragnąc jak najprędzej zrzucić z siebie ponury koszmar, dali ognia wszyscy na raz z gorączkowym pośpiechem. Zrobiło się tak jasno, że w płowym blasku wystrzałów Macquart dojrzał wyraźnie Rougona ze strzelbą wymierzoną przeciwko atakującym. Wydało mu się, że lufa skierowana jest w jego stronę; przypomniał sobie rumieniec Felicji i uciekł mruczając:

— No, tylko bez głupstw! Ten łotr gotów mnie jeszcze zabić. Winien mi jest osiemset franków.

— (Tymczasem noc rozdarły przerażone okrzyki. Republikanie, zaskoczeni, sarni również dali ognia wołając: „zdrada!”. Jeden z gwardzistów upadł. Lecz pośród atakujących było już trzech zabitych. Zaczęli więc uciekać potykając się o trupy, przerażeni, wołając rozpaczliwie: „Mordują naszych braci!” Ulice odpowiedziały im milczeniem. Obrońcy ładu zdążywszy ponownie naładować broń wybiegli na opustoszały plac strzelając na wszystkie strony. Mroczne czeluście bram, cienie latarni, załamy murów biorąc za powstańców, przez jakieś dziesięć minut strzelali tak w pustkę.

Odgłosy walki wstrząsnęły uśpionym miastem jak grom. Mieszkańcy sąsiednich ulic, zbudzeni piekielną strzelaniną, poderwali się na łóżkach szcękając zębami ze strachu. Za nic na świecie nie byliby podeszli do okien. W rozedrganym od wystrzałów powietrzu rozległ się dźwięk dzwonu bijącego na alarm rytmem tak dziwnym i nieregularnym, iż wydawało się, że to kowal uderza miotem w kowadło lub jakieś rozgniewane dziecko bije rączkami w potężny kocioł. To zawroscenie dzwonu barońcy jeszcze przeraziło mieszczan Plassans niż strzały. Niektórzy z nich byli przekonani, że to nie kończący się rząd armat ciągnie z hurkotem ulicami miasta. Wsunęli się z powrotem pod kołdry, jakby samo pozostawanie w pozycji siedzącej narażało ich już na niebezpieczeństwo. Ukryci w głębi alków, w zamkniętych sypialniach, kurczyli się z lęku, z trudem łapiąc oddech. Końce fularowych chustek, zawiązanych nad czołem, opadały im na oczy, a obok nich, wtulając głowy w poduszki, małżonki ich omdlewały z przerażenia.

Gwardziści, którzy pozostali na straży murów obronnych, również "posłyszeli strzały. Nadbiegli bezładnie, grupkami, stukotem butów napelniając ulice, "przeświadczeni, że powstańcy wdarli się do miasta jakimś podkopem. Roudier zjawił się jeden z pierwszych. Lecz Rougon odesłał ich na posterunki mówiąc surowo, iż nie można opuszczać w ten sposób bram miasta. Zawstydzeni wymówką — gdyż rzeczywiście, ogarnięci paniką, nie pozostawili u bram ani jednego strażnika — biegiem ruszyli z powrotem, robiąc tym razem jeszcze więcej hałasu. Przez godzinę Plassans mogło sobie wyobrazić, że to jacyś żołnierze krążą w popłochu po jego ulicach. Strzały, bicie dzwonu, kroki gwardzistów, ich przerażone nawoływania w ciemnościach tworzyły ogłuszającą wrzawę, jaka rozbrzmiewa w miastach zdobywanych szturmem- i łupionych przez zwycięzców. Tędy tylko trzeba było, aby do reszty pognać mieszkańców, którzy żyli w oczekiwaniu powrotu powstańców i spodziewali się, że tej nocy Plassans zapadnie się pod ziemię lub rozplynie w powietrzu. Utwierdzeni w swych obawach, lada chwila spodziewali się teraz katastrofy, a niektórym wydawało się nawet, że dom ich chwieje się już w posadach.

Granoux nie przestawał dzwonić na alarm. Gdy ucichł hałas, dźwięk dzwonu nabral przejmującej żalości. Rozgorączkowany Rougon nie mógł słuchać tych łkań napływających z oddali. Pobiegł do katedry: w otwartych drzwiach od zakrystii stał kościelny.

— Dostyc już tego dzwonienia! zawołał do niego. — Wydaje się zupełnie, jakby ktoś płakał, to denerwujące!

— Ależ to nie ja dzwoniłem, proszę pana — odparł ze smutkiem kościelny. — To pan Granoux wszedł na dzwonnice... A muszę panu powiedzieć, że ksiądz proboszcz kazał mi wyjąć serce z dzwonu, właśnie dlatego, żeby nie można było dzwonić na alarm. Ale pan Granoux nie chciał o niczym słyszeć. Poszedł na górę i sain nie mam pojęcia, czym on tak tam hałasuje!

Rougon pośpieszył na schody wiodące na wieżę, krzycząc:

— Dostyc, dostyc! Niechże pan przestanie, na miłość Buską!

Kiedy znalazł się na górze, w blasku księżycy wpadającym przez gotyckie okno, ujrzał Granoux, bez kapelusza, zajadle bijącego miotem. Z jakim, on to robił przejęciem! Odchyłał się, nabierał rozpędu i całą siłą ramienia uderzał w dźwięczny brąz, jakby go chciał roztrzaskać. Pęd powietrza odrzucał go z powrotem do tyłu, a on znów powracał.

Rzekłbyś — kowal kujący rozpalone żelazo; kowal w surducie, przysadkowaty i łysy, niezręczny i pełen zaciekłości. Na widok tego rozjuszonego mieszczucha, mocującego się w blasku księżycy z dzwonem, Rougon znieruchomiał na chwilę ze zdumienia. Teraz rozumiał już, skąd brał się te dziwne dźwięki, jakby ktoś uderzał w pusty kocioł. Zawołał, żeby Granoux przestał. Lecz tamten nie słyszał. Dopiero pociągnięty za surdut poznał Rougona i wykrzyknął z triumfem:

— A co?! Słyszał pan?! Z początku próbowałem bić w dzwon pięściami, ale to bolało. Na szczęście znalazłem ten młotek... Uderzyć jeszcze parę razy, co?

Lecz Rougon zabrał go ze sobą na dół. Granoux promie;^ niał. Ocierał czoło i prosił przyjaciela, aby koniecznie powiedział wszystkim, że on zwykłym młotem potrafił narobić tyle hałasu. Co to za wyczyn i jakiej doda mu powagi!

Nad ranem Rougon postanowił pójść-do domu uspokoić Felicję. Gwardzistom polecił zamknąć się w merostwie, a trupy kazał zostawić na chodniku,¹ mówiąc, że należy dać nauczkę mieszkańcom starej dzielnicy. Lecz-był to tylko pretekst. Przechodząc przez pogrążony w ciemności plac, którego nie oświetlał już księżyc, nadepnął na dłoń jednego z zabitych, zaciśniętą na krawędzi chodnika, i o mało się nie przewrócił. Poczł, że rozgniatą obcasem coś miękkiego,- i odsunął się ze wstrętem i zgrozą. Wyciągniętym krokiem przemierzał puste ulice; zdawało mu się, że ściga go tamta zakrwawiona pięść.

— Padło ich czterech — powiedział wchodząc do domu.

Spojrzeni na siebie, jakby zdziwieni swą zbrodnią.

Światło lampy nadawało ich bladym twarzom żółtość wosku.'

— Nie ruszałeś ich stamtąd? — zapytała Felicja. — Wszyscy powinni ich tam zobaczyć.

— Oczywiście, że ich nie ruszałem. Leżą tam, gdzie padli. Nadepnąłem na coś miękkiego...

Spojrzał*na swój but. Obcas był cały we krwi. Siadł, aby zmienić obuwie, a Felicja ciągnęła:

492

— To bardzo dobrze! Nareszcie się z tym skończy... Nikt już nie będzie mówił, że strzelasz do luster.

Zasadzka, jaką ukartowali Rougonowie, aby ostatecznie zyskać sobie opinię wybawców Plassans, rzuciła im miasto do stóp, przerażone i wdzięczne. Nadszedł szary zimowy po- ranetfMieszkańcy znużeni trwożnym oczekiwaniem, nie słysząc żadnych niepokojących odgłosów, odwazyli się wyjść z domów. Zjawilo się ich dziesięciu, piętnastu; później, kiedy rozeszła się pogłoska, że powstańcy uciekli zostawiając trupy na ulicach, Plassans wyległo na plac Ratuszowy. Przez całe rano gapie gromadzili się wokół zabitych. Ponieśli oni straszliwe obrażenia, zwłaszcza jeden, któremu aż trzy kule utkwily w głowie: spod rozlupanej czaszki widać było mózg. Najokrutniejszy widok przedstawiał gwardzista leżący w bramie; twarz podziurawioną miał całą śrutem, którym strzelali republikanie nie mając kul. Tłum delektował się tym potwornym widowiskiem z-upodobaniem,, jakie wszyscy tchorze żywią dla rzeczy nikczemnych. Poznano zabitego gwardzistę: był to rzeźnik Dubruel, ten sam, któremu Rougon zarzucił w poniedziałek rano, że strzelał zbyt pochopnie. Z trzech pozostałych dwaj byli robotnikami z fabryki kapeluszy; trzeciego nie rozpoznano. Z dreszczem trwogi patrzyli mieszczenie na zakrzepłą na chodnikach krew i oglądali się za siebie nieufnie, jakby wydawało im się, że ta sama ręka, która w mrokach nocy siłą przywróciła dawny ład, czyha na nich, gotowa ich teraz z kolei rozstrzelać, o ile nie ucałują jej z wdzięcznością za ocalenie od władzy ludu.

Nocna panika zwiększyła jeszcze wrażenie, jakie wywołał j rano widok czterech zabitych. Nigdy prawdziwy przebieg wydarzeń nie wyszedł na jaw. Odgłos strzałów, bicie dzwonu, biegania gwardzistów napelniały uszy mieszkańców tak przerażającym hałasem, iż większość z nich wyobrażała sobie, że odbywa się jakaś wielka bitwa stoczona z przytłaczającą ilością wroga. Kiedy zwycięzcy przez próżność zwiększali liczbę przeciwników do pięciuset, odzywały się gorące protesty. Niektórzy mieszczenie twierdzili, ie

193

słali w oknach i-widzieli, jak przez godzinę przeszło plynęła ulicami fala uciekających. Wszyscy słyszeli zresztą | tupot ich kroków. Pięciuset ludzi nigdy nie wywołałoby ta- | kiego popłochu w całym mieście. Musiała to być cała armia, która za sprawą dzielnej gwardii narodowej Plassans^apa- i dła się pod ziemię. Tak powiedział Rougon: „Zapadła się pod ziemię” i jego słowa wydawały się całkowicie prawdziwe, strażnicy czuwający u bram przysięgały, że ani jeden-; człowiek nie wszedł ani nie wyszedł z miasta. Dodawało.to nocne walce, posmaku tajemniczości, podsuwało mieszkańcom wizję rogatych diabłów, znikających w płomieniach. Gwardziści nie mieli ochoty chwalić się swymi biegami po- ulicach. Najrozsądniejsi z mieszczan doszli więc ostatecznie do wniosku, że widocznie jakiś oddział powstańców., musiał wdrzeć się do miasta przez któryś z wyłomów w murach. Krążyły co prawda po mieście pogłoski o zdradzie, o zasadzce. Widocznie, robotnicy poprowadzeni przez Macquarta na rzeź wyjawili okrutną prawdę. Lecz miesz- kańcy lak byli jeszcze przerażeni, widok krwi tyłu tchórzów popchnął w objęcia reakcji, że wieści te przypisywano wściekłości pokonanych republikanów. Utrzymywano zresztą, że Macquart wtrącony został przez Rougona do wilgotnego lochu i skazany na śmierć głodową. Na wieść o tym zaczęto, kłaniać się Rougonowi aż do ziemi.

Tak więc ten opasły mieszczanin, bezwolny, wyblakły i śmieszny, stał się w przeciągu jednej nocy straszliwą-postacią, z której nikt nie ośmielał się już szydzić. -Umaczał swą stopę we krwi. Ludność starej dzielnicy zamilkła przerażona widokiem zabitych. Około dziesiątej pojawili się na placu panowie z nowej dzielnicy, napelniając go szmerem rozmów i przytłumionych okrzyków. Wspomniano poprzednią walkę o merostwo, w czasie której ranione zostało tylko lustro. Tym razem nikt nie śmiał się z Rougona. Imię jego wymawiano z trwożnym szacunkiem: był to prawdziwy bohater i zbawca. Zabici spoglądali otwartymi oczami na adwokatów i rentierów, którzy wzdrygając się szeptali, że walki bratobójcze obfitują w smutne konieczności. Notariusz, który stał na czele delegacji wysłanej poprzedniego dnia do merostwa, chodził, od jednej-grupy do drugiej przypominając owo: „Jestem gotów!” wypowiedziane przez tego energicznego człowieka,, któremu miasto zawdzięczało swój^ ocalenie. Wszyscy płaszczyli się teraz u jego stóp. Ci, którzy niemiłosiernie szydzili z czterdziestu jeden obrońców, ci zwłaszcza, którzy nazywali Rougonów intrygantami i tchórzami strzelającymi w powietrze, pierwsi zaproponowali, aby udekorować wieńcem laurowym „wielkiego oby- watela. z którego Plassans po wieki będzie dumne”. Na bruku obsychały kałuże krwi; rany zabitych dawały świadectwo rozzuchwalenia siewców zamętu rządnych mordy i grabieży i mówiły o tym, jak silnej trzeba było ręki, aby poskromić buntowników. |

Kiedy dostrzeżono w tłumie Granoux_K zaczęto składać mu gratulacje, wymieniać serdeczne uściski dłoni. Wszyscy znali już historię z młotkiem. Pozwalając sobie na niewinne kłamstwo,.które wkrótce przestał sobie uświadamiać, Granoux twierdził, że to on pierwszy dojrzał powstańców i zaczął bić w dzwony na alarm. Gdyby nie on, gwardzistów czekała niechybna masakra. Podwoiło to jeszcze uznanie, jakie sobie pozyskał. Wszyscy przyznawali, że dokonał niezwyklego czynu: Nie mówiono o nim inaczej jak: „Pan Izydor, wiesz? — ten, który bil młotkiem w dzwon”. Mimo że zdanie to było nieco przydługie, Granou* chętnie obrałby je sobie jako rodowe zawołanie. Od tej pory, ilekroć użył ktoś w jego obecności słowa „młotek”, brał to za delikatne pochlebstwo.

W chwili kiedy uprzątano zwłoki, Arystydes przyszedł na zwiady. Rozejrzał się na wszystkie strony wciągając po- wierze, wzrokiem sondując twarze. Spojrzenie miał jasne, minę spokojną.

Ręką, którą wczoraj jeszcze nosił na temblaku, rozsunął bluzę na piersi jednego z zabitych, żeby lepiej przyjrzeć się ranie. Oględziny te rozproszyły widać ostatecznie

jego wątpliwości. Zaciśnął usta i stał chwilę w milczeniu, a potem odszedł, aby przyspieszyć kołportaż Niezależnego, w którym zamieścił wielki artykuł. Idąc przypomniał sobie słowa matki: „Przekonasz się jutro”. Przekonał się. To było bardzo śmiało: przstraszyło go nawet trochę.

Tymczasem Rougon zaczynał odczuwać zakłopotanie swym zwycięstwem. Siedząc samotnie w gabinecie pana Garçonnet i nasłuchując głuchego szmeru tłumów, doznawał jakiegoś dziwnego uczucia, które powstrzymywało go od ukazania się na balkonie. Krew, którą się splamił, działała nań obezwładniająco. Zastanawiał się, co będzie robić aż do wieczora. Rozbity przeżyciami lej" nocy, z rozpaczą szukał jakiegoś zajęcia, jakiegoś polecenia, które należałoby wydać, czegoś, co mogłoby go rozerwać. Lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Dokąd wiodła go Felcja? Czy to już koniec, czy też trzeba będzie jeszcze zabijać ludzi? Odzywał się w nim dawny lęk, ogarniało go straszliwe zwątpienie. Wyobrażał sobie republikanów... Wdzierających się do miasta, aby pomścić swych braci, kiedy pod oknami merostwa rozległ się okrzyk: „Powstańcy! Powstańcy!” Poderwał się na równe nogi i odsuwając firankę wyrzwał na plac. Ludzie rozbiegli się w popłochu. Ta jedna sekunda wystarczyła, aby ujrzał się w myśli zrujnowanym, ograbionym, zamordowanym- Zaczął przeklinać własną żonę i całe miasto. Tchórzliwie oglądał się za siebie szukając jakiegoś wyjścia, gdy tymczasem usłyszał, że w tłumie wybuchły oklaski i Okrzyki radości, od których zatrzęsły się szyby. Podeszedł z powrotem do okna: kobiety machały chusteczkami, mężczyźni ściskali się, niektórzy zaś chwyтали się za ręce i tańczyli. Oszołomiony, stał w miejscu nic nie rozumiejąc, czując tylko, że kręci mu się w głowie- Milczące i puste merostwo nappełniło go przerażeniem.

Gdy później zwierzał się z tych przeżyć Felcji* nie potrafił określić, jak długo trwała jego męka. Pamiętał tylko, że z odrętwienia wyrwał go odgłos kroków rozlegających się echem w wielkich salach. Spodziewał się, że ujrzy

i

mężczyzn w bluzach, uzbrojonych w kosy i palki, a zamiast nich zobaczył członków komisji tymczasowej, ubranych na czarno, promieniejących. Nie brakowało ani jednego. Jakaś szczęśliwa wieść uzdrowiła ich widać wszystkich na raz. Granoux rzucił się w objęcia drogiego przewodniczącego.

— Żołnierze! — wyjąkał — żołnierze!

Do miasta przybył rzeczywiście pułk wojska pod wodzą pułkownika Massona i pana de Bleriot, prefekta departamentu. Widząc z daleka karabiny gwardziści strzegący murów myśleli z początku, że to zbliżają się powstańcy. Rougona ogarnęło takie wzruszenie, że dwie Izy spłynęły mu po twarzy. Ten wielki obywatel płakał! Członkowie komisji spoglądali na niego z pełnym szacunku podziwem. Granoux ponownie rzucił się przyjacielowi na szyję, wołając:

...— Ach, jakże jestem szczęśliwy!... Powiem panu zupełnie szczerze: baliśmy się. Baliśmy się wszyscy, prawda, panowie? Pan jeden pozostał niewzruszony, wielki, wzniosły! Jakiejż na to potrzeba było energii! Mówiłem właśnie przed chwilą do mojej żony: „Rougon to wielki człowiek i powinien dostać odznaczenie!”

Wówczas zgromadzeni zaproponowali, aby wyjść na spotkanie prefekta. Rougon, oszołomiony, nie mogąc uwierzyć w swe zwycięstwo bełkotał coś jak dziecko, z trudem chwyając oddech. Opanował się jednak i zeszedł na dół spokojny i pełen godności, tak jak tego wymagała sytuacja. Lecz entuzjazm, z jakim przyjęto przewodniczącego komisji i jej członków na placu Ratuszowym, o mało nie zamącił na nowo powagi pierwszego urzędnika miasta. Imię jego wędrowało z ust do ust, tym razem wśród najgorętszych pochwał. Słyszał, jak tłum zebranych powtarza to, co przed chwilą powiedział Granoux, wita w nim bohatera, który pośród ogólnej paniki potrafił wytrwać niezłomnie na swym posterunku. Aż do placu Podprefektury, gdzie spotkali pana prefekta, upajał się swą chwałą i popularnością, niby

omdlewająca z rozkoszy kobieta, której pragnienia zostały wreszcie zaspokojone.

* Pan de Bleriot i pułkownik Masson zjawili się w mieście sami, pozostawiając wojsko rozłożone obozem przy szosie wiodącej do Lyonu. Wiele czasu stracili, zanim zorientowali się, dokąd zmierzają powstańcy. Obecnie wiedzieli, że znajdują się oni w Orcheres: toteż nie zamierzali zatrzymać się w Plassans dłużej niż godzinę. Chcieli tylko uspokoić mieszkańców i podać do wiadomości publicznej okrutne zarządzenie, na mocy którego mienie powstańców przechodziło na rzecz państwa, a każdego człowieka schwytanego z bronią w ręku czekała kara śmierci. Pułkownik Masson uśmiechnął się lekko, słysząc przeraźliwy zgrzyt zasuw — na rozkaz komendanta gwardii narodowej Brama Rzymska otwarła się na ich przyjęcie. Gwardziści udali się z nimi jako straż honorowa. Idąc bulwarem Sauvaire, Roudier opowiedział tym panom epopeję Rougona i historię trzech dni paniki, zakończonych wspaniałym zwycięstwem. Toteż gdy dwa orszaki spotkały się ze sobą, pan de Bleriot żywo wysunął się naprzód i uściśnawszy dłoń przewodniczącego komisji tymczasowej złożył mu gratulacje i poprosił, aby w dalszym ciągu, aż do powrotu władz, miał pieczę nad miastem. Rougon kłaniał się, a prefekt wchodząc do gmachu podprefektury, gdzie chciał przez chwilę wypocząć, powiedział głośno, że składając raport o przebiegu wydarzeń nie omieszka wspomnieć o jego pięknej, pełnej odwagi postawie.

Mimo dotkliwego zimna wszyscy wyglądali przez okna. Felicja, blada z radości, wychylała się ze swego tak, że lada chwila mogła wypaść na ulicę. Przed chwilą zjawił się u niej Arystydes z numerem Niezależnego, w którym wyraźnie opowiadał się za zamachem stanu, nazywając go „jutrzemką praworządnej wolności i wolnej praworządności”. Robił również delikatną aluzję do złotego salonu, przyznawał się do swoich błędów, oświadczając, że „cechą młodości jest zarozumiałość” i że „wielcy obywatele roz-

ważają każdy swój krok, milczeniem zbywają obelgi, a w chwilach walki służą wszystkim przykładem bohaterstwa”. Z tego zdania szczególnie był dumny. Matka uznała artykuł za nadzwyczajny, ucałowała ulubieńca i wskazała mu miejsce obok siebie, po prawej stronie. Markiz de Carnavant, który również przyszedł ją odwiedzić dość już mając swego Odosobnienia i ciekaw, jaki obrót przybiorą wypadki, stanął po lewej.

Kiedy na placu pan de Bleriot wyciągnął rękę do Rougona, Felicja rozplakała się.

—i Ach, spójrz, spójrz — powiedziała do Arystydesa. — Uściśnij mu rękę!- Patrz., jeszcze raz!

I rzuciając okiem na tłoczące się w oknach postaci: — Ależ oni muszą być wściekli! Spójrz tylko na żonę pana Peirotte, gryzie chusteczkę. A córki notariusza, pani Massicót, państwo Brunet — co mają za miny! To im się" nosy wydłużyły! Ach, teraz my jesteśmy górą!

Drżąc z zachwyty śledziła wzrokiem scenę, jaka rozegrała się przed drzwiami podprefektury.

Interpretowała każdy najdrobniejszy gest, usiłowała domyślić się słów, oświadczyła, że Piotr bardzo ładnie się kłania. Widząc, że prefekt zwraca się w stronę Granoix, który kręcił się koło niego czekając na pochwałę, zachmurzyła się na chwilę.

Pan de Bleriot musiał znać już widocznie historię z młotkiem, gdyż był sprzedawcą migdałów zarumienił się jak dziewczynka i wyglądał tak, jakby mówił w tej chwili, że spełnił jedynie swój obowiązek. Lecz bardziej jeszcze rozgniewała Felicję zbyt wielka dobroć męża, który przedstawił tym panom Vuilleta. Co prawda Yuillet sam wśliznął się pomiędzy nich, tak że Rougon zmuszony był wymienić jego nazwisko.

pŁ Cóż to za intrygant) — szepnęła Felicja — wszędzie się wkręci... Ach, jakież on musi być przejęty, ten mój biedaczek!... O, teraz pułkownik z nim rozmawia. Co on mu moje mówić?

— Chwali go pewnie, że kazał tak starannie pozamykać bramy — odparł markiz z subtelną ironią.

— Ojciec ocalił miasto — rzekł sucho Arystydes. — Czy widział pan zabitych?

Pan de Carnavant nie odpowiedział. Odszedł na'v^t od okna i usiadł w fotelu potrząsając głową z wyrazem niesmaku. W tej chwili wbiegł do pokoju Rougon i rzucił się żonie na szyję.

— Ach, kochanieLy^ wyjąkał.

Nie był w stanie powiedzieć nic więcej. Felicja kazała mu uściskać Arystydesa i opowiedziała o jego wspaniałym artykule w Niezależnym. Piotr tak był wzruszony, że ucałowałby również i markiza. Lecz żona odciągnęła go na bok i wręczyła mu list Eugeniusza oświadczając, że przyniesiono go jej przed chwilą. Po przeczytaniu Piotr podał go jej z triumfem.

— Ty chyba jesteś czarownicą — powiedział śmiejąc się. — Wszystko odgadłaś! Ach, jakież głupstwo byłbym zrobił, gdyby nie ty! Od tej pory zawsze już będę się ciebie radził. Pocałuj innie, kochanie. Dzielna z ciebie kobieta.

I "porwał ją w objęcia, a ona zamieniła dyskretny uśmiech z markizem.

VII

Dopiero w niedzielę, w dwa dni po bitwie pod Sainte- Roure, oddziały wojska z powrotem zjawily się w Plassans. Pan Garçonnet zaprosił prefekta i pułkownika na kolację. Żołnierze rozłożyli się obozem -na przedmieściu i przy szosie wiodącej do Nieei. Nadchodziła noc; niebo, zasnuć od rana, oświetlało ziemię dziwnym żółtawym blaskiem jak przed burzą. Mieszkańcy przyjęli żołnierzy lęklawie: ci zmęczeni, okrzyki jeszcze krwią ludzkie, którzy przesuwali się w milczeniu iii pod murami' miasta, budzili niesmak w czyściutkich mieszczańach spacerujących po bulwarze. Zawra

200

cając co prędzej ci panowie opowiadali sobie na ucho

0 straszliwych represjach, o rozstrzeliwaniach, o których pamięć przetrwała do dnia dzisiejszego. Straszliwy, przygniatający lęk, ktÓFy przez długie miesiące po zamachu

,staniytrzymał w swych szponach południe Francji, rozpościerał teraz nad nim swe skrzydła. Pełne nienawiści do powstańców, Plassans mogło być przyjąć oddziały wojska z entuzjazmem, a jednak na widok tego ponurego pułku, gotowego w każdej chwili do strzału, nawet rentierzy

1 notariusze z nowej dzielnicy zadawali sobie trwożne pytanie, czy nip mają przypadkiem na sumieniu jakichś grzeszków politycznych, grożących im rozstrzelaniem.

Władze powróciły ubiegłego dnia dwiema bryczkami wynajętymi w Sainte-Roure. Ich niespodziewane przybycie nie miało w sobie nic triumfalnego. Rougon bez wielkiego żalu ustąpił miejsca merowi. I tak dopiął już swego; oczekiwał teraz niecierpliwie z Paryża nagrody za swe cnoty obywatelskie. — W niedzielę rr a spodziewał się go dopiero w poniedziałek — dostał Ust od Eugeniusza. We czwartek Felicja' wysłała była synowi Gazetę i Niezależnego, w którym znajdował się opis nocnej bitwy i przybycia prefekta. Eugeniusz donosił Odwrotną pocztą, że nominacja Piotra na stanowisko poborcy będzie lada chwila podpisana, a na razie pragnie od razu podzielić się z rodzicami inną dobrą nowiną: uzyskał dla ojca legię honorową. Felicja rozplakała się. Jej mąż otrzymał odznaczenie! To przekraczało jej najśmielsze marzenia. Rougon, błąd z radości, oświadczył, że jeszcze tego samego wieczora muszą wydać wspaniale przyjęcie. Nie liczył się z pieniędzmi, gotów był rzucać tłumowi przez obydwie okna żółtego salonu ostatnie franki, byle tylko uczcić ów piękny dzień.

-7 Słuchaj—rzekł do żony — zaprosisz Sicardota. Już od dawna drażni mnie tą swoją rozetką. Następnie Granoux i Roudiera. Niech wiedzą, że pieniądze to jeszcze za mało, żeby dostać odznaczenie! Vuillet to biedaczyna, ale zaprosz i jego, i wszystkie inne płotki. Niech nikogo nie

201

zabraknie w ten triumfalny wieczór. Aha, byłbym zapomniał: idź osobiście do markiza. Posadzimy go obok ciebie po prawej stronie, doskonale to będzie wyglądało. Pan Garçonnet przyjmuje dziś u siebie pułkownika i prefekta, wiesz o tym? Chce dać mi w ten sposób do zrozumienia, że ja już nic nie znaczę. Kpię sobie z jego urzędu. Nie przynosi mu ani grosza! Zaprosił mnie, ale powiem mu, że ja też mam dzisiaj gości. Zobaczysz, jak będzie nadrabiał miną jutro! Postaraj się, żeby kolacja wypadła jak najokazalej. Zamów wszystko w Hotelu ProW&nsalskim. Musimy zaćmić przyjęcie mera.

Felicja zabrała się do dzieła. Lekki niepokój maćił zachwyt Piotra: zamach stanu miał spłacić jego długi, Arystydes opłakiwał swoje błędy, mógł wreszcie pozbyć się Macquarta; obawiał się jednak, czy drugi jego syn, Pascal; - nie zrobił jakiegoś głupstwa, a zwłaszcza niepokoił go los Sylwiusza. Nie dlatego, aby go żałował: lękał się po prostu, żeby incydent z żandarmem nie oparł się o sąd; Ach, gdyby tak jakaś kulka zechciała uwolnić go od tego małego łotra! Jak słusznie zauważyła dzisiaj rano jego żona, przeszkody zostały pokonane: rodzina, która dotąd przynosiła mu wstyd, przyczyniła się w ostatniej chwili do jego triumfu Eugeniusz i Arystydes, darmożady; których nauka tyle go kosztowała, zaczęli nareszcie wypłacać mu procenty od kapitału, jaki włożył w ich wykształcenie. Dlaczegoż chwilę zwycięstwa zatruwa mu teraz myśl o tym nieszczęsnym Sylwiuszu!

W czasie gdy Felicja była w mieście, zajęta przygotowaniami do wieczornego przyjęcia, Piotr dowiedział się o przybyciu wojska i postanowił zdobyć jakieś informacje. Sicardot, z którym rozmawiał po jego powrocie, nie wiedział nic. Pascal został zapewne, aby zająć się rannymi, a co do Sylwiusza, którego major znał bardzo mało. To nie widział go wcale. Rougon wybrał się więc na przedmieście obiecując sobie, że przy okazji odda Macquartowi osiemset franków, które z trudem udało mu się dla niego zdobyć.

/

Kiedy jednak znalazł się w tłumie obozujących i ujrzał z daleka jeńców siedzących długimi rzędami na belkach na placu Świętego Mitry i strzeżonych przez uzbrojonych żołnierzy, zląkł się, że może się skompromitować, i po cichu pomknął do domu matki, z zamiarem wysłania jej potem na zwiady.

Kiedy wchodził do rudery, była już prawie noc. W pierwszej chwili dojrzał tytko Macquarta, przy kieliszku, z papierosem w ustach.

—A, to ty? Dobrze, że przyszedłeś— mruknął Antoni, z powrotem mówiąc bratu po imieniu. — Zdażyłem się tu - już zestarzeć. Masz pieniądze?

Lecz Piotr nie odpowiedział. Zobaczył Pascala pochylonego nad łóżkiem. Podeszedł do niego żywo i zaczął go wypytywać. Lekarz zdziwiony jego troskliwością, którą wziął z początku za objaw miłości rodzicielskiej, odpowiedział mu spokojnie, że żołnierze wzięli go do niewoli - i byłby został-rozstrzelany, gdyby nie interwencja jakiegoś nieznajomego, który go obronił. Ocalony dzięki temu, że był doktorem, wrócił razem z wojskiem. Rougon odetchnął z ulgą. Więc i ten oszczędził mu kompromitacji! Parokrotnie uściśnął mu dłoń dając wyraz swej radości, lecz Pascal zakończył smutnie:

— Niech się ojciec nie cieszy. Stan babci jest bardzo groźny. Przyniosłem jej karabin i zastałem ją tak jak w tej chwili. Nie poruszyła się do tej pory. ;

Rougon oswoił się już z ciemnością i dojrzał teraz ciotkę Didę wyciągniętą na łóżku, sztywną i jakby martwą. Jej biedne ciało, od kołyski nękane neurozą, załamało się. Powtarzające się ataki wyssały z niej życie. Spaliła się walcząc ze swą namiętną naturą i teraz pozostał z niej tylko zeschnięty szkielet, wstrząsany od czasu do czasu nerwowymi drgawkami. Wydawało się jednak, że jakieś straszliwe przeżycie przyspieszyło ten powolny rozkład. Jej twarz, blada jak twarz mniszki wyniszczonej klasztornym życiem, płonęła teraz jaskrawym rumieńcem. Oczy miała szeroko otwar

te, rysy konwulsyjnie wykrzywione, usta* zaciśnięte. Jej wychudłe ciało rysowało się ostrymi liniami pod suknią. Postać jej napełniała mroczny pokój grozą milczącej agonii.

Rougon uczynił gest niezadowolenia. Ten botesny widok był mu bardzo niemiły. Miał mieć gości wieczorem ^zależało mu na tym, aby zachować dobry humor. Doprawdy, matka nie wiedziała już, co ma wymyślić, żeby mu tylko przyspożyć zmartwienia; Gzy nie mogła wybrać sobie innego dnia? Z miną pewną siebie oświadczył:

—Och, to nic poważnego! Nieraz już widziałem ją w takim stanie. Trzeba ją zostawić w zupełnym spokoju,- to jedyne lekarstwo. .

Pascal potrząsnął głową.

— Nie, ten atak nie jest podobny do poprzednich — szepnął: v-T- Obserwowałem ją często, ale nigdy nie zauważyłem takich symptomów. Proszę tylko spojrzeć na jej oczy: są mętne i niepokojąco -zbielałe. A twarz! Cóż za silny skurcz wszystkich mięśni!

' Pochyliwszy się nad Adelajdą i przyglądając się jej z bliska ciągnął po cichu, jakby mówił do siebie:

— Takie twarze widywałem tylko u ludzi zamordowanych, którzy umierali w przerażeniu... Musiała widać doznać jakiegoś straszliwego wstrząsu.

— Ale jak doszło do tego ataku? — zapytał Rougon ze zniecierpliwieniem, nie wiedząc w jaki sposób wycofać się z pokoju.

Pascal nie umiał mu odpowiedzieć. Nalewając sobie nowy kieliszek, Macquart opowiedział mu wtedy, że mając ochotę napić się trochę koniaku posłał po niego matkę. Wróciła bardzo prędko (ledwo weszła do domu, upadła bez słowa na podłogę. Musiał dopiero przenieść ją na łóżko. :

—Co mnie dziwi, to/to, że nie stłukła butelki — zakończył.-

Młody lekarz zamyślił się. Po chwili zaś rzekł: . — Idąc tutaj słyszałem dwa strzały^ Może ci nędznicy znów rozstrzelali jakichś jeńców. Jeżeli ona. przechodziła wtedy tamtędy, sam widok, krwi mógł spowodować atak".."? Musiała straszliwie cierpieć.

Na szczęście miał przy sobie małą apteczkę, z którą nie , rozstawał się od chwili, gdy wyszedł z powstańcami. Usi- ^r łował wjać między zaciśnięte zęby ciotki Didy kilka kropel jakiegoś różowego płynu. Macquart ponownie zapytał brata: .> . i •

— Maśz pieniądze?

— Tak, zaraz się policzymy — odparł Rougon zad(H wolony, że rozmowa zeszła na inny temat.

Wówczas Macquart widząc, że otrzyma resztę pieniędzy, zaczął narzekać. Zbyt późno zrozumiał konsekwencje swojej zdrady; gdyby nie to, zażądałby dwóch albo nawet i trzech tysięcy. Skarżył się, że tysiąc to naprawdę za mało. Dzieci go porzuciły, jest sam na świecie, musi opuścić Francję. O mało nie rozplakał się mówiąc o czekającym go wygnaniu.

— No, więc bierze pan te osiemset franków czy nie? zapytał Rougon, któremu spieszno było odejść.

— Nie, doprawdy, musisz podwoić tę sumę. Twoja żona mnie oszukała. .Gdyby mi była powiedziała otwarcie, jaka ma być moja rola w tym wszystkim, nigdy bym nie zgodził się skompromitować za tak małą kwotę.

Rougon rozłożył na stole osiemset franków w zlocie.

Przysięgam panu, że nie mam więcej — odparł, Pomyślę o panu później. Ale, na miłość boską, niech pani ucieka stąd jeszcze dziś wieczór.

Macquart, złorzecząc pod nosem, przesunął stół pod okno i w zamierającym świetle dnia zabrał się do liczenia sztuk złota, które rozkosznie łaskotały mu palce. Rzucił je z wysoka, a one spadając napełniały mrok dźwięcznym echem. W pewnej chwili rzekł przerywając liczenie; BS|§ Obiecałeś mi przez żonę jakieś dobre miejsce potem, pamiętaj! Ja chcę wrócić do Francji... Na przykład miejsce agronoma w jakiejś przyjemnej okolicy... To by mi odp<*> wiad^ło.

. —. Tak, tak, dobrze — odparł Rougon. — Czy suma się zgadza?

..Macquart zabrał się z powrotem do liczenia. Dźwięczały jeszcze upadając na stół ostatnie monety, gdy w pokoju rozległ się czyjś ostry śmiech. Odwrócili głowy. Ciotka Dida^{^^} stała koło łóżka, na pół ubrana, z rozpuszczonymi siwymi * włosami, blada, z wypiekami na twarzy. Pascalowi nie udało się jej powstrzymać. Drżała całym ciałem, ręce miała wyciągnięte przed siebie, potrząsała głową, bredziła.

— Cena krwi, cena krwi! — powtarzała. — Słyszałam dźwięk złota... To oni oni go sprzedali. Ach, mordercy, wilki!

Odgarnęła włosy i-i przesunęła rękami po czole, jakby chcąc odczytać swe myśli. Po chwili mówiła dalej:

—Zawsze, jak na niego patrzyłam, wydawało mi się, że czoło ma przebite kulą. Ze czyhają na niego jacyś ludzie ze strzelbami. Dawali mi znaki, że będą strzelać... Ach, jakież to okropne, czuję, jak łamą mi kości i rozbijają głowę... Litości, litości!... Przysięgam, że on już jej nie zobaczy, nie będzie jej kochał,'nigdy, nigdy! Będę go zamykać, nie pozwolę mu biegać za nią... Nie strzelajcie, litości!... To nie moja wina... Gdybyście wiedzieli...

Upadła niemal na kolana płacząc, wyciągając błagalnie swe biedne, drżące ręce ku jakiejś straszliwej wizji, która pin jawiła się w mroku. Nagle, poderwała się i wyprostowała, ^ z szeroko rozwartymi oczyma, wydała z zaciśniętego gardła straszliwy okrzyk trwogi.

— Żandarm! — zawołała zdławionym głosem, cofając się. Upadła na łóżko i zaczęła się po nim tarzać śmiejąc się dziko.

Pascal obserwował ją z uwagą. Dwaj bracia, przerażeni, schowali się w kąt pokoju. Dobiały ich tylko urywane, bezładne zdania. Kiedy Rougon usłyszał słowo „żandarm”, wydało mu się, że zrozumiał. Od czasu gdy jej kochanek został zabity na granicy, ciotka Dida żywiła głęboką nie nawiść do żandarmów i do celników, których mieszała z sobą, trawiona żądzą zemsty.

— Ależ ona opowiada nam o swoim, kłusowniku — . szepnął.

Ł - Pasali gestem nakazał mu milczenie. Umierająca podniosła się z trudem, . Rozejrzała się dokoła zdumionym wzrokiem. Przez chwilę nie mówiła. ani słowa, usiłując rozpo- . znać otaczające ją przedmioty, jakby się znalazła w jakimś obcym miejscu. Później zaś zapytała z nagłym niepokojem:

— Gdzie jest strzelba?

Lekarz podał jej karabin do rąk. Wydała lekki okrzyk radości i wpatrując się weń, zaczęła mówić ,cicho i śpiewnie jak dziewczynka: ^ • • «

— To ten, ochl! Poznaję go... Splamiony jest krwią... świeżą krwią... Jego ręce pozostawiły na kolbie krwawe ślady... Ach, biedna, biedna ciotka Dida!

W jej chorym mózgu wszystko plątało się ze sobą. Zamyśliła się.

A — Żandarm zginął— szepnęła — a jednak widziałam go dzisiaj. Powrócił... Ci łajdacy nie umierają!

I gniewnie wymachując karabinem, ruszyła nagle w stronę oniemiałych z przerażenia synów. Spódnice wlokły się za nią po podłodze; stała wyprostowana, na pół naga, straszliwie chuda.

— To wyście strzelali! krzyknęła. — Słyszałam dźwięk Złota... Biada mi! Porodziłam same wilki... Jeden tylko był dobry i pożarli go... Mają jeszcze krew na wargach. Przekłęci, kradli i zabijali, a teraz żyją jak panowie. Przekłęci! Przekłęci! Przekłęci!

Śpiewała, śmiała się, krzyczała, powtarzała: „Przekłęci!” niby jakąś dziwną frazę muzyczną, podobną do rozdzie- rającego odgłosu strzałów. Pascal ze łzami w oczach wziął ją na ręce i z powrotem ułożył na łóżku. Nie stawiała żadnego oporu, uległa jak dziecko. Dalej śpiewała swą piosenkę, przyspieszając jej rytm, wybijając takt zeschniętymi dłońmi.

— Tego się właśnie obawiałem — rzeki lekarz. — Uległa obłędowi. Wstrząs, jakiego doznała, był zbyt silny dla tej biednej kobiety, skłonnej do ostrych stanów neuropatycznych. Umrze w zakładzie dla obłąkanych, tak jak jej ojciec..

— Ale cóż ona mogła zobaczyć? — zapytał Rougon ^ wyszedłszy z kąta.

r Ji— Mam pewne straszliwe podejrzenie — odparł Pas- | cal. Chciałem właśnie pomówić z ojcem o Sylweryuszu. Został Wzięty do niewoli. Trzeba interweniować u prefekta, ratować chłopca, o ile jeszcze nie jest za późno.

Były sprzedawca oliwy spojrzął na syna błędnie. Po- . tem rzeki szybko:

— Słuchaj, zostań przy niej i czuwaj. Ja jestem bardzo BB zajęty dzisiejszego wieczoru. Jutro przewieziemy ją do domu obłąkanych w Tulettes. Pan, Macquart, musi dziś jeszcze opuścić Plassans. Niech mi paha to przyrzeknie!

A teraz biegnę do pana de Bleriot..

Jał się ogarnięty niecierpliwością, pragnąc znaleźć || się-jak najprędzej na ulicy. Pascal spoglądał przenikliwym i wzrokiem to na obłąkaną, ta na ojca, to na stryja. Egoizm uczonego brał w nim górę. Obserwował tę kobietę i jej i synów z uwagą przyrodnika badającego metamorfozy owada. Porównywał w myśli rodziny do* pni wypuszczających ; gałęzie i podziwiał prężność soków, l^tóre docierają do naj*|§| odleglejszych nawet pędów ukształtowanych różnorodnie • w zależności od tego, czy wznoszą się w słońcu, czy też w cieniu, niosąc ze sobą zarodki tych samych cech. Wydało mu się, że jakby w świetle błyskawicy ujrzał nagle y przed sobą przyszłość Rougon-Macquartów: rozpętanie, żądź, znajdujących swe nasycenie w pożodze^krwi i złota.

Na dźwięk imienia' Sylweryusza ciotka Dida przestała śpiewać. Chwilę nasłuchiwała z niepokojem, a później zaczęła wydawać przeraźliwe jęki. Pokój tonął w zupełnym mroku. Krzyki obłąkanej dobywały się z ciemności lak

208

z zamkniętego grobu. Te okrutne łkania ściagały Rougona, który uciekł przerażony.

Zastanawiał się właśnie, wychodząc z zaułka Świętego Mitry, czy nie narazi się prefektowi prosząc go o łaskę dla Sylweryusza, kiedy zobaczył Arystydesa krążącego wokół składu desek. Ten, widząc ojca, podbiegł z zaniepokojoną miną i szepnął mu kilka słów do ucha. Piotr zbladł, rzucił przerażone spojrzenie w głąb placu, gdzie jedynie ognisko Cyganów odcinało się czerwoną plamą światła. Ojciec i syn znikli w ulicy Rzymskiej przyspieszając kroku, jakby opuszczali miejsce zbrodni, i podnosząc kołnierze u płaszczy, aby ich nie poznano.

r Oszczędzi mi to drogi — szepnął Rougon. —■ Chodźmy na kolację. Czekają na nas.

Zastali żółty salon promieniejący blaskiem. Felicja nie pominęła nikogo. Ujrzeni Sicardota, Granoux, Roudiera, Yuilleta, kupców handlujących oliwą i kupców handlujących migdałami, jednym słowem wszystkich gości w komplecie. Tylko markiz wymówił się reumatyzmem; wybierał się zresztą właśnie w małą podróż. Ci splamieni krwią mieszczanie zbyt razili jego subtelną naturę, a poza tym hrabia de Valqueyras polecił mu zapewne, aby usunął się ha pewien czas z widowni i przyjechał do jego dóbr w Cor- bierre. Odmowa pana de Carnavanl głęboko dotknęła Rougonów. Lecz Felicja pocieszała się obiecując sobie, że olśni gości jeszcze większym przepychem; wypożyczyła dwa kandelabry i zamówiła o dwa dania i dwie przystawki więcej — na miejsce markiza. Aby nastrój był bardziej uroczysty, stół ustawiono w salonie. Hotel Prowansalski dostarczył sreber, porcelany i kryształów. fNakryto już o piątej, żeby nadchodzący goście mieli czym ucieszyć oczy. Po dwóch przeciwległych krańcach, na białym obrusie, stały dwa bukiety sztucznych róż w porcelanowych wazonach ze złotymi brzegami, malowanych w kwiaty.

Bywalcy żółtego salonu nie potrafili ukryć swego podziwu. Uśmiechali się z zakłopotaniem i rzucali sobie ukrac-

kowe spojrzenia, które mówiły wyraźnie: „Ci Rougonowie poszaleli, wyrzucają pieniądze za okno!” Felicja zapraszając gości nie umiała powściągnąć języka. Wszyscy wiedzieli już, że Piotr otrzymał odznaczenie i że zostanie czymś tam mianowany, co, według określenia Felicji, bardzo wydłużyło im miny. „Ta czarnulka za bardzo się nadyma”, twierdził Roudier. Kiedy nadszedł dzień podziału łupów, ci mieszczanie, którzy wspólnymi siłami mordował i-dogorywającą Republikę, niezadowoleni byli, że ich gospodarze sami zbierają laury. Nawet ci, którzy brali udział w nagonce tylko po to, by dać upust energii, i niczego nie oczekiwali od Cesarstwa, czuli się urażeni, że najbiedniejszy, najmniej tego godzien spośród nich, będzie nosił w butonierce czerwoną wstążeczkę. Gdyby to chociaż odznaczono wszystkich. by^ walców salonu! -

— Mnie wcale nie zależy na odznaczeniu — mówił Roudier do Granoux zaciągawszy go do niszy okiennej. — Odmówiłem przyjęcia go za czasów Ludwika Filipa, kiedy byłem dostawcą dworu. Ach, Ludwik Filip to był dobry król! Już nigdy Francja nie będzie miała podobnego!

Roudier stał się z powrotem orleanistą. Po chwili dorzu- ■ -i cli podstępnie, z hipokryzją byłego pończoszniaka z ulicy Saint-Honore.

— Ale czy nie uważa pan, mój drogi Granoux, że do pańskiej butonierki taka wstążeczka doskonale by pasowała? Mówiąc szczerze, w równym stopniu co i Rougon przyczynił się pan do uratowania miasta. Pewne osoby z najlepszego towarzystwa nie mogły wprost uwierzyć wczoraj, że zwykłym młotkiem potrafił pan narobić tyle hałasu.

Granoux wyjąkał jakieś podziękowanie i rumieniąc się jak dziewica przy pierwszym wyznaniu miłosnym, pochylił się do ucha Roudiera, szepcząc:

— Niech pan o tym nikomu nie mówi, ale mam wrażenie, że Rougon także i dla mnie poprosi o odznaczenie. To dobry człowiek!

f

27

Były pończoszniak spoważniał i od tej chwili zachowywał się w stosunku do gospodarzy z wielką uprzejmością. Vuil- letowi, który podszedł do niego, aby porozmawiać o zasłużonej nagrodzie, jaką otrzymał ich przyjaciel, odpowiedział bardzo głośno — tak, aby siedząca o parę kroków dalej Felicja mogła go usłyszeć — że tacy ludzie jak Rougon „przynoszą zaszczyt legii honorowej”. Księgarz mu zawtórował: rano otrzymał formalne zapewnienie, że sprawa dostarczania książek do gimnazjum została załatwiona. Co do» Sicardota, to czuł się on z początku trochę dotknięty, że przestał być jedynym człowiekiem odznaczonym z całego towarzystwa. Jego zdaniem tylko wojskowi mieli prawo do wstążeczki legii honorowej. Odwaga Piotra zaskoczyła go. Poczciwy w gruncie rzeczy, uległ ogólnemu nastrojowi i zaczął wykrzykiwać, że Napoleonowie umieją poznać ludzi wielkiego serca i energii.

Rougona i Arystydesa przyjęto z entuzjazmem; wszystkie dłonie wyciągnęły się w ich stronę. Niektórzy wstawali nawet, żeby ich uściskać.

Aniela siedziała na kanapie obok teściowej, szczęśliwa, wpatrzona w stół zdziwieniem osoby żarłocznej, która nigdy nie widziała tylu potraw na raz. Zbliżył się Arystydes i Sicardot pogratulował zięciowi wspaniałego artykułu w Niezależnym. Młody człowiek odzyskał jego sympatię. Na ojcowskie pytania teścia odparł, że pragnie wyjechać z rodziną do Paryża, gdzie Eugeniusz ułatwi mu zrobienie kariery. Brak mu jednak pięciuset franków na koszty przeprowadzki, Sicardot obiecał żadaną sumę. W myślach widział już swą córkę przyjmowaną przez Napoleona 111 w Tuileryach.

Tymczasem Felicja dała znak mężowi. Piotr, otoczony ze wszystkich stron, troskliwie rozpytywany o przyczynę swojej badości, tylko na chwilę zdołał się wymknąć, aby porozmawiać z żoną* Zdażył jej jednak szepnąć na ucho, że widział Pascala i że Macquart zniknie tej nocy. Jeszcze bardziej zniżając głos powiadomił ją o szaleństwie matki,

kładąc jednocześnie palec na ustach, jakby chciał powiedzieć: „Ani słowa; to zepsułoby nasz wieczór”. Felicja zacisnęła wargi. Zamienili spojrzenia, w których widniała ta sama myśl: matka przestanie im wreszcie zawadzać; zrównają z ziemią rudę kłusownika, tak jak zrównano z ziemią zagrodę Fouque'ów, i na zawsze zapewnią sobie poważanie całego Plassans.

Lecz goście spoglądali już na stół. Felicja poprosiła ich, żeby siedli do kolacji. Zebranych ogarnął błogi zachwyty; Każdy brał już łyżkę, kiedy Sicardot gestem poprosił o chwilę ciszy. Podniósł się i rzekł z powagą:

— Panowie, w imieniu całego społeczeństwa pragnę wyrazić naszemu gospodarzowi radość, jaką przejęła nas wieść o tym, że jego odwaga i patriotyzm zostały wynagrodzone. Niebo natchnęło go myślą, aby pozostać w Plassans wtedy, gdy my, zagarnięci przez tych zbrodniarzy, musieliśmy je opuścić. Toteż z całego serca przyklaskuję decyzji rządu... Dozwólcie mi skończyć... później powinszujecie naszemu przyjacielowi... Wiedząc zatem, że odznaczony krzyżem legii honorowej zostanie on również mianowany poborcą podatków.

Rozległ się okrzyk zdumienia. Nie spodziewano się tak wysokiego stanowiska. Uśmiechano się z przymusem. Lecz widok zastawionego stołu robił swoje i komplementy posypały się na nowo.

Sicardot po raz drugi poprosił o ciszę.

^S-rr- Zaczekajcie, panowie — rzekł nie skończyłem...- Jeszcze słówko... Śmierć pana Peirrotte pozwala nam przypuszczać, że przyjaciel nasz pozostanie w Plassans.

Biesiadnicy głośno wyrażali swą radość, lecz Felicji ściskało się serce. Sicardot opowiedział jej już o śmierci po* borcy, lecz przypomnienie o jego straszliwym zgonie na wstępie triumfalnego przyjęcia zmroziło ją. Przypomniała sobie swoje życzenie: to ona zabiła tego człowieka. Pobrzękując sztuczkami zebrani rozpoczęli ucztę. Na prowincji je się dużo i hałaśliwie. Po pierwszym daniu wszyscy zaczę-

li mówić na raz, szydząc z pokonanego wroga, racząc się pochlebstwami, czyniąc obelżywe uwagi na temat nieobecności markiza. Z arystokracją niesposób jest utrzymywać stosunki. Roudier dawał do zrozumienia, iż markiz nie zjawił się dlatego, że ze strachu przed powstańcami dostał, żółtaczkę. Po drugim daniu języki rozwiązały się ostatecznie. Sprzedawcy oliwy i migdałów ratowali od zguby Francję. Pito na cześć Rougonów. Granoux, bardzo czerwony, zaczął bełkotać, zaś Vuillet, bardzo blady, był kompletnie pijany. Sicardot dalej napelniał kieliszki. Aniela, która za dużo zjadła, popijała ocukrzoną wodę. Uszczęśliwieni, że wyszli cało, że nie drżą już ze strachu, że znów zebrali się w żółtym salonie, wokół suto zastawionego stołu, przy jasnym świetle dwóch kandelabrow i świecznika, który po raz pierwszy ujrzeni bez muslinowej zasłony popstrzonej przez muchy, dawali upust tępej radości i wrodzonej głupocie. W nagrzanym powietrzu rozlegały się ich ociężałe głosy załamujące się w połowie komplementu, za każdym daniem coraz bardziej pełne zachwyty. Pewien garbarz z wdziękiem porównał przyjęcie do „uczty Lukullusa”¹.

Piotr promieniał. Jego tłusta, blada twarz jaśniała triumfem. Felicja, oswojona już z myślą o śmierci poborcy, myślała, że przeprowadzą się teraz zapewne do mieszkania tego biednego pana Peirrotte, a później pomyślała o kupnie jakiegoś domku w nowej dzielnicy. W wyobraźni ustawiała już przyszłe meble w pokojach poborcy. Wkraczała do swoich Tuileries. W pewnej chwili pośród ogłuszającego gwaru rozmów przypomniła sobie o czymś nagle. Wstała i nachyliła się do ucha Arystydesa.

— A Sylweryusz? — zapytała.

Młody człowiek, zaskoczony tym pytaniem, zadrżał.

— Nie żyje — odparł szeptem. — Widziałem, jak zastrzelił go żandarm.

Teraz Felicja zadrżała. Otwierała już usta, żeby zapytać syna, dlaczego nie przeszkodził temu zabójstwu, lecz

nie powiedziała nic. Arystydes, który wyczytał to pytanie na jej drżących wargach, szepnął:

— Nic protestowałem. Trudno... Rozumie mama, że nie mogłem. Tak przynajmniej pozbyliśmy się go tekko.

Ta brutalna szczerłość nie spodobała się Felicji. Arystydes, tak jak jego ojciec i matka, miał już czyjąś śmierć na sumieniu. Na pewno nie przyznałby się tak otwarcie, że kręcił się po przedmieściu i że pozwolił zastrzelić kuzyna, gdyby wina z Hotelu Prowansalskiego i marzenia o wyjeździe do Paryża nie rozwiązały mu języka. Powiedziawszy ostatnie zdanie zakofyłał się na krzesło. Piotr, który z daleka śledził rozmowę żony z synem, zrozumiał i błagalnym wzrokiem poprosił ich o milczenie. Był to jakby ostatni powiew lęku, który musnął Rougonów pośród ogólnej wesołości i wybuchów śmiechu. Wracając na swoje miejsce Felicja zobaczyła po drugiej stronie ulicy za szybą płonąca świecę; to rodzina czuwała przy zwłokach pana Peirotte'a przywiezionych rano z Sainte-Roure. Usiadła, czując ciepło płomienia na plecach. Lecz śmiechy rozbrzmiewały coraz głośniejsze, a kiedy przyniesiono deser, żółty salon napełniły okrzyki zachwyty.

W tym samym czasie przedmieściem wstrząsały jeszcze echa dramatu, jaki rozegrał się na placu Świętego Mittry. Po rzezi na równinie Nores, drogę powrotną wojska znały ślady krwi. Stosowano okrutne represje. Zabijano ludzi kolbami lub strzelano do nich z pistoletu. Żołnierze chcieli zmusić ludność do milczenia siejąc groźbę i śmierć. Na każdym postoju mordowano kilku powstańców. Dwóch zabito w Sainte-Roure, trzech w Orcheres, jednego w Beage. Kiedy wojska stanęły w Plassans, postanowiono rozstrzelać jeszcze jednego jeńca, najbardziej obciążonego. Zwycięzcy uważali, że dobrze będzie pozostawić za sobą nową ofiarę, aby wzbudzić w mieście szacunek dla Cesarstwa. Lecz żołnierze dość już mieli zabijania; nikt nie zgłosił się do tej ponurej funkcji. Jeńcy, leżąc na deskach na placu Świętego Mittry niby na pryzkach, związani po dwóch za ręce, nasłuchiwali i czekali w otepieniu pełnym rezygnacji i zmęczenia.

Żandarm Rengadc brutalnie rozsunął tłum gapiów. Na wieść, że żołnierze przyprowadzili ze sobą kilkuset powstańców, podniósł się z łóżka dygocący gorączki i z narażeniem życia wyszedł w tę zimną noc grudniową. Na dworze rana jego otworzyła się z powrotem, bandaż, zakrywający pusty oczodół, nasiąknął krwią. Czerwone stróżki spływały mu po policzkach i wąsach. Straszliwy w swym milczącym gniewie, błądzący z głową owiazaną skrwawionym bandażem, krążył między jeńcami wpatrując się w każdego z nich uważnie. Chodził tam i z powrotem wzdłuż desek, pochylając się nad leżącymi, pojawieniem się swym budząc lęk nawet w najbardziej opanowanych. Nagle zawołał:

— Ach, mam tego zbója! — i chwycił Sylweryusza za ramię.

Sylweryusz, skulony na belce, z martwą twarzą patrzył przed siebie otepiąłym wzrokiem. Od chwili gdy wyszli z Sainte-Roure, spojrzenie jego było puste. Przez całą drogę, kiedy żołnierze poganiali maszerujących kolbami, okazywał dziecięcą uległość. Okryty kurzem, spragniony i upadający ze zmęczenia, szedł bez słowa, jak ciepłe zwierzę popędzane batem pastucha. Myślał o Mietcie. Widział ją leżącą pod drzewami, otuloną sztandarem, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Od trzech dni tylko ją widział przed sobą. W gęstniejącym zmroku wpatrywał się w nią dalej.

Rengadc zwrócił się do oficera, który nie mógł znaleźć wśród swoich żołnierzy chętnych do wykonania egzekucji.

— Ten łajdak wybił mi oko — rzekł wskazując Sylweryusza. — Dajcie mi go, a już ja się z nim załatwię.

Oficer nie odpowiedział. Zrobił jakiś nieokreślony ruch ręką i wycofał się z obojętną miną. Żandarm zrozumiał, że oznaczało to zgodę.

— No, jazda, wstawaj! — powiedział potrząsając chłopcem.

H Sylweritisz, jak wszyscy jeńcy, miał współtowarzysza. Związany z nim wieśniak z Poujols, nazwiskiem Mourgue, był człowiekiem pięćdziesięcioletnim, z którego skwary Południa i ciężka praca na roli uczyniły otepiałe zwierzę. Przygarbiony, o zeszywnianych rękach i płaskiej twarzy, mrugał oczami w osłupieniu, z upartym a zarazem nieufnym -wyrazem bitego psa. Wyruszył uzbrojony w widły, gdyż wyruszała cała wieś, lecz nie potrafiłby nigdy wytłumaczyć, co go do tego skłoniło. Od chwili gdy wzięto go do niewoli, jeszcze mniej rozumiał, co się z nim dzieje. Wyobrażał sobie, że prowadzą go do domu. Nie pojmował, dlaczego go związano, i spoglądał teraz na przypatrujących mu się gapiów ogłupiały i wystraszony. Mówił tylko dialektem, nie wiedział więc, czego chce od niego żandarm. Podnosił ku niemu swą tępą twarz usiłując domyślić się, o co tamtemu chodzi, a wreszcie sądząc, że pytają go, skąd pochodzi, powiedział ochryplym głosem:

§|—Ja jestem z Poujols. W tłumie rozległ się śmiech. Parę osób zawołało:

—Odwiążcie tego chłopca.

—Aachp- odparł Rengade — im więcej się wytepi te-/ go robactwa, tym lepiej. Jak już są razem, to się zrobi porządek z obydwoma.

Odpowiedziały mu pomruki.

Żandarm odwrócił swą straszliwą zakrwawioną twarz

1 gapie odsunęli się natychmiast. Jakiś czyściutki mieszczanin wycofał się oświadczając, że gdyby został tu dłużej, nie mógłby potem jeść kolacji. Ulicznicy poznawszy Sylweriusza zaczęli rozmawiać o czerwonej dziewczynie. Wówczas mieszczanin zawrócił, żeby przyjrzeć się z bliska kochankowi nierządnicy ze sztandarem, o której pisano w Gazecie.

Sylweriusz nic nie widział, nic nie słyszał. Rengade musiał go wziąć za kołnierz.. Wówczas wstał, zmuszając tym samym Mourgue'a do powstania.

— Chodźcie — powiedział żandarm. — To nie potrwa długo.

Wtedy Sylweriusz poznał jednookiego. Uśmiechnął się. Widocznie zrozumiał. Potem odwrócił głowę. Widok żan- darma, jego wąsów, na których zakrzepla krew osiadła szronem, napełnił go smutkiem. Pragnął umrzeć w spokoju. Unikał wzroku Rengade'a, którego jedyne oko połyskiwało spod bandażów. Sam skierował się w głąb placu, w stronę wąskiej alei ukrytej za stosem desek. Mourgue szedł za nim.

Plac rozpościerał się opustoszały, pod żółtym niebem. Spoza miedzianych chmur spływały tu i ówdzie mętne refleksy. Nigdy to nagie pole, na którym, jakby zeszywniało od zimna, spały belki, nie miało w sobie tyle melancholii. Zebrani przy drodze jeńcy, żołnierze, tłum ciekawych ginęli w cieniu drzew. W zamierającym świetle dnia ziemia, iarcice, stopy desek przypominały wyschnięty strumień. Kozły traczy w rogu podobne były do szubienic. I tylko troje Cyganów — jedyne istoty żywe — wychylało przerażone głowy spoza drzwi swej budy: mężczyzna, kobieta i wysoka dziewczyna o kręconych włosach i oczach błyszczących jak oczy wilka.

Zanim zagłębił się w alei, Sylweriusz objął wzrokiem plac. Przypomniała mu się jakaś dawno miniona niedziela, kiedy przechodził tędy nocą, przy świetle księżyca. Jakże spokojne, pełne tkliwości było wszystko naokół! Jak łagodnie kładły się na deskach blade promienie! Z mroźnego nieba spływała wielka cisza. W ciszy tej Cyganka o kręconych włosach śpiewała półgłosem jakąś piosenkę w nieznanym języku. Sylweriusz uświadomił sobie, że ta dawno miniona niedziela była przed tygodniem. Tydzień temu przyszedł tutaj pożegnać się z Mietlą. Jakież mu się to wydało odległe! Miał wrażenie, że nie był tu już od lat. Lecz gdy szedł alejką, serce mu się ścisnęło. Przywitał go znajomy zapach traw, smugi cienia rzucane przez deski, szczyrby w murze. Zewsząd dobywał się jakiś żalony

szept. Alejka ciągnęła się smutna i pusta; wydała mu się dłuższa; poczuł, jak wieje przez nią zimny wiatr. Okrutnie postarzał się ten zakątek. Sylweryusz zobaczył mur przeżarty mchem, trawę zwarzoną mrozem, deski przegniłe od wody. Był to rozpaczliwy obraz. Żółtawy zmrok błotnistą zasłoną przesłaniał drogie mu miejsce. Zamknął oczy. Alejka okryła się zielonością i napełniła dawnym szczęściem. Przebiegał ją razem z Miettą. Powietrze było nagrzone. Później przyszły przewlekłe grudniowe deszcze. Kryli się w stosie desek i wsłuchiwali z zachwytem w szum ulewy. Niby w świetle błyskawicy ujrzal nagle cale swoje życie, wszystkie jego radości. Mietta zeskakiwała z muru i nadbiegała śmiejąc się dźwięcznie. Zobaczył przed sobą jej jasną twarz i czarne jak atrament włosy. Mówiła o sro- czych gniazdach, które tak trudno podbierać, i pociągnęła go za sobą. Z oddali dobiegł go wówczas przyciszony szmer Viorny, cykanie zapóźnionych koników polnych i wiatr szeleszczący w topolach na łąkach Świętej Klary. Ile się oni nabiegali! Przypominał* sobie dobrze. Mietta w dwa tygodnie nauczyła się pływać. Dzielna dziewczyna. Miała tylko jedną wielką wadę: ścigała, cudze owoce. Ale byłby, ją tego oduczył. Wspomnienie pierwszych pieszczot przywiodło jego myśli z powrotem ku alejce. Wracali tu zaw* sze. Zdawało mu się, że słyszy cichnący śpiew Cyganki, zgrzyt zamykanych okiennic i poważne bicie zegarów. Nadchodziła chwila rozstania. Mietta wdrapywała się na mur. Przesyłała mu pocałunki. Zniknęła. Straszliwe wzruszenie ścisnęło mu gardło: nie zobaczy jej już nigdy.

Proszę bardzo! — zaśmiał się szyderczo jednooki. — Wybierz sobie miejsce.

Sylweryusz zrobił jeszcze kilka kroków. Zbliżał się do końca alei i widział już tylko niebo, na którym gasło rdzawe światło dnia. W tym zakątku przez dwa lata skupiało się jego życie. Powolne zbliżanie się śmierci ścieżką, po której od tak dawna stąpała jego miłość, nuało w sobie niewysłowioną słodycz. Ociągał się, rozkoszując pozęgna niem. Zegnął wszystko, co ukochał: trawy, deski, kamienie w starym murze, wszystko, co w obecności Mietty tchnęło niegdyś życiem. Myśli jego mąciły się. Czekali tylko dojścia do pełnoletności, żeby się pobrać. Ciotka Dida zostałaaby z nimi. Ach, gdyby byli uciekli gdzieś daleko, bardzo daleko, schronili się w jakiejś odległej wsi. gdzie chłopcy z przedmieścia nie przybiegaliby do Mietty wytykać jej zbrodnię ojca! Jakże byłiby tam szczęśliwi i spokojni! Założyliby warsztat kołodziejski przy drodze. Nie zależało mu już na tym, aby robić wspaniałe karoce o szerokich drzwiczkach, lśniących jak zwierciadła. Zgnębiony i otepiały, nie mógł sobie przypomnieć, co sprawiło, że jego sen o szczęściu" nigdy się nie ziści. Dlaczego nie odchodzi stą-I z Miettą i z ciotką Didą? Wyteżywszy pamięć przypomniał sobie świst strzałów i zobaczył sztandar o strzaskanym drzewcu osuwający się na ziemię, niby skrzydło śmiertelnie ugodzonego ptaka. To Republika spoczywała z Miettą w fałdach czerwonego sztandaru. Ach, biada, obie były martwe, obie miały krwawą ranę w piersi. To one właśnie. Zwłoki dwóch jego miłości, dzieliły go teraz od życia. Nie' miał już nic, mógł umrzeć. Stąd płynęła jego dziecięca uległość i otepienie od chwili, kiedy wyszli z Sainte-Roure. Mogli go bić, a 011 nie czułby tego: Opuścił swe ciało; pozostał na klęczkach obok swych ukochanych, pod drzewami w ostrym dymie wystrzałów.

Jednooki zaczął się niecierpliwić; popchnął Mourgue'a, który dawał się wlec bezwolnie, i burknął:

— No, jazda, nie mam zamiaru tu nocować.

Sylweryusz potknął się. Spojrzał pod nogi. W trawie białął kawałek czaszki. I znów wydało mu się, że alejka rozbrzmiewa głosami zmarłych. Niegdyś, w lipcowe wieczory, gorącym oddechem mącili spokój jego i Mietty, a teraz przyzywali go szcztenu Jakże mu był znajomy! Cieszyli się, obiecywali zwrócić mu Mietę pod ziemią. _w jakimś zaciszu jeszcze przytulniejszym niż ten zakątek. Cmentarz, który wonią żywej ziemi i bujną roślinnością

budził w sercach dwojga młodych niecierpliwe żądze, roztaczając przed nimi kuszące łoże traw, teraz marzył o tym, aby nasycić się gorącą krwią Sylweryusza. Od dwóch lat czekał na tych nowożeńców. : — To tu? — zapytał jednooki.

Chłopiec spojrział przed siebie. Znajdował się przy końcu alejki. Zobaczył kamienny nagrobek i zadrżał. Mietta miała rację, ten kamień jej był przeznaczony. Tu spoczywa... Maria... zmarła... Zmarła rzeczywiście i głaz ten stoczył się na nią. Czując, że opuszczają go siły, oparł się o zlodowaciały kamień. Jakże ciepły był on niegdyś, gdy gawędzili tu wieczorami! Tędy właśnie przechodziła przez mur i stawała na krawędzi nagrobka. Pozostał tu ślad jej stóp, jakaś cząstka jej samej, jej gibkiego ciała. Pomyślał wtedy, że wszystko, co się stało, było im przeznaczone, że kamień ten znajdował się w tym miejscu po to, żeby on mógł umrzeć tu, gdzie kochał.

Jednooki nabił pistolety.

Umrzeć, umrzeć — ta myśl napelniała Sylweryusza zachwytem. Więc to tutaj prowadzono go przez tę długą białą drogę, wiodącą z Sainte-Roure do Plassans? Gdyby wiedział o tym, byłby się bardziej spieszył. Nie spodziewał się nigdy, że dozna tej pociechy w swym bólu, iż dane mu będzie umrzeć na tym kamieniu, w głębi tej alejki, w tym powietrzu, w którym unosił się jeszcze oddech Mietty. Niebo okazało się łaskawe. Z nieprzytomnym uśmiechem, oczekiwał swego losu.

Tymczasem Mburgue zobaczył pistolety. Aż do tej chwili szedł za Sylweryuszem ogłupiały. Lecz teraz ogarnął go lęk.

— Ja jestem z Poujols! ja jestem z Poujols! — powiedział przerażonym głosem.

.Rzucił się do nóg żandarma błagając go o łaskę. Wyobrażał sobie, że wzięto go za kogoś innego.

— Co mnie to obchodzi, skąd ty jesteś? :— mruknął Rengade.

Nieszczęśnik trząsał się i płakał ze strachu, nie rozumiejąc, dlaczego ma umierać, wyciągał drżące dłonie, stwardniałe i zniekształcone dłonie człowieka ciężko pracującego, i powtarzał dialektem, że nie zrobił nic złego i że trzeba mu wybaczyć. Jednooki zniecierpliwił się nie mogąc przyłożyć pistoletu do skroni, gdyż tamten zanadto się kręcił.

— Będziesz ty cicho! — krzyknął.

Wówczas Mourgue, nieprzytomny z przerażenia, nie chcąc umierać, zaczął wyc jak zwierzę.

— Będziesz ty cicho, łajdaku! — powtórzył żandarm.

1 strzelił. Wieśniak zwałił się jak kłoda. Jego ciało odbiło się od ziemi, a potem znieruchomiało, skurczone koło sterty desek. Gwałtowne szarpnięcie przerwało sznur, którym był przywiązany do towarzysza. Sylweryusz upadł na kolana przed kamiennym nagrobkiem.

Rengade zabił najpierw Mourgue'a, chcąc zemścić się na Sylweryuszu. Bawił się teraz drugim pistoletem, podnosił go wolno, rozkoszując się męką chłopca. Ten spojrział na niego spokojnie. Widok żandarma wpatrującego się weń gorejącym okiem sprawił mu przykrość. Odwrócił wzrok w obawie, że mógłby stchórzyć przed śmiercią, patrząc na tego człowieka drżącego od gorączki, w poplamionym bandażu, z okrwawionymi wąsami. Podnosząc oczy ujrzał nad murem w miejscu, z którego zwykle skakała Mietta, głowę Justyna.

Kiedy żandarm zabierał ze sobą jeńców, Justyn znajdował się w tłumie przy Bramie Rzymskiej. Puścił się pędem przez Jas-Meiffren, żeby móc być świadkiem egzekucji. Uradowany myślą, że z podmiejskich łobuzów on jeden przyjrzy się temu widowisku, tak się spieszył, iż dwa razy upadł po drodze. Mimo że biegł jak szalony, spóźnił się na pierwszą część egzekucji. Z rozpaczą wdrapał się na mur. Widząc, że Sylweryusz jeszcze żyje, uśmiechnął się. Od żołnierzy wiedział już o śmierci kuzynki i z radością myślał o tym, że i młody cieśla również ma zginąć. Ocze-

kiwał wystrzału z rozkoszą, jaką napęniało go zawsze cudze cierpienie, podwojoną jeszcze tym razem przyjemnym dreszczykiem lęku.

Widząc ponad murem tę bladą i uradowaną twarz hujającego, z włosami lekko zjeżonymi nad czołem, Sylweryusz doznał uczucią głuchej wściekłości. Zapraagnął żyć. Był to ostatni bunt jego krwi, opór trwający zaledwie sekundę. Z powrotem opadł na kolana i spojrział, przed siebie. W melancholijnym mroku przesunęła się przed jego oczami ostrość wizja. Wydało mu się, że u wylotu zaułka Świętego Mitytry dostrzega ciotkę Didę, bladą i sztywną jak kamienny świętek, która przygląda mu się z daleka.

W tej chwili poczuł na skroni chłód lufy pistoletu. Błoda twarz Justyna śmiała się. Sylweryusz zamykając oczy usłyszał, jak umarli przyzywają go natarczywie. W ciemności widział już tylko Mietę Jeżącą pod drzewami, okrytą sztandarem, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Jednooki strzelił. Głowa chłopca pękła jak dojrzały owoc " granatu. Twarz jego osunęła się na kaimiej, wargi przylgnęły do miejsca, na którym niegdyś opierała swe stopy Mietta.

Tymczasem salon Rougonów rozbrzmiewał śmiechem. Stół nie ostygł jeszcze od podawanych dań. Nareszcie doczekali się chwili, kiedy mogli zakosztować przyjemności bogaczy! Ich żądza użycia, zaostroszona jeszcze trzydziestoma latami przymusowego postu, pokazała teraz swe drapieżne kły. Gi ludzie chciwi i nienasytzeni, te wychudłe bestie spragnione łupów oklaskiwały wschodzące Cesarstwo, które zapewniało im w nich udział. Wznawiając fortunę Bonapartych zamach stanu dawał również początek fortunie Rougonów.

Piotr wstał, podniósł swój kielich i zawołał:

— Piję za zdrowie księcia Ludwika, za zdrowie cesarza!

Wszyscy obecni, zatopiwszy już zazdrość w szampanie, powstali z miejsc i wśród ogłuszających okrzyków przyłączyli się do toastu. Piękny to był widok. Na ciepłych jeszcze zwłokach Republiki mieszczaństwo Plassans, Roudier, Granoux, Vuillet i inni, padali sobie w objęcia płacząc z radości. Sicardot wpadł na genialną myśl. Chwycił koniec jedwabnej różowej kokardy, którą Felicja przypięła sobie kokieteryjnie nad prawym uchem, odciął skrawek nożykiem ieszrowym, podszedł do Rougona i uroczyście wetknął mu go do-butonierki. Rougon, rozpromieniony* wzbraniał się udając skromność.

— Proszę, niech pan tego nie robi — szeptał. To za wcześnie. Trzeba poczekać na dekret.

— Do kroćsel! — krzyknął Sicardot. — Niech pan to zatrzyma! Dekoruje pana stary żołnierz Napoleona.

Żółty salon wybuchnął oklaskami. Felicja omdlewała z radości. Milczący zazwyczaj Granoux wszedł na krzesło i machając serwetką wygłosił mowę, którą zagłuszała wrzawa. Żółty salon triumfował.

Lecz różowy skrawek jedwabiu w butonierce Piotra nie był jedyną plamą czerwieni na triumfie Rougonów. Zapomniany pod łóżkiem w sąsiednim pokoju leżał but z zakrwawionym obcasem. Płonąca przy zwłokach pana Peirotte świeca broczyła w ciemnościach krwią jak otwarta rana. Kałuża krwi krzepła na kamiennym nagrobku w głębi placu Świętego Mitytry.